

# Marysieńka Sobieska



TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI

# Marysienka Sobieska

## I. ZAMIAST PRZEDMOWY

Kiedy szanowna firma księgarska, podejmując cykl biografii historycznych, zaproponowała mi napisanie *Marysienki* (Sobieskiej), myśl wydała mi się kusząca. Cóż za bogactwo materiału! Miłość Sobieskiego do pięknej Francuzki, jakaż to ciekawa powieść psychologiczna, podszyta romansem rycerskim, intrygą polityczną w wielkim stylu. Co za kontrasty: królewski płaszcz z gronostajów rzucony na zmiętoszone łóżko w Pielaskowicach czy w Jaworowie; Piast ożeniony z Celimeną<sup>1</sup>; pierwsza wielka ofensywa wpływów francuskich na Polskę, no i odsiecz austriackiego Wiednia jako finał tej dwudziestoletniej propagandy, skutecznej jak wszystkie propagandy... splot zagadnień jakże bogatych, pasjonujących, skomplikowanych. I ten uroczy barok, w jakim się kształtuje ów heroiczny poemat! Już, już, objawił mi się wąsal Sobieski jako pyzaty barokowy aniołek, to dmący w surmę zwycięstwa, to stulający buzię do pocałunku!

Ale równocześnie obległy mnie wahania. Znów być wymyślonym, i głupio wymyślonym! Tak bardzo nieprzyjazne jest u nas nastawienie ogółu do kogoś, kto szuka ludzkiej prawdy pod oficjalnym banałem! Tak mi się już przejadło czytać bzdury o pomniejszaniu wielkości i o „życiu ułatwionym”<sup>2</sup>! A jeżeli kiedy, to tutaj grozi niebezpieczeństwo, bo czyż Marysienka nie wydaje się wcieloną małością Sobieskiego, personifikacją mniej chlubnych stron jego historii; czyż go ta Francuzeczka wciąż nie ściąga z pomnika za połę kontusza na ziemię? Ale gdyby się w tym rozpatrzeć, okaże się, iż wielkość z małością spojone są tu tak ściśle, że odgrodzić ich niepodobna, tak jak nie zdołali rozdzielić Sobieskiego z Marysienką ci, co chcieli nie dopuścić jej do koronacji. Zatem, co Bóg złączył, człowiek niech nie rozłącza.

Ani człowiek, ani nauka. A nauka bywa tu w kłopotcie. Prof. Konopczyński stwierdza w *Encyklopedii Akademii Umiejętności*, że czasy Sobieskiego są szczególnie przez naszą historię zaniedbane. „Historycy — pisze — woleli nie tykać tej epoki, jakby bojąc się rozwiać historię o wielkim człowieku przez drobiazgowy wgląd w jego postęпки”.

W istocie, jest to bohater szczególnie kłopotliwy. Wciąż go trzeba tłumaczyć, wciąż rozgrzeszać, znajdować dla niego okoliczności łagodzące. Wciąż się jak gdyby chowa... Ale to może dlatego, że go się bierze zbyt górnio. Wówczas Sobieski nudzi się i zmyka. A skoro go powiesić na ścianie między Chrobrym a Kościuszką, co chwila wyłazi z ramek, aby załatwić jakąś ludzką potrzebę. Łatwiej byłoby go może zrozumieć, gdyby się pogodzić z tym, że to, co się uważa za jego słabość czy skazę, było najistotniejszym motorem jego życia.

Sam Sobieski daje nam wskazówkę w tej mierze. Weźmy do rąk jego nieoszacowane listy do Marysienki i zajrzyjmy pod r. 1667. Jesteśmy we Lwowie, w miesiącu wrześniu,

<sup>1</sup> *Celimena* — postać z komedii Molière’a *Mizantrop*; synonim kokietki. [przypis edytorski]

<sup>2</sup> *bzdury o pomniejszaniu wielkości i o „życiu ułatwionym”* — chodzi o zarzuty w stosunku do Boy’a jako autora zbioru felietonów o twórcach literatury polskiej (m.in. o Mickiewiczu, Żmichowskiej, Fredrze) zebranych w tomach: *Brązownicy* (1930) i *Obrachunki Fredrowskie* (1934) oraz artykułów o tematyce obyczajowej zebranych w tomach: *Dziewice konsytorskie* (1929) i *Piektło kobiet* (1930); atakowali Boy’a m. in. Jan Emil Skiński w artykule *Życie ułatwione* („Wiadomości Literackie” nr 47/1931), Karol Irzykowski w książce *Beniaminek* (1932) i in.; „pomniejszanie wielkości” oznaczać miało „szarganie świętości narodowych” i sprowadzanie uznanych, sławnych postaci do ich indywidualnego, ludzkiego wymiaru (zwracanie uwagi na ich małośćki), zaś „życie ułatwione” było określeniem odnoszącym się głównie do poglądów obyczajowych Boy’a, który wraz z Ireną Krzywicką prowadził walkę piórem o wprowadzenie sensownego prawa dotyczącego rozwodów i aborcji oraz propagował edukację na rzecz świadomego macierzyństwa. [przypis edytorski]



w dobie rodzącej się wielkości hetmana, w najwspanialszym może momencie jego życia, tuż przed śmiertelnymi dniami, gdy Sobieski zamknie się ryzykownym manewrem w Podhajcach, aby ściągnąć na siebie przeważające siły nieprzyjaciela i pobić go na głowę. Ma wszystkiego 7000 wojska, a ciągnie na niego — tak donosi do Paryża Marysienka — 100 000 Tatarów i 50 000 Kozaków. I równocześnie opisuje jej przygodę, jaka mu się w tej chwili zdarzyła z jej powodu. Nie było od niej listów, a gruchnęła tu wiadomość, że Marysienka jest chora. Co się z nim stało pod wpływem tej wiadomości i co się z nim działo przez dwa tygodnie, to „wszystko miasto i cała Polska powie, bo nie masz tego dziecięcia, które by się nad nim nie użaliło”. Sam zachorował z żalu i niepewności, tak że bliski był śmierci. Towarzysze broni nie odstępowali go ani na chwilę; nacierali go gorczyczą, wciąż mu serdeczną wódkę u nosa trzymali. Nie było kościoła, szpitala, więzienia, gdzie by się przez te dwa tygodnie nie modlono — za zdrowie Marysienki. On sam kościoły ślubował ufundować, ślubował pościć o chlebie i wodzie w obozie. A patrząc na jego boleść, spowiednik jego, ksiądz Solski, płakał tylko — nad sobą i powtarzał: „Czemu ja tak Boga kochać nie mogę!”. Aż wreszcie przyszła wiadomość, że Marysienka zdrowa, i — wszystko jak ręką odjął. Wstał i był zdrów. „Owo — kończy Sobieski — jest to taka i tak dziwna historia, o której wieki pisać będą mogli”.

Miłość, Choroba, Bóg

Zauważmy: jest to bodajże pierwsza okoliczność, że Sobieski uczuł się postacią historyczną; uczuł, że wieki będą mogły pisać o jego przygodzie. I może miał rację. Bitew było w świecie bez liku, większych i mniejszych; ale taki list jak ów ze Lwowa 10 września<sup>3</sup> roku 1667 był i będzie tylko jeden. Czytałem gdzieś aforyzm, który mnie zafrapował: mianowicie, że gdzie się biją dwie strony, tam jedna bywa zazwyczaj pobita, z czego niekoniecznie wynika, aby wódz przeciwnej strony był geniuszem. I Sobieski ma zapewne świadomość, że takich potyczek jak te, które dotąd staczał, były w historii tysiące; ale ma zarazem przecucie, że taką przygodę miłosną jak jego niełatwo znalazłoby się w dziejach i że „wieki o niej będą mogły pisać”. Jak o tej Kleopatrze, która była jego ulubionym romanssem.

Żołnierz, Wojna,  
Przywódca, Miłość,  
Kochanek

Mogłyby — ale nie piszą, przynajmniej u nas. Nawet nie bardzo czytają. Wspomniałem listy Sobieskiego. Rozkoszna książka. Ale jak wydane! Przed osiemdziesięciu blisko laty, w ogromnym nieczytelnym tomisku — dziś rzadkość antykwarska — skastrowane przez wydawcę. A listy Marysienki? Jeszcze gorzej; tych niewiele, które wydano drukiem, zgubiono w ogromnym tomie archiwalnych materiałów historycznych. O tyle słusznie, że kto wie, czy owe listy to nie jest dziś najwładniejszy materiał historyczny do Sobieskiego. W każdym razie czuje się tu człowiek na znacznie pewniejszym gruncie niż gdzie indziej. Bo coś mi się widzi, że gdy chodzi o nasz wiek XVII, okrutnie się zaczyna ziemia chwiać pod nogami pani Historii. Zwłaszcza wszystko co jest związane z historią militarną ówczesnej Polski. Niedawna dyskusja, z takim talentem i brawurą przeprowadzona przez Olgierda Górkę, na temat wojen kozackich jest tego przykładem. Przede wszystkim wczorajsza wojna<sup>4</sup> stosunek do wojen w ogóle i do ich strony technicznej uczyniła czymś o wiele konkretniejszym — i krytyczniejszym — niż to było możliwe u książkowych uczonych patrzących na sprawy wojenne oczami zakamieniałych cywilów. Takie pojęcia jak możliwości mobilizacyjne i transportowe, aprowizacja, mapa sztabu generalnego, wątpliwa wartość dokumentarna komunikatów wojennych, wszystko to z naocznej rzeczywistości zaczęto przenosić wstecz i żywymi doświadczeniami oświeślać dawne dzieje. Ten i ów z historyków sam niedawno dowodził pułkiem czy batalionem na polu bitwy; z konieczności ma inne oko na te sprawy. Zaczęto poddawać krytyce tradycyjne cyfry „nawały wroga”, która stale przekraczała jakoby dwudziestokrotnie i więcej garstkę naszych rycerzy. Co więcej, raz wszedłszy na drogę sceptycyzmu, zaczął ciekawy historyk zaglądać do archiwów „pohańca<sup>5</sup>” i znalazł w nich, że tam znowuż bohatera garstka Turków i Tatarów raz po raz opiera się przemożnej nawałi Polaków. Taki był obustronny fason: a często chodziło o jedną i tę samą bitwę. I łatwo może się zdarzyć, że jaki spec od historii militarnej — nie ubliżając w niczym osobistej dzielności Sobieskiego — ujmie jedno zero z cyfry owych 150 000 podhajeckich nieprzyjaciół; ale najdroższy bodaj rewiz-

<sup>3</sup>septembra — września. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>wczorajsza wojna — tj. I wojna światowa. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>pobaniec — pogardliwie o wyznawcy islamu (szczególnie Tatarze, Turku); pierwotnie od: poganin w mowie rus. [przypis edytorski]

zjonista, przeczytawszy jego listy do Marysieńki, nie ujmie nic z jego miłości, tak jak nie ujmie nic z owych tysiąca czerwonych złotych, które na intencję ozdrowienia Marysieńki pan hetman polny obiecał „dać na dobre uczynki, tj. na murowanie oo. bonifratellów”, i z drugiego tysiąca czerwonych złotych „na dokończenie murów panien karmelitanek naszych bosych”, ani z tych dziewięciu kościołów, w których miało się odprawiać po dziewięć mszy przez dziewięć niedziel.

Rzecz prosta, iż pozycje te — i inne tym podobne — choć tak wzruszające, nie usprawiedliwiająby naszego zainteresowania ową tak namiętnie kochaną kobietą. Ale mała jej rączka z przyległościami staje się niesłychanie interesująca przez transmisje dziejowe, które rozszerzyły jej teren operacyjny. Widzimy tę rączkę działającą z niezawodną precyzją w trudnym momencie rokосу Lubomirskiego i wielkiej gry Marii Ludwiki, i w obu elekcjach, i w polityce zagranicznej króla Jana, i w szansach wyprawy wiedeńskiej. Różowy języczek Marysieńki jest raz po raz w wahaniach dziejowych języczkiem u wagi. Natrafiamy wciąż na jej buzię, wertując dokumenty archiwalne francuskiego ministerstwa spraw zagranicznych (wydane przez naszą Akademię Umiejętności), korespondencję ambasadora Francji ze swoim ministrem, ba z samym Ludwikiem XIV. Wszędzie Marysieńka, jej ambicje, jej kombinacje, jej fochy, jej pretensje.

Wydawca listów Sobieskiego do Marii Kazimiery, Helcel, powiada, że nasz bohater traci na poznaniu go z tych listów. Ja bym sądził przeciwnie. Bo te fakty, które świadczą przeciw niemu, ukryć by się nie dały; wiadome są i skądinąd; ale dopiero te listy, w których zwierza ukochanej kobiecie swoje najpoufniejsze myśli, dają każdemu faktowi właściwe oświetlenie, a zwłaszcza właściwy styl. Ten styl zaczerpnięty częścią z serca, a częścią z francuskich romansów, które nasz Polak nie tylko czytał w obozie, ale wcielił je w czyn ze wspaniałym rozmachem, ta gra w Celadona i Astree, w Sylwandra i Dianę, nie jest — jak często mówiono — śmiesznością czy słabostką bohatera; wręcz przeciwnie, ten styl jest samą istotą jego odczuwania, jest dlań — w pewnym zwłaszcza momencie życia — rzeczywistością przesłaniającą mu wszystkie inne. I tylko w tym stylu da się pogodzić sprzeczności jego charakteru, a raczej postępów. Kiedy, pod datą 4 października 1667 r., z obozu w Podhajcach, czytamy pamiętny uniwersał, w którym przyrzeka — i nie ma w tych jego słowach żadnej przesady — „całość dobra pospolitego własnym zasłonić trupem, dając się *in victimam* miłej Ojczyźnie”, a wiemy skądinąd, że przez cały ten czas on, wielki marszałek koronny i hetman polny, prowadził targa z Wersalem, aby po narzuconej krajowi elekcji Francuza przehandlować swoje godności na tytuł marszałka Francji z dodatkiem francuskiego księstwa i miłej gotowizny i na zawsze wynieść się z Polski, wydaje się to jednym potworne, drugim niezrozumiałe; inni wreszcie wolą udać, że tego nie widzą. Ale kiedy tuż po zwycięstwie podhajeckim czytamy w jego liście do Marysieńki, że „Rzeczpospolita ma być za co obligowana Sylwandrowi” i kiedy, omawiając z żoną rokowania wersalskie, stale nazywa Wersał, wedle umownego klucza, *palais enchanté* (zaczarowany pałac) — zaczynamy wchodzić w jego sposób odczuwania. Zakon rycerski, którego Sobieski jest ozdobą, z tradycji swoich zawsze był po trosze międzynarodowy: alboż nie było wędrownych rycerzy, u których nie o to chodziło, gdzie i za kogo walczyli, ale czy walczyli dzielnie? On, Sylwander, oddał usługi Rzeczypospolitej, a teraz chce odebrać, wraz z Marysieńką, nagrodę — w „zaczarowanym pałacu”. Ani by się zawahał: ojczyzna jego jest tam, gdzie jest ona. Czyż nie mówi mu tego jego serce i czyż nie tak jest w romansach? Nie mierzmy patriotyzmu zwycięzcy podhajeckiego dzisiejszymi pojęciami, a oszczędzimy sobie przy jego historii wielu drażliwych momentów. To nie jest bohater z Sienkiewicza; a jeżeli ktoś powiedział, że psychikę Sobieskiego odmalował Sienkiewicz w Kmicicu, można by się na to zgodzić chyba z tą poprawką, że jego Oleńką-regalistką była — Marysieńka, co czyni charakterystykę naszego regalisty nieskończenie bardziej powikłaną... Zwłaszcza w czasie panowania Michała Korybuta.

Postacie naszych wielkich bohaterów rodzą w nas rozmaite uczucia. Tak np. Żółkiewski budzi w nas cześć, Batory grozę; Sobieski — z pewnością nie mniejszy od tamtych — budzi mimowolny uśmiech. Nie tylko przez swą sarmacką postać fredrowskiego Cześnika (nie ufajmy zbyt tym pozorom!), nie tylko przez ten pantofelek, który go tak skutecznie przycisnął; ale przez to, że lwia — w każdym sensie — część jego historii jest po trosze komedią w największym stylu. Sobieski, to jest uroczy „bohater mimo woli”; człowiek, który wciąż chce się spaskudzić i nie może lub nie potrafi; który raz po raz

Rycerz, Miłość, Dama,  
Bohaterstwo, Ojczyzna

Bohater, Król, Polska,  
Historia

chce iść drogą najłatwiejszą, a idzie najbardziej niebezpieczną i stromą; który chciałby być rentierem i żonkosiem i wciąż jest rycerzem, straceńcem, niestrudzonym strażnikiem granic, puklerzem ojczyzny. Bo zważmy, że od r. 1662 aż po r. 1673 bez przerwy toczą się najpierw prywatne konszachty, później, ze wzrostem jego znaczenia, półoficjalne rokowania, mające umożliwić Janowi Sobieskiemu całkowite wyniesienie się z Polski i naturalizację we Francji. I najczęściej nie jakieś wewnętrzne sprzeciwy moralne czy patriotyczne udaremniają mu ten zamiar, ale po prostu piętrzące się z komediową przekorą komplikacje i przeszkody. A podczas tego — Podhajce, Braclaw, Kalnik, Chocim... Aż wreszcie po Chocimiu los przygwoździł naszego Celadona koroną do miejsca i położył koniec jego tęsknotom za *palais enchanté*. Biedna Astrea też musiała pogodzić się z losem, choć nie ręczę, czyby i wówczas nie oddała tego polskiego tronu za „taburet” w Wersalu i tytuł diuka dla papy d’Arquien.

Kobieta, Władza, Król,  
Historia

Bo i na tronie Marysienka pozostała mała... Ale czy powtarzając ten powszechny wyrok, nie popełniamy błędu optycznego? Wielkość kobiety inne ma kryteria. Przykuć do siebie wspaniałego człowieka, najlepszego w kraju; urzec go tak, że może go zostawić samego na rok i dłużej bez obawy przelotnej nawet rywalki; igrać z nim bez miary, panować nad nim na wszelkie sposoby, zachować dlań przez lat trzydzieści urok fizyczny i duchowy, dzielić wszystkie jego myśli, plany i zamiary, podsadzić go na tron i usiąść mu tam na kolanach, i to wszystko będąc prawie bez ustanku w ciąży, rodząc kilkanaścioro dzieci żywych i umarłych — czy to nie jest swego rodzaju wielkość, niech odpowiedzą kobiety. I zawracać (obludnie) hetmanowi głowę w czasie kłęski pod Mątunami, że ją zdradza, a królowi w czasie odsieczy Wiednia, że rzadko pisze! Podczas gdy korpulentny zwycięzca, który już po krześle na koń wsiadał, pisał, nie otarłszy nawet potu z czoła, wprost z pola bitwy pod Wiedniem, na bębnie, sążniste epistoły, nigdy nie zapominając „ucalaować milion razy wszystkich śliczności i wdzięczności najukochańszego ciałeczka”.

Kobieta, Mężczyzna

Tak więc, mogłoby się okazać nawet i to, że wielkość Marysienki nie lęka się na swój sposób rywalizacji z wielkością jej małżonka, i może mniej się obawia ofensywy nowoczesnych historyków... Bo kto wie, ile w najbliższym czasie Olgierd Górka, zbliżający się powoli, ale nieubłaganie do Sobieskiego, obetnie z potęgi tureckiej pod Wiedniem, którą sam Sobieski szacuje na 300 000 luda, a inni uczestnicy walki obliczają na 300 000 namiotów, licząc po trzy lub cztery twarze na namiot. I wszystko to w puch rozbiła w parę godzin jedna szarża kawalerii!

Ale nie obawiajmy się o wielkość Sobieskiego: dosyć jej zostanie. Ani ja nie gotuję na nią żadnego zamachu. Nigdy nie jest moją intencją pomniejszać prawdziwą wielkość; czasem tylko czuję potrzebę wskazać, że mechanizm jej i jej drogi są nieco inne, niż się zdawkowo przyjmuje. I że nic jej tak skutecznie nie unicestwia niż pietystyczny konwencjonalizm.

Tu sama obecność Marii Kazimiery wystarczy, aby uchronić od takiego niebezpieczeństwa! Bo przecież nie o Sobieskim mam pisać, ale o niej; i nie rozdział historii polskiej mam tu kreślić, ale po prostu historię jej samej. A jeżeli, spełniając wedle możliwości swoich to zadanie, siłą rzeczy będę musiał potrącić o czyny Sobieskiego i przypomnieć kawał dziejów Polski, będzie to raczej podszewka tych czynów i dziejów, skrojona ze spódniczki owej kobiety, bardzo pospolitej i niepospolitej zarazem, zabląkanej na naszą ziemię cudzoziemki, którą bohater nasz spolszczył na wieki, chrzcząc ją perwersyjnym imieniem Marysienki.

\*

Tak, nie obawiajmy się o Sobieskiego. Nie ma nic do stracenia. Bo, mimo cennych publikacji w tym zakresie, gdyby się spytać, co przeciętny Polak wie o Sobieskim, okazałoby się może, iż wie tyle, że miał piękne wąsy i że bił Turków. Ale dziś wąsy golimy i do Turków nie mamy żadnej nienawiści — i oto kult Sobieskiego zawisł po trosze w powietrzu. To są niebezpieczeństwa wiązania czyjejs chwały z rzeczami przemijającymi.

Literat, List

Natomiast ten sam przeciętny Polak byłby może bardzo zdziwiony, gdybym mu się zwierzył, że Jan Sobieski od czasu, jak się z nim zapoznałem bliżej, jest dla mnie jednym z najciekawszych pisarzy XVII wieku, mimo że jego nazwiska nie znajdzie się w żadnym podręczniku literatury. Co pisał? Właśnie owe listy do ukochanej kobiety, do własnej

żony. Dla naszej historii literatury widocznie to za mało; ale pani de Sévigné również pisała tylko listy do córki, a od dawna liczy się bezspornie do klasyków francuskich.

Nie ma nic ciekawszego dla badań stylistycznych niż porównanie listów, jakie Sobieski pisywał do innych, a listów do niej, do Marysieńki. Zazwyczaj w listach styl jego nosi znamiona epoki; ciężki, z łacińska zawijany, odświętny i makaroniczny. Do niej — jakby inny człowiek pisał; myśl wyraża się swobodnie, bezpośrednio, z wzruszającą szczerością, znajdując wyraz dla subtelności bardzo na tle ówczesnej sarmackiej Polski egzotycznych.

Egzotyczną jest i cała ta przygoda. Sobieski i Marysieńka to z pewnością jedno z najosobliwszych w świecie zdarzeń miłosnych, ucieleśniona bajka. Jedna miłość wypełniająca całe życie człowieka, rzucająca to życie bez wahania pod nogi kobiety, prowadząca go poprzez małostki do wielkości, zwycięsko opierająca się przeszkodom, rozłące, znosząca grzech i naganę opinii, czasem kaprysy i niewdzięczność, wzbijająca bohatera wyżej niego samego i wiodąca tę niedobraną na pozór, a w istocie świetnie dobraną parę, aż na tron — czyż to nie jest historia z bajki!

Niewątpliwie wdzięku i znaczenia dodaje tej przygodzie jej tło obyczajowo-polityczne. Romans Sobieskiego z Marysieńką, to szczytowy punkt owej pierwszej inwazji wpływów francuskich do Polski. We współżyciu tej pary oboje zachowali całkowicie swoje odrębności narodowe. Ta rasowa Francuzka miała cztery lata, kiedy przybyła do Polski, ale Francuzką została do końca; on, mimo iż dojrzał w klimacie francuskiej lektury, francuskiej polityki i miłości, zostaje zawsze typem najczystszej polonusa, nawet zewnętrznie; nigdy nie zrzuci delii<sup>6</sup> i kontusza, ani nie zmieni szabli na szpadę. Odbija się to i w charakterze ich listów. Ona pisze po francusku, mieszając zabawnie polskie słowa, gdy chce być dosadniejsza; on pisze po polsku, z lekka barwiąc francuszczyzną, tak jak pisząc do innych robił to łaciną.

Cały długoletni romans utrwalaony jest w tych listach. Najpierw flirt pana chorążego koronnego Sobieskiego z młodzieńką wojewodzina Zamoyską; bo gdy on wojował, ją wydano tymczasem za tego magnata, jednego z najbogatszych ludzi w Polsce; potem zalotna ufność, z jaką młoda pani, zaniedbywana przez swego męża opoja, garnie się do tego świetnego rycerza i kawalera, jeszcze wówczas trochę latawca i bałamuta. Potem mieszają się w to sprawy polityczne, dworskie, wprowadzające do ich „konfitur” — tak nazywali listy — specjalny klucz mający zapewnić dyskrecję, w razie gdyby list dostał się w niepowołane ręce. Potem młoda pani wyjeżdża do Paryża, dokąd chce ściągnąć swego „Celadona”, jak znowuż Sobieski sam się nazywał, zapożyczając imienia od bohatera sentymentalnej *Astrei*. Potem — dramatyczny epizod rokoszu Lubomirskiego, w którym królowa Maria Ludwika ręką owdowiałej w porę Marysieńki kupuje udział Sobieskiego, długo wzdragającego się przyjąć buławę hetmańską w przededniu wojny domowej.

I od chwili małżeństwa zaczyna się rozkwit Sobieskiego jako pisarza, skoro mówimy tu o nim zwłaszcza w tym charakterze. Przedtem, jako czuły Celadon skazany na monotonne zaklęcia i miłosne peryfrazy, czuł się niby w obcym, przyciasnym stroju; obecnie może pisać otwarcie i szczerze wszystko i o wszystkim; z cudowną prostotą miesza w swoich listach różne tony. Wspominki miodowych miesięcy przeplatają się gonitwą za rokoszami; wzajemne sceny i wyrzuty kochanków znajdują się w tym samym liście, co opis nieszczęsnej klęski pod Mątwami. I znów rozłąka; młoda pani jedzie do Paryża ku rozpaczemu męża, który wyładuje swoją furię miłosną w czynach wojennych, tym razem przeciw prawdziwemu wrogowi. Poprzez te lamentsy miłosne słane z obozu do Francji, czujemy urastającego bohatera. I nie najmniejszego smaku dodaje tym listom miłosnym to, że przeważnie datowane są z miejsc jakże historycznych: Podhajce, Kamieniec, Lwów, Chocim... Jest jakiś uroczy kontrast między prostotą i zwięzłością, z jaką Sobieski donosi o swoich zwycięstwach, niebezpieczeństwach i trudach, a rozciągłością jego miłosnych roztrząsań i żalów.

Bo coś się zmieniło w romansie: o ile Sobieski długo nie chciał abdykować z roli kochanka i przejść do spokojniejszej miłości małżeńskiej, o tyle ona, Marysieńka, nie dotrzymuje mu kroku w tej egzaltacji miłosnej. I oto nieskończony temat wspominków i żalów, które nasuwają Sobieskiemu ileż wzruszających kart w jego listach. Przejeżdża

<sup>6</sup>*delia* — okrycie wierzchnie w stroju szlachty polskiej w XVII w.; rodzaj długiego płaszcza z rękawami półdługimi, długimi lub bez (wówczas rodzaj peleryny) i kołnierzem sięgającym niekiedy do połowy pleców; delię noszono na kontusz (żupan). [przypis edytorski]

przez miejsca, w których spływało ich pierwsze pożycie, dorywcze, chwytające dzień — albo lepiej jeszcze noc — między jakąś bitwą a marszem. Teraz nie ma przy nim ukochanej, wszystkie jej czułe „Jasięku kochany” i „serca mego panie” tylko żal w nim budzą i tęsknota. „Jaka tu różność od onych czasów — pisze — i jaka odmiana! Pierwsza owa szczęśliwa pod Czerskiem stodoła, gdzie ledwie nie konano na dni tylko kilka rozjeżdżając się z swoim Sylwandrem. Nuż żółkiewska stodoła, nuż owa w Chmielcu, w której jakie protestacje i jakie lamenty, że i dnia wytrwać nie można, gdzie momenty zdają się wiekami, gdzie się napatrzyć, gdzie się nagadać nie można, gdzie w drzewie jednym daleko od wszystkich ludzi zamknąć się życzo i tysiąc tysięcy takich rzeczy, które teraz podobno i na myśl już nie przychodzą. Wspomnij tylko na ostatek — przypomina Marysieńce — że i śpiącego nie można się napatrzyć Sylwandra i kiedy on spał, a Bukiet („Bukiet”, to jeden z jej tkliwych pseudonimów) rozbierał się, to albo na takim siadł miejscu, z którego nań patrzeć mógł, albo sobie zasłonę odsłonić rozkazał...”

Ale mimo iż tęsknota serca i zmysłów jest natchnieniem tych listów i daje skrzydła ich językowi, nie sądzmy, aby to były monotonne litanie miłosne. Sobieski pisze w nich żonie o wszystkim; o polityce, której oglądamy tu najsekretniejsze kulisy, często jaskrawy tworzące kontrast z bohaterską fasadą; o życiu obozowym, w którym tak oto na przykład odbijają się kłopoty hetmana w wojsku polskim:

„Zajechawszy tu do obozu — pisze hetman polny — siedzę jak na szynku i najmniej przez pół roku, jeśli tak długo żyć przyjdzie, siedzieć będę. Podzieć się gdzie nie masz. Wszyscy kupami ustawicznie chodzą, że jeść nie masz co, że lenungów<sup>7</sup> trzeba, że armata wynieść nie może bez pieniędzy, na którą już z własnych moich 5000 wyliczyłem. Te 1000 czerwonych złotych dziś zastawić posłałem na lenungi, a to dlatego, że co godzina nieprzyjaciela wyglądać potrzeba. A szlachta tego ani w myśli mieć nie chcą; owszem mówią: że my się Tatarów nie boimy, tylko Kondeusza; a w ostatku niech tu nas i popalą, a my wolim tu odstarać wszystkiego, a iść przeciw tamtemu...”

Tak oto w tych listach odbija się najautentyczniejsze ówczesne życie polskie, widziane oczami człowieka, który z racji swoich wysokich szarż wszystko znał, we wszystkim był wmieszany, na dworze i w obozie, w wojnę i politykę, i o wszystkim mówił swojej Marysieńce tak szczerze jak księdzu na spowiedzi. Tylko czasem, kiedy zapuścił się w doniosłe sprawy państwowe i ich rozważania, naraz żalność ścisnęła mu serce i urywał, pisząc: *Mais assez de ces bagatelles*<sup>8</sup>, i znowu wracał do swoich serdecznych tęsknot i bólów. Są tam subtelności miłosne, które na tle tej siedemnastowiecznej Polski wydają się zadziwiająco egzotyczne...

Biedny Sobieski! Za bogato był obdarzony, za wysoko postawiony. Gdyby był zwykłym sobie szlachcicem i gdyby po nim zostały te listy, uznano by go niewątpliwie fenomenem, odnaleziono by i odkryto te listy, obnoszono by się z nimi, a ich autora uznano by za unikat sprawności, subtelności i prostoty języka, za jednego z naszych najtęższych prozatorów owej epoki. Ale Sobieski-pisarz miał to nieszczęście, że był rycerzem, hetmanem, królem; czyn jego przesłonił jego uczucia; błysk szabli, blaski korony, zaćmiły poufniejszy blask jego słowa. Obecnie czas byłby może przywrócić równowagę; nie ujmując ceny bohaterowi, oddać pisarzowi to, czego jest godzien. I życzyłbym, aby z okazji najbliższego obchodu odsieczy Wiednia zrobiono pośmiertnie Jana Sobieskiego — honorowym członkiem *PEN Clubu*.

## II. MŁODOŚĆ CELADONA

Celadonem zwał się najchętniej w listach do swojej Astrei; na chrzcie świętym dano mu proste imię Jana, a po przodkach wziął rosnące w dostojęństwa i znaczenie nazwisko Sobieskich. Skoro nazwisko to stało się nazwiskiem króla i godłem niedoszłej, ale planowanej dynastii, nie zbrakło mu najwspanialszych rodowodów. Tak sekretarz królewski Chruściński dedykuje królewiczowi Jakubowi genealogię, w której wywodzi Sobieskich od Lecha I, założyciela księstwa polskiego około 470 r. po Chr[ystusie]. „Lecz gdy Krakus świętego zabił Stanisława, — wraz z nim Sobieskich rzymskie wypędziły prawa” —

<sup>7</sup>lenung a. leynung (z niem. die Löhnung) — żold, strawne; por. także lenungowanie: wypłacanie żoldu. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>mais assez de ces bagatelles (fr.) — ale dość tych błahostek. [przypis edytorski]

dokończyły z uśmiechem Fredro. Wobec takich starożytności nie dziw, że ród małżonki naszego króla, panny d'Arquien, wyprowadzali usłudni genealogiści od św. Ludwika, od Hugona Kapeta, a nawet od Klodwiga<sup>9</sup>.

W rzeczywistości splendor Sobieskich był świeższej daty, ale ród ten szybko szedł w górę, bogacił się i koligacił. Babka Jana była tylko Snopkowska, ale siostra już Radziwiłłowa. Kolebką rodu była Ruś Czerwona<sup>10</sup>. Dziadkiem Jana był Marek Sobieski, rycerz i rębacz zawołany, towarzysz wypraw Batorego; ojciec Jakub, za młodu wojażer po Europie, później żołnierz, autor „diariusza z wyprawy chocimskiej”, zażywający rozgłosu oratora i statysty, wojewoda bełski i kasztelan krakowski. Tę wysoką godność otrzymał na schyłku życia, skróconego podobno przez alterację<sup>11</sup> wynikłą ze sprzeczki z królem, w której Władysław IV miał nazwać nowo mianowanego „pana krakowskiego” — parweniusem! Nie szukać wdzięczności i pamięci u królów, bo kiedy niegdyś Władysław ruszał na Moskwę, parweniusz Sobieski przywiódł mu kilka chorągwi wystawionych własnym kosztem, a tak strojnych i świetnych, że je zwano „złotymi rotami”.

Po Sobieskich tedy wziął Celadon w spadku zamiłowanie do przepychu, junactwo, swadę, obrotność dyplomatyczną i ambit świeżego magnata. Ale takie wywody są zawsze ryzykowne; bo gdyby ktoś chciał włączyć do tego spadku miłość ojczyzny i wierność królowi, potknąłby się o figurę — Hieronima Radziejowskiego<sup>12</sup>, syna rodzonej siostry Jakuba, odrośl tych samych Sobieskich.

*N'insistons pas*<sup>13</sup>, jakby powiedziała Marysieńka. Mamy, na szczęście, jeszcze wspanialszy zasób cnót rycerskich w rodzinie matki, Teofili z Daniłowiczów. Dziad jej to hetman Stanisław Żółkiewski, jedna z najwspanialszych postaci naszych dziejów. Po klęsce pod Cecorą wdowa po hetmanie musiała za zezwoleniem króla założyć w Żółkwi mennicę, aby rodowe srebra przebić na dwieście tysięcy talarów, żądanych jako okup za ciało męża i za syna w niewoli. Jan Żółkiewski umarł z ran; brat matki, Daniłowicz, zginął okrutną śmiercią z rąk wroga, jak później starszy brat Jana Sobieskiego — Marek.

Po matce Daniłowiczównie zachowała się zwięzła notatka, kreślona jej własną ręką. *Pamięć, iakom ia szła sa mąż, y iako się moje dzieci rodzili*. W istocie: data zamążpójścia, szczegółowa data urodzenia każdego z dzieci i ani słowa więcej. Jest coś przejmującego w tym lakonizmie. Było ich siedmioro: najstarszy Marek, drugi z kolei Jan (17 sierpnia 1629); następnego roku, 19 marca — o ile to nie omyłka w dacie?! — córka Zofia; potem Katarzyna, Anna, dwóch Stanisławów.

„Urodziłem się w Olesku, zamku na wysokiej górze. Podczas mego urodzenia były pioruny bardzo, tak że aż krawiec matki mojej od tego ogłuchł i był głuchym do samej śmierci. Tatarowie też podpadli w tenże właśnie czas pod zamek” — pisze król Jan III w autobiografii skreślonej na życzenie nuncjusza papieskiego. Nie brak w tym zgrupowaniu faktów wrodzonego Sobieskiemu pewnego zmysłu teatralności.

Wychowanie chłopców było żołnierskie, jak dla przyszłych rycerzy przystało. Wcześniej zaprawiano Marka i Jana do ćwiczeń wojennych. Matka, „kobieta męskiego serca”, wskazywała im drogę obowiązku. „Jak słodko jest umierać za ojczyznę, ucz się ode mnie” — czytali w Żółkwi na nagrobku pradziada; *aviti sanguinis ultor*<sup>14</sup> — czytali na nagrobku wuja Daniłowicza.

Syn, Ojciec, Nauka, Polak

<sup>9</sup>ród (...) d'Arquien wyprowadzali (...) nawet od Klodwiga — Wywody genealogistów, wiodących ród d'Arquien od św. Ludwika, Hugona Capeta etc. byłyby, zdaniem prof. Forst-Battaglii, uzasadnione. (Prof. Battaglia powołuje się na swoją pracę w *Miesięczniku Hetaldycznym*, 1933, 134) [Battaglia, Otto Forst de (1889-1965), pol. historyk i krytyk literacki pochodzenia austriacko-włoskiego; w marcu 1938 r. opublikował w „Przeglądzie Powszechnym” artykuł *Brązowanie Marysieńki*, będący odpowiedzią na publikację biografii żony Sobieskiego autorstwa Boy'a Żeleńskiego.; Red. WL.]. [przypis autorski]

<sup>10</sup>kolebką rodu była Ruś Czerwona — Kolebką rodu Sobieskich była oczywiście nie Ruś Czerwona, ale Sandomierskie. Na Rusi (w Olesku) urodził się sam Sobieski. [przypis autorski]

<sup>11</sup>alteracja (starop.) — zdenerwowanie, wzburzenie. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>Hieronim Radziejowski (1612-1667) — syn Stanisława Radziejowskiego i Katarzyny Sobieskiej, córki Marka Sobieskiego; podkanclerzy koronny, po konflikcie z królem Janem Kazimierzem, na którego rzucił wobec królowej pomówienie o romans z własną żoną, skazany na infamię i banicję w 1652 r., uciekł z Polski i aktywnie współdziałał z Karolem Gustawem podczas najazdu Szwedów na Polskę; utrzymywał też dwuznaczne kontakty z Bohdanem Chmielnickim i Kozakami; w 1662 r. rehabilitowany, stanął po stronie króla polskiego w czasie rokowania Lubomirskiego, zmarł jako poseł Rzeczypospolitej do Turcji. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>n'insistons pas (fr.) — nie nalegajmy, nie naciskajmy. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>aviti sanguinis ultor (łac.) — mściciel krwi dziada. [przypis edytorski]



Zarazem ojciec, człowiek bywały w świecie, wysoko na swój czas edukowany, dbał o wykształcenie synów. W r. 1640 wysłał ich do Krakowa, do szkoły Nowodworskiej (późniejszego gimnazjum św. Anny), gdzie spędzają lat blisko sześć. Szczegółowa instrukcja ojca wręczona „imć panu Orchowskiemu, dyrektorowi” młodych Sobieskich, stanowi ciekawy dokument troskliwości ojca oraz współczesnych pojęć wychowawczych. Wszystko tam jest wyszczególnione: nabożeństwo, zdrowie, obyczaje, ochędóstwo<sup>15</sup>, miłość braterska, konwersacja, nauka. Główny nacisk położony na języki: łacina oczywiście w samej szkole; prócz tego w domu francuski, włoski, niemiecki, a także turecki jako potrzebny szlachcie mieszkającej na Rusi. Jako przedmioty: literatura, a zwłaszcza retoryka; historia, filozofia moralna, nieco fizyki. „W logiki, w metafizyki aby się nie wdawali, *omnino*<sup>16</sup> nie chcę; bo te nauki są *hominum otiosorum*<sup>17</sup>, albo tych co się do teologii biorą, a ich trzeba *ad capessendam Rempublicam*<sup>18</sup> ćwiczyć”.

Jest przyjęte zachwycać się tą ojcowską instrukcją. Mnie się ona wydaje dość prymitywnym pedagogicznym banałem owego wieku. Z takich recept wiódł się okropny makaroniczny styl i kraszono podniosłymi cytatami gadulstwo oratorów. Coś z polonusa, a coś z Poloniusza<sup>19</sup>. A w rezultacie pojechali młodzi Sobiescy do Paryża, niezdolni rozmówić się po francusku...

Bo w lutym r. 1646, szesnastoletni Jan i starszy od niego o rok Marek puścili się wraz ze swoim dyrektorem Orchowskim i z małym dworem za granicę dla dopełnienia edukacji. Takie podróże — w połowie XVII w. rzadsze już niż poprzednio — były przywilejem zamożniejszych panów. I tu zachował się cenny dokument: własną ręką Jakuba Sobieskiego kreślona *Instrukcja Synom moim do Paryża*; szczegółowe wskazówki, jak się mają zachować w drodze, jak przyglądać się światu, zwiedzać fortyfikacje, na wszystko otwierać oczy, o wszystko pytać, przede wszystkim zaś ćwiczyć się w językach. „To ozdoba każdego szlachcica polskiego i pochwała między przednimi ozdobami i pochwałami: umieć Języki”. Dobry pan Jakub uwieńczenie edukacji widzi w tym, co jest dopiero jej abecadłem.

Oprócz języków zaleca Jakub Sobieski synom ćwiczenia w stylu, w wymowie oraz studia historii starożytnej, Liwiusza, Tacyta, Swetoniusza. Nie zaniedbywać przy tym ćwiczeń fizycznych: gra w piłkę, konna jazda, szermierka (ale nie we Francji, bo tam łatwo przy tej nauce dopytać się zwady i pojedynku), woltyżerka na drewnianym koniu. Co się tyczy tańca, radzi ojciec uczyć się im *galardy* francuskiej i innych przedniejszych tańców (wobec tego, że królową polską została księżniczka francuska, francuskie tańce mogły być na dworze potrzebne), ale przyznaje, że mało dba o tę sztukę: „bodaieście na koniach da Bóg tańcowali, biąc się z Turki y Tatarzy, tego wam życzę”. Muzykę, w szczególności grę na lutni, zostawia synom do woli, ale — pisze — „przyznam się, że bym żałował tego czasu, co byście na tym błazństwie strawili. Będziecie da li Bóg mieli tyle dostatków, że możecie muzykę chować. Lepiej, że oni sami wam będą grać, niż wy sobie”.

Od Polaków mają się trzymać z daleka dla plotkarstwa i złych obyczajów: najwięcej pomiędzy nimi takich, „co Cielętami przyeżdżają do Cudzeyziemie, wyieżdżają zacz Wołmi do Oyczyzny swojey”. Przy tym rozmowa z rodakami przeszkadza do uczenia się języków.

Ale i przed Francuzami radzi ojciec mieć się na baczności, każe postępować sobie z nimi „iako z ogniem”. Bo to naród letki<sup>20</sup>, niestateczny, kłótlivy, skłonny do pojedynków, wielkich kłątów, przysięg i bluźnierstwa. „Nalepiej tedy zdaleka<sup>21</sup> z nimi, ani ich *contemnere*<sup>22</sup>, ani też się z nimi barzo kumać, bo oni się wnet zakochaia w człowieku, a potem go wnet porzucą”. Oto bez mała wszystko, co miał pan Jakub do powiedzenia o Francuzach, wysyłając synów po naukę i oświatę do Paryża.

<sup>15</sup>ochędóstwo (starop.) — porządek; strój. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>omnino (łac.) — całkowie. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>hominum otiosorum (łac.) — dosł. ludzie próżnujących; próżniaków. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>ad capessendam Rempublicam (łac.) — do troski o Rzeczpospolitą. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>Poloniusz — drugoplanowa postać w tragedii Shakespear’a *Hamlet*, ojciec Ofelii i Laertes; wcielenie dworaka. [przypis edytorski]

<sup>20</sup>letki — dziś popr.: lekki. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>zdaleka — dziś popr. z daleka. [przypis edytorski]

<sup>22</sup>contemnere (łac.) — pogardzać. [przypis edytorski]

Ten zwięzły sąd jest bardzo godny uwagi. Zważmy, że wojewoda Sobieski jest człowiekiem w Polsce wyjątkowo świątym, że za młodu spędził parę lat w Paryżu, gdzie był (podobno) uczniem najślawniejszego filologa Casaubon. I oto ta jego charakterystyka Francuzów horyzontem swoim nie różni się zbytnio od tego, co by mógł powiedzieć ze slychu jakiś przeciętny i dość ciemny szlachcic domator, jakiś pan Pasek. Świadczyłoby to, że między ówczesną Polską a Francją musiała być zasadnicza trudność zrozumienia się. Świadomość ta ma dla nas swoją wagę; bardziej może niż wszystko inne objaśni nam ona niepowodzenia „partii francuskiej”, którą postara się stworzyć w Polsce królowa Maria Ludwika.

Ale nasuwa się i inna wątpliwość. Może po prostu pan Jakub Sobieski nie był tym luminarzem, za jakiego uchodził i za jakiego nam go do dziś dnia podają? Zauważyłem, że w naszych wydawnictwach historycznych — zwłaszcza dawniejszych, ale nowsze często czerpią z dawniejszych bez kontroli — panuje obyczaj grandilokwencji<sup>23</sup> panegirycznej, trącej stylem mówek pogrzebowych. Ot, biorę do rąk „peregrinację” po Europie Jakóba<sup>24</sup> Sobieskiego z lat jego młodości, wydaną przez Edwarda hr. Raczyńskiego (Poznań 1833). Czytam we wstępie wydawcy: „Nie było w Paryżu uczonego, nie było wojownika, z którym by Sobieski przynajmniej znajomości nie zabrał, z wielu żył w ścisłej przyjaźni”. Chciałbym w to wierzyć; ale z jego książeczki wcale tego nie znać. Przeciwnie, trudno o coś bardziej jałowego niż te zapiski. Zwiedził młody Jakub Francję, Włochy, Portugalię, Hiszpanię, Anglię, Holandię, Niemcy, Austrię — co go czyniło na ów czas fenomenem! — ale wyniósł z tej „peregrinacji”<sup>25</sup> dziwnie mało. Oto cały jego zapisek z miasta Dordrecht: „Miasto dosyć piękne, wzdłuż idące”. O innych jest nieco więcej, ale nie o wiele ciekawiej. Nawet ten Paryż! Najbardziej interesujący szczegół, jaki tam znajdziemy, dotyczy śmierci Henryka IV i stracenia jego mordercy Ravaillaca. Tego Ravaillaca rozerwano końmi i potem rozsiekano; publiczność zbierała kawałki jego ciała i w chusteczkach brała je do domów:

„Był jeden introligator — notuje pan Jakub Sobieski — tak zażarty przeciw temu Rawaillakowi, a był to gospodarz na pozór stateczny, z brodą wielką, przyniósł też był kilka sztuczek ciała tego Rawaillaka i z wgardy wielkiej i z jadu smażył je w jajecznicy i jadł je; na co oczy moje i JP. Braniczkiego patrzyły; nawet śmiał nas obydwóch prosić na ten swój bankiet, żebyśmy mu go dopomogli jeść; ażeśmy mu w oczy obadwa plunawszy, szliśmy od niego. Ja rozumiem, że się ten chłop od swojego jadu na ten czas wściekł jako pies jaki...”

I jeszcze inne zdarzenie. Jakub Sobieski zachorował: lekarz Szkot puścił mu krew kilkadziesiąt razy i chciał osłabionemu tą kuracją jeszcze krew puszczać, powiadając, że „nie trzeba tych Polaków oszczędzać, bo każdy Polak jak wół, siła ma krwi w sobie...”

Z takich wiadomości i z takich anegdot składa się wyłącznie ów tyle sławiony diariusz podróży. Bierzmy tedy krytycznie legendy o paryskim pobycie Jakuba Sobieskiego; a zaraz ujrzymy, że nie mniej krytycznie trzeba brać paryski pobyt Jana.

Do Paryża jechali młodzi Sobiescy nie śpiesząc się. Obejrzeni po drodze spustoszone wojną trzydziestoletnią Niemcy, gdzie droga miejscami była bardzo niebezpieczna z przyczyny band żołnierskich i rozbójniczych. Jechali na Frankfurt, Berlin, Witemberk, Lipsk, Antwerpię; do Paryża przybyli 9 iunii<sup>26</sup> 1646. Całą tę drogę opisał bardzo szczegółowo towarzyszący im imć pan Sebastian Gawarecki.

O pobycie młodych Sobieskich w Paryżu nafantazjowano bardzo dużo, a głównym źródłem tych fantazyj jest obszerna *Historia Jana Sobieskiego i Polski* napisana po francusku w r. 1827 przez hr. de Salvandy. Najśmielsze dzisiejsze *Vies romancées*<sup>27</sup> są zaiste opoką wiedzy w porównaniu z tym dziełem naukowym, w którym na przestrzeni tysiąca blisko stron nie nigdy autor nie podaje, skąd zaczerpnął jakąś wiadomość. Dowolności te nie były

<sup>23</sup>grandilokwencja — górnolotny, napuszony styl mówienia. [przypis edytorski]

<sup>24</sup>Jakób — tak w daw. pisowni (por. Jacob); dziś: Jakub. [przypis edytorski]

<sup>25</sup>peregrinacji — dziś: peregrynacji; peregrynacja: podróż. [przypis edytorski]

<sup>26</sup>iunii (łac.) — czerwca. [przypis edytorski]

<sup>27</sup>vies romancées (fr.) — powieści biograficzne (fabularyzowane). [przypis edytorski]

Król, Morderstwo, Ciało,  
Jedzenie, Pies

dla cudzoziemców przeszkodą: książka, opawiająca dzieje Sobieskiego w skrócie całej historii Polski, trafiła na moment zainteresowania Polską, zyskała wielką poczytność, miała kilka wydań, a rosła w powagę w miarę jak jej autor został z czasem akademikiem, parokrotnym ministrem oświaty, ambasadorem. Ale, co osobliwsze, i w polskiej nauce historii dzieło Salvandy'ego, ckliwie idealizujące postać naszego bohatera, odegrało nie-małą rolę. Julian Bartoszewicz poddaje je — z okazji częściowego polskiego przekładu (1849) — druzgocącej krytyce; mimo to Plebański jeszcze w r. 1862 pisze: „Rzadko znaleźć książkę tak pełną błędów jak *Historia Sobieskiego* przez Salvandy'ego, a jednak jest ona prawie jedyną wyrocznią dla wielu uczonych”.

I do dziś dnia pokutuje to i owo z tych legend nawet w poważnej wiedzy o Sobieskim, przy czym zatraciła się najczęściej pamięć, że źródłem jakiejś obrosłej już tradycją wiadomości jest — bajeczka Salvandy'ego.

Do takich należy pobyt Sobieskich w Paryżu. Wedle kwiecistej stronicy Salvandy'ego, Jan Sobieski dojrzał w salonie słynnej księżnej de Longueville, gdzie chciwie przysłuchiwał się rozmowom bohaterek Frondy<sup>28</sup> i wpatrywał się w brata księżnej, wielkiego Kondeusza. „Kondeusz<sup>29</sup> umiał odgadnąć genialnego człowieka w tym dwudziestoletnim cudzoziemcu, który wpiął w niego żarliwe spojrzenie, pośród znamienitej ciżby, przykutej do stóp jego siostry urokiem stanowiska, dowcipu i wdzięku”. Zażyłość między Sobieskim a Kondeuszem miała jakoby przetrwać całe życie i utrwalić się w korespondencji. Salvandy wie nawet, o czym rozmawiali: Sobieski, obywatel wolnego kraju, zadziwiał Kondeusza horyzontami politycznymi; udzielał Francji rad, widział lekarstwo na jej niedole w zwołaniu stanów generalnych, co — gdyby go posłuchano — oszczędziłoby może Francji despotyzmu Ludwika XIV i przyszłej rewolucji! W zamian książkę opowiadał młodemu Polakowi o marszach i bitwach, a każde jego słowo odciskało się w umyśle pojętnego ucznia, aby niebawem wydać owoce. W salonie pani de Longueville, kogóż nie spotkał, kogóż nie poznał młody Jasio! Turenne<sup>30</sup>, Colbert<sup>31</sup>, Bossuet<sup>32</sup>, Vauban<sup>33</sup>, pani de Sévigné<sup>34</sup> — już sławna, powiada Salvandy — wszyscy tam jakby sobie dali dla niego rendez-vous<sup>35</sup>.

Już dawno temu (1898) Waliszewski zwracał uwagę, że to wszystko jest z palca wyssane, choćby dlatego, że księżnej de Longueville<sup>36</sup> nie było wówczas w Paryżu; była z mężem w Monasterze w Westfalii (gdzie smażył się słynny pokój westfalski) na ważnej ambasadzie. Poza tym, relacja ta roi się od anachronizmów, które nie przynoszą zaszczytu przyszłemu akademikowi. Tak, Fronda rozpoczęła się aż po wyjeździe Sobieskiego; pani de Sévigné miała w r. 1646 dwadzieścia lat, była młodzianką mężatką, jeżeli z czego sławna, to chyba ze swoich niedoli małżeńskich; Kondeusz, zwycięzca spod Rocroy, miał lat dwadzieścia pięć i rychło potem miał zostać zdrajcą kraju i banitą; sam Sobieski miał lat nie dwadzieścia, ale ledwo siedemnaście, i bardzo wątpliwe jest, czy z gimnazjum św. Anny wyniósł projekt stanów generalnych dla Francji. Korespondencji jego z Kondeuszem śla-

<sup>28</sup>*Fronda* — ruch rewolucyjny, antyabsolutystyczny we Francji w latach 1648–1653; głównie mieszczańsko-chłopski, mający jednak powiązania z arystokracją. [przypis edytorski]

<sup>29</sup>*Kondeusz* — Ludwik II książę de Condé (1621–1686) z dynastycznej rodziny Bourbonów; marszałek Francji, wybitny dowódca w czasie wojny trzydziestoletniej; sławę przyniosło mu zwycięstwo pod Rocroi. [przypis edytorski]

<sup>30</sup>*Turenne* (1611–1675) — właśc. Henri de la Tour d'Auvergne, wicehrabia de Turenne; dowódca wojsk fr. w wojnie trzydziestoletniej. [przypis edytorski]

<sup>31</sup>*Colbert, Jean-Baptiste* (1619–1683) — minister finansów na dworze Ludwika XIV. [przypis edytorski]

<sup>32</sup>*Bossuet, Jacques-Bénigne* (1627–1704) — biskup katolicki, nadworny kaznodzieja Ludwika XIV, wychowawca jego syna; teolog, wyraziciel myśli tradycjonalistycznej, wykorzystanej następnie przez konserwatyzm; uzasadniał sakrę władzy królewskiej (absolutyzmu) poprzez wykład porządku naturalnego świata i pochodzenie władzy świeckiej bezpośrednio od Boga oraz przedstawił Kościół jako instrument Opatrzności Bożej pozwalający harmonijnie spoić historię świętą z polityką; jednocześnie stworzył podstawy teorii spiskowej dziejów, występując przeciw jezuitom; prowadził korespondencję filoz. z Leibnizem; dążył do nawrócenia protestantów z powrotem na katolicyzm (nawrócił marszałka Turenne'a). [przypis edytorski]

<sup>33</sup>*Vauban, Sébastien de* (1633–1707) — markiz; marszałek Francji, ekonomista; wybitny inżynier wojskowy i architekt, twórca nowego sposobu budowania fortyfikacji i twierdz oraz technik oblężniczych. [przypis edytorski]

<sup>34</sup>*pani de Sévigné* — Marie de Rabutin-Chantal (1626–1696), markiza de Sévigné, przeszła do historii literatury fr. jako autorka listów do córki stanowiących zarazem barwne odzwierciedlenie epoki, w której żyła. [przypis edytorski]

<sup>35</sup>*rendez-vous* (fr.) — spotkanie. [przypis edytorski]

<sup>36</sup>*księżnej de Longueville* — Anne Geneviève de Bourbon (1619–1679); siostra Kondeusza. [przypis edytorski]

dów nie ma, zapewne dlatego, że nigdy Sobieski Kondeusza nie widział na oczy. Mimo to, relacje o sukcesach młodego Sobieskiego w salonach pani de Longueville, o stosunkach jego z Kondeuszem, powtarzają się po dziś dzień we wszystkich najnowszych nawet monografiach jako niepodlegający wątpliwości fakt, bez żadnego udokumentowania. Korzon powołał się na Salvandy'ego, inni przepisują z Korzona. Ostatnią redakcją tego fantazyjnego Salvando-Sobieskiego w Paryżu znajdujemy w angielskiej monografii Mortona<sup>37</sup> (przekład francuski 1933).

Rzeczywistość paryska — co nie ubliża w niczym naszemu bohaterowi — wydaje się znacznie skromniejsza. Młodzi Sobiescy wybrali się małym dworem, pod opieką imć pana Orchowskiego, na studia. Ojciec zaleca im oszczędność, czego by na pewno twórca „złoty rot” nie czynił, gdyby synowie mieli paradować w świecie. W instrukcji swojej dla synów wojewoda Sobieski powiada, że nie prosi dla nich o listy polecające od króla i królowej z przyczyny słabej ich jeszcze znajomości francuskiego („niepodobną im była konwersacja francuska”); dosyć będzie czasu z tymi listami, kiedy nadejdzie wiadomość, że synowie już zdolni są „konwersować iakokolwiek z Dworem”. Niestety, w kilka dni właśnie po przybyciu synów do Paryża pan Jakub umiera (dn. 13 czerwca w 1646), o czym młodzi Sobiescy otrzymali wiadomość dn. 9 lipca. Więcej niż wątpliwe jest, czy wobec ciężkiej żaloby byłiby z nich mogli korzystać. Jeśli byli świadkami łowów królewskich w Saint-Germain, to jedynie jako zwykła publiczność.

Odbija się to wszystko dość wyraźnie w zapiskach podróży imć Gawareckiego. Obfity w informacje z podróży po Niemczech diariusz ten staje się dziwnie ubogi w czasie pobytu w Paryżu; na kilkunastu stronicach, oprócz banalnego opisu budowli i paru wiadomości w rodzaju: „Temi czasy po Academiach różne Comedie odprawiają się”, nie ma dosłownie nic do zanotowania. Trudno by to pogodzić ze światowym jakoby trybem młodych paniąt. Natomiast skoro tylko pożegnali Paryż i puścili się w objazd po Francji, imć Gawarecki jest znowuż w swoim żywiole, każdy dzień podróży dostarcza drobnych przygód i spostrzeżeń.

Jeżeli rozwinąłem obszerniej ten punkt, to dlatego, że wydaje mi się celowsze<sup>38</sup> poruszać fakty niejasne i sporne, niż powtarzać rzeczy wielokrotnie powiedziane. Z natury tego studium wynika zresztą, że obchodzi nas w nim przede wszystkim człowiek; sprawa zaś pobytu w Paryżu wydaje się nieobojętną dla psychiki późniejszego Celadona. Przyjęte jest — znów dużo przyczynił się tu Salvandy! — wiele budować na tym paryskim roku, z którego Sobieski jakoby wyniósł głęboką kulturę ducha i wysokie wykształcenie; wszystko to jest po trosze dorobione wstecz, jak ów rodowód od Lecha I. Nie wydaje mi się, aby młody absolwent gimnazjum św. Anny miał dostateczne przygotowanie po temu. Czy instrukcje ojcowskie były po śmierci ojca przestrzegane — nie wiadomo; podobno młody Jan Sobieski zaciągnął się na jakiś czas do muszkieterów; opuścił wreszcie Paryż, gdzie bawił niespełna rok, mając ledwie osiemnaście lat. Edukacja jego przyjdzie później i będzie zupełnie inna.

I sukcesy w Paryżu zapewne miał, ale też inne. O ile z owego pobytu Sobieskiego w Paryżu nie ma śladów pisanych, odnajdzie się po wielu latach — problematyczny wprawdzie — ślad żywy. Będzie nim ów zagadkowy po dziś dzień awanturnik Brisacier — niedoszły „książę Brisacierski”! — którego intryga zaprzętnie na dłuższy czas parę dworów Europy i przyczyni się do rozdźwięków między Ludwikiem XIV a jego świeżo ukoronowanym sprzymierzeńcem. Ale o tym później.

Dn. 1 maja 1647 r. ruszyli młodzi Sobiescy z Paryża „na peregrinację dla przeirzenia się w miastach y dla przewidzenia prowincyi francuskich”. Zwiedzili Francję dokładnie: Orlean, Blois, Tours, Saumur, Rochelle, Poitiers, Bordeaux, Grenoble, Lyon, Rouen, Amiens, Calais — oto główne etapy. Z Calais do Anglii. „W mieście Canteberi — pisze wierny Sebastian Gawarecki — gospoda piękna y dostatnia, ale ladaiko traktowaniśmy byli, a zapłacić drogo musieli. Wino hiszpańskie dobre. Tu zażywaią do stołu małych talirzyków drewnianych, który kto stłucze, to za niego ieden penik, to iest grosz angielski, powinien dać”.

<sup>37</sup>angielska monografia Mortona — J. B. Morton, *Sobieski King of Poland*, London 1932. [przypis edytorski]

<sup>38</sup>celowsze — dziś popr.: bardziej celowe. [przypis edytorski]

Mimo woli przy tej naiwnej relacji przypomina mi się czterdzieści lat wprzód odbyta „peregrinacja” ojcowska; niewiele różni się od siebie poziomem; takie to i były te szlacheckie wojaże... Potem Londyn, Oxford, potem Holandia, gdzie podróżni zwracają uwagę na sztukę fortyfikacyjną; wreszcie dn. 24 lipca 1648 r. wyjeżdżają Sobiescy z Brukseli do Polski. Półtrzecia<sup>39</sup> roku blisko trwała ta podróż, mniej zapewne bogata w książkową naukę niż w poznawanie obcych zwyczajów i obyczajów.

Kiedy młodzi panicze stanęli z powrotem na ziemi polskiej, zastali w kraju głębokie i tragiczne zmiany. Król umarł, bezkrólewie ujrzało Polskę w ogniu wojny kozackiej. Chmielnicki pobił wojska hetmańskie nad Żółtymi Wodami; pod Korsuniem obaj hetmani, Potocki i Kalinowski, dostali się z mnóstwem rycerstwa do niewoli. Wreszcie, wyruszywszy w ogromnej sile, w kilkadziesiąt tysięcy ludzi — pięciokroć tyle służby! — z przepychem ryszunków, taborów i rzędów, dumnie i bitnie, szlachta uciekła bez bitwy spod Piławiec w ataku niepojętej paniki. Tuż po tej potrzebie piławieckiej — „plugawieckiej”, jak ją zaraz ochrzczono — stanęli Marek i Jan Sobiescy, wprost z drogi, przed matką w Zamościu. „Wyrzekłabym się was, gdybyście mieli być tacy jak ci spod Piławiec” — rzekła im podobno rycerska niewiasta. I miała dodać: „Z nią albo na niej<sup>40</sup>”, wskazując na tarczę rodową gestem Spartanki. I od tej chwili zaczyna się dla młodych Sobieskich służba, która dla Marka skończyła się rychło chlubną śmiercią, a dla Jana miała trwać aż do zgonu.

Tak by powiedział polski Plutarch. W rzeczywistości, było to — jak zwykle — mniej prostolinijne. Bo w kilka lat potem matka-patriotka opuści kraj, aby osiąść za granicą, a pozostały przy życiu syn znajdzie się w obozie Szwedów. Dziedzictwo Żółkiewskich zagubiło się na jakiś czas; odnajdzie się z czasem.

Kiedy zważymy rolę matki Sobieskiego, czujemy — poza panegirycznym frazesem dziejopisów — jakąś tajemnicę. Matka ta, mimo że żyła do końca r. 1661, znika jak gdyby całkowicie z życia syna. Wiemy, że kilka lat bawiła poza krajem, ale wróciła z obczyzny w r. 1658. Poprawny udział w pogrzebie, oto wszystko co wiemy o stosunku Jana do niej. Podobno powodem opuszczenia kraju przez Teofilę Sobieską był wstrząs, jakim stał się dla niej zgon Marka, wslawionego już w obronie Zbaraża: zginął okrutną śmiercią pod Batohem (1652). A zginął w szczególnie bolesnych dla tej matki okolicznościach. Bo nawet nie wiadomo na pewno, co się z nim stało; wedle najczęstszej wersji, ścięto go jako jeńca przed namiotem Kantemira, ale i to nie jest pewne. Jana, który poprzednio walczył przy królu pod Zborowem, nie było wówczas w szeregach; podobno leżał ranny w pojedynku: może raczej w jakiejś zwadzie, bo pojedynki były wówczas w Polsce rzadkością. Podobno matka, która osobliwie kochała Marka, nie mogła darować Janowi tej nieobecności. W Marku widziała ona — i inni — przyszłość rodu: wichrowatego Jana, skłonnego do burdy i miłostek, mniej ceniła. Pograżona w bolesti, czyni wielkie fundacje dla pamięci starszego syna i przenosi się do Włoch. Wszystko to wiadome jest dość mgliście; może znów historycy woleli nie tykać drażliwych spraw. Szajnocha wspomina o niechęci matki do syna; dworzanin króla Jana, Daleyrac, powiada wprost w swoich zapiskach, że pani Sobieską w tym samym stopniu kochała starszego syna, w jakim nienawidziła młodszego.

Ten punkt jest dla nas nader interesujący, całkowite bowiem osamotnienie, w jakim znalazł się młody Jan Sobieski, przygotowuje niewątpliwie ową bezpodzielną nad nim władzę ukochanej kobiety. I nie tylko osamotnienie: jest tu jakby jakiś dość zagadkowy uraz na punkcie rodziny. Miał siostrę; zapewne. Ale w liście swoim do żony w r. 1668 pisze Sobieski, że „wszyscy wiedzą z dawna o tej mojej intencji, że gdyby mi się było żenić nie przyszło, tedy bym tak moje dysponował dobra, jakoby się żaden z nich nie cieszył krewny”... Mimo że Sobieskiego, igrając z jego nazwiskiem, nazywano dość często „Sobkiem”, deklaracja taka jest w owych pełnych kultu rodowego czasach czymś dość osobliwym i nie mamy dla niej wytłumaczenia. Może by się ono znalazło w tymże liście, bo tuż po owym zdaniu widzimy znak wydawcy, że coś tam opuszczono; i w ogóle może

<sup>39</sup>półtrzecia (starop.) — dwa i pół. [przypis edytorski]

<sup>40</sup>z nią albo na niej — „Wrócić z tarczą albo na tarczy”: sentencja pożegnania wojownika wyruszającego na wojnę w Sparcie oznaczająca życzenie powrotu zwycięzcą albo poległym, ponieważ uciekając żołnierze porzucali tarcze, aby lżej im było biec, natomiast poległych znoszono z pola bitwy używając tarczy jako noszy. [przypis edytorski]



by się w tych listach Sobieskiego znalazło klucz do niejednej poufnej tajemnicy — gdyby były inaczej wydane.

Ach, te nasze cenzurki! Dam przykład, jak u nas traktowano wydawanie źródeł. Istnieje bardzo ciekawa korespondencja pana des Noyers, sekretarza Marii Ludwiki, wydana w oryginale w Berlinie w r. 1859. Przedtem, w r. 1844, ogłosił część tych listów w polskim przekładzie zasłużony Edward Raczyński w zbiorze pt. *Portofolio królowej Marii Ludwiki*. Charakteryzując w którymś liście króla Jana Kazimierza, des Noyers powiada, że „w pokoju króla rozmawia się tylko o wszeteczeństwach” (*on ne parle que de luxure*); polski wydawca zmienia to na: „W jego pokoju nie rozmawiają o niczym jak o Piśmie Świętym<sup>41</sup>...

Wróćmy do naszego bohatera. Po śmierci Marka Jan zostaje przyszłym dziedzicem trzech rodów: Żółkiewskich, Daniłowiczów i Sobieskich, spadkobiercą olbrzymich włości. Jest starostą jaworowskim. Ale, urodzony żołnierz, służy dalej wojskowo. W r. 1653 staje przy królu na czele własnej chorągwi pancernej pod Żwańcem; idzie dobrowolnie jako zakładnik między Tatarów; postępuje przy Bieganowskim do Turcji, jak gdyby chciał zawczasu dobrze poznać przyszłego wroga. Biję się z Rosją i z Kozakami pod Ochmatowem. Aż w r. 1655 zjawia się na dworze królewskim w Warszawie, gdy stolica bawi się i szumi, nie przeczuwając bliskiego potopu, który omal nie zatopił całego kraju.

Dwudziestosześcioletni Sobieski był wówczas ideałem młodego polskiego szlachcica. Rosły, przystojny, krzepki, zapalny jak proch (*la poudre* — to jeden z jego pseudonimów w późniejszej korespondencji z Marysieńką), wsławiony męstwem, obyty przy tym w świecie i dworny kawaler, wielce czuły na wdzięk niewieści, musiał ciągnąć ku sobie niejedne piękne oczy. I tam, na dworze, w r. 1655, poznaje kobietę, do której miłość zdecydowała o kolejach jego życia. Bohater spotkał swój los, Celadon — swoją Astreę.

Ale to też nie będzie takie proste.

### III. SZKOŁA KRÓLOWYCH

W tym samym czasie, gdy młodzi Sobiescy człapali konno przez Niemcy udając się po naukę do Paryża, wiosną r. 1646 wjeżdżała w granice Polski świeża jej królowa, zaślubiona już przez prokurację<sup>42</sup> Władysławowi IV, Maria Gonzaga, księżniczka de Nevers i de Cleves, księżniczka Mantui itd. itd. Młoda pani pochodzi z rodu, w którego żyłach płynie krew wszystkich krajów: Francji, Włoch, Niemiec, Hiszpanii, Grecji; rasa awanturnicza, gwałtowna, zarazem inteligentna i skłonna do intrygi. Ród do połowy XVI w. włoski, później — przez małżeństwo — przeschcepiony do Francji.

Maria Ludwika, urodzona w r. 1611, zatem wówczas trzydziestopięcioletnia, miała przeszłość dość tajemniczą. Mówię o przeszłości serca. Już to samo, że piękna, bogata i można księżniczka pozostała do tak późnego — jak na owe czasy — wieku niezamężna, było dość niebanalne. Wciąż mijala się ze swoim losem. Mając lat osiemnaście, rozkochała brata królewskiego Gastona, który byłby ją może wykradł, gdyby Richelieu nie uprzędził jego zamiarów, osadzając z kurtuazją Marię w zamku Vincennes, służącym także za więzienie stanu: delikatna wskazówka, że małżeństwo to nie byłoby po myśli dworu. Później omal nie została królową polską: kiedy w r. 1635 sprezentowano Władysławowi IV portrety trzech księżniczek francuskich, kandydatek do jego ręki i tronu, wybrał „na oko” Marię; ale senat zawyrokował inaczej, zwyciężyła Austriaczka. Czy byłby uzyskał rękę Marii młody Cinq-Mars, ulubieniec króla, który rozkochał się w starszej od niego o dziesięć lat księżniczce, nie wiemy; ale, nim przyszło do decyzji, nieszczęsny młodzian dał jako zbrodź stan w r. 1642 głowę na szafocie, licząc lat dwadzieścia dwa. Otrze się o życie Marii przysły wielki Kondeusz — wówczas młody książę d’Enghien; zapłacze się w nie — jeżeli wierzyć niedyskrecjom jej siostry — jakiś Włoch niskiego rodu, dla którego Maria Gonzaga gotowa była poświęcić swoje stanowisko. Co było i jak było,

<sup>41</sup>o wszeteczeństwach (...) o Piśmie Świętym — Dokąd posuwała się fałszywa i śmieszna pruderia, świadczyć może fakt, że, spostrzegłszy w pierwszych arkuszach *Listów* Jana III z wyprawy wiedeńskiej zwyczajny zwrot króla: „Dzieci caluię y oblapiam”, ten sam wydawca wszędzie zasmarował to ostatnie słowo czarnym tuszem (wydanie z r. 1823). W następnym roku (1824) wyszło nowe wydanie tych samych listów; może poprzednie wycofano z powodu tej skazy; w nowym opuszczono już wszędzie inkryminowane słowo. [przypis autorski]

<sup>42</sup>przez prokurację (z wł. *per procura*) — przez pełnomocnika. [przypis edytorski]

nie zdradzą nam tego rozumne, poważne oczy Marii, która, na wpół już zrezygnowawszy z życia, trawiła je albo na samotnych dumaniach, na dewocji, albo na inteligentnych rozmowach w salonach, gdzie tworzyła się wówczas literacka kultura Francji. Ponowną możliwość korony polskiej przyjęła niby radosną niespodziankę. Miarę jak niecierpliwie, z jakim napięciem czekała księżniczka wiadomości z Warszawy, daje tryumfalny list ambasadora francuskiego, pana de Brégy:

„Dzięki Najwyższemu!... — pisze dn. 13 lipca 1645 r. — Wasza Księżęca Mość jesteś mianowana polską królową!... Jakżem szczęśliwy, że tę pocieszającą nowinę ja pierwszy Najjaśniejszej Pani przynoszę!”...

Tym razem nie było obawy, aby dwór francuski stawiał przeszkody: następca Richelieugo, Mazarin, chętnie pozbywał się z Francji tej „niespokojnej głowy”.

Znane są relacje o przybyciu posłów polskich i o zbytku, jakim olśnili Paryż. Z końcem r. 1645 wyruszyła Maria do Polski z licznym dworem, w orszaku młodych i ładnych panienek. Samo to świadczyłoby o geniuszu politycznym początkującej królowej, bo ten seraj miał być najskuteczniejszym orężem w walce przeciw wpływowi austriackim. Młode Francuzki rozkochały w sobie wielu panów polskich, a Jan Sobieski może być przykładem, jak królowa umiała używać tych narzędzi. Te panny, to był najsolidniejszy kapitał sławnej „partii francuskiej”, a zięciowie dworu — z prawej i z lewej ręki — okazali się jedynymi, na których można było budować.

Wśród tego młodego dworu znajdowała się dziewczynka, której osoba była spowita lekkim cieniem tajemnicy. Po co królowa wiozła z sobą to dziecko do Polski, nie było zupełnie zrozumiałe. Była to Maria Kazimiera, córka margrabiego de la Grange d'Arquien i Franciszki de la Châtre. Ojciec był skromnym kapitanem w gwardii *Monsieur* (brata królewskiego), rodzina była liczna, majątek skąpy. Matka panny d'Arquien była niegdyś guwernantką Marii Ludwiki, która wzięła z sobą dziewczynkę, aby ulżyć rodzicom. Może się dla niej coś znajdzie z czasem w Polsce.

Wszystko w tych początkach Marii Kazimiery jest trochę niejasne, począwszy od wieku. Dawniejsi kronikarze i historycy określali datę jej urodzenia rozmaicie: 1634, albo 1635, albo „około 1635” — inni wreszcie 1638. Aż, znaleziony pod koniec ubiegłego stulecia własnoręczny diariusz królewicza Jakuba Sobieskiego, kreślony już po śmierci matki, niespodzianie odmłodził Marysienkę<sup>43</sup>, podając wyraźnie w dwóch miejscach datę jej urodzenia: 28 czerwca 1641 r. Ogłaszając ów zapisek, Mycielski (*Cztery portrety królowej Marysienki*) konkluduje: „Kwestia więc jest już nareszcie przecięta: wszystkie możliwe dotychczasowe porównawcze kombinacje i hipotezy upadają przed wiarygodnością tej własnoręcznej syna królowej zapiski”... Jakoż, od tego czasu, przyjęto rok 1641.

Nie mam nic przeciwko temu, aby ładną kobietę odmładzano; mimo to nie wydaje się, aby ten diariusz królewicza rozstrzygał rzecz tak stanowczo. Syn zapisał zapewne tylko to, co mógł wiedzieć od matki; czyli datę, którą raczyła ustalić sama Maria Kazimiera. Ale oto zaraz natykamy się na sprzeczności. Wedle tej daty, miałaby Marysienka cztery lata w chwili przybycia do Polski; natomiast nadworny lekarz króla Jana, O'Connor, podaje w swoim pamiętniku, że przybywając do Polski, przyszła królowa miała lat „niespełna dwanaście”. Komu wierzyć w epoce, gdy z datami obchodzono się dość swobodnie?

Z punktu widzenia „romansu psychologicznego” który tu na marginesie historii kreślimy, nie jest obojętne, czy, poznając Jana Sobieskiego, Marysienka miała lat 14, czy 20 lub 21; czy, puszczając się w swoją zuchwałą podróż do Paryża, będzie młodziutką 21-letnią mężatką, czy też 28-letnią kobietą; niestety, wątpliwe jest, aby się kiedy udało rozstrzygnąć te sprzeczności.

<sup>43</sup>diariusz królewicza Jakuba Sobieskiego (...) odmłodził Marysienkę — Data urodzenia Marii Kazimiery, przyjęta na zasadzie *Diariusza* syna jej, królewicza Jakuba (rok 1641), jest, zdaniem prof. Battaglii, ścisła, inne zaś dawniej przyjmowane daty trzeba uznać za błędne. Ścisłość daty 1641 r. można stwierdzić na zasadzie kronik domu rodu La Grange. Sprzeczność między relacjami dotyczącymi wieku Marii Kazimiery w chwili przybycia do Polski a zapiskiem nadwornego lekarza O'Connora, określającym jej ówczesny wiek na lat 12, tłumaczy prof. Battaglia tym, że po pierwszym przybyciu do Polski Maria Kazimiera wróciła do Francji do rodziny, spędziła dzieciństwo w zamku Prie de Nivernais, po czym w r. 1652 przybyła ponownie do Polski. O tym drugim przybyciu mówi O'Connor, podczas gdy inni kronikarze o pierwszym (zdaniem prof. Battaglii niezupełnie pewnym); [Battaglia, Otto Forst de (1889-1965), pol. historyk i krytyk literacki pochodzenia austriacko-włoskiego; w marcu 1938 r. opublikował w „Przeglądzie Powszechnym” artykuł *Brązowanie Marysienki*, będący odpowiedzią na publikację biografii żony Sobieskiego autorstwa Boy'a Żeleńskiego; Red. WL.]. [przypis autorski]

Jeżeli co by mogło poprzeć tezę „Marysieńki odmłodzonej”, to — metryki hipotetycznych jej ojców. Bo plotka — może niedorzeczna, ale dość uparta — czyniła ją — córką Marii Ludwiki, jedni szeptali, że to jest owoc miłości z Cinq-Marsem, inni przypisywali ojcostwo Kondeuszowi. Podsycił plotki epizod, który się zdarzył w podróży królowej i który opóźnił o kilkanaście dni przybycie jej do Warszawy. Mianowicie król Władysław, dotąd niecierpliwie oczekujący nowej małżonki, dał jej nagle do poznania, aby się nie śpieszyła do stolicy, ale aby zaczekała w Gdańsku na dalsze zlecenia. Przyczyną miały być rewelacje, jakie ktoś przywiózł królowi co do przeszłości Marii Ludwiki — właśnie w związku z tym dzieckiem.

Nikt z historyków — a zajmowano się tym dość wyczerpująco — nie bierze dziś serio tej wersji. Król Władysław posiadał zbyt dobry wywiad, aby prosząc o rękę Marii Gonzagi nie miał być dobrze poinformowany o jej życiu i charakterze. Zarazem, skoro raz otrzymał ją z rąk królowej Francji, która wydała Marię za mąż „jak własną córkę”, nie do pomyślenia jest, aby mógł wszczynać tak niewczesne kwestie. Zdaje się, że o ile były tarcia (które w istocie opóźniły przyjęcie królowej w Warszawie), były one — jak na królów przystało — wyłącznie natury finansowej. Chodziło o resztę posagu i o jakiś cenny krzyż diamentowy, który w skład tego posagu miał wchodzić. A posag Marii Gonzagi miał doniosłe przeznaczenie militarno-polityczne.

Jeżeli król Władysław, zastarzały kobieciarz, przy boku półoficjalnej kochanki, panny d'Eckenberg, bez zbytnej niecierpliwości oczekiwał jadącej ku niemu żony, to samo można powiedzieć o tej, która z licznym orszakiem zbliża się do Polski. To, co Maria Ludwika słyszała o królu, nie było zbyt pociągające; pięćdziesięcioletni podagryk, wstępujący z łóżka aż po obiedzie, ociążały, otyły... Ciągnęła ją władza, wielka gra polityczna, do której miała pasję, a której nie mogła się dorwać we Francji. I w istocie Maria Ludwika miała być najczynniejszą z kobiet, jakie kiedykolwiek zasiadały na tronie polskim.

Jechała bez pośpiechu, ale z ochotą i z ufnością w swoją gwiazdę. Jest zima, mróz, droga dobra, królowa dzielnie znosi trudy, nie przerażając się nawet epizodów wojennych, na które natyka się w drodze przez Niemcy. Od granic Polski zaczynają się znowuż nieustające fety, przyjęcia, uczyty, kawalkady, łacińskie oracje i repliki. Panowie polscy przesadzają się w zbytku. „Wszystko, co Grecy pisali o bogactwach i zbytku dawnych Persów, nie wyrównywa temu, cośmy widzieli” — notuje towarzyszący królowej Francuz Laboureur. Przy stole uginającym się od potraw Francuzki udają, że jedzą, nieprzywykłe do szafranu i korzeni, stanowiących podstawę polskiej kuchni. Największe fety czekają w bogatym Gdańsku, gdzie dla uczczenia królowej tańczy przed nią pięćdziesięciu Murzynów z bębnami i piszczalkami; słowem — jazz! I o ludzie nie zapomniano: na szczycie namydlonego słupa zawieszono kompletne ubranie — zdobycz dla najrzęczniejszego. „Mówiono, że królowa w kieszenie włożyć kazała 100 talarów, lecz to się prawdziwym nie okazało” — notuje współczesny a sumienny świadek.

Po przymusowym postoju w Gdańsku nowa dyplomatyczna kwarantanna w Falentach — wreszcie w marcu r. 1646 przybywa oblubienica do Warszawy. Spotkanie odbyło się w katedrze św. Jana. Król przyjął żonę obojętnie, krytycznie. Wszechwiedząca plotka twierdzi, że był rozczarowany: „Toż to jest owa piękność, którąście mi tak zachwalali?” — miał się — wedle relacji pani de Motteville — odezwać do ambasadora. Zdaje się, że po prostu miał atak podagry.

Przybycie Marii Ludwiki i jej fraucymeru<sup>44</sup> jest pierwszą inwazją wpływów francuskich do Polski, trudno bowiem liczyć krótkotrwały pobyt Henryka Walezego i jego minionów<sup>45</sup>. Ów mógł zostawić jedynie uprzedzenia i niechęci, które nie ułatwiły roli tej pierwszej naszej królowej z ramienia Francji. Obecność jej zaznaczyła się podwójną rewolucją: w dziedzinie finansów i w dziedzinie mody. Przez sporo lat złoto francuskie miało płynąć dość szeroką strugą do Polski; i trzeba przyznać, że, czy to przez brak zręczności dyplomatycznej, czy przez złą koniunkturę, ekspens<sup>46</sup> ten był dla Francji bodajże stracony, bo nic z wielkich zamysłów politycznych na Polskę nie udało się Francji przeprowadzić. Zresztą złoto owo płynęło prawie wyłącznie do kieszeni magnatów, których

<sup>44</sup>fraucymer (z niem.) — poczet kobiet, dwór żeński towarzyszący królowej. [przypis edytorski]

<sup>45</sup>minion (z fr. *mignon*) — faworyt królewski, kochanek. [przypis edytorski]

<sup>46</sup>ekspens — wydatek. [przypis edytorski]

opłacanie miało wejść w stały zwyczaj, jednych za to, że pomagali, drugich, aby przestali szkodzić, innych za neutralność. Zaczęło się to jeszcze przed przybyciem królowej do Polski. „Panu Kazanowskiemu — donosi poseł de Brégy Marii Ludwice — który się tu bardzo źle WKMości przysłużył, wyliczyłem gotówką z polecenia kardynała 4000 talarów, żeby milczał; lecz wstrzymując się z ofiarowaniem mu stałej pensji, bo wiem, co to za ptaszek!” Nie wiem, czy ptaszek Kazanowski — osobisty przyjaciel króla, jeden z najbogatszych ludzi w kraju — dostał stałą pensję; ale inne ptaszki dostały; najświetniejsze nazwiska rodowe i historyczne znalazłyby się w tej ptaszarni. Ale to dopiero później.

Nie była zresztą Polska w tej mierze wyjątkiem; pół Europy, z koronowanymi głowami na czele, miało być na pensji francuskiej. Część tego złota wracała co prawda do Francji w zamian za przedmioty zbytku i elegancji, w zamian za kiecki i suknie, coraz droższe, mimo że materii wychodziło na nie coraz mniej.

Bo przewrotem w dziedzinie mody było zwłaszcza obnażenie gorsu i szyi u kobiet. Było to nowatorstwo w Polsce niesłychane, które na „modnochodne panie” sprowadziło grad pocisków satyrycznych i moralizatorskich. Nawet mniej surowy skądinąd autor *Ogrodu fraszek*<sup>47</sup> gorszy się

„gdy na ponętę żądy, wdowy i mężatki  
ukazują i nagie łopatki”...

A inny rymotwórca wzywa gromu niebios na kobiety, które obnażają piersi, woła siarki i smoły na elegantki, co „na wdzięcznej twarzy sprośne muchy lepią”, i widzi w tym palec boży, że w Haczowie pod Krosnem, podczas procesji Bożego Ciała, piorun uderzył w modny kornet<sup>48</sup> szlachcianki.

Piorun piorunem, ale to pewna, że uprzedzenia masy szlacheckiej do wszystkiego co francuskie i z Francji odegrały niemal rolę w późniejszych rozgrywkach politycznych i kto wie, czy owe nagie piersi i plecy nie były tu największym kamieniem obrazy. Bo, o ile wpływy francuskie zwyciężyły w magnaterii, o ile działały na wyobraźnię szlachcianek w ich skromnych dworach, o tyle nigdy nie zdołały pokonać oporu braci szlachty.

Pożycie Władysława i Marii Ludwiki było chłodne, i fizycznie, i duchowo. Król, postarzały, nawykły do łatwych miłostek, bez entuzjazmu dopełnia małżeńskiej powinności, budząc zgoła przez dłuższy czas poważny niepokój, czy jej dopełnić raczy. Jak żywy udział brał senat Rzeczypospolitej w tych obawach, niech wskaże to pismo wojewody poznańskiego, Krzysztofa Opalińskiego, do ambasadora francuskiego, pana de Brégy:

Wierność, z którą pragnę służyć mojej królowej, zniewala mnie do udzielenia jej podwójnego ostrzeżenia, które zechcesz W. M. Pan jej zakomunikować, nie wyrażając, iż pochodzi ode mnie. A najpierw, żeby nie była tak nieśmiała względem króla i wchodziła rezolutnie do jego pokoju, jak to królowa nieboszczka zwykła była czynić, bez żadnego natręctwa z jej strony; Król Jegomość bowiem bierze przeciwne zachowanie się za dowód niedostatecznego dlań afektu Jej Kr. Mości. Prócz tego, należy jej być cokolwiek śmiałą w pieszczaniu go i udzielaniu mu miłosnych satysfakcyj, *come si dice italiano: gli scherzi amorosi*<sup>49</sup>, ponieważ król nasz miłościwy jest cokolwiek lubieżnym w tej materii miłosnej, co Waszmość Pan zrozumiesz dobrze, aczkolwiek nie umiem użyć należytych do wytłumaczenia się terminów, lepiej się znając na praktyce w tych rzeczach niż na rozprawianiu o nich.

Więcej przedsiębiorczości okazuje król wobec fraucymeru żony. Ale dla sprytnych Francuzczek zaloty jego nie są groźne; linia ich osobistej polityki wytyczona jest wyraźnie; wszystkie te niebogatę przeważnie panny powychodzą w Polsce świetnie za mąż. „Nie rozumiem” — odpowiada stale panna de Mailly na jego umizgi królowi. „Za to dobrze

<sup>47</sup> autor *Ogrodu fraszek* — Wacław Potocki. [przypis edytorski]

<sup>48</sup> *kornet* (z fr. *cornette*: rożek) — wysoki czepiec z dwoma rogami, pod którymi chowano skręcone włosy, i rozpiętym między nimi welonem; zazwyczaj wykonany z koronek, aksamitu, jedwabiu; efektowna ozdoba głowy kobiet, ostro krytykowana przez kościół ze względu na rogaty, tj. „diabli” kształt. [przypis edytorski]

<sup>49</sup> *come si dice italiano: gli scherzi amorosi* (wł.) — jak to się mówi po włosku: igraszki miłosne. [przypis edytorski]

rozumiesz to, co szeptem pan Krasieński” — odpowiada król. „Pan Krasieński jest osobą prywatną jak ja; aby rozumieć mowę króla, trzeba być królową. Jeżeli WKMość pozwoli, to zapytam królowej, co znaczy to, co mi WKMość mówi?” „O, hultajko! — mruzczy król — widzę, żeś ty szpakami karmiona”... Oto próbka tonu, jaki wnosi na polski dwór ta młoda armia królowej, wierna i karna jak korpus janczarów.

Ale te wszystkie amory królewskie, to tylko od niechcenia, z nałogu; naprawdę król myśli o wojnie; to jedno go zajmuje i podnieca. Naród, senat, nie chcą słyszeć o wojnie z Turkami; ale król bezsilny, gdy chodziło o reformy wewnętrzne, zawsze miał w Polsce sposób, aby wywołać wojnę. Tu Władysław zamierza za pomocą partyzantki Kozaków sprowokować Turka, aby wojnie zaczepnej dać pozór wojny obronnej; ale niebacznie rzucona iskra na prochy kozackie spowoduje straszliwy pożar. Polityką król kieruje sam, żonie nie daje się mieszać do swoich spraw, odsyła ją do garnków. A Maria Ludwika, przewidując rychłe wdowieństwo, myśli o swojej przyszłości, o zabezpieczeniu ogromnego posagu, który zaangażowała w Polsce; nie czuje się jeszcze solidarna z krajem, w który los ją rzucił, a z którego lada przeziębienie króla może ją wypędzić. Żona Władysława IV nie jest jeszcze ową późniejszą towarzyszką doli i niedoli Jana Kazimierza, kobietą niepożytej energii, walczącą, błędzącą nieraz, ale — po królewsku.

Jedyny syn Władysława IV umiera dn. 9 sierpnia 1647 r.; dn. 20 maja 1648 r. — w pełni wojny kozackiej — umiera sam król. Kandydatami do korony — dwaj bracia królewscy; jeden biskup, a drugi kardynał. Królem zostanie ten, który zaślubi wdowę po bracie, na czym Rzeczpospolita zaoszczędzi sobie „odprawę” królowej-wdowy. Daje to zarazem widoki nowej elekcji, bo można przypuszczać, że nowa para będzie bezpotomna. A elekcja była wielkim świętem szlachty, licytacją o jej łaskę i głosy, potwierdzeniem jej potęgi.

Tak więc decyzja o tym, kto zasiądzie na tronie polskim — jest w ręku Marii Ludwiki i w jej już dobrze zasobnej szkatule. Wybierze Jana Kazimierza, którego usposobienie, wedle powszechnej opinii, niestałe, skłonne do rozrywek, niechętnie dla poważnych spraw, wróży jej przemożny wpływ na rządy.

Zarazem wychodząc za Jana Kazimierza, Maria Ludwika poddała swoją umowę ślubną zatwierdzeniu króla Francji, wyjednując sobie „zapewnienie wszelkich praw przysługujących Francuzom, prawdziwym krajowcom i poddanym króla arcy-chrześcijańskiego bez żadnej ekscypcji i wyjątku”.

O pierwszych latach młodziutkiej jej dworki, panny d’Arquien, w Polsce nie wiemy nic, chyba to, że gdy w r. 1654 odtąńczono na dworze balet królewski, wystąpiła jako żniwiarka. Zapewne nie ten jeden raz. Władysław był wielkim miłośnikiem muzyki i teatru. Opera jego była sławna w Europie. Balety, feerie, maszyny do spuszczenia i podnoszenia bogów, okręty, wozy, zwierzęta mechanicznie poruszane... Za Jana Kazimierza, budżet teatralny kurczy się nieco; Włosi po trochu wyciekają z Polski, ale świetne tradycje teatru trwają jakiś czas jeszcze — póki nie przepędzą ich Szwedzi...

Bo już niedługo jest chwila, że cały ten młody dwór za przewodem królowej, niby kurczęta za przewodem kokoszy, pierzchnie ze stolicy. Kiedy królowa wróciła ze Śląska w lipcu 1656 r. do odzyskanej na Szwedach Warszawy, miała ze sobą trzy panny: Potocką, Radziwiłłównę i swoją ulubioną Marię Kazimierę. Panna d’Arquien, jeżeli przyjąć chronologię królewicza Jakuba, liczyła wówczas lat ledwo piętnaście: wcześniej rozwinięta, piękna, głośna z urody i bystrego dowcipu. Znamy jej późniejsze portrety: ściągnęła twarz o drobnych ustach, śliczne oczy wycięte w migdał, gęste pukle ciemnych włosów, szczupła, ale zręczna figurka, która później nawet w Paryżu miała się wydać *pas tant chienne*<sup>50</sup>... — jak sama donosi z tryumfem.

Pierwszy z istniejących portretów ukazuje Marysienkę jako — świętą Magdalenę: siedzi na leśnej murawie, z główką wspartą na obnażonej ręce, odziana lekką błękitną draperią, a bardziej spłotami pysznych, włosów. Owale twarzy niemal dziecinny, oczy ciemnopiwnie, które „nie wiedzą, czy śmiać się, czy dąsać mają”. Święta Magdalena! Jak się dziwić Sobieskiemu, że głowę stracił? Na takie diabelskie miszkulacje, na tę chytrłość, która zachowuje wszystkie pokusy grzechu, pozwalając równocześnie modlić się

<sup>50</sup>*pas tant chienne* (fr.) — dosł. nie tak „psia”, tj. niebrzydka. [przypis edytorski]



do siebie jak do świętej, ani roztropne instrukcje ojcowskie, ani spartańskie przykazania matczyne nie zawierały żadnego sposobu.

A charakter?

Przechował się w bibliotece Raczyńskich zapisek (z r. 1657) mniszki z klasztoru sióstr benedyktynek w okolicy Poznania, gdzie panna d'Arquien jako dworka królowej miała kwaterę. Było to w czasie wojny szwedzkiej. Z narażeniem zdrowia ustąpiła jej ksieni własnej najlepszej celi. Ale zachowanie się młodej panny nie było budujące:

Przyjechała panna d'Arquien przed samym adwentem do klasztoru naszego. Panna to była najzacniejsza z fraucymeru królewskiego, której wielbna panna ksieni ustąpiła izdebki swojej z wielkim niewczasem swoim i aż w chorobę była wpadła, za czym królestwo słało do niej doktora swego. Było to bycie panny tej poniekąd z niezbudowaniem inszych. W nocy trzeba było doktora puszczać do niej. Senatorów wiele ją nawiedzało i częstym chodzeniem bardzo się uprzykrzali i przez kościół chcieli do niej; nie było pokoju przed nimi. A że łaźni często używała, a że wody w klasztorze nie było, musieli z miasta nosić. Miała swoje sługi i ochmistrzynią, stół jej był z królewskiej kuchni...

Surowy biograf Marysieńki, Waliszewski, widzi w tej notatce całkowitą jej charakterystykę. Egoistka, światowa, niewiele troszcząca się o pozory, zajęta sobą, nieznosząca sprzeciwu, umiejąca łamać przeszkody; oschłość serca, która pozwala iść prosto do celu, odsuwając niebezpieczeństwo wahań i kompromisów.

Stanowczo, zdolny historyk dużo potrafi znaleźć w jednej wannie.

Pospieszmy dodać, że portret świętej Magdaleny, który wspomniałem wyżej, pokazuje Marysieńkę już o kilka lat starszą, jako młodą panią Zamoyską. Pannie d'Arquien może by nie przystało dać się malować takim kształtem. Bo oto zbliża się pora, gdy przybrana matka — królowa Maria Ludwika — ma postanowić o jej losie. Dotąd nie chciała jej puścić od siebie, mimo że starali się o jej rękę Krasieński, Pac... A Sobieski? — O Sobieskim osobno, to dłuższe dzieje.

Osobliwy to dwór, ten dwór Marii Ludwiki. Pani pobożna, namiętna polityczka, podobno surowa dla swoich dworek, co nie przeszkadza, że samo zjawienie się nowego obyczaju, owej mowy francuskiej, w której — jak powiada Brantôme — słowa miłosne „barzziej są w uściech chutliwe, cudniej dźwięczące a sielniej szpik wzruszające niżeli inne”, musiało na tym świeżym gruncie polskiego temperamentu wydać bujne owoce. Panny francuskie nadają ton: kontuszowa młodzież kocha się w nich na zabój. Amor — częściej zwany przez poetę *Kupido* — obiera sobie kwaterę w Warszawie. Wywiódł to zmyślnie pan Andrzej Morsztyn, poeta i dworak, ulubieniec Marii Ludwiki, w naśladowanym z Apulejusza i Marina poemaciku *Psyche*, pisany zwinną oktawą. Szukając syna swego, Amora, Wenus przebiega różne kraje. U Włochów znajduje plugawy nierząd; w Niemczech miłość jedynie zimną, jakoby umarłą; bieży z kolei do Francji, ale okazuje się, iż z Francji Amor pociągnął z królową polską do Warszawy — nad Wisłę. Śpieszy tam Wenus, ale ujrawszy królowę, ten cud, nie ma już siły gniewać się na syna. Tutaj łatwo się domyślić, że poeta-dworak poświęca niejedną oktawę na oddanie hołdu królowej... „Lecz dosyć o niej” — powiada:

... teraz oszak biały,

Jej nimf uważaj; przyznasz to bez sporu,  
Że taka pani godna tego dworu.

I zaczyna się seria lichych *concetti*<sup>51</sup>, którymi poeta zaostrza swoje oktawy, poświęcone kolejno każdej z panien. *Mlle Bessaine* (później wojewodzina Denhoffowa) „popęta serca bez sen i na jawie”. Dla panny *Cordon*, później swojej żony, znajduje Morsztyn taką aluzję: „to są jej pęta i trwałe *Cordony*”. Dla panny *Mailly*, potem kanclerzyny Pacowej: „tak do niej bieżą i wielcy i mali” (au! au!) *Arka* stanowi aluzję do panny *d'Arquien*. Ale przytoczmy próbkę strof poświęconych przyszłej *Marysieńce*:

<sup>51</sup>*concetti* (wł.) — pomysły; koncepty. [przypis edytorski]

Ta pierwsza twarzą, choć ostatnia laty,  
Zrodzona między grzecznymi Francuzi,  
Wolna jest spalić w popiół oba światy.  
Od wschodu słońca aż gdzie się zanurzy...  
W kupę się zeszły w tym anielskim ciełe,  
Dowcip i rozum nie mniej pewnie święty,  
Zgoła z niebiańskiej poszła parantele<sup>52</sup>,  
Bo wszystkich bogów jest w niej skarb zamknięty;  
Stąd wotem serca niosą jej w podarki,  
Jak do kościoła i jako do Arki...

Nie są to z pewnością najlepsze strofy, jakie wyszły spod pióra Morsztyna, ot, poezja dworska; chce być pochlebnym, przywoitym. Ale w innych wierszykach, które krążyły w odpisach po pałacach i alkowach, znajdzie Morsztyn własny ton, będący swoistym wyrazem tej nowej, z francuska nieco przybranej, ale bardzo polskiej muzy, jaka się rodzi w okolicach warszawskiego dworu. Poezja jego, przymilna, figlarna i zmysłowa, przedsiębiorcza i śmiała w potrzebie („Bo co zakrywa pierzynka — to dla samego Morsztynka”), wznosząc się do rzadkiego naówczas kunsztu formy, niejedną musiała zawrócić główkę. Pochwała jego: „cieniutkaś jak łątka” (z czym rymowały „nadobne drażniątka”!) musiała sprawić małą rewolucję i spowodować pierwsze w Polsce odchudzania się Kachen i Marynek. A co powiedzieć o takiej litanii białości, wyprzedzającej o dwa wieki słynną *Symphonie en blanc majeur* Teofila Gautier; gdzie, wyszczególniwszy wszystkie rodzaje białości, poeta nasz konkluduje dwornie:

Ale bielsza mej panny płeć twarzy i szyje,  
I Nad marmur, mleko, łabęć, perłę, śnieg, lilije!

Tak w Polsce nie umiano przed Morsztynem mówić do kobiet. Tędy przeszła już *précieuse*<sup>53</sup>, wychowanka hôtel Rambouillet. Morsztyn zawdzięczamy Marii Ludwice, przynajmniej w jego dystyngowanej postaci. Bo nie daj Bóg, aby do białogłowskich rąk miały się dostać jego fraszki, często nieskromne tak, że dziś jeszcze muszą wydawcy kropkować w nich całe ustępy, ale znowuż nieskromne inaczej niż zwykle facecje Sarmatów; owe fraszki, o których on sam mówi, że „niech one śmieje, choćbym miał być w winie — rzą jak dryganci<sup>54</sup>, niech kwiczą jak świnię”.

Nie tylko do fraszek jest pan Andrzej zdalny. Toż jego przekładania będzie Kornelowa heroiczna komedia o Roderiku Cydzie<sup>55</sup>, która już po potopie szwedzkim ukaże się na theatrum królewskim na zamku w r. 1662. I gdy, w myśl obrazu, jaki nam sugeruje późniejszy prolog Wyspiańskiego, król poglądał dokoła na tworzących publiczność rycerzy, którymi

świat by cały zadziwił:  
mało gdzie takich żołnierzy. Byli nimi:  
Pan Lubomirski Jerzy,  
Pan Sobieski chorąży,  
Pan Bogusław Radziwiłł...

można by się założyć, że gdzieś na sali w loży („są tam okna, gdzie osoby siedzą” — pisze o tej nowości współczesny Jarzębski) siedziała wygorsowana po pas i strzygąca dyskretnie okiem w stronę *monsieur le Koronge* Marysienka — już pani wojewodzina Zamoyska. Ale nie uprzedzajmy wypadków; same z siebie popędzą aż nazbyt szybko.

<sup>52</sup>*parantela* — powinowactwo; tu: daw. forma D.lp: parantele. [przypis edytorski]

<sup>53</sup>*précieuse* (fr.) — tu: wykwintniasia; kobieta afektowana, wyszukana w mowie, stroju itp. [przypis edytorski]

<sup>54</sup>*drygant* — ogier. [przypis edytorski]

<sup>55</sup>*Kornelowa heroiczna komedia o Roderiku Cydzie* — sztuka sceniczna *Cyd* Pierre’a Corneille’a z 1637 r. [przypis edytorski]

## IV. POTOP I ARKA

Widzieliśmy, jak pan Andrzej Morsztyn, robiąc aluzję do nazwiska d'Arquien, porównał przyszlą panią Janową Sobieską do arki. I oto zjawia się — potop. Poeci mają szczęście. Chętnie bym, wyręczając Morsztyna, splodził jakąś strofę, kojarzącą potop z arką. Ale jak? Że, na falach potopu, wypływa ta, która kiedyś będzie polską królową, arką przymierza... Czy w takim razie Sobieski byłby Noem? Dla panegirzystów barokowych nie ma niemożliwości. Ale przyznajmy, że to by było trochę naciągane. Bo, w całym tym potopowym epizodzie Sobieskiego brak po temu elementów. Ani w jego odstępstwie, ani w jego nawróceniu nie widzimy śladów kobiety. Nie na tej arce wypłynął ten Noe. Przynajmniej na razie.

Może arką na falach potopu byłaby raczej Maria Ludwika? To fakt, że wśród powszechnego zalewu, ona jedna trzymała w ręku ster duchowy: gdyby nie królowa, wątpliwe jest, czy Jan Kazimierz zdobyłby się na taką siłę oporu, czy zdołałby skupić wszystko, co było zdadne do obrony. Maria Ludwika odegrała tu jak gdyby rolę Joanny d'Arc. *D'Arc!* — no więc nareszcie dopłynęliśmy do jakiejś arki. Honor panegirzysty ocalony.

A potop? Ten wszyscy znają. Nie będę streszczał w jednym felietonie tego, co genialnym piórem opisał Sienkiewicz na przestrzeni wielu tomów. Powiem chyba o tym, o czym Sienkiewicz nie powiedział, o roli Sobieskiego w owych wypadkach.

Sienkiewicz o nim nie wspomniał i nie miał obowiązku wspomnieć. Młody Sobieski nie był jeszcze wówczas figurą historyczną. Ani powieściową. Chyba żeby w jego sytuacji dopatrzeć się istotnie czegoś z dziejów zbłąkania i nawrócenia się Kmicica.

Widzieliśmy w r. 1655 Sobieskiego w Warszawie na dworze królewskim, kiedy pierwszy raz ujrzał tę, której w liście swoim w r. 1665 powie, że ją kochał „dziesięć lat z nieporównaną z niskim<sup>56</sup> passyą”. A i jej serce — jeżeli wierzyć romansowi biograficznemu Bousseau de la Valette (*Casimir, roi de Pologne*<sup>57</sup>, 1679) — „potajemnie wzdychało do Jana Sobieskiego, który je pierwszy dotknąć potrafił”. Ale rychło po poznaniu nastąpiło rozstanie — i więcej niż rozstanie. W lipcu r. 1655 wkraczają do Polski Szwedzi; większość kraju poddaje się im bez oporu, król i królowa z fraucymerem chronią się do Głogowa na Śląsku, podczas gdy Sobieski znajdzie się niebawem w obozie Szwedów, jako ich pilny adherent. Wytrwa tam prawie aż do marca następnego roku, po czym wróci na stronę prawowitego króla; ale i odstępstwo jego, i powrót nie mają nic romantycznego.

Udział Sobieskiego w tych wypadkach rozplątał się w blasku późniejszych jego czynów; ujawniony z czasem przez bezsporne dokumenty, stanowił dość kłopotliwy punkt dla naszych historyków w epoce drażliwej na „szarganie świętości”. Nawet sławna z surowego osądu naszej przeszłości „szkoła krakowska”<sup>58</sup> wolała tego punktu nie tykać. Potraktowany z męską prawdowością przez Korzona, udział Sobieskiego w najeździe szwedzkim stał się od czasu *Doli i niedoli Jana Sobieskiego* (1898) stwierdzonym faktem; niemniej do dziś spotyka się próby łagodzenia prawdy, usprawiedliwiania jej służbą wojskową Sobieskiego, obowiązkiem subordynacji. Teza nie do utrzymania, wobec tego, iż, wręcz przeciwnie, wbrew subordynacji i wbrew własnemu hetmanowi, młody Sobieski odegrał czynną rolę w zbuntowaniu części wojska i przeciągnięciu jej na stronę szwedzką. Ale znowuż strzeżmy się patrzeć na to dzisiejszymi oczami: dla współczesnych, światła i cienie tego obrazu nie odcinały się tak ostro. Chciejmy wierzyć, że odstępcy nie zdradzali ojczyzny, zmieniali tylko króla, w swoim pojęciu na lepszego; król elekcyjny był królem „za wypowiedzeniem”: niedotrzymanie paktów konwentów — a cóż tu za pole dla kazuistyki! — mogło zwalniać od posłuszeństwa. Samo opuszczenie przez króla granic Polski mogło służyć za argument. Idea unii personalnej między koroną polską a szwedzką była reprezentowana przez samego Jana Kazimierza, który wytrwale pisał się królem szwedzkim. Wreszcie u źródeł najazdu szwedzkiego stała się owa fatalna sprawa Radziejowskiego, która wcale nie była czysta. Słusznie czy nie, Jan Kazimierz uchodził za

<sup>56</sup>niskim (daw.) — ni z kim; z nikim. [przypis edytorski]

<sup>57</sup>*Casimir, roi de Pologne* (fr.) — Kazimierz, król Polski. [przypis edytorski]

<sup>58</sup>„szkoła krakowska” — grupa konserwatywnych historyków, krytycznych wobec przeszłości Polski, potępiających powstania i szkodliwą dla państwowości „złotą wolność” szlachty Rzeczypospolitej, działających w drugiej połowie XIX w. w Krakowie; najbardziej znane postacie działające w tej grupie to Szujski i Kalinka. [przypis edytorski]

kochanka podkanclerzyny Radziejowskiej (z pierwszego męża Kazanowskiej), dla której pięknych oczu najpierw Radziejowskiego nad wartość wywyższył, a potem stracił, skazując dygnitarza korony na infamię z pogwałceniem legalności, osobiście — wbrew sądom — ingerując w tej sprawie. Co najmniej pół Rzeczypospolitej uważało wyrok na Radziejowskiego za akt przemocy królewskiej, za pognębnienie świętych praw szlacheckich; Radziejowski raz po raz słał do braci szlachty pisma, upominając się o swoją krzywdę. „Do ciebie się zwracam, Najdroższa Ojczyzno! — pisał bezczelny Radziejowski w swoim manifestie. — Strzeż wolności we mnie uciśnionej i ukarż gwałciciela. Obudź się z letargu, odrzuć prywatne względy, będzie to bowiem znakiem starości i upadku, gdy w rządach nad Tobą więcej kara niż słuszość znaczyć będzie”. A Sobieskiego ten wyrok infamii musiał dotknąć bardziej niż kogo innego, bo przecież Radziejowski był jego ciotecznym bratem, urodzonym z Sobieskiej.

Relacja o udziale Sobieskiego w buntowaniu wojska znajduje się w raporcie Żytkiewicza, instygatora koronnego, do Jana Kazimierza z dn. 15 października 1655. Duszą akcesu do Szwedów był chorąży koronny Koniecpolski (ten, który okrucieństwem swoim wiele przyczynił się do zaognienia sprawy kozackiej, a potem pod Piławcami jeden z pierwszych drapnął); z nim ręką w rękę działali Sapieha, Dymitr Wiśniowiecki, Sobieski. Pozór — ucieczka króla za granicę; warunki poddania się królowi szwedzkiemu — wolność religii, wolność szlachecka, konfiskata na rzecz wojska dóbr tych, co opuścili kraj; amnestia dla tych, co wytrwali w szeregach wojsk królewskich. Z tym słał poselstwo do Karola Gustawa. Potem pan Koniecpolski z adherentami odłącza się od hetmanów i staje w Staromieściu pod Rzeszowem. Musieli się czuć trochę nieswojo, bo powiada Żytkiewicz, że pan Koniecpolski „pił, choć tego nie zwykł czynić w sobotę. Tamże popiwszy się, tańcowali sami z sobą”. (Cóż za obraz! — brakuje tylko muzyki Chochoła!). Objasniając pobudki zdrady, wymienia Żytkiewicz niechęć do króla, niedostatek w niepłaconym (jak zawsze!) wojsku, zgrzybiałość hetmana; u Koniecpolskiego gra rolę interes osobisty, ile że ma przyrzeczone hetmaństwo; Sobieskiego i Wiśniowieckiego unosi *iuventus et inipetus*<sup>59</sup>.

Gdybyż się choć nie dał fotografować! — ubolewa Historia. — Bo Sobieski figuruje na sztychu w bardzo rozpowszechnionej *Historii Karola Gustawa* Puffendorfa, jak z podniesionymi w górę palcami składa w ręce gen. Wittemberga przysięgę poddańczą. Groźniejsze jeszcze rzeczy sugeruje nam współczesny *Pamiętnik towarzysza chorągwi pancerniej* (wydał Żegota Pauli), który pisze, że „niektórzy imć pp. pułkownicy, a zwłaszcza książę Dymitr, p. Jan Sobieski starosta jaworowski, Krzysztof Sapieha pisarz polny, p. Zbrożek, p. Korycki, p. Kaliński, — ci wszyscy z pułkami swymi najpierw bez rady hetmańskiej poddali się królowi szwedzkiemu; w Krakowie, pod Częstochową byli (acz nie wszyscy); w Prusiech na księcia brandenburskiego Szwedowi pomogli; na nasze wojsko potem wojowali”...

„Acz nie wszyscy”... To znaczy, że niektórzy wcześniej się opamiętali i wrócili do prawnego pana. Ale o Sobieskim wiemy, że był jednym z najwytrwalszych w zbłąkaniu, że opuścił obóz szwedzki aż pod koniec lutego 1656. Przyznajmy, że Sobieski... oblegający Częstochowę, to by przeliczywało najśmielsze fotomontaże historyczne primaaprilisowego numeru *Wiadomości Literackich*. Chcę wierzyć, iż los oszczędził naszemu bohaterowi tej próby i że przydział jego pułku był inny.

Tyle jest pewne, że ani konfederacja tyszowiecka, ani obrona Jasnej Góry nie odciągnęły go od najeźdźcy. Dopiero kiedy szansa Szwedów zdecydowanie się pogorszyła, Sobieski, wciąż za Koniecpolskim, porzuca ich sztandary. Pod datą 24 lutego 1656 r. donosi w korespondencji swojej sekretarz Marii Ludwiki, des Noyers, że pan Koniecpolski wraz z 9000 swoich ludzi opuścił Karola Gustawa i połączył się z panem Czarnieckim, pałając żądzą bicia Szwedów; dn. 27 lutego dwór dostaje wiadomość, że Sapieha, Korycki i Sobieski połączyli się z armią polską. Pod komendą Jerzego Lubomirskiego, Sobieski bije Szwedów ich własną bronią. Bo na pociechę powiadają nam historycy, że w obozie szwedzkim Sobieski dużo skorzystał; była to dla niego znakomita praktyka, wodzowie byli tędzy, dyscyplina nienaganna, wojsko pierwszorzędne pod względem technicznym.

<sup>59</sup>*iuventus et inipetus* (łac.) — młodość i zapal. [przypis edytorski]

Sobieski, urodzony kawalerzysta, nauczył się tam operować piechotą i artylerią. *Je prends mon bien ou je le trouve*<sup>60</sup> — mógłby ten rycerz powiedzieć wyprzedzając Moliera.

Jeżeli gdzie, to w polityce większa jest radość z jednego nawróconego grzesznika niż z dziewięćdziesięciu dziewięciu sprawiedliwych. Toteż nie minęły grzeszników nagrody. Jan Kazimierz nie czuł się dość silny ani dość zawzięty, aby karać tych, co go odstąpili. Byłby musiał zresztą ukarać pół kraju. Wszyscy mieli z czasem wrócić do łask i godności, nawet zrehabilitowany w r. 1662 Radziejowski, nawet nie lepszy od niego Bogusław Radziwiłł... Cóż dopiero ci, którzy z bronią w rękę wrócili w szeregi królewskie. Przy pierwszym wakansie chorąży Koniecpolski został wojewodą sandomierskim, a na jego miejsce, 26 maja 1656 r. — a więc niespełna w trzy miesiące po nawróceniu — król mianuje Sobieskiego wielkim chorążym koronnym. „Urodzony wiernie nam miły, Zasługom Wierności Twojej wdzięczność oświadczając...” — tymi słowami rozpoczyna się dekret nominacji, gdzie, na przestrzeni kilkunastu wierszy, pięć razy powtarza się zwrot: „Wierność Twoja”. Czyżby kancelaria królewska miała poczucie ironii? Wątpię. Po prostu załatwiono „kawalek” według utartej formuły.

A równocześnie Karol Gustaw każe nazwisko Sobieskiego, wraz z innymi odstępcami, przybić na szubienicy. Nie można zadowolić wszystkich.

I wciąż trzeba się strzec, aby nie brać tych rzeczy dzisiejszymi pojęciami. Bo nie upłynęło kilka lat, jak ta sama Maria Ludwika będzie planowała sprowadzenie Szwedów na Polskę, aby — w tajnym porozumieniu z Francją — za pomocą ich rapierów wprowadzić swego kandydata na tron polski. A po śmierci chronicznego zdrajcy, Bogusława Radziwiłła, Sobieski — wówczas wielki hetman koronny — wystosuje do swego szwagra Radziwiłła pismo kondolencyjne, w którym będzie tę śmierć oplakiwał „jako nieszczęśliwość, której jako żałuję, wypowiedzieć niepodobna”...

W ciągu owego roku 1656 szanse Jana Kazimierza poprawiają się z wolna. Odzyskano Warszawę wraz z zamkiem, doszczętnie ogołoconym przez Szwedów. Posadzki nawet wyrwali i wywieźli. Konie trzymali na trzecim piętrze — żeby zapaskudzić. To dobry znak: widać nie wierzyli, aby się tam mieli osiedzić. „Ale też to była straszna rozprawa — pisze królowa Maria Ludwika w liście do przyjaciółki, pani de Choisy, dn. 27 czerwca, jeszcze z Głogowa. — To go (Wittemberga) najbardziej boli, że go ciury zwyciężyli. Albowiem, gdy się ta hałastra nastreczyła, król J. M., który miał niewiele piechoty i rad był ją oszczędzić, przyjął chętnie tych ochotników. Ochotnicy z panią nie narażają się tu jak we Francji” — dodaje królowa, jakby popierając tezę dzisiejszych historyków, podkreślających przemożny udział „chama” w zwycięstwach, których chluba przypadała samej szlachcie. To samo notuje i cytowany powyżej „towarzysz pancerny”: „Generalny szturm uczyniwszy, samymi prawie ciurami wzięli Warszawę”.

Królowa pisała ów list jeszcze z Głogowa. Ale już w połowie lipca opuszcza Śląsk i przybywa do Warszawy, a towarzyszą jej trzy panny dworskie: Potocka, Radziwiłłówna i ulubiona Maria Kazimiera d'Arquien. Czy ta Oleńka spotkała się wówczas ze swoim Kmicicem — dzieje milczą. Ale tuż pod Warszawą miała się jeszcze raz stoczyć krwawa bitwa — z końcem lipca 1656 r. — z samym królem szwedzkim na czele. Maria Ludwika jest obecna na polu bitwy; z własnej karety każe konie wyprząc, aby nimi zatoczyć armatę; osobiście czuwa nad strzelaniem. Potem w południe, siadłszy na bębnie nakrytym kożuszkami tatarskimi, je obiad, patrząc wciąż na walkę, która skończyła się aż o jedenastej wieczór. To był styl francuski w najlepszym gatunku, styl zainaugurowany przez *Grande Mademoiselle* w czasie Frondy. Ów dzień to był dzień symboliczny; od tej chwili ster państwa, za cichą zgodą króla, przechodzi w ręce królowej.

Ale bitwa pod Warszawą była, mimo wszystko, przegrana. Oboje królestwo opuszcza Warszawę, aby się schronić u wielkiego marszałka koronnego, Jerzego Lubomirskiego, w Łańcucie. Podczas całej tej szwedzkiej zawieruchy, Jerzy Lubomirski jest mężem opatrznościowym króla, najwierniejszym z wiernych, „ojcem ojczyzny” — jak go nazwie fama. On nie zachwiał się ani na chwilę, on wprowadził wygnańca Jana Kazimierza do Polski, on dał mężny odpór wrogowi i przykład odstępcom.

I drugi — Jan Zamoyski, wnuk wielkiego Jana, mniejszy od Lubomirskiego zasługami i rangą, ale silny posiadaniem jednej z najważniejszych twierdz w Polsce — Zamościa.

<sup>60</sup>*Je prends mon bien ou je le trouve* (fr.) — przen.: korzystam z każdej okazji. [przypis edytorski]



To ów uwieczniony w *Potopie* przez Sienkiewicza „Sobiepan” Zamoyski, którego Zamość oddał takie usługi w czasie wojny kozackiej i który z za jego obronnych murów dał tak jowialną odprawę królowi szwedzkiemu. Bo ów koncept z ubitą „świnia w rynku” jest autentyczny; cytują go zgodnie relacje współczesne. I któż by mógł przeczuć wówczas, że wydawszy swoją ulubienicę za tegoż Zamoyskiego, który okaże się politycznym nieużytkiem, królowa Maria Ludwika uczyni z pani Zamoyskiej wędkę na tego tak dziś niewyraźnego Sobieskiego, aby za jego pomocą pognać i zgubić dzisiejszego „ojca ojczyzny”! Niebawem rozpocznie się ten pasjonujący rozdział, w którym miłość, intryga i polityka splotą się z sobą, decydując o losach i o przyszłości naszego bohatera.

Bo, jeżeli od przybycia do Polski Maria Ludwika czuła potrzebę stworzenia sobie partii i umocnienia jej parantelami swoich dworów, o tyle teraz, gdy poznała kruchość korony polskiej, tym bardziej chce zbudować stronnictwo dla przeprowadzenia swoich daleko sięgających planów. Jakich, zobaczymy niebawem.

Stopniowo nawala szwedzka odpywa; kraj oczyszcza się z najeźdźców. Bohaterem oporu staje się Czarniecki, który jest poniekąd wynalazkiem królowej: ona, rozumując jego wartość, daje mu niezależną komendę, mimo niezadowolenia hetmanów. Wojna oddala się, aby się tlić w miastach pruskich i w Inflantach, zanim w r. 1660 zakończy się pokojem w Oliwie. Ale wcześniej jeszcze życie odzyskuje swoje prawa: dwór wraca do Warszawy, ludzie kochają się, żenią, nawet bawią. Wciąż patrząc na wypadki okiem polityka, królowa musiała z przyjemnością widzieć, że jej ulubienica wpadła w oko Janowi Zamoyskiemu. Pisząc do swojej przyjaciółki z wygnania w Głogowie donosi o Zamoyskim jako o młodym człowieku, który „zdaje się być zakochany w małej d’Arquien. Jeśli kiedy pokój będzie w Polsce, to będzie miał 700 000 liwów intraty i najpiękniejsze domy na świecie, ślicznie umeblowane”. A później kiedy dwór bawił w Wolborzu, sekretarz królowej des Noyers donosi swemu korespondentowi (Ismaelowi Bouillaud), że Podlodowski, dworzanin pana Zamoyskiego, przywiózł imieniem swego pana krzyż z pięciu wielkich diamentów, szacowany na 10 do 12 tysięcy franków, jako podarek dla panny d’Arquien, w której księżę Zamoyski jest bardzo zakochany. Podarek ten daje miarę i miłości i waleńców wielbiciela. Zamoyski, człowiek trzydziestoletni, ale dość zużyty, nie orzeł, ale tęgą żołnierz i dobry obywatel, bardzo popularny, mający za sobą tradycję wielkiego dziada, olbrzymio bogaty i skoligacony, każący się tytułować księciem na Ostrogu i księciem na Zamościu, był człowiekiem po myśli królowej. „Zakochany jak kot” — powiadano o panu Janie, który był mocno wrażliwy na pleć piękną, choć jak dotąd niezbyt wybredny w amorach. Ale panna jest bardzo młoda, Zamoyski jest w wojsku, chwila nie jest po temu; dopiero w półtora roku później znajdziemy w listach tegoż des Noyers wzmiankę, że „Zamoyski sprowadził tu 300 beczek wina węgierskiego na swój ślub”. W istocie, ślub odbył się z początkiem marca 1658 r. „Odrzucił dla niej podobno rękę młodej i pięknej wdowy, mającej 300 000 franków rocznego dochodu i znaczną ilość gotowizny” — czytamy w tym samym, dobrze poinformowanym źródle. Trzysta beczek wina, wżardzone trzysta tysięcy rocznego dochodu — cyfry nad wyraz poważne: „ale też za to przejdzie bez opłaty bramę kochanków szczerych, która się znajduje w pałacu Apolidora”...

W istocie, musiał Zamoyski być jak kot zakochany, gdyż, o ile się zna jego charakter i wazy jego stanowisko, nie zdaje się, aby w owej decyzji grała rolę chęć zyskania protekcji królowej. Raczej królowa zawiodła się na tym człowieku, który okazał się hulaką bez większych ambicji. Wziął swoją Francuzeczkę bez grosza, dał jej wspaniałe wiano, dwaście tysięcy talarów rocznie na szpilki, sto tysięcy talarów w upominku i wiele obietnic na przyszłość. Po czym pił dalej.

Ślub odbył się z przepychem. W chwili zaręczyn królowa, siedząc na tronie, włożyła na głowę oblubienicy wspaniałą diamentową diademę, dar oblubieńca. W drodze do kościoła poprzedzała młodą parę stu hajduków, stu lokajów, dwudziestu czterech dojeżdźaczy, osiemnastu paziów i sześciu trębaczów. Trzysta beczek wina wypito sumiennie.

Istnieje ciekawy opis obrządku wplecionego w ceremonię zaślubin. Trzeciego dnia, który zowią dniem kąpieli panny młodej, oblubienica zaprosiła przyjaciółki swoje, aby się z nią przyszyły kąpać. Zebrawszy się wszystkie, udały się do sali przeznaczony dla kąpieli. Znajduje się tam niezmierna marmurowa wanna, do której po sześciu stopniach się schodzi. Gdy podług przyjętych obrządków rozebrano pannę młodą, kąpała się z przyja-

ciólkami swymi w pachnących wodach, lejących się z rur srebrnych. Gdy się narzeczona kąpie, Zamoyski kazał zanieść do innego pokoju gotowalnię, złocistą, wysadzaną dużymi perłami, formującymi cyfry nowożeńców i więzy miłości. Zwierciadło i inne naczynia były równej piękności i ceny, lecz równać się nie mogły szlafrokowi z soboli i innym najwspanialszym sukniom...

Zadziwiające jest, jak po trzystu latach wie się wszystko! Znamy nawet szczegóły nocy poślubnej Jana Zamoyskiego, znów z listu wszechwiedzącego sekretarza królowej:

„Pierwszą noc spał na ziemi na kobiercu przy żonie i nie położył się w łóżko: tak tedy nic nie zaszło. Prawda też, że pani się uparła, a jegomość przez grzeczność położył się na ziemi obok niej”...

I czy warto się było tak kąpać, Marysienko?...

Ale rys ten godzi się zapamiętać. Zanim Marysienka została królową na tronie, musiała umieć być królową w swojej sypialni. Bo te dwa królowania były z sobą w ścisłym związku. Ujrzymy ją przy robocie.

Jest tedy panią Zamoyską, wojewodziną kijowską, województwo sandomierskie otrzymał pan Zamoyski aż za rok, po śmierci Koniecpolskiego. Czy to był posąg Marysienki?

A równocześnie krążył z rąk do rąk, ku uciesze panów i szlachty, ironiczny *Paszport k...m z Zamościa*, pióra — czyjegoż by, jeśli nie pana Andrzeja Morsztyna? Co za rytm!

Zośka z Zamościa, Baśka z Turobina,  
Jewka z Zwierzyńca, z Krzeszowa Maryna,  
Te cztery k... y, z piątą panią starą,  
Pod dobrą idą na wędrowną wiarą.  
Służyły pilnie, póki pański długi  
...potrzebował ich pilnej posługi;  
Teraz że z ślubną związki zwarte żoną,  
Precz ich zapewne od dworu wyżoną...

Nie lekceważmy i tego wierszyka: przeszłość pana młodego zaciąży na późniejszych losach Marysienki, Sobieskiego, omal nie Rzeczypospolitej.

\*

W każdej sprawie istnieje historia i legenda. Legenda upraszcza. Może ma rację. Historia bywa pełna sprzeczności, zawila i niepewna; legenda jest zawsze prosta i wdzięczna. Tak i w tej przygodzie. Legenda opowiada nam o Sobieskim, który ujrzał, pokochał i poprzysiągł sobie, że nigdy inna kobieta nie będzie jego żoną. Cytowany romans Rousseau de la Valette powiada o wzajemnej miłości młodych: książkę tę posiadał później Sobieski w bibliotece swojej w Żółkwi; figuruje w katalogu. Ale to już było pisane po faktach; znowuż po trosze dorobione wstecz. I on sam, jako szczęśliwy mąż Marysienki, datuje swoją miłość od roku pierwszego ich ujrzenia się; ale czyż to nie należało do obowiązkowego stylu Celadona? Bo w takim razie — spyta ktoś — czemu Sobieski nie wystąpił jako konkurent do ręki wzajemnej mu panny? Wszakże i on był nie byle kto; mimo iż za życia matki nie władał jeszcze całą puścizną, majątek jego miał być jednym z największych w Polsce, ród nie byle jaki, warunki osobiste świetne... Czy przy wzajemności i chęci Marysienki mógłby jej nie zdobyć? Czy królowa byłaby nieubłagana, ona, która niebawem miała się przekonać, o ile Sobieski więcej jest wart — nawet dla jej planów — od Zamoyskiego! Prawda, była stara pani Sobieska: czy ona przyjęłaby za synową ubogą cudzoziemkę, pannę dworską, czy dałaby błogosławieństwo? Ale nie wydaje się — przynajmniej nie ma tego śladów — aby Sobieski w ogóle próbował pokonywać trudności. Jeżeli się mamy bawić w psychologię, moglibyśmy wnioskować, że owa miłość od pierwszego wejrzenia jest po trosze legendą, w którą on sam uwierzył, dorobił ją niejako do namiętej miłości, jaką w nim obudziła — już pani Zamoyska; ale że wówczas kiedy poznał pannę d'Arquien, młody pędziwiatr brał rzeczy mniej poważnie niż mu się później zdawało. W całej korespondencji Sobieskiego z Marysienką, gdzie tak chętnie oddaje się wspominkom wspólnej przeszłości, nie ma ani jednego realnego wspomnienia, które by się odnosiło do owych początków. A w którymś z listów już do swojej żony wyrwie

się panu hetmanowi takie wyznanie, mające bardziej przekonujący akcent prawdy niż retrospektywne zaklęcia Celadona:

Najpierw, moja panno — pisze Sobieski z obozu w Podhajcach, w r. 1667, w odpowiedzi na jakieś wydziwianie Marysieńki — ja z natury mojej byłem tak łącznym do ożenienia, jako łączno złączyć wodę z ogniem. Jedną się kontentować miłością nie tydzień, ale dzień jeden było niepodobna.

Można stąd wnosić, że za młodu Celadon był po trosze dziwkarzem. Jak bardzo miał się odmienić! Ale przede wszystkim, wówczas Sobieskiego trzymała wojna i nie puszczała go; jeszcze się nie skończyła szwedzka, a już przyszła siedmiogrodzka: koniec r. 1656 i r. 1657, to lata jego wojaczki przeciw Rakoczemu. Pochłonęło go życie obozowe. Od jesieni 1658 r. bije się znowuż w Prusach Królewskich ze Szwedami; dowodzi pod Sztumem w zastępstwie Koniecpolskiego, oblega Toruń przy Lubomirskim. Ale, pewnego razu, w momencie chwilowego wytchnienia, wpada do swoich Pielaskowic odległych ledwie o kilka mil od Zamościa. Składa zwykłą sąsiadzką wizytę niedawno ożenionemu przyjacielowi Zamoyskiemu i od tego czasu między Sobieskim a młodziutką mężatką nawiązuje się niebezpieczna przyjaźń — flirt — *amitié amoureuse*<sup>61</sup>, w której wykiełkuje aż nadto owo ziarno dawniejszej sympatii, czy nie dość świadomego uczucia. I, jeżeli mamy pozostać w kategoriach Sienkiewiczowskich, nasz Kmicic ani się obejrzy, jak się znajdzie w sytuacji bohatera *Bez dogmatu*... Spostrzeże, że przegapił swoją Anielkę, gdy ta będzie już panią Kromicką.

Sobieski w roli Płoszowskiego, Sobieski dekadentem! Ale czyż ów nasz wiek XVII nie jest po trosze wiekiem „dekadentyzmu”?

## V. KONFITURY

Byliśmy świadkami zaślubin Jana Zamoyskiego z panną d'Arquien. Wszystkie te uczyty, przepychy, wiwaty, drogie kamienie, sobole, mowy weselne, to była poezja życia szlacheckiego, poezja trochę gruba co prawda; jakoż, nazajutrz po ślubie proza odzyskuje swoje prawa. Młoda pani udaje się z mężem do Zamościa; w parę zaś miesięcy później pisze (po polsku, okropną pisownią) do swego podstarościego te słowa: „Panie Wacławowicz. Czyli ja nie pani?... Co wskażę, to na wspak czynią. Czemu tak nie czynią jak przy Jegomości? A to jak rozkazałam baryłę wina posłać, a oni garncami posyłają, a ja się będę musiała wstydić, kiedy kto przyjedzie. Owsa kazałam kilkadziesiąt korcy, a oni dwa posłali. Jakom żywa, takich rządów nie widziałam jako to są. Niech się już odmienia, dla Boga!”...

Czyżby wspaniała Zamoyski miał się okazać sknerą? Bynajmniej; ale gospodarka jego dworu zawsze będzie łączyła przepych z niechlujstwem, drobne braki z szaloną rozrzutnością. I wciąż będzie trwała cicha walka domowników, totumfackich, przyjaciół, pieczeniary, wieszających się przy Zamoyskim i korzystających z niego, przeciw pani domu, która chciałaby rząd domu ująć w swe ręce. Co więcej, sam pan, zamiast wesprzeć powagą swoją pretensje żony, częściej będzie cichym poplecznikiem opozycji.

Nie było jeszcze w Polsce znane pojęcie „kobiety niezrozumianej”; ale to pewna, że jeżeli kto mógłby sobie rościć prawa do tego tytułu, to pani wojewodzina. Oblubieniec sprawił zawód i jej, i jej protektorce. Dzielnym żołnierzem, ale bez większych talentów, jako głowa był raczej zerem. Wesoły kompan, hojny, rozrzutny nawet, niedbały, kochający się w grubym zbytku, popularny, ordynarny, klnący rubasznie, pijak, podagryk — niestety i coś więcej — nie był pan Jan Zamoyski miłym towarzyszem dla wykwiintnej kobiety. Praktyczną Francuzkę drażniło jego marnotrawstwo; pannie chowanej na dworze przykry był dom pełen pijatyk i hałasu. Dzieci też nie miały jej dać pociechy; niewydarzone, marły w wieku niemowlęcym. Zamość obrzydł jej niebawem; gdy mogła, pomykała do Warszawy, gdzie zawsze była mile widziana na dworze.

Bo nawet gdy nie dokuczają drobne kłopoty gospodarskie, w Zamościu jest dość nudno. Grywa się w karty, w ciuciubabkę i w inne zabawy, podczas gdy pan domu zabawia się w swojej kompanii dzbanem; od biedy urządza się szarady i maskarady. Niebawem

<sup>61</sup>*amitié amoureuse* (fr.) — miłosna przyjaźń; przyjaźń z domieszką miłości. [przypis edytorski]

nastęcza się pani Zamoyskiej w tych wiejskich nudach rozrywka, która z czasem staje się czymś więcej niż rozrywką.

Wspomnieliśmy już, że nie dalej niż o kilka mil od Zamościa znajdował się jeden z majątków młodego chorążego koronnego, Jana Sobieskiego: Pielaszkowice albo Pielaszkowice. Sobieski, którego z Zamoyskim, zaledwie o parę lat starszym od niego, łączyła dawna zażyłość, zaglądał tam coraz chętniej; stąd oczywiście sąsiedzkie stosunki, drobne przysługi, z tych znowuż — korespondencja. Sobieski pisał po polsku, z lekka makaronizując francuszczyznę, pani Zamoyska pisała po francusku, dość często mieszając słowa polskie i zwroty. Ale z tej pierwszej fazy korespondencji zachowały się jedynie listy Marysieńki.

Pierwszy list, jaki znamy (przypuszczalnie z r. 1659), daje ton ówczesnego stosunku dwojga młodych. Nie, to nie jest ton dramatu miłosnego; nie dźwięczą tu żadne echa jakiejś przeszłości; to raczej na wpół przyjacielski i wesoły flirt, coraz bardziej nabrzmiewający przyszłymi możliwościami. Sam rozmiar tego listu — kilkanaście ćwiartek pisma, a jeszcze brakuje końca — świadczy, jak skuteczną ta korespondencja jest ucieczką od wiejskich nudów. Jest tam o wszystkim po trosze: o tym że Moskale zapuszczają się często niemal pod Lublin; że mieszkańcy Lublina chronią się do Zamościa; i wpół ironiczna kondolencja z powodu tego, że Jaworów — jedna z rezydencji Sobieskiego — spłonął, a w nim jakoby łaźnia wraz z Czerkieskami (*votre*<sup>62</sup> łaźnia *avec plusieurs*<sup>63</sup> Czerkieski), które się tam schroniły z Ukrainy wiedząc, że Sobieski lubi być protektorem płci słabej, „a to nie byle co, taka reputacja”! Te przyjacielskie sekatury<sup>64</sup> kończą się ruskim cytatem: „Niech pan uważa, żeby panu nie śpiewano jeszcze raz: *Czy ja toby nie mówiła, ne bery Wołoszki...* (Wołoszki czy Czerkieski miały reputację osób ładnych, ale niespokojnych, burzliwych, a także niebezpiecznych dla zdrowia: aluzja byłaby w ustach młodej mężatki dość śmiała!) Potem, wciąż w lekkim tonie, zagaduje pani Zamoyska Sobieskiego o panią podkanclerzynę (Leszczyńską) i dopytuje się go, czy się żeni i kiedy. Rada by, aby się ożenił prędko; to będzie miło mieć tak ładną sąsiadkę! Żałuje, że nie mogłaby być na ślubie, ale za to sama się zaprasza na „przenoszynę”. Mimochodem dość żywa wymówka; gdzie on miał głowę, aby sprzedawać posiadłość, jaką miał tuż koło Zamościa; „to była zawsze siedziba pańskiego ojca” — dodaje Marysieńka, nagle patriarchalna. Niech się koniecznie stara, aby to jakoś odrobić! Potem następuje zawiła historia pieska, którego chciano otruć na złość jej i to jakoby z poduszczenia jej męża; ot, małe niedole pożywania małżeńskiego... „Piszę panu o tych drobiazgach, bo pan sobie tego życzy” — dodaje Marysieńka. Potem prośba o poszukanie obrusów holenderskich i koronek i zlecenie, aby doręczył królowej garnitur szmaragdów, przeznaczony dla jubilera; ale niech dobrze uważa na liczbę kamieni, bo panny dworskie lubią zwęździć jakiś kamyczek...

W drugim z kolei liście, jaki znamy, czuć rosnącą konfidencję, już jakby poczucie wspólnoty. „Niech mi pan doniesie co królowa panu pisze, a ja panu napiszę to co mnie pisze; ale przypuszczam, że to samo: o cesarzu, o elektorze, o carze Moskwy”. Dołącza pani Zamoyska nowiny paryskie i francuskie gazety.

W inny list (1660) miesza się trochę rycerskiej kokieterii: siodło jest niezłe, młoda pani jeździ co dzień konno i strzela czy też fechtuje się: chciałyby znaleźć takiego, co by jej stanął w pojedynku!

Tuż potem wymowniejszy szczegół: giermek Sobieskiego przywiózł dla niego dość duży pakiet; nie zastawszy swego pana (zapewne w Warszawie), oddał pakiet pani Zamoyskiej, z czego jest bardzo rada: listy spaliła. Dowodzi to niewątpliwie daleko już posuniętej zażyłości. Dalej łaje pani Zamoyska Sobieskiego za jakieś zaniedbanie; ale nie rości sobie — pisze — więcej praw do jego względów niż wszelka inna spośród dam, dla których znany jest z uprzejmości...

Ten ciągły system drażnienia, przypiekania, charakterystyczny jest dla Marysieńki i będzie doprowadzał Sobieskiego do rozpaczki jeszcze w czasie wyprawy wiedeńskiej. Ale skutkuje zawsze.

Zresztą trzeba zaznaczyć, że ponawiane aluzje do małżeńskich planów Sobieskiego nie były całkiem bezpodstawne. Była na horyzoncie i owa pani podkanclerzyna Leszczyńska,

<sup>62</sup>*votre* (fr.) — wasza, pańska. [przypis edytorski]

<sup>63</sup>*avec plusieurs* (fr.) — z kilkoma. [przypis edytorski]

<sup>64</sup>*sekatura* — dokuczanie, łajanie. [przypis edytorski]

Radziwiłłówna z domu, młoda i piękna wdowa; były i inne kombinacje. Pod koniec r. 1660 Caillet, przybyły do Warszawy jako agent Kondeusza, donosi swemu panu:

Królowa powiedziała mi, że pan Sobieski, wielki chorąży koronny, młody, bogaty i z wielkiego domu, bardzo by pragnął zaślubić jakąś Francuzkę, krewną Waszej Wysokości. Królowa pytała się mnie, czy nie znam takiej, i dodała, że nie chodzi o to czy ma majątek i czy jest ładna...

Trochę styl drobnych ogłoszeń: „wiek i uroda obojętne”.

Znaleziono w klasztorze we Francji taką ubogą kuzynkę księżącą i na gwałt kazano malować jej portret, aby go przesłać do Warszawy. Ale niebawem Caillet doniósł, że rzecz jest nieaktualna, bo pan Sobieski kocha się jakoby w podkanclerzynie Leszczyńskiej. Marysienka dobrze zwietrzyła rywalkę: ujrzymy niebawem, do jakich heroicznych ucieknie się środków, aby się zabezpieczyć przed tego rodzaju możliwościami. Nie wie jeszcze, co z tym swoim kawalerem zrobi, ale to wie, że jest jej, prawem zdobyczy, i że nie ma go ochoty nikomu odstąpić.

Czas jest wciąż wojenny. Kamieniec, Zamość spustoszone. Sobieski przeważnie jest w polu. W marcu 1660 r. dostał regiment piechoty cudzoziemskiego zaciągu; pisze się pułkownikiem Króla Imci. Potem, z hetmanami Potockim i Lubomirskim, ciągnie na Ukrainę i walczy skutecznie pod Cudnowem (7 październik 1660). Na tę wyprawę, sądząc z dat listów, posyła mu pani Zamoyska szkaplerz i złoty krzyżyk „z piękną relikwią, aby, w razie gdyby go zabito, znaleziono przy nim znak chrześcijanina”. Niechaj ceni ten dar nie dla ofiarodawczyni, ale dla relikwii: wie, że on nie dba o jej łaski, ale też to jest rzecz, którą by zrobiła dla każdego.

Naraz — dość niespodzianie — z innego tonu: ma do niego żal, że w ostatnim liście żądał czegoś, czego ona nie może mu użyć bez obrazy i co on sam osądziłby surowo. Błaga go, aby jej nie stawiał takich żądań, których ona nie może wysłuchać, a których przykro jej jest odmówić. Dostyc go traktuje jako swoje dziecko — pisze ta 19-letnia kobieta do 31-letniego mężczyzny — skoro mu daje swój ulubiony szkaplerz. *Adieu, vivons contents dedans la vertu* — żyjmy zadowoleni w cnocie.

Potem znów drobne wiadomości: uzyskała u pana męża pozwolenie, aby nie stroić głowy po francusku w same włosy, ale nosić z polską (może na intencję kontuszowca Sobieskiego?) czepeczek. Marysienka sarmatyzuje się wyraźnie: kazała sobie też zrobić staniczek „*un peu*<sup>65</sup> z krymska zapięty na bakier”. Kończy się zaleceniem spalenia listu. Istotnie, zaczyna być ciepło.

To znów list melancholijny. Czuje się niedobrze, czeka rozwiązania, ma gorączkę. Wróciły bóle głowy, które ją tak nękały w poprzednich ciążyach. Mąż w obozie, a ona tak zawsze boi się o niego, kiedy go nie ma w domu. Czuje się w otoczeniu nieprzyjaznym, „jak ptak na gałęzi”; wrogowie (pisze), chcieliby ją rozdzielić z mężem, uśmiercić ją, wydrzeć jej dziecko. A przecież wiadomo jest, że ona kocha męża! Tym serdeczniej garnie się do Sobieskiego; czuć, że on się staje owym bliskim człowiekiem, któremu pani Zamoyska ufa, na którym może polegać nawet w poważnych sprawach życiowych. Słowem, mimo że nie są to w ścisłym znaczeniu listy miłosne, są o wiele niebezpieczniejsze; na wszelkie sposoby — może bez jego wiedzy — miłość oplata nierozzerwalnymi więzami młodego rycerza.

Ale kto wie, czy nie najczulsze struny trącała pani Zamoyska w jego sercu, kiedy, wiedzioną instynktem kobiecym, uderzała w ton macierzyński. Jeden z listów rozpoczyna się od nagłówka: *Mon cher enfant*<sup>66</sup>. Po czym następują żarciki niby mateczki wojennej, grające na tym synostwie. Pani Maria boi się, żeby Jej wstydu nie przyniosło wychowanie takiego dziecka jak on. Że jest zanadto rozpustny, że go nie dosyć biła różgą, kiedy był mały. Jeżeli ją kocha, niech myśli o tym, aby dać pociechę jej starości, żeniąc się: ale ona już traci nadzieję; boi się, że on będzie „*toute sa vie un*<sup>67</sup> nic dobrego”.

Matka, Syn, Kochanek

<sup>65</sup>*un peu* (fr.) — trochę. [przypis edytorski]

<sup>66</sup>*mon cher enfant* (fr.) — moje drogie dziecko. [przypis edytorski]

<sup>67</sup>*toute sa vie un* (fr.) — całe swoje życie; *un*: fr. rodzajnik męski przed następującym potem rzeczownikiem. [przypis edytorski]



Słodkie musiały być te strofowania z ust dziewiętnastoletniej ślicznej matczki Sobieskiemu, który przez całe życie cierpiał może na niedosyt pieśczozy matczynnej<sup>68</sup>. Pani Teofila Sobieska była, zdaje się, z owych matek Spartanek, które wciąż mają na ustach owo: „polegnij, synku, polegnij”. Zresztą ta matka dość wcześnie i w dość tajemniczy sposób znika z życia syna. A w tym rycerzu jest, zdaje się, bardzo silna potrzeba pieśczozy, czułości. Ujrzymy później, już u hetmana Sobieskiego, wrażliwość niemal histeryczną, kiedy na przykład w obozie podhajeckim na wiadomość o rzekomej chorobie Marysieńki „paraliż mu u lewej ręki mierzynny palec<sup>69</sup> naruszył”. W innym liście — także już jako hetman — będzie wymawiał Marysieńce, że „kiedy coś narzekał na Dwór i uskarżał się, a Wć. m. s. jeszcze się ze mną sprzeczała, jam dopiero układłszy się, płakał niesłuchanie, pierwszy raz uczynił się mnie żal Wci i poczęłaś mnie Wć obłapiać i wymierzać z tego, perswadując abym się nie turbował. To kiedybyś Wć m. s. zawsze tak była czyniła, to bym się ja był miał za najszcześniejszego na świecie człowieka”. To ciągle domaganie się, zebranie pieśczozy byłoby nieraz u męża, u hetmana, u króla, rażące niemal brakiem godności, gdyby Sobieski nie zachował w nim czegoś dziecinnego, przetrwałego jak gdyby z niezaspokojonych potrzeb wczesnej młodości. I teraz, w twardym życiu obozowym, od tej młodej kobiety dostaje szkaplerzyk, od niej listy macierzyńskie, żartobliwie gderzące, i stopniowo chorąży Sobieski, bez rodziny, bez matki — mimo że żyła jeszcze — w niej, w pani Marysieńce — zanim może jeszcze uświadomił sobie, że ją kocha — znajduje matkę, rodzinę, wszystko. I ona musi to czuć, musi sobie zdawać sprawę, że od dawna w jego sercu zastąpiła matkę, skoro — gdy ta matka z końcem r. 1661 umarła — nie obawia się zrazić Sobieskiego do siebie, kiedy przypominając mu planowaną schadzkę, zaleca bez ogródek, aby się załatwił prędko „z tym pogrzebem” — z pogrzebem matki — tak aby to im nie popsulo okazji widzenia się. Tak może pisać kobieta, która czuje swoją absolutną władzę nad mężczyzną — *la Glu*<sup>70</sup>.

Marysieńka niewyczerpana jest zresztą w chwytach zalotności. Ledwo upomniała Sobieskiego, aby zgotował pociechę jej starości żeniąc się, kiedy dodaje: „a teraz mówmy poważnie”. Mianowicie Sobieski napisał komuś w liście, że jest „melancholiczny dla jakiejś przyczyny”. Jeżeli to ta przyczyna, którą ona przypuszcza, niech nie rozpacza, wszystko będzie dobrze, byleby przyrzekł, że będzie kochał tę osobę czystą, niewinną miłością... Po czym Marysieńka natrąca o wzajemnym zwrocie upominków — czyżby zerwanie! — ale tuż potem dodaje, że „konfitury są teraz całą moją rozrywką”. Konfitury znaczą listy: bo już wkrada się w ich korespondencję umowny szyfr, który będzie coraz bogatszy i coraz bardziej urozmaicony, w miarę jak stosunek ich będzie poufniejszy, a sprawy poruszane w listach sekretniejsze i drażliwsze.

Kończąc te swoje „konfitury”, prosi pani Zamoyska o zwrot zeszytu z piosenkami i przesyła pierwszą część *Cyrusa*; kiedy przeczyta, niech przyśle po następne części. Sama zaczyna czytać *Kleopatrze*, którą Sobieski tak jej zachwalał. Poleca się jego synowskiemu przywiązaniu i upewnia, że jest mu — bardzo oddaną matką.

W tym liście spotykamy po raz pierwszy wzmianki o lekturze, które nas mogą szczególnie interesować, ponieważ wiążą się z ogólnym zagadnieniem kultury umysłowej Sobieskiego. Na ten temat, jak na temat jego paryskiego pobytu, pokutuje wiele fantazji, a co najmniej nie dość rozróżnia się rozmaite epoki jego życia. Zaznaczyłem już, iż nie sądzę, aby ów niecały rok, spędzony przez siedemnastoletniego, nie dość przygotowanego chłopca w Paryżu, miał w tym względzie młodemu Sobieskiemu dać zbyt dużo; potem zaś kończy się wszelka mniej lub więcej systematyczna nauka, a zaczyna się życie czynne: obóz, koń, szabla, a w pauzach kielich i spódniczka. Głębszej kultury umysłowej — jak i charakteru — miał się Sobieski dopracować aż z czasem. Na razie — jak świadczą wzmianki w jego listach — jest on przede wszystkim namiętym pożeraczem romansów,

<sup>68</sup>cierpiał (...) na niedosyt pieśczozy matczynnej — Potwierdzając chłodne stosunki, jakie panowały między Janem Sobieskim a jego matką, prof. Battaglia upomina się o zanotowanie pierwszej miłości Sobieskiego do jakiejś szlachcianki, którą młody Jan koniecznie chciał zaślubić. Matka sprzeciwiła się stanowczo i postarała się, aby ukochaną syna wydano czym prędzej za męża za kogo innego; stąd żal; [Battaglia, Otto Forst de (1889-1965), pol. historyk i krytyk literacki pochodzenia austriacko-włoskiego; w marcu 1938 r. opublikował w „Przeglądzie Powszechnym” artykuł *Brązowanie Marysieńki*, będący odpowiedzią na publikację biografii żony Sobieskiego autorstwa Boy’a Żeleńskiego; Red. WL.]. [przypis autorski]

<sup>69</sup>palec mierzynny — palec środkowy. [przypis edytorski]

<sup>70</sup>la glu (fr.) — lep. [przypis edytorski]

które czarowały współczesnych a które klimatem swoim tak bardzo musiały odpowiadać jego warunkom życia i jego rosnącej miłości do pięknej wojewodziny. Można powiedzieć, że te powieści nadały styl uczuciu pana Jana; że dokonały jego edukacji miłosnej, a może nie tylko miłosnej. Ten ideał „miłości doskonałej”, stworzony przez starego pedanta d'Urfé, a udoskonalony przez starą pannę de Scudéry, on wziął dosłownie, urobił się na jego podobieństwo. Z dawnego szlacheckiego dziwkarza, trzymającego sobie harem z Czerkieskami, stanie się Artamenem czy Celadonem; z wiernej i jedynej miłości zrobi sobie religię. Wbrew temperamentowi, wbrew okolicznościom, uczyni sobie chlubę ze swej wyłączności. I ten styl zostanie mu nawet wówczas, gdy namiętność zwietrzeje po trosze; po dwudziestu kilku latach, listy Sobieskiego ostygną, ale zawsze zostanie w nich ta sama nomenklatura, te same zakłęcia i zwroty, zawsze powrócą w nich, bodaj od czasu do czasu — Astrea i Celadon.

Dlatego godzi się może powiedzieć kilka słów o owych powieściach, które pan chorąży Sobieski pochłaniał tak chciwie i które sobie pożyczali wzajemnie z panią wojewodzina sandomierską. *Kleopatra*, to była oczywiście powieść La Calprenede'a (nie, jak objaśniał Korzon, tragedia Benserade'a pod tym tytułem), wydana w r. 1648 w dwudziestu trzech tomach! Że Sobieski tak lubił *Kleopatę*, to ma swoją wymowę — mimo że nie mógł znać jeszcze aforyzmu Pascala o dziejach świata i nosie Kleopatry, aforyzmu tak aktualnego w historii jego panowania. *Wielki Cyrus czyli Artamenes* (1650), to była wielotomowa również powieść panny de Scudéry. Powieść ta miała dwie fizjonomie, obie dla współczesnych a wtajemniczonych zarówno powabne; jedna, to sam romans, niby to starożytny i wschodni; druga, to jego klucz, wedle którego można było rozpoznać najwybitniejsze współczesne osoby francuskiego dworu i wytwornego Paryża. Cyrus, czy Artamenes, to był Wielki Kandeusz; pod innymi postaciami kryły się portrety wszystkich głośnych dam i panów, zwłaszcza z *Hôtel Rambouillet*, siedziby „wykwintniś”, do których liczyła się za swoich paryskich czasów i królowa Maria Ludwika. Siebie odmalowała skromnie panna de Scudéry pod postacią Safony. *Cyrus* ożywił dla Sobieskiego i napełniał dlań treścią ów Paryż, który oglądał przed laty niedojrzałymi oczami młodzieńca. Nie waham się twierdzić, że te romanse, to był prawdziwy uniwersytet Sobieskiego.

Dodajmy zarazem, że cała orientalna i rycerska strona tych romansów, która dla Paryża była tylko miłą fantazją, dla Sobieskiego, harującego z Tatarami, toczącego boje z półksiężycem, była najżywszą aktualnością. Byłoby może niedopuszczalnym paradoksem spytać się, czy nie więcej od rodzinnych tradycji „mścicielstwa”, owe romanse orientowały wyobraźnię Sobieskiego ku Wschodowi? Odgadła to jak gdyby pani de Sévigné, zawsze z sympatią śledząca jego zwycięstwa, kiedy po Żórawnie — jeżeli się nie mylę — pisze z entuzjazmem w jednym ze swoich listów: „Nie było nic równie wspaniałego od czasu Calprenede'a”. Pani de Sévigné nie mogła wiedzieć, że właśnie romans Calprenede'a o Kleopatrze był ulubioną lekturą Sobieskiego, towarzyszącą mu w namiotach. Ani o tym, że — jak już cytowałem — po Podhajcach pisał: „Ma za co Rzeczpospolita być obligowana *Sylwandrowi*”...

Bo, jeżeli sądzić o tym z jego listów, największe wrażenie musiała na Sobieskim zrobić przedawniona już wówczas, ale wciąż najślawniejsza, wciąż bardzo czytana — w Europie więcej może niż we Francji — *Astrea*, olbrzymi romans Honoré d'Urfé, w pięciu częściach, z których pierwsza ukazała się w r. 1610, druga w r. 1620, ostatnią zaś wydano z papierów autora; — umarł, nie ujrawszy końca swego dzieła. Jest to sielanka pasterska, z akcją pomieszczoną w w. VII, ale podobno też z utajonym kluczem do epoki Henryka IV i intryg miłosnych jego dworu. Pasterz Celadon kocha pasterkę Astreę. Aby zapewnić tajemnicę swemu szczęściu, umawiają się, że on będzie udawał iż kocha inną pasterkę. Podstęp ten staje się źródłem ich nieszczęścia. Ktoś rzuca podejrzenie na wierność Celadona, Astrea odrzuca go, Celadon idzie rzucić się w rzekę. Astrea, poznawszy swój błąd, rzuca się również w rzekę, ale ją wyratowano. Z Celadona został tylko kapelusz na brzegu oraz list świadczący o jego śmierci. Tymczasem Celadona ratuje nimfa Galatea, która się zakochuje w pięknym pasterzu; szczęściem, Celadon uwalnia się od niej, ale nie śmie się zbliżyć do Astrei, która zabroniła mu zjawić się niewywanemu przed jej obliczem. Celadon zapoznaje się z Sylwandrem, kochankiem Diany, przyjaciółki Astrei; za jego pośrednictwem przesyła ukochanej list, z którego ta poznaje jego niewinność.

Szuka go tedy, odnajduje pod przybranym nazwiskiem, i po nieskończeniu zawikłanych przygodach, kochankowie łączą się wreszcie.

Gdyby ktoś wątpił, czy w tym temacie znajdzie się treści na pięć tomów, po tysiąc kilkaset stron każdy, zaświadczy o tym kilka pokoleń, które się karmiły tą powieścią. Wrażenie, jakie zrobiła na Sobieskim, musiało być głębokie, skoro przez kilkadziesiąt lat szpikuje swoje listy zaczerpniętymi z niej aluzjami, czyniąc się to Celadonem, to — rzadziej — Sylwandrem. I tak samo jak tryumfem *Pawła i Wirginii* jest to że Napoleon miał tę książkę pod poduszką w czasie kampanii włoskiej i czytając ją płakał, tak samo prawdziwą nieśmiertelność powinny by dać powieści d'Urfégo owe urocze listy kreślone do żony z obozu w Kamieńcu, gdzie nasz bohater pisze o sobie że „Celadon rad by się przemienił w pleszkę (pchelkę), nie żeby inkomodował<sup>71</sup> tak jak ona Dobrodziejkę swoją, ale żeby się przynajmniej tykał tak ślicznego i delikatnego jej ciała”, albo gdy z obozu w Podhajcach — w wilię bohaterskiego czynu — skarży się, pisząc do bawiącej w Paryżu Marysieńki, że „jedno to tylko miejsce *du palais enchanté* (dwór francuski) tak szczęśliwe, do którego z tak wielką spieszyła się Wc m. s. passyą; i wiem, że gdyby na jedną położono go szalę z miłością przeciw Celadonowi, wiem żeby nieboraka Celadona tysiącem i drugim przeważyla funtów”. Mdły styl romansu Urfégo, przefiltrowany przez naiwną a męską duszę bohatera, zrodził w Sobieskim jako amancie ową nieporównaną cierpliwość, rezygnację, wyrozumiałość, wielkoduszność, która nieraz czyni listy Sobieskiego czymś doprawdy bardzo wzruszającym.

Dla oceny stosunków pana chorążego z panią wojewodzina nie od rzeczy będzie może zaznaczyć, że imię Astrei przeszło do terminologii miłosnej dla oznaczenia kobiety uroczej i tkliwie kochanej, ale zarazem nieubłaganej surowej, „bardziej z zalotności niż z prawdziwej cnoty”. A Celadon służy na określenie potulnego kochanka, platonicznego wdychacza. Taki też charakter ma i ten stosunek. Jak długo, zobaczymy.

Na razie korespondencja urywa się na jakiś czas, a przynajmniej nie mamy jej śladów. Czyżby zerwanie? Wprost przeciwnie, raczej zbliżenie. Po prostu listy są niepotrzebne, bo Sobieski, a zapewne i Marysieńka, są na dłuższy czas w Warszawie. Sobieski — jako poseł. Bo popularność jego rosła tymczasem; już w r. 1659, w przerwach między wojowaniem, posłował na sejm; kiedy zaś na wiosnę w r. 1661 niezapłacone (jak zawsze) wojsko zawiązało konfederację, Sobieski jest jednym z dwunastu posłów, którzy mieli zanieść sejmowi zażalenie armii.

Otóż w dzień św. Jana r. 1661, w kościele oo. Karmelitów w Warszawie, zjawili się przed ołtarzem mężczyzna w sile wieku, wspaniałej postaci, oraz niezwykle piękna młoda kobieta. Zbliżyli się do ołtarza, zaprzysięgli sobie — czy też tylko on zaprzysięgł? — dozgonną wiarę i miłość, i na pamiątkę ślubowania zamienili pierścionki. Mężczyzną był Sobieski — był to właśnie dzień jego patrona — kobietą wojewodzina Zamoyska. Te „karmelitańskie śluby”, to nie plotka; to uroczysty fakt, na który nieraz Sobieski powoła się w swoich listach — w swoich „konfiturach”.

Bo znów trzeba będzie wrócić do konfitur. Na przekór ślubom, pan Zamoyski żył i jeszcze nie tak prędko miał rozstać się z tym światem.

Zatem banalne „ich troje”? Nie; raczej „ich czworo”. Bo jako czwarta wda się w to — polityka, ucieleśniona w osobie Marii Ludwiki. Nie wiedząc o tym, w kościele Karmelitów Sobieski zaprzysięgł wierność nie tylko Marysieńce, ale także królowej i jej planom.

## VI. *Vivente rege*

W jednym z listów — jeszcze w r. 1660 — zapowiada pani Zamoyska Sobieskiemu jakieś szczególne historie. „Nie tylko szczególne ale i straszliwe” — pisze. — Obiecuje opowiedzieć mu je ustnie, za najbliższym widzeniem się; nie może tego zrobić listownie, bo „wmieszani są w to wszyscy i król i królowa”. I tak już powiedziała za wiele: niech nikomu ani o tym nie wspomina, ani jej o nic listownie nie pyta; ostrzega go, że otwierają wszystkie listy.

Tajemnica. Ale niemniej tajemniczo — choć bardziej prywatnie — brzmi nam list o miesiąc późniejszy, w którym pani Zamoyska prosi Sobieskiego, aby wraz z pisarzem

<sup>71</sup>inkomodować — niepokoić, denerwować. [przypis edytorski]

koronnym, panem Sapięgą, użyczył jej pomocy w delikatnej sprawie: chodzi o skłonienie jej męża, Zamoyskiego, aby wypędził osoby, które ją obraziły. Zarazem chodzi o wstawnictwo Sobieskiego i Sapięhy do hetmanów, aby starostwo darowane przez męża pani Zamoyskiej było zwolnione od świadczeń kwaterunkowych. I tu następują słowa: „Królowa powiada, że trzeba, aby pan pokazał w tej sprawie, czy pan jest moim przyjacielem”...

Jakoż królowa coraz częściej pojawia się w listach pani Zamoyskiej. W kwietniu r. 1661, dając się o coś na swojego Celadona, Marysieńka donosi, że nie pisałaby do niego, gdyby królowa tego nie zażądała. Jest to moment bardzo niewygodnej, nawet groźnej dla dworu konfederacji wojskowej: królowa chciała sparaliżować konfederację, podsuwając jej za marszałka swojego człowieka; teraz powiada przez usta Marysieńki, że „gdyby niemożliwe było zapobiec tej konfederacji, będącej nieszczęściem dla Polski, trzeba — w razie gdyby Sobieski (lub Sapięha) nie chciał być marszałkiem — niech się choć Sobieski postara o to, aby został marszałkiem jakiś przyzwoity człowiek” (co znaczy: stronnik dworu). Marysieńka zaleca Sobieskiemu, aby spalił list.

Widzimy więc, w epoce bezpośrednio poprzedzającej owe sentymentalne „karmelitańskie śluby” coraz więcej elementów innej natury, wciskających się w ten romans. Widać, że Sobieski brnie: że go gdzieś na jedwabnej nitce prowadzą i że, nim się opatrzy, zajdzie dalej niż zamierzał i niekoniecznie tam gdzie by chciał. Z jednej strony narzucono mu dwuznaczną rolę jakby urzędowego protektora pani Zamoyskiej, na razie mającego pośredniczyć między nią a mężem, ale niebawem mającego bronić jej interesów przeciw mężowi; z drugiej — coraz bardziej spoza miłości wysuwa łapę intryga polityczna, mająca uczynić tego popularnego już wśród szlachty tęgiego żołnierza powolnym choć mało entuzjastycznym popiecznikiem polityki dworu. Skutek będzie ten, że popularność Sobieskiego aż nazbyt szybko pryśnie, a on sam stanie się na przeciąg kilku lat nie tylko człowiekiem najbardziej zdyskredytowanym politycznie, ale co więcej, przedmiotem powszechnego zgorznięcia i skandalu. Uwodziciel cudzych żon, rozpustny „Kalgula” — referując tu opinię braci szlachty — stanie się w dodatku dwuznacznym dygnitarzem, karierowiczem, fartuszkowym hetmanem, bohaterem wojny domowej, w dodatku szkaradnie w tej wojnie przetrzepanym, winnym rozlewu krwi bratniej... Szczęściem, wszystko to minie; nadejdą dni tryumfu, powrócą dni chwały i cnoty. I jeszcze parę razy koło fortuny się obróci... Bo te periodyczne przyplawy i odpływy popularności, sławy, szczęścia są dla losów Sobieskiego dość znamienne.

Czy owa historia „nie tylko szczegółna, ale straszliwa”, o której pisze — a raczej nie pisze — pani Zamoyska, była tą wielką sprawą, którą ważyła w duchu od dłuższego czasu Maria Ludwika? W każdym razie, dla zrozumienia sytuacji Sobieskiego i Marysieńki w ciągu tych przełomowych lat ich życia, konieczne jest w krótkości bodaj przedstawienie tej sprawy.

Było nią, ni mniej ni więcej, tylko przeprowadzenie za życia króla — *vivente rege*, formuła, która miała Polskę rozpalić namiętnościami i rozedrzeć ją wojną domową — elekcji jego następcy i osadzenie go — w razie domniemanej abdykacji Jana Kazimierza — na dziedzicznym tronie polskim. Był to zamach na jedno z najbardziej zasadniczych praw ustroju, na elekcyjność tronu; przy czym osoba pierwszego dynasty miała być raczej narzucona niż wybrana. Trzeba więc w kilku słowach objaśnić, jak urodziła się ta zuchwała myśl — i to w głowie kobiety. Bo autorką planu i jego namiętną bojowniczką była Maria Ludwika.

Widzieliśmy w pierwszych latach królowania Marię Ludwikę zatroskaną o swoją przyszłość w razie śmierci schorowanego króla Władysława. Ustaliło jej sytuację drugie małżeństwo, z Janem Kazimierzem, ale zarówno córka, urodzona z tego związku w r. 1650, jak syn, urodzony w r. 1652, pomarli w niemowlęctwie. Znów w razie śmierci króla lub jego abdykacji, małżonka jego zapadała się w nicość, co nie odpowiadało czynnej i ambitnej naturze Marii Ludwika. Niebawem przyszły chwile ciężkiej próby: najazd szwedzki. W momencie tym Maria Ludwika jeżeli nie stała się Polką, w każdym razie stała się w całej pełni królową polską, myślącą kategoriami historii i państwa. A zarazem bierze rzecz po trosze sportowo: z całą pasją wygraną tej partii. Czuć to w owych tak sympatycznych jej listach do przyjaciółki, pani de Choisy, pisanych z wygnania w Głogo-

wie, gdy obudzony kraj, w znacznej części za sprawą królowej, coraz energiczniej zaczyna wypierać Szwedów:

Otrzymałam twój list z 12 maja (1656), pełen radości z powodu dobrych wiadomości tutejszych. Przyznasz teraz, że gdym wyliczała siły tego królestwa, nie byłam zanadto chępliwą! Może prędzej uwierzysz mi teraz, gdy ci powtórzę, że Polska jest niezrównanym królestwem, którego sami krajowcy nie doceniają, a które niweczy wolność ich, nie okiełzana porządkiem. Lecz jeśli kiedykolwiek do rządu samowładnego dojdzie, świat cały podbije.

Po czym królowa — z kobietą już przesadą — dodaje: „a jeśliby je król szwedzki posiadał, za dziesięć lat nie byłoby ani jednego katolika w Europie”.

„Wolność nieokiełzana porządkiem”. Tę wolność okiełzać, wydobyć z Polski utajone w niej siły, stało się wielką myślą Marii Ludwiki. Bo niesprawiedliwością byłoby widzieć w jej grze jedynie egoistyczne rachuby. Za jedną z głównych przyczyn słabości Polski uważała królowa brak ciągłości dynastycznej, brak silnej władzy, absurd elekcji *viritim* i demagogii szlacheckiej. Póki starczyło Wazów — tego surogatu Jagiellonów — wolność elekcji była ograniczona obyczajem następstwa; obecnie — jak się to niebawem okazało po abdykacji Jana Kazimierza — miała iść na kaprys zupełnego hazardu.

Myśl kreowania przyszłego króla Polski zrodziła się w czasie potopu szwedzkiego, kiedy w zamian za pomoc przeciw najęźdźcy daremnie częstowano wszystkich dokoła widokami polskiej korony. Później, spokojniejszym czasem, wzrok Marii Ludwiki obrócił się — co było u niej najnaturalniejsze — w stronę Francji. Okoliczności chciały, że myśl królowej polskiej zesłała się z najistotniejszymi interesami polityki francuskiej. Osią sytuacji europejskiej przez cały w. XVII jest rywalizacja między Francją a Austrią. Osadzić francuskiego księcia na tronie polskim, związać Polskę trwałym węzłem z Francją, wziąć — wedle wyrażenia Mazarina — „cesarstwo w kleszcze między Francją a Polskę”, oto plan wychodzący naprzeciw projektów królowej i czyniący na jakiś czas kwestię polską ośrodkiem polityki europejskiej. Na ten cel płynęło przez szereg lat złoto z Francji do Polski, a wielki minister finansów Colbert mawiał do swego pana: „Wścieka mnie tysiąc funtów wydanych na ucztę, ale kiedy chodzi o miliony dla Polski, zastawiłbym w potrzebie mienie żony i dzieci, chodziłbym całe życie pieszo, aby na to znaleźć!” Przy pomocy tego złota tworzyła Maria Ludwika partię francuską w Polsce: za wiele na tym złocie budowała — i w rezultacie przegrała partię.

Przyczyną niepowodzenia było może i to, że królowa chciała osiągnąć swój cel zbyt niecierpliwie, zbyt gorączkowo i namiętnie. Związała z tym planem wszystkie swoje pragnienia i nadzieje, postawiła wszystko na tę kartę. Złożyło się na to wiele przyczyn. Politycznie Maria Ludwika czuła się niezawisłą królową Polski i odrzucała wszelki cień wasalstwa wobec Francji. „Nie słyszałam nigdy, aby korona, którą noszę, miała być zależna od jakiegokolwiek innej korony” — ciska dumnie posłowi Francji, w odpowiedzi na niezręcznie przezeń użyty wyraz: „zależność”. Ale niewątpliwie wiązało ją z Francją tysiąc nieuchwytnych nici, wspomnień, związków z kulturą francuską. Stali korespondenci informowali królowę o wszystkim, co się działo w Paryżu i na dworze; nie upłynął prawie dzień, aby nie miała stamtąd listu, była wtajemniczona we wszystkie zdarzenia, ploteczki nawet. Był to przecie świt tryumfalnej epoki młodego Ludwika XIV, epoki ślącej na całą Europę blaski nowego stylu królewskość; nie dziw, że się w tę stronę obracały oczy królowej. W r. 1920 wydał p. Emile Magne listy Kondeusza i syna jego księcia d'Enghien — owych dwóch niedoszłych królów Polski — do Marii Ludwiki: czuć z tej korespondencji, jak bardzo nasza królowa była myślami we Francji. Nie zapomnijmy wreszcie o tkliwych węzłach, jakie miały ją łączyć z bohaterskim Kondeuszem w zaraniu jego młodości. Ożenić syna Kondeuszowego ze swoją zaadoptowaną siostrzenicą (bo taki miał być serwitut polskiej korony), z przybraną córką obojga królestwa, zapewnić obie prawa królowej-matki, czyż to nie znaczyło dla Marii Ludwiki — obok trwałej królewskość — stworzyć sobie prawdziwą rodzinę, przenieść do Polski część Francji, i to jedną z najświetniejszych! Wówczas Jan Kazimierz mógłby sobie abdykować. Trudno o misterniejsze zaszczepienie rodu *Condé* na pniu Wazów, szczepionych znówuż na Jagiellonach.

Nie od razu koncepcja ta skryształizowała się tak wyraźnie. Kondeusz, niedawny buntownik i banita, był w niełasce u Ludwika XIV, który zrazu nie chciał słyszeć o nim ani o jego synu. Zmacano z kolei młodego księcia de Longueville; puszczono w ruch przyszłego św. Wincentego a Paulo, aby panią de Longueville życzliwiej usposobić dla sprawy, wymagającej poważnego finansowego wkładu. W końcu, po wielu skomplikowanych fazach rokowań, Ludwik XIV upoważnia Kondeusza, aby dla swego syna traktował o koronę polską. Kiedy Mazarin umiera w r. 1661, Ludwik ujmuje sprawę w swoje ręce i tym energiczniej popiera tę swoją pierwszą wielką polityczną imprezę, otwierając na ten cel poważne kredyty. Gdyby to nie było tak daleko, myślałby o tym, aby posłać pomoc i w ludziach... Raz się zaangażowawszy, młody Ludwik XIV, stawiający pierwsze kroki w samodzielnej polityce, uważa elekcję polską za kwestię swego honoru. Jakoż we wrześniu r. 1661 staje w Fontainebleau tajny traktat francusko-szwedzki, mający ścisły związek z przygotowywanym w Polsce zamachem stanu. Wojska szwedzkie miały na dany znak wtargnąć do Polski i narzucić siłą Francuza.

To daje miarę, do jakiego stopnia Maria Ludwika brała w rachubę jedynie mechaniczne środki rządzenia, nie licząc się z uczuciowymi imponderabiliami nie dość przez nią rozumianego kraju. I to zapewne stało się główną przyczyną niepowodzeń.

Mówimy w całej tej sprawie o królowej, ponieważ ona była jej sprężyną. Król zostawił jej w tym wolną rękę. „Królowa prowadzi króla jak mały Etiopczyk słonia” — pisał współczesny dziejopis Rudawski; „jak niedźwiedzia na łańcuchu” — mówi pamiętnikarz Jerlicz. I to było wiadome. Ambasadorowie mają rozkaz okazywać szacunek królowi, ale przede wszystkim upewnić się w każdej rzeczy co do zgody królowej. W czasie sejmu, na którym Jan Kazimierz wygłosił swoją pamiętną mowę, Maria Ludwika z umyślnie urządzonej łoży śledziła bieg obrad, magnetyzowała króla swoim wzrokiem.

Kiedy przejrzeć literaturę historyczną, spotyka się najsprzeczniesze sądy o Marii Ludwice. I różni historycy oceniali ją rozmaicie, i różne epoki były na nią mniej albo bardziej łaskawe. Dla jednych jest to wielka głowa i wielki charakter podejmujący trud odrodzenia Polski; wcielenie politycznego rozumu i polskiej racji stanu. Dla drugich była to ambitna kobieta, dążąca niecnymi drogami do samolubnych celów; demoralizatorka, od której zaczyna się w Polsce korupcja i polityczny cynizm. Pomiędzy tymi dwiema skrajnymi opiniami znajdują się sądy wszystkich odcieni.

Ale jak bądź by na to patrzeć, zdaje się, że najsłabszą stroną zamiarów Marii Ludwiki było to, że były one — bodajże niewykonalne. Aby ukrócić przywileje magnatów i szlachty, nie miała królowa innej siły niż tę właśnie szlachtę i tych magnatów. Urzędy koronne były dożywotnie, od tronu niezawisłe, a posiadacze ich mieli wszelkie powody lękać się widma *absolutum dominium*, które wiązano z elekcją Francuza; wolności szlacheckie były dla szlachty czymś w rodzaju religii, której tknąć nie pozwalała nawet myślą. Na stworzenie siły wojskowej, zależnej wyłącznie od króla, trzeba by pozwolenia tejsze szlachty. Aby ten stan rzeczy zreformować, aby ukrócić wybujałe wolności, trzeba by siły moralnej zdolnej do przeobrażenia pojęć, albo też siły faktycznej. Na to wszystko Maria Ludwika miała tylko jeden sposób: kupować ludzi, sypać pensje francuskie. Kto nie był na tej pensji! nawet surowy Czarniecki figuruje na liście z sumą 12 000 funtów rocznie. Ale trudno było kupić cały kraj; opłacano więc najwplywowszych, co znów budziło głęboką niechęć szaraków, niechęć spotęgowaną obcością francuskiego obyczaju. A znowuż magnaci byli za bogaci, za potężni, aby ich można było wprost kupić; brać, brali; ale od brania do dotrzymania było daleko. Przeciwna strona dawała także, czasem dawała więcej. Było sporo takich, co brali z dwóch stron: tak np. późniejszy hetman Jabłonowski — jedna z najdostojniejszych osobistości epoki — będąc na stałej pensji francuskiej, brał najspokojniej przez całe lata pensję austriacką. Ale to się wydało dopiero po dwustu latach. Naprawdę więc Maria Ludwika mogła liczyć tylko na kilku ożenionych z Francuzkami „zięciów dworu” i, z tych samych przyczyn, na — Sobieskiego. Przywieziony z Francji korpus damskich janczarów spełnił swoje.

Ale to nie mogło wystarczyć. Nie miał dwór polski miecza, aby karać jak Richelieu. Nie miał tych stopniowań łaski i niełaski, jakie umiał stworzyć Ludwik XIV, który potrafił samą obecność na dworze uczynić szczęściem, a oddalenie najcięższą karą. O dwór króla polskiego magnat nie dbał; sam był królikiem na swoim zamku. Był większym panem, bo żaden poseł na żadnym sejmie nie mógł mu rzucić w oczy zniewag tak jak mógł

je rzucać królowi. Za przykład nieuchwytności pana polskiego może służyć w tej sprawie Jerzy Lubomirski. Cała rzecz w ciągu kilku lat kręci się koło zgody lub niezgody, humoru lub niehumoru marszałka koronnego i hetmana polnego, najpopularniejszego podówczas w Polsce człowieka.

Wchodziły tu może w grę i pewne subtelności. Królowa nie miała dość zręczności czy dość taktu, aby się schować za króla. Występowała zbyt osobiście. Otóż Polacy nie byli nawykli do kobiecych rządów i bardzo ich nie lubili. Kiedy związek, mający na celu elekcję księcia d'Enghien, ogłoszono oficjalnie jako istniejący pod opieką „Jej Królewskiej Mości”, wystarczyło to, aby Lubomirski odmówił podpisania aktu. Nie w smak była ta spódnica, poza którą krył się — tak się obawiano — katowski miecz Richelieugo.

Tak więc, Maria Ludwika okazała się w tym wszystkim i rozumna, i nierozsądna, i wielka kalkulatorka, i nieumiejąca obliczać sił, i zręczna, i niezręczna. Trzeba nam było o niej pomówić, ponieważ z jej szkoły wyjdzie Marysienka. Ta odziedziczy jakoby wszystkie wady Marii Ludwiki, a żadnej z jej zalet — orzekną najsurowsi sędziowie Marii Kazimiery. A jednak zdaje się, że częściej i skuteczniej osiągała swoje cele Marysienka.

Kiedy kandydatura francuska stała się oficjalną, stronnicy jej przybrali rodzaj specjalnej barwy: czarne kontusze i zielony żupan przy długich czuprynach: po tym poznawali się „elektorowie kondeuszowscy”. Mieli też specjalne medale jako znak rozpoznawczy. Ale równocześnie gotowała się kontrofensywa. Na wiosnę, jak już wspominaliśmy, nieopłacone wojsko zawiązuje konfederację, tę właśnie, której marszałkiem królowa rada by widzieć Sobieskiego. Marszałkiem został niejaki Świderski, „pijak okrutny” ale „człowiek prosty i szczery” — wedle opinii współczesnych. Konfederacja rozszerza się; zamienia się w „świętą sieć”, *nexus sacer*, stając się duszą oporu przeciw planom królowej. Aby tym skuteczniej zaszachować te plany, wysunęli skonfederowani projekty daleko idących reform; zaprzysiężono strzec patriotycznie dawnych wolności, ale zarazem tępić fawory i korupcję, zwalczać kumulację wielkich urzędów, ich dożywotność i niezawisłość od króla. Dwór miał do wyboru, albo oprzeć się na kupionych magnatach, albo na masie szlacheckiej; cóż, kiedy w tej masie pierwszym hasłem było: „Precz z Kondeuszem!”. W zaślepieniu królowa posunęła się do tego, że planowała sprowadzenie Tatarów na skonfederowanych, czemu zapobiegł Jerzy Lubomirski, uważając ten sposób za „nazbyt okrutny”. Bo z Tatarami bywały okresowo wcale czułe stosunki; w czasie najazdu szwedzkiego jedyni prawie Tatarzy wspomagali Polskę, a królowa w listach prywatnych pisała o chanie: „brat mój chan”.

Taka była sytuacja polityczna w dobie „karmelitańskich ślubów” Sobieskiego. Toteż może trzeba w nich widzieć coś więcej niż samo porozumienie dwojga serc. Gdy ze strony Sobieskiego występuje coraz bardziej zagarniająca go namiętność, rola jego partnerki jest bardziej złożona. Jest tu zapewne i szczerą skłonność; ale są i rachuby młodej kobiety, cudzoziemki w obcym kraju, tracącej oparcie i szukającej innego. Może przeczuwała rychłe wdowieństwo, może — mimo że krok byłby na owe czasy bardzo śmiały — myślała o rozerwaniu niedobranego związku. Ale równocześnie Marysienka, którą współczesny francuski dyplomata charakteryzuje jako „kobietę przebiegłą, bardzo zręczną i z dzieciństwa zaprawną do intryg”, była tu może i narzędziem wyższych kombinacji. Za dużo już ma interesów królowa do Sobieskiego, a pośredniczką jej jest stale pani Zamoyska. I w położeniu, w którym Maria Ludwika tak bardzo potrzebowała stronników, Sobieski — zwłaszcza po tych ślubach — był bodaj jedynym człowiekiem, którego mogła być naprawdę pewna. Nie dlatego że już w r. 1661 Sobieski figuruje na liście francuskiej z pensją 4800 funtów, która to suma w r. 1662 podniosła się do 8000, a z czasem miała urósć do 20 000 funtów. Nikle to sumy dla magnata, do którego należał spory szmat Polski; większą też z pewnością rękojmią wiary Sobieskiego była właśnie ona, Marysienka. Można przyjąć niemal z pewnością, że owe „śluby” nie odbyły się bez wiedzy królowej, może były jej pomysłem? To pewna, że odtąd, aby dobrze rozumieć konflikty sercowe Sobieskiego i Marysienki, trzeba równocześnie mieć na oku najważniejsze sprawy poruszające Rzeczpospolitą.

Przełom odbija się w korespondencji. Dwa krótkie listy Sobieskiego, które rozpoczynają wydawnictwo Helcla i które Helcel odnosi do r. 1664, raczej — jak to trafnie skorygował Korzon — należałoby przenieść na ów gorączkowy okres sejmu warszaw-



skiego w r. 1661. Inny już ton tych listów. Tempo galopujące, nie ma dawnych peryfraz, nie ma mowy o cnocie. „Królowo serca” — tymi słowami zaczyna się krótki bilecik oznajmiający, że „gdzie mi się tedy obrócić rozkażą, czekam na wyraźne rozkazy Pani i Dobrodz. mojej, której jedyną tylko nad sobą uznawam władzę i uznawać będę — póki jej panowanie trwać będzie” — dodaje z bezwiednym jezuityzmem Sobieski. I drugi liścik jeszcze gorętszy, w którym wymawia Marysieńce że nie odpisuje „kiedy mogę mieć ten honor śliczną W. Pani obaczyć twarz: na czym mi więcej zależy, niżeli na tych wszystkich światowych chimerach, które ja za nic nie mam bez swej ślicznej Jutrzenki i bez jej posesysi. Zmiłujże się tedy moja święta Dobrodz. a oznajmij mi prawdziwe serca swego intencje i gdzie i kiedy mam widzieć śliczności Wci Dobrodz. mojej?”

Nie rozstrzygając na razie, czy już wówczas doszło do istotnej „posesysi”, czy też ową posesyją mamy brać figurycznie, musimy stwierdzić, że i listy pani Zamoyskiej z owego okresu świadczą o całkowitym niemal zespoleniu jej życia i interesów z osobą Sobieskiego, przy czym mąż sprowadzony jest do roli kłopotliwej zawady. Już wcześniej, w owym liście, w którym Marysieńka zalecała Sobieskiemu „załatwić się prędko z tym pogrzebem” — mowa o pogrzebie jego matki — pisze dalej, oczywiście używając owego francuskiego *vous*, które jest czymś mniej niż „ty”, ale więcej niż „pan”:

„Nie baw się nigdzie, jeżeli chcesz, abym wierzyła w twoją, punktualność w tym czego pragnę od ciebie, a czym w istocie jest chęć rychlejszego cieszenia się obecnością, Celadona, bez którego Astrea nie może być szczęśliwa. Wierz w to i bądź uważny. *La flute* powiedział do *triktraka*, skarżąc się na mnie: »Ona chce, żebym wygnał moich ludzi i że przez nich przykrzy się jej życie tutaj; nie, nie rozstanę się z nimi nigdy, niech sobie idzie gdzie się jej podoba, nigdy tego nie zrobię dla niej«. Oto piękna nadzieja, jaką mi daje!”

*La flute* — „fujara” — oznacza jej męża, Zamoyskiego. Odtąd stale pojawia się w listach ten nazbyt przejrzysty kryptonim, określający trochę bezceremonialnie pana wojewodę.

Parę słów trzeba powiedzieć o tych kryptonimach, gdyż bez klucza do nich korespondencja Sobieskiego z Marysieńką bywa niezrozumiała. Im bardziej rosła poufność ich uczuć i interesów, tym bardziej czuli potrzebę własnego szyfru. Był to zresztą zwyczaj bardzo rozpowszechniony wobec niepewnego losu listów. Ich umówiony słownik jest częścią natury miłosnej, częścią — zwłaszcza później — natury politycznej. Im Sobieski posuwa się wyżej w godnościach, tym bardziej jest zagrożona jego tajemnica listowa; zdaje się, że dwór chętnie kontrolował korespondencję swoich dygnitarzy i wodzów. Tak więc, zrazu spotykamy się z szyfrem niewinnym; samego Sobieskiego oznaczają terminy: Celadon, Orondat, Sylwander, panna Beaulieu, *la poudre*, i in.; Marysieńkę — Astrea, róża, bukiet, jutrzeńka, *les essences*<sup>72</sup> i in. *Konfitury* — jak już wiemy — oznaczają list; *odór* oznacza zdrowie albo życie; *intelligence*<sup>73</sup> — rozwód, bo i o rozwodzie będzie tutaj mowa. *Les oranges* — pomarańcze — to miłość. Potem wkradają się kryptonimy natury politycznej, przy czym zauważyć należy ich odcień, *zaszczytny*, gdy chodzi o dwór francuski, a dość pogardliwy, gdy chodzi o polski. Tak, Ludwik XIV jest orłem — *l'aigle*, ale Jan Kazimierz tylko *marchand de Parts* albo po prostu *kupiec*, lub *aptekarz*. Wersal, to *palais enchanté*; ale Warszawa — *jeu de paumes* — boisko do gry w piłkę. Królowa, to *Hamaleon* albo *la girouette* — chorągiewka na dachu — albo czasami *kupców towarzyszy*; *marchandise* (towar), to korona polska. Czasem ważniejsze osoby oznaczone są umówionymi liczbami; czasem wreszcie partie listu pisane są całkowicie szyfrem.

Nie można powiedzieć, aby postać Sobieskiego zyskała na tym zbliżeniu się do dworu, na tym wejściu w atmosferę intryg politycznych i kobiecych. Bardziej mu było do twarzy na koniu, w obozie. Obecnie rola jego jest dość dwuznaczna. Lawiruje; chciałby zachować i ufność dworu, i mir u szlachty. Jeżeli nie chciał czy nie mógł zostać marszałkiem konfederacji po to, aby jej kark skrócić, niemniej gra rolę dość dwulicową, posłując od konfederacji do sejmu, a równocześnie współdziałając w planach dworu, pobierając cichą pensję francuską, podpisując tajny czolobitny adres do Kondeusza. I zapewne podpisywał go bez entuzjazmu; frankofilem był przez Marysieńkę, ale natura raczej musiała go ciągnąć do obozu konfederackiego, którego kult szlacheckich swobód całym swoim

<sup>72</sup>*les essences* (fr.) — esencje; olejki, perfumy. [przypis edytorski]

<sup>73</sup>*intelligence* (fr.) — tu: porozumienie, zmowa. [przypis edytorski]

polskim temperamentem podzielał. Jeszcze mniej smaczną czyni rolę jego okoliczność, że używano go do tych posług, do pośrednictwa między dworem a związkowymi, do matactw i przekupstw, wspólnie z przywróconym do łaski Hieronimem Radziejowskim. Miejmy nadzieję, że brzydszą część roboty zostawiał Sobieski bardziej w tym fachowemu ciotecznemu bratu.

Ale w tym momencie zachodzi fakt, który wytwarza nową sytuację w jego życiu. Wiosną r. 1662 pani Zamoyska prawie ukradkiem, nocą, zabierając ile się dało pieniędzy, opuszcza Zamość i udaje się do Paryża. Wyjazd ten rozlega się głośnie echem po Polsce; zgorszenie zaś wzmagają się jeszcze, kiedy się rozchodzi wiadomość, że młoda pani, wyjeżdżając, zarząd nad dobrami, które otrzymała w darze od męża, zleciła aż nazbyt bliskiemu jej Sobieskiemu i jego alter ego<sup>74</sup> — Sapieże. Niebawem zaczynają krążyć pogłoski, że Sobieski ma jechać za nią, że się wyprzedaje z majątków i wynosi się na dobre do Francji! Ale nie przerażajmy się tym skandalem; będą gorsze. Zaczemu Sobieskiemu miało być dane zaopatrywać w ciągu kilku lat kronikę skandaliczną Polski.

## VII. NOWE KONFITURY

W archiwum XX. Czartoryskich w Krakowie znajduje się teczka zawierająca sto osiemdziesiąt kilka listów Marii Kazimiery, a mianowicie z dwóch okresów: z czasu gdy była jeszcze panią Zamoyską i z czasu gdy już była wdową po królu Janie. Listy z okresu wdowieństwa nie były w ogóle dotąd wyzyskane; z materiałów natomiast, odnoszących się do pierwszego okresu, korzystał Kluczycki i ogłosił je (1880) w *Acta historica*, t. II, cz. I. Ale łatwo było stwierdzić, że Kluczycki wyzyskał ten materiał niecałkowicie; oprócz 14 wydanych przezeń listów sprzed pierwszego wyjazdu pani Zamoyskiej do Paryża, znajduje się w owej tece dwadzieścia kilka — a więc blisko dwa razy tyle — innych z tego samego okresu, dotąd nigdzie nieogłoszonych i niewyzyskanych. Być może, że wobec monumentalnych założeń *Acta historica*, wydały się one Kluczyckiemu zbyt błahe i zbyt prywatne; dla nas, oglądane w ramach niniejszej pracy, zawierają materiał bardzo cenny. Te nowe „konfitury”, w zestawieniu z dotychczas znanymi, pozwalają lepiej sobie zdać sprawę z odcieni zawiązującego się stosunku młodej pary; skłaniają zarazem do skorygowania sumarycznych wyroków, wydawanych nieraz na Marysienkę. I w ogóle cały ten romans, jako dokument historyczno-obyczajowy, jest czymś niezmiernie zajmującym w swoim egzotyzmie. Z tego powodu pozwalam sobie wrócić jeszcze wstecz w ów okres między r. 1659 a r. 1662 i na podstawie nowego materiału uzupełnić poprzednio skreślony obraz.

O ile wiemy skądinąd — z późniejszych listów Sobieskiego — że p. Zamoyska, jako młodzieńka mężatka, była może „nie ze wszystkim kontenta”, ale wesoła i chętna do zabaw, nawet w czasie pierwszego połogu odbytego w Warszawie — o tyle z listów jej samej możemy wnosić, że wesołość ta minęła dość rychło pod wpływem zawodów i rozczarowań. Pierwsze dziecko umiera w niemowlęctwie; pani Zamoyska — niebawem znów w ciąży — musi przebywać w Zamościu, wśród niechętnego otoczenia, zaniedbywana przez męża, coraz bardziej obcego, coraz częściej nieobecnego w domu. Błaga męża, aby jej nie zostawiał samej: na próżno. Czuje się bardzo samotna, smutna i nerwowa. Przyjaźń z miłym i sympatycznym sąsiadem p. chorążym Sobieskim, dawnym znajomym ze dworu, korespondencja, jaką z nim podtrzymuje, zajmują coraz więcej miejsca w jej życiu. Oczekuje go zawsze „avec une grande”<sup>75</sup> ochota”. Ale młoda mężatka stara się godzić swoją miłość małżeńską z początkami tej niewinnej — jak mniema — przyjaźni. Jeden z listów zaświadcza o tym w sposób dość oryginalny. Pani Maria jest drugi raz w ciąży; mąż nie zgodził się, aby połów odbyła — jak pierwszy — na dworze, przy królowej; kazał jej wracać do Zamościa, obiecując cały ten czas spędzić przy niej; a teraz zostawia ją przez całe miesiące samą, pod pozorem objazdu swoich dóbr. Pani Maria nakłada na Sobieskiego obowiązek, aby skłonił jej męża do najrychlejszego powrotu; jeżeli pan Zamoyski nie wróci, znaczy chyba, że ją chce uśmiercić zgryzotą! „Jeżeli przyjedzie — pisze dalej Marysiénka do Sobieskiego — urodzę mu pięknego syna, który będzie się bił równie dobrze jak jego tatuś, i powierzę go panu, aby się od pana nauczył wszystkich tych pięknych czynów, których pan dokazuje co dzień; jeżeli będzie córka, będzie pan miał do niej

<sup>74</sup>alter ego (łac.) — zastępca; dosł. drugi (inny) ja. [przypis edytorski]

<sup>75</sup>avec une grande (fr.) — z wielką. [przypis edytorski]

pierwsze prawa, zważywszy, że pańska pierwsza żona umarła”... Owa „pierwsza żona” — łatwo się domyślić — to córeczka pani Zamoyskiej, mianującej, jak z tego widać, żartobliwie Sobieskiego swoim zięciem. Tak więc, to czyni go swoim zięciem, to powierza mu wychowanie przyszłego syna — typowa na wpół świadoma gra miłosna młodej kobiety, która rolę, jaką przyszy kochanek ma jakoby spełnić wobec jej dzieci, maskuje sama przed sobą tę, którą wypełni wobec niej samej. Inkrustuje niejako Sobieskiego w swoją miłość małżeńską i w swoje macierzyństwo.

Motyw macierzyństwa, na który już poprzednio zwracaliśmy uwagę, powtarza się i w tych listach, z których jeden zaczyna się od słów: *Monsieur mon cher enfant*<sup>76</sup>. Raz po raz Marysieńka proponuje Sobieskiemu, aby żyli w dobrej harmonii jak matka z synem; zapewnia, że jest jego „drogą mamusią”. To znów, w żartobliwej i zalotnej igraszce, pisze, że „jej córka upewnia go o swoim szacunku i powiada, że jeżeli będzie równie stałym jej sługą jak dla jej mamy jest „un nieszczyry syn”, skłoni może matkę — Marysieńkę — aby go kochała jak swojego syna.

Ale ten styl matczyzny zużywa się dość szybko, zwłaszcza że Sobieski wziął go może zbyt dosłownie. Bo tutaj trzeba zaznaczyć rys, który w tych nowych „konfiturach” uderza bardziej niż w dotychczas znanych: mianowicie że w początkach tego stosunku stroną bardziej wziętą, bardziej angażującą się była Marysieńka. Jest to dosyć zrozumiałe i tłumaczy się choćby samymi warunkami ich egzystencji. Sobieskiemu wrażeń nie brakło; wolny, swobodny, rwący się do życia, wojował, wędrował, polował, bywał na dworze, w obozie i po sąsiadach, wszędzie mile witany, przez mężczyzn i przez pleć słabszą. Bujał po trosze z kwiatka na kwiatek, i wcale się nie zdaje, aby w tym pierwszym okresie korespondencja z przybraną „mamusią” miała opędzać wszystkie potrzeby jego serca. Inna rzecz ona, raz po raz unieruchomiona ciężą, uwięziona w Zamościu, przy coraz mniej znośnym mężu, który zresztą udziela się jej coraz skąpiej. „Rano wychodzi z mego pokoju, nie widzę go do wieczora. Może pan sobie wyobrazić, ile mam czasu na budowanie *des châteaux en Espagne*<sup>77</sup> — pisze do Sobieskiego; „nudzę się” — „umieram z nudów” — te słowa powtarzają się ustawicznie w jej listach. Z nudów sypia po pół dnia. Z któregoś listu dowiadujemy się, że od trzech dni leży w łóżku z powodu przestachu spowodowanego pijacką — jak zwykle — awanturą, w której Zamoyski omal kogoś nie zabił w jej pokoju. W tych warunkach korespondencja z Sobieskim jest jej jedyną pociechą, a jego odwiedziny jaśniejszymi chwilami w tym szarym życiu. Otóż zdaje się, że w tych początkach Sobieskiemu raczej cięży fałszywa rola przyjaciela domu. Pani Zamoyska wyrzuca mu, że ile razy ma być u nich, zawsze znajduje jakieś „ważne sprawy”. Wykręca się. Zamoyski chce go zaprosić na polowanie, „ale pewnie będzie pan miał na ten czas ważne sprawy” — pisze mu z wyraźną ironią Marysieńka. To znów — donosi mu — Zamoyski oświadczył, że nie będzie już pisał do Sobieskiego, bo ten nie odpowiedział mu na osiem listów...

Może aby obłaskawić Sobieskiego, pani Zamoyska uderza w ów ton przyjacielsko-matczyzny, czyni się jego bezinteresowną powiernicą. Upewnia go o swojej dyskrecji. A on zwierza się jej naiwnie! Czytamy w jednym z jej listów: „Co się tyczy pańskiej kuzynki, bardzo okrutna jest, że pana nie chce widzieć, ale *vous saurez si bien faire le mourant*<sup>78</sup>, że w końcu da się wzruszyć i znajdzie pan sposób ułagodzenia jej”... Lecz mimo woli przebijają podrażnienie w jej listach. Oto ona siedzi w Zamościu, karnawał się rozpoczyna, on spędzi go wesoło na dworze „w pobliżu Ich Królewskich Mości oraz tej, którą nie wiem jak nazwać, bo żyjąc tak jak ona żyje, nie zasługuje na nazwę pańskiej krewniaczki. Czuję, że się ośmieszam w pańskich oczach, mieszając się do rzeczy, które mnie nie obchodzą; jednakże, nosząc miano pańskiej matczki, nie mogę się wstrzymać, aby nie powiedzieć co o tym myślę”. Niechże się bawi w Warszawie, i ona zresztą postara się tutaj nie umrzeć z melancholii: przyjechała do nich na karnawał pani Szumowska i sporo młodzieży; nie ma nawet czasu dłużej pisać, bo maski już czekają na nią... Ale czujemy wstrzymywane łzy w tym liście.

<sup>76</sup>*Monsieur mon cher enfant* (fr.) — Panie, moje drogie dziecko. [przypis edytorski]

<sup>77</sup>*des châteaux en Espagne* (fr.) — zamków w Hiszpanii; tu: odpowiednik „zamków na lodzie”. [przypis edytorski]

<sup>78</sup>*vous saurez si bien faire le mourant* (fr.) — umiesz tak dobrze udawać umierającego. [przypis edytorski]

Kiedy indziej uskarża się Marysieńka, że długo nie dostaje odpowiedzi. „Nie myślę się — pisze — kiedy powiadam, że co z oczu to z myśli; ale nie gniewam się o to, że inna zajęła moje miejsce, byleby go była warta”. I kończy zapewnieniem, że jest jego dobrą mamusią.

Aż wreszcie w jednym liście, w którym skarży się na złe zdrowie i na opieszałość Sobieskiego w odwiedzaniu jej, kończy: „aby panu powiedzieć, że nie jestem pańską matką”.

W istocie „matka” się zużyła, czas przejść do innej zabawy. Takiej gry nie da się zbyt łatwo przeciągać. Są pewne poszlaki, że realistę Sobieskiego zaczął nużyć ten stosunek, w którym wymagano od niego wiele, nie wypłacając się pozytywną monetą; może uważał, że ta zbyt młoda mateczka za wiele interesuje się jego życiem, czasem nawet wkraczając w nie czynnie, mieszając się z oddalenia ale skutecznie w jego damskie sprawy. Może miał pretensje — na to wygląda — że go poróżniła z którąś z przyjaciółek. Może gorzyły go awanse, jakie mu robiła? Może czuł się nieswojo w tej fałszywej sytuacji, w tym flircie z żoną przyjaciela, w który brnął coraz głębiej, sam nie wiedząc jak i kiedy? Doszło do wybuchu, jak można wnosić z bardzo znamienego listu, pisanego przez panią Zamoyską do Jana Sapiehy. Przyjaciół Sobieskiego, pan pisarz koronny Sapieha, który razem z Sobieskim zawędrował swego czasu do Szwedów i od Szwedów szczęśliwie wrócił, jest zarazem zaufanym pani Zamoyskiej; on, wraz z Sobieskim, interweniuje w sprawie uwolnienia jej starostwa od świadczeń wojskowych; jemu — wraz z Sobieskim — powierzy swoje interesy, kiedy nagle opuści Zamość, udając się do Paryża. Można wnosić, że pan Sapieha wtajemniczony był w niejedną sekret dotyczący wzajemnego stosunku tych dwojga. List pani Zamoyskiej do niego jest tym wymowniejszy, że mówi tutaj kobieta w podrażnieniu, mniej niż zazwyczaj licząc się ze słowami, i że list jej, zwrócony do osoby trzeciej, wolny jest od przenośni i omówień, towarzyszących zazwyczaj w owej epoce korespondencji miłosnej.

„Co się tyczy pana chorążego — pisze (po francusku) pani Zamoyska — dziwię się, że serce tak wyniosłe jak jego zniża się do tego stopnia do osoby, którą ceni tak mało, którą tak zlekceważył... Jestem przeświadczona, że nie jest mi winien nic, ani ja jemu. Powiedział mi sam, że jest zmęczony moją życzliwością (*las de ma bienveillance*). Wyznaję, że byłam tak głupia, aby go wyróżniać, co mi się nie zdarzyło nigdy w stosunku do żadnego mężczyzny, a on zapewne chciał mi dać uczuć, jak dalece to nie przystoi kobiecie. Z chwilą, gdy mi dał poznać mój błąd, natychmiast odzyskałam rozsądek i poprzysięgam, że tak jak był pierwszy, tak będzie ostatni, za wszystkie zelżywe słowa, jakie mi powiedział. Jestem pewna, że nikt w świecie nie ośmielił się potraktować kobiety tak jak on; ale, jeżeli miałam na tyle umiarkowania, aby go wysłuchać tak cierpliwie, niech sobie nie wyobraża, że to zrobiła przez głupotę... Jestem na tyle zarozumiała, aby sądzić, że nie jestem ostatnia ze wszystkich kobiet; godzę się, skoro pan sobie życzy, przyjęc te słowa jako galanterie wynikłe z jego miłego usposobienia; ale nie byłabym zdolna ścierpieć ich więcej. Domyślam się zresztą, w jakim celu zrobił to wszystko; życzę, aby wynik był pomyślny; co się mnie tyczy, nie mogłam się spodziewać innego końca”...

Zważmy ten styl: jak tu nie ma nic archaicznego, jakie to wszystko nowoczesne, dzisiejsze, podczas gdy styl Sobieskiego tak bardzo jeszcze tkwi w owym wieku XVII. Jak mogło nie być nieporozumień? Trudno jest kochać się harmonijnie na dystans paru wieków.

Ale i Sobieski wygląda spoza tego listu dość nieoczekiwany, dość nowy! Zdaje się, że impulsywny pan chorąży przebrał miarę i teraz, zdjęty niesmakiem do samego siebie, stara się ułagodzić Marysieńkę na wszelkie sposoby; obok instancji pana Sapiehy, posyła jej brzoskwinie i małmazję. Musiał ją trochę udobruchać, bo czuć jak gdyby cień uśmiechu, kiedy p. Zamoyska pisze, że „zachowuje jego brzoskwinie dla królowej; jeżeli są zatrute, złość Sobieskiego ugodzi nie w nią, ale w Jej Królewską Mość”.

Tak więc, widzimy, że tego stosunku nie można brać zanadto ryczałtem. Miał różne fazy. Sobieski nie od razu stał się owym powolnym Celadonem, jakim miał być później; miał z kobietami pazurki i umiał je pokazać. Kto wie, ile w tym pierwszym okresie nagromadziło się w Marysieńce żalów i goryczy. I wówczas, po latach, kiedy on, odnalazszy całego siebie w roli namiętnego i przywiązanego małżonka, oddał się jej niepodzielnie, ona wyraźnie chłodnie, trzyma go tym chłodem, którym przywodzi go nieraz do rozpa-

czy i którym najskuteczniej nad nim panuje. Może to system, a może odwet, może jakieś zapiekłe urazy z owego pierwszego okresu.

Pani Zamoyska rzadko datuje listy, ale można odgadnąć w przybliżeniu ich datę po stylu, po terminologii. Matka i przyjaciółka znikają; zjawiają się natomiast z kolei przenośnie miłosne, częścią zaczerpnięte z romansów, częścią z głowy. Celadon i Astrea, to nazwy niejako oficjalne; ale, jak już widzieliśmy, Sobieski ma dużo pseudonimów. Tutaj szczególnie często zjawia się jeden: *l'automne* — jesień. Róża ubolewa, że tak długo nie będzie mogła widzieć jesieni... Nikt nie będzie miał jej *pomarańcz* (miłości) tylko on jeden, jedyny ich godny, o ile będzie wierny swojej róży. Nie ma przyjaźni, którą by dla niego nie wzgardziła, nie ma opinii świata przeciw której nie wzięłaby go w obronę. Bo już sytuacja jest jasna, już nastąpiło — nie ostateczne zapewne — porozumienie, już umawiają schadzki, już przebija coraz wyraźniejsze zobopólne zniecierpliwienie przeszkodami, wyradzające się czasem we wzajemne wyrzuty.

Wreszcie, w jeszcze późniejszej fazie, szyfr staje się bardziej realistyczny; wówczas pojawia się owo *la flute* — fujara — na oznaczenie uprzykrzonego męża; ale jest nie sama tylko fujara, jest mała orkiestra domowa, bo siostra męża, księżna Gryzelda Wiśniowiecka, która również musiała nieraz być dla zakochanych uciążliwą przeszkodą, otrzymuje pseudonim „basetli” (*viola de gambe*). Delikatna zazwyczaj Marysieńka staje się dość brutalna w określeniach, gdy na przykład pisze Sobieskiemu, że współczuje jego udrękom, ale i jej jest bardzo niemiło „*qu'un* chłop gruby *dorme sur mon oreiller*<sup>79</sup>”. Ale tuż potem dodaje z wdziękiem:

„Będziemy mówili całkiem o czym innym, kiedy się zobaczymy; przysięgam ci, że i mnie rozłąka męczy nie mniej niż ciebie. Nie ma chwili, żebym nie myślała o tobie, od czasu jakżeśmy się rozstali. Chodzę nieuczesana, bez wstążek, bez muszki; nie dbam o to, aby się podobać komukolwiek”.

Znowuż francuskie *vous* — niepodobne do oddania — to nie jest jeszcze polskie „ty”; ale poufnego jego odcienia niepodobna by wyrazić żadnym „waszmość panem”.

Pomijam w tym zwięzłym rozdziale o nowych *konfiturach* wszystko to, co w nich się pokrywa z dotychczasowymi poglądami na ów stosunek; podkreślam jedynie to co poglądy nieco modyfikuje. Otóż nigdzie w dotychczas ogłoszonych listach nie występuje Marysieńka tak wyraźnie w roli zakochanej; raczej bywa oględna, oszczędna w słowach, bardziej prowokująca uczucia, niż objawiająca je sama; natomiast w tych nieznanych listach raz po raz spływają z jej pióra zaklęcia bardzo gorące, bardzo bezpośrednie. W owych czasach, kiedy bezpieczeństwo poczty było tak wątpliwe, list był listowi nierówny, swoboda wynurzeń zależna była od tego, jaką drogą list się posyłało, stąd częste odmiany tonu. W jednym z listów Marysieńka wyraźnie pisze, że usiłują przejmować jej pocztę.

Zdaje się, że po okresie w którym traktował tę przyjaźń dość lekko, Sobieski daje się całkowicie zagarnąć rosnącemu uczuciu. Może umacnia się ono właśnie w tych burzach, w tych wzajemnych wyrzutach i nieporozumieniach. Odtąd już wciąż jest mowa o sposobach widzenia się, bodaj przelotnego, z zachowaniem towarzyskich pozorów. W tym celu nieodzowne jest zbliżyć kochanka z mężem; toteż pani Zamoyska wpada na heroiczny pomysł; pisze Sobieskiemu, aby koniecznie był w Warszawie kiedy *la flute* tam będzie, aby *la girouette* (królowa) kazała mu zaprzysiąc z „fujarą” niezłomną przyjaźń: „to będzie bardzo użyteczne — konkluduje Marysieńka — i wówczas będziemy się mogli widywać”. Widzimy stąd, że jeżeli Marysieńka oddaje królowej ważne usługi, i królowa nie odmawia jej w potrzebie swej dostojnej pomocy. Przy tej okazji dowiadujemy się z listu, że żona musiała pożyczyć krezusowi Zamoyskiemu 2000 franków na podróż...

Tak więc, te nowe listy — bodaj przez swoją obfitość — lepiej pozwalają śledzić etapy, jakimi posuwa się zawojowanie naszego bohatera. Dowiadujemy się o innych jego przymiotach. Marysieńka uważa go za nader biegłego w rzeczach damskiej mody i odwołuje się do jego smaku w sprawach kolorów. Obarcza go bardzo skomplikowanymi zleceniami do swoich jubilerów, zapowiadając, że jeżeli źle się wywiąże, zeklnie go *com-*

<sup>79</sup>*dorme sur mon oreiller* (fr.) — śpi na mojej poduszce; *qu'un*: że jakiś (spójnik z rodzajnikiem). [przypis edytorski]

*me un*<sup>80</sup> furman *ses chevaux*<sup>81</sup>. Mile to musiało brzmieć uchu prawego szlachcica! Już się nie wydobędzie bohater z tej słodkiej niewoli.

Data przesilenia — co najmniej duchowego — stał się moment historyczny, sejm w Warszawie (1661), ten który uświetniło przedstawienie *Cyda*. Zakochani widują się wówczas częściej i dłużej, a rezultatem — owe śluby w kościele karmelitów, przypadające na czerwiec r. 1661. W miejsce zwykłego dawnego podpisu MCFZ, Marysiénka zaczyna się podpisywać w listach do Celadona cyfrą dość wyraźnie kryjącą splecione litery J. S. Już nawiedzają ją myśli o rozwodzie, ale czuje zapewne, że życie w Polsce w tych warunkach byłoby bardzo utrudnione; toteż dojrzuje w jej główce inny plan: wymknąć się do Paryża pod jakimś pozorem, może później ściągnąć tam Sobieskiego i zorganizować sobie na trwałe nowe rozkoszne życie. Już mówiła z królową o tym że chce odwiedzić rodziców (*les oiseaux de mer*<sup>82</sup>); szelmeczka i królowę myśli wystrychnąć na dudka!

Co się tyczy listów pani Zamoyskiej z Paryża, teczka z archiwum Czartoryskich niewiele już daje nowego: cały prawie ten materiał ogłoszony był przez Kluczyckiego w *Acta historica*. Dwa czy trzy niedrukowane dotąd listy nie zawierają nic szczególnie ciekawego. Jeden świadczyłby o dobrym sercu Marysiénki, ponieważ opisuje nader obszernie ostatnie chwile i śmierć jednego z nielicznych jej oddanych dworzan, p. Stawskiego, którego usługi wielce ceniła. „Umarł jak święty” — pisze na wstępie, a pod koniec listu dowiadujemy się, że wyzuł matkę i siostrę ze wszystkiego, co by im mogło przyspaść w spadku po nim, wszystko kazał spieniężyć i obrócić na msze na swoją intencję. Święty, w istocie.

Co zaś do listów z wdowiego okresu, są one przeważnie bardzo zniszczone, doświadczone ogniem i wodą. Pisane są do wojewodziny Sieniawskiej z domu Lubomirskiej, przeważnie w interesach, których likwidacja dla osiadłej już na stałe we Włoszech królowej była nader utrudniona. Omówimy tę korespondencję we właściwym momencie biografii Marii Kazimiery.

## VIII. *À Paris!... À Paris!...*

Jest w operze *Manon* duet Manon Lescaut z kawalerem des Grieux, kiedy młoda dziewczyna uprowadza z sobą zakochanego kawalera. Za chwilę pomkną do Paryża, miasta rozkoszy, miłości i szczęśliwego *incognito*. I co kilka taktów, w ustach Manon powtarza się zmysłowo, kusząco, na niskich tonach oparty refren: *À Paris!... à Paris!...*

Sobieski kawalerem des Grieux? Jeszcze jedno paradoksalne skojarzenie!

To pewna, że Sobieski znajduje się na niebezpiecznym zakręcie życia. Rzucić wszystko, spieniężyć, co się da, ze swoich majątków, kupić jakąś posiadłość w okolicach Paryża lub na południu Francji i tam żyć z ukochaną, oto miraże, jakimi go wabi niebezpieczna Manon.

Ale życie nie jest operą, nawet kiedy bohaterowie chodzą w kostiumach. Dlatego cała ta niedoszła przygoda, oglądana z bliska, znów wydaje się bardziej skomplikowana.

Wyjazd pani wojewodziny odbył się nagle i w warunkach nieco skandalicznych. Przynajmniej tak go sobie w Polsce interpretowano. „Bez woli i wiadomości swego męża — notuje pod datą 7 maja 1662 r. współczesny *Latopisiec* Joachima Jerlicza — wzięwszy zły umysł i radę, zabrawszy dostatki i skarb, złoto, srebro, klejnoty, pieniądze, o których powiadano być miało 70 000, podmówiwszy sługę starszego i innych pacholąt do kilkunastu, ujeżdża do cudzej ziemi pod niebytność samego p. wojewody, który na sejmie bawił się w Warszawie. Lepiej było w domu się ożenić ze szlachcianką jaką polską, zdrowiej by było i pożyteczniej i każdemu takowemu dobrze taką żonkę pojmować rozpustnemu”.

Jeszcze większym skandalem gruchnęła po Polsce wiadomość, że, wyjeżdżając, zarząd nad dobrami, jakie miała w darze od małżonka, poruciła wojewodzina, z wyłączeniem męża, p. Sapieże i — p. Sobieskiemu, którego stosunki z p. Zamoyską od dawna nie były tajemnicą. Nieco przed wyjazdem, omal nie osiągnęła tego, aby ją mąż uczynił — w słabym momencie — generalną spadkobierczynią; ale jakoby zapobiegli w porę temu krewni.

<sup>80</sup>*comme un* (fr.) — niby, jak. [przypis edytorski]

<sup>81</sup>*ses chevaux* (fr.) — swoje konie. [przypis edytorski]

<sup>82</sup>*les oiseaux de mer* (fr.) — morskie ptaki. [przypis edytorski]

W każdym razie wyjazd ten, mimo iż dość gwałtowny, nie ma charakteru rozstania. Pani Zamoyska proponowała nawet mężowi, by z nią wyjechał: nie chciał. Nawet w Paryżu, prowadząc wytrwale swój plan ściągnięcia do Francji Sobieskiego, Marysiénka nie rezygnuje z przewag, jakie jej mogło dać stanowisko *princesse de Zamość*<sup>83</sup>. Zaopatrzony się w pieniądze, dbała o reprezentację. Miała piękną karetę, dwóch paziów, wspaniałą liberię. Wielką jej ambicją było zdobycie „taburetu” u dworu, uważała, iż honor ten przynależy małżonce księcia Zamoyskiego. Przez królowę polską zabiegała, aby jej przyznano tytuł diuszessy. Ale ceremoniał Ludwika XIV był nieubłagany; nie kwapiono się z uksiężęczeniem żony szlachcica, którego tytuł nawet w Polsce był nieco fantazyjny. Nieostatni raz miała się obić Marysiénka o twardy opór francuskiej etykiety; ale w przyszłości miało to wydać następstwa o wiele poważniejsze.

Szczegóły pobytu Marysiénki w Paryżu, plany jej i zamiary znane nam są dość dokładnie z listów, jakie Astrea pisała do swego Celadona.

Przede wszystkim, wciąż w tych listach roztrząsa się sprawę nabycia na imię Sobieskiego jakiejś znacznej posiadłości we Francji. „Radabym przecie, szebysz mi W. M. oznaymił, jezeli continuiesz<sup>84</sup> *dans la pensée d’aquíerir du bien ici*<sup>85</sup>”, pisze z polska po francusku natychmiast po przyjeździe. (Pisząc z Paryża, Marysiénka używa więcej zwrotów polskich). O ile się nie odmienił i o ile ma sumę gotową, jest teraz okazja nabycia pięknych majątków, które kiedy indziej byłyby droższe. Ale „podobno Naiasznisza już odminiła fantazję jego, bo pewnie iusz nie dba o l’Aurore<sup>86</sup>, *quand on l’on lui offre une belle*<sup>87</sup> stworzenie et avec tant d’avantage<sup>88</sup>”. Aby zdopingować jego brak decyzji, donosi mu Jutrzenka, że nie znajdują jej w Paryżu *tant chienne* jak się obawiała, że się uczy tańczyć, śpiewać i grać na gitarze, że metr<sup>89</sup> tańca bardzo ją chwali, że figura jej — wbrew jej obawom — bardzo się tu podoba.

Listy idą do Polski jeden po drugim. Jak widzieliśmy, wypróbowanym sposobem Astrea prześladuje swego Celadona, że się musiał odmienić; ale równocześnie nawiązuje kontakt między nim a swoją rodziną, stawiając go niejako w roli oficjalnego konkurenta. Wyraża mu uprzejmie słowa od ojca, który „za nią szaleje”. (Pamiętajmy, że pani Zamoyska dopiero pierwszy raz ujrzała rodziców, których opuściła będąc dzieckiem, a miłość jej do tak późno poznanego — i przez plotkę kwestionowanego — ojca miała być najgłębszym może i najszczerzym jej uczuciem). Uważa, że byłoby na miejscu, aby Sobieski napisał do jej ojca, iż pragnąłby go poznać i pozyskać jego sympatię. Może — tak go poucza — mówić z szacunkiem o uczuciu, jakie powziął do niej od chwili poznania i o chęci zbliżenia się do jej rodziny. Niech pisze sam, bez niczyjej pomocy (to bezpieczniej): pisze bardzo dobrze po francusku, może jej wierzyć. Ostrzega, że *la girouette* (królowa) ludzi Sobieskiego nadzieją wysłania go do Paryża, aby uzyskać od niego pewne usługi, a kiedy ich dopełni, odłoży się rzecz na czas nieograniczony. A powinna była wysłać tu Sobieskiego; nawet się dziwią na dworze, że nie przyjechał z powinszowaniem urodzin Delfina. Co do niej, chciałaby tego, bo musi się dowiedzieć od niego niezmiernie ważnej rzeczy *pour l’établissement de la Rose et de Silvandré*<sup>90</sup>.

Te słowa stawiają rzecz na zdecydowanym gruncie, a jeszcze bardziej ta przestroga: „Przestrzegam, aby myszlicz tu *à des aquisitions*<sup>91</sup>, bo pan oćiec powiada, sze już szadnem sposobem mię stąd nie chce wypuszczicz, by nie wiem co”. A równocześnie po francusku: „Trzeba się postarać, aby Fujara dał Jutrzence przyzwoitą pensję, skoro nie chce przyjechać, aby ją utrzymywać”... Fujara i Jutrzenka — cóż za kombinacja! I Sobieski ma się starać o to... O biedny, niedoszły kawalerze de Grioux!

Jak widzimy, Marysiénka prowadzi potrójną grę: podtrzymuje swoje prawa jako ślubnej żony Zamoyskiego, nie zdradza przed królową swoich zamiarów przeniesienia się do

<sup>83</sup>*princesse de Zamość* — księżna na Zamościu. [przypis edytorski]

<sup>84</sup>*continuiesz* — trwasz. [przypis edytorski]

<sup>85</sup>*dans la pensée d’aquíerir du bien ici* — przy zamiarze nabycia tu dóbr ziemskich. [przypis edytorski]

<sup>86</sup>*Aurore* (fr.) — Jutrzenka. [przypis edytorski]

<sup>87</sup>*quand on l’on lui offre une belle* (fr.) — gdy mu ofiarują piękne. [przypis edytorski]

<sup>88</sup>*et avec tant d’avantage* (fr.) — i z tyloma zaletami. [przypis edytorski]

<sup>89</sup>*metr* (z fr.) — nauczyciel. [przypis edytorski]

<sup>90</sup>*pour l’établissement de la Rose et de Silvandré* — dla ustalenia [związku; zapewnienia bytu] Róży i Sylwandra. [przypis edytorski]

<sup>91</sup>*à des aquisitions* (fr.) — o nabytkach. [przypis edytorski]

Francji wraz z Sobieskim, ale zarazem coraz energiczniej przypiera swego Celadona, aby jej dał stanowczo znać, czy chce tutaj nabyć majątek. Omal już — pisze — nie zobowiązała się w jego imieniu do kupienia domu z ogrodem w Paryżu; pięć apartamentów, oficyny, stajnie i prześliczny widok: z łóżka można widzieć, co się dzieje w Tuilerych. Tymczasem wywie się o wszystko, co trzeba robić, aby uzyskać dla Sobieskiego dekret naturalizacji. Ojciec — pisze — wciąż ją ubóstwia: mówi często, że Celadon jest szczęśliwy, iż Róża ma dla niego tyle przywiązania; i sam „pan ociec” wysoko go ceni. (Na jednym z oryginałów listów do Sobieskiego można odczytać przypisek papy d’Arquien). „Jutrzenka” żałuje, że nie może mu jeszcze różnych rzeczy donieść, które byłyby dla Sobieskiego bardzo korzystne, ale niepodobna pisać o tym.

Nowy list za tydzień: jest do sprzedania posiadłość Meudon pod Paryżem, za 600 000 franków: czy się decyduje?

Sobieski wciąż — zdaje się, bo jego listów z tej epoki nie mamy — wymiguje się od decyzji; widać szlachcic zachował resztkę gospodarskiego rozsądku. Bo wyprzedać się w Polsce za bezcen i kupić luksusową rezydencję pod Paryżem, to pięknie; ale za co utrzymać to Meudon i z czego tam żyć, zwłaszcza na tej stopie? Z „fujary”?

W ciągu kilku miesięcy brak nam listów. Naraz korespondencja pani Marii staje się bardzo skomplikowana. Bo w istocie wszystko się psuje, wszystko się wikła. Paryskie sprawy Marysienki idą nieszczególnie. Po prostu — kłapa. Zbliżenie z „zaczarowanym pałacem” utknęło na martwym punkcie. Widzenie się z królową francuską — w którego następstwie pani Zamoyska spodziewała się oficjalnego przedstawienia na dworze — zawiodło; podobno na skutek nowej miłości króla, królowa zraziła się do dam dworu. Wpływy Marysienki w Paryżu okazują się żadne; minister de Lionne nie przyznał się do jej pokrewieństwa. Z drugiej strony, królowa Maria Ludwika wzywa swoją wychowanicę do powrotu; zgadujemy, że potrzebuje jej na miejscu. Zamoyski położył areszt na dobrach żony, którymi mieli zawiadować Sobieski z Sapieha; od trzech miesięcy mąż nie daje znaku życia, nie odpowiada jej na listy! A pieniądze płyną, Paryż jest drogi...

Wszystko to jest nieco chaotyczne, ale bo też w myślach i uczuciach pani Zamoyskiej w owym krytycznym momencie życia panował prawdziwy chaos. Wyraża się to dość wiernie w jednym z jej listów, pisanych w chwili depresji. Sobieski, pisząc do niej, podał jako przyczynę swojej melancholii „odległoszcz”: niech wierzy — odpowiada mu Marysienka — że i ona cierpi z tego samego powodu. Ale ma i inne przyczyny do zmartwień: gryzie ją *la flute* i bezład jego domu, i upór, z jakim on zawsze trzyma stronę swoich zauszników przeciw żonie, która „go kochała i kocha tyle, ile się godzi uczciwej kobiecie”, i wspomnienie prześladowań, które cierpiała w domu, i dziecko, które straciła w niemowlęctwie, i drugie, które musiała porzucić...

Tu nastęrcza się pytanie, czemu je porzuciła, z czego nieraz biografowie czynili Marysienkę ciężki zarzut. Ale pamiętajmy, że w owym twardym wieku XVII stosunek rodziców do dzieci — zwłaszcza drobnych — był inny niż dziś, i że matka zajmująca się wychowaniem swego drobiazgu była w wielkim świecie raczej wyjątkiem. Może zresztą znajdą się w dalszym ciągu i inne okoliczności łagodzące.

Zamoyski — skarży się dalej Marysienka — zabrał jej dochody, zabrał nawet garderobę, nie odpisuje na listy, nie kocha jej już widocznie, mimo że tyle razy zapewniał ją o swojej miłości. Królowa nakłania ją do powrotu, rodzice płaczą na myśl o rozstaniu; kiedy ona patrzy na ich łzy, wolałaby umrzeć. Niech Celadon powie, czy w tych warunkach może skutkować kuracja, którą przechodzi? Ale zwłaszcza niech nie wątpi nigdy o jej uczuciach; zawsze dochowa mu wiary o tyle, o ile może to uczynić, „nie obrażając swoich obowiązków”.

Dość trudno w istocie rozeznąć się w tych sprzecznościach, ale czyż życie — życie uczuciowe zwłaszcza — nie bywa otchłanią sprzeczności?

Wśród tych niepowodzeń i obaw pani Zamoyska orientuje się, że najpewniejszym jej szansem zawsze pozostało mimo wszystko — małżeństwo; zabezpiecza sobie powrót. Wkłada na Sobieskiego zadanie, aby przez jakiegoś życzliwego pośrednika — może przez biskupa warmińskiego — przygotował nie tylko jej, ale i sobie pojednanie z „fujarą”. Trzeba wytłumaczyć fujarze, że wszystkie plotki o niej i o Sobieskim nie mają żadnych podstaw. To trzeba zrobić koniecznie, bo inaczej nie mogliby się widywać po jej powrocie do kraju! Inaczej esencje (Marysienka) nie mogłyby się nigdy mieszać z prochem (So-



bieski) ani „grać z nim w kości”. Na razie przyrzeka mu zachować *pomarańcze* (miłość) „tak całe i tak piękne, jak tylko to jest możliwe w jej obecnym położeniu”; i nigdy mu się nie sprzeniewierzy; a co do tego, co on mówi, że ona mu nie złożyła przysięgi (w kościele karmelitów), oświadcza, że przysięgłaby nie raz, ale sto razy...

Tak, trzeba wracać, bo inaczej łatwo mogłaby się znaleźć poza nawiasem. Nawet zbliżenie się Sobieskiego z dworem niepokoi Marysieńkę, która nie lubi, aby on rozwijał inicjatywę na własną rękę, bez niej. Kiedy jej donosi, że królestwo mają u niego zabawić jakiś czas w Jaworowie, odradza mu usilnie tego niepotrzebnego wydatku.

Trzeba wracać ze wszystkich względów. Bo tymczasem języki nie próżnowały: musiano tego plotkować w kraju na temat wyjazdu pani Zamoyskiej i zamiarów ekspatriacji Sobieskiego (ale skąd wiedziano o tych zamiarach, czyżby się już czynnie krzątał koło sprzedaży majątków?), skoro kuzynka jego, pani koniuszyna Aleksandrowa Lubomirska, poczuła się w obowiązku udzielenia mu przestrogi. W liście do niej z dn. 14 grudnia 1662 r. Sobieski odpiesza te pogłoski. Prawda — pisze — że miał i ma jeszcze „*intentio*<sup>92</sup> uwolnienia się na iaki czas dla pewnych z tych krajów przyczyn”, ale dopiero po uspokojeniu ojczyzny, a nie wtedy, kiedy jego służby mogą królowi i Rzeczypospolitej być potrzebne; „bo luboby mnie tam y największa ciągnąć miała Passia, honor, reputacja, którą w każdym kocham zawsze barzicy niż osobę, niesłuszne suspicie o niewinnych ludziach y niepotrzebne między ludźmi plotki zawszeby mię od tey odwiodły imprezy”.

List ten biografowie Sobieskiego z tryumfem przeciwstawiają krzywdzącym pogłoskom. W istocie, godna odpowiedź, ale czy zupełnie szczerza? Cechą owych siedemnastowiecznych ludzi jest, że zawsze mieli rzymskie cnoty i rzymskie maksymy w głębie, a co innego w myśli i w uczynkach. Kto wie, czy trudność zrealizowania gotowizny w wyniszczzonej i zbiedniałej Polsce nie stała się najpoważniejszą pozycją, która zatrzymała Sobieskiego w kraju. Bo ujrzymy jeszcze w kilka lat później, że owe plany rzucenia wszystkich utrapień i kłopotów, aby żyć we Francji przy boku ukochanej będą nader poważną *intentio* wielkiego marszałka koronnego i hetmana. A nawet i teraz, w pół roku po tym liście, projekt osiedlenia się we Francji wciąż powraca w *konfiturach* Marysieńki.

Być może zresztą, że Sobieski nie wkładał całego serca w te francuskie projekty, w których następstwie wyzułby się za byle co z ojcowizny i z przyszłości w kraju, aby w pełni sił i młodości wegetować niesławnie we Francji. Co innego później, gdy miał szanse zamienić swoje wysokie szarże na także korzyści u francuskiego dworu. Zresztą później był już zupełnie bezwolny wobec rozkazów swego tyrana; w momencie, w którym się znajdujemy obecnie, poddaństwo jego wcale jeszcze nie było tak zupełne. I dlatego zapewne Marysieńka ściśle sobie powrót do Zamościa. Manon Lescaut zamienia się w *Paryżankę* z komedii Becque’a.

*À propos* literatury. Data pobytu pani Zamoyskiej w Paryżu nasuwa pewne chronologiczne asocjacje. Rok 1662 toż to premiera *Szkoły żon*, wschodząca gwiazda Moliera! Paryż, dwór, miasto, trzęsą się od burzy, jaką ta sztuka wywołała: olbrzymi sukces sceniczny, a zarazem powódź parodij, napastliwych broszur, polemik, replik... I *Szkoła żon* — czyż to nie jest sztuka jakby pisana dla Marysieńki! Wyznaję, że doznałem naiwnego zawodu, nie znajdując o niej w listach pani Zamoyskiej ani słoweczka. Czy była w teatrze? I w ogóle nic w jej listach nie odbija się z tak bujnego wówczas umysłowego życia Paryża; nic poza osobistymi próżnostkami, interesami, poza „zaczarowanym pałacem”, który jej nie chce, i przestarzałą nomenklaturą *Astrei*. Ale sam rozumiem, że moje pretensje są dość dzikie. Tyle wolno mi stwierdzić, że Marysieńka nie była intelektualistką.

Jesienią r. 1663 pani Zamoyska po półtorarocznej blisko nieobecności wróciła do kraju. Powrót musiał być dobrze przygotowany (może przez biskupa warmińskiego?), gdyż pan Zamoyski przyjął żonę z wielką pompą. Odbyło się uroczyste przyjęcie w kościele, akt hołdu miejscowej akademii, wierszem i prozą. Stosunki z Sobieskim stały się dalekie i trudne, listy bardzo oględne, pani Zamoyska ściśle przestrzega decorum<sup>93</sup>. Co najwyżej pośrednio przesyła Celadonowi szarfę ognistego koloru albo portrecik przedstawiający niby to jej brata czy ojca a w istocie ją samą.

<sup>92</sup>*intentio* (łac.) — zamiar. [przypis edytorski]

<sup>93</sup>*decorum* — zbiór zasad. [przypis edytorski]

Po powrocie z Paryża pani Zamoyska urodziła mężowi trzecie dziecko. Ale nowa harmonia małżeńska nie trwała długo, swary zaczęły się na nowo. I nowe zgorzienie Polski, a to przez wprowadzenie obyczaju *ruelle*<sup>94</sup>, przywiezionego przez młodą panią z Paryża, a nieznanego w kraju: zaczęto mówić, że księżna Zamoyska przyjmuje mężczyzn w łóżku. Przybyły z nią do Zamościa brat, kawaler d'Arquien, naraziwszy się panu Zamoyskiemu, musiał uciekać z zamku przed jego furią. Pijatyki, orgie trwają ciągle. Królowa, znając udręczenia swojej pupilki, radzi jej rozwód, a przynajmniej separację majątkową, tak aby mieszkała przy Zamoyskim „jako przy ojcu” — Marysienka to się godzi na separację, to znów odpisuje świętoszkowato, że jest z męża całkiem zadowolona, że nieporozumienia między nimi wynikły z winy jej młodości, że chce we wszystkim być powolna mężowi... Zamoyski wyprawia ją do Paryża — ona nie chce. Wszystkiego tego dowiadujemy się z żalów Sobieskiego, który nie umie sobie wytłumaczyć jej postępowania. I rzecz szczególna, ten sam Sobieski, poprzednio, jak się zdaje, dość płochy i niepewny, teraz coraz niepodzielniej oddaje się swojej niedostępnej kochance; coraz bardziej połączenie z nią staje się koniecznym warunkiem jego życia. *Intelligence* — rozwód — ten kryptonim pojawia się w jego listach. Ale Marysienka nie chce rozwodu. Może ma nadzieję, że Opatrzność rozwiąże to inaczej; może spodziewa się rychło zostać wdową i chce być wobec męża i jego rodziny — obserwującej ją bacznie a wrogo — pod każdym względem w porządku. W istocie zdrowie pana Zamoyskiego podupada; znów szepcą o testamencie, którym pani kazała sobie zapisać ogromne sumy...

Tak więc, w ciągu tych paru lat, miłość wlecze się opieszale i smutno. Za to w polityce wydarzenia biegną coraz bardziej wartko. Niebawem sprawy polityki i sprawy miłości splecą się najściślej, aby popędzić razem.

## IX. ROKOSZE I ROZKOSZE

Kiedy wiosną r. 1662 pani Zamoyska wyjeżdżała do Paryża z myślą, aby tam pociągnąć i zatrzymać wielkiego chorążego koronnego, krajowi coraz bliżej zaglądała w twarz wojna domowa. Z jednej strony armia cudzoziemska, z której wezwaniem ociąga się jeszcze królowa przez resztkę rozważli, z drugiej — masa szlachecka sfanatyzowana przeciw rzekomym gwałcicielom konstytucji i wydziercom „złotej wolności”. Sejm r. 1662 jeszcze raz odrzuca wszelkie zakusy elekcji *vivente rege*, marszałek konfederacji zwołuje pospolite ruszenie przeciw wiszącej nad krajem obcej inwazji, zajmuje Kalisz, Wieluń, Sieradz, grozi Warszawie.

W momencie tym, arbitrem losów kraju był jeden człowiek: Jerzy Lubomirski. Nie tylko dzięki buławie polnej i urzędowi wielkiego marszałka koronnego, ale bardziej jeszcze dzięki olbrzymiej popularności, jaką posiadał wśród szlachty, magnat ten, czyniący się trybunem ludu szlacheckiego, trzymał w ręku klucz sytuacji.

W krętej linii postępowania Lubomirskiego trudno się dopatrzeć myśli politycznej. Raczej prowadzi — jak większość ówczesnych magnatów — politykę osobistą; ale i ta jest niezdecydowana. Chciałby niejako i sprzedać swój wpływ, i zachować go. Pochlebiamy temu pysznemu człowiekowi, że on jeden mógłby — gdyby zechciał — przeprowadzić elekcję Francuza, dając Polsce nową dynastię, ale ma zapewne świadomość, że wyjątkowa rola jego skończyłaby się wraz z dokonaniem tej elekcji faktem. Równocześnie czuje, iż, wspierając swoją popularnością tak niepopularną sprawę, łatwo może tę popularność wraz z załamaniem się sprawy utracić. Stąd może wynika jego dwulicowość, jego ciągle wahanie się. Targuje się i układa z królową, a równocześnie podsycy przeciw niej opozycję; puszcza na licytację swoje wpływy między Austrią a Francją. Już, już, zdawało się, kupiono go dla Kondeusza ogromną ceną — wielka buława po sędziwym Potockim i ręka siostry przyszłej królowej polskiej dla jego syna — kiedy nagle, na sejmie, wobec projektu elekcji, wznowionej przez tryumfującą zbyt wcześnie królową, pada szorstkie: „Nie ma zgody” — właśnie z grupy adherentów Lubomirskiego. Sprawa upada — i nazajutrz Lubomirski jeszcze raz daje do zrozumienia, że gotów jest traktować z dworem... Ten nieuchwytny marszałek jak Penelopa pruje w nocy, co uprzął w dzień. Doprowadzi w końcu Marię Ludwikę do takiego stanu, że nerwowa i zawzięta kobieta wszystko postawi na kartę, byle się pozbyć tego człowieka.

<sup>94</sup>*ruelle* (fr.) — uliczka; obyczaj *ruelle*: zwyczaj przyjmowania gości w sypialni, w łóżku. [przypis edytorski]

Przez chwilę — jeżeli wierzyć urzędowej relacji nadzwyczajnego posła francuskiego Cailleta — królowa zamyślała rozciąć węzeł modą włoską, sposobem Borgiów. Wydała wodzom konfederacji gęłty, aby pod pozorem rokowań zwabić ich w pułpkę we Lwowie. Lubomirski miał dać głowę! Maria Ludwika zasięgnęła zdania teologów, czy można bez grzechu zakażać człowieka, grożącego niebezpieczeństwem państwu. Orzekli dobrodusznie, że można; po czym zarządzono przygotowania. Miano Lubomirskiego pojmać, dać mu spowiednika i ściąć bezzwłocznie. Ale Lubomirski zwąchał pismo nosem i nie zjawił się. Może go ostrzegł który z teologów? Duchowy mistrz Marii Ludwiki, Richelieu, miał nad nią tę wyższość, że będąc kardynałem, mógł rozstrzygać takie wątpliwości sam.

Lubomirski nie dał tedy głowy; dał ją za to kto inny: hetman polny litewski Gosiewski, człowiek bardzo wpływowy, od pewnego czasu oddany stronnik królowej. Zamordowali go bez sądu (wraz z marszałkiem Żyromskim) konfederaci, prawi skądinąd i zasłużeni żołnierze. Przypalili to gardłem. Zapachniało w Polsce krwią.

Można zrozumieć, że wobec tak naprężonej sytuacji, nie była to chwila, w której królowa miałaby ochotę wysłać Sobieskiego do Paryża, dokąd na próżno wabi go Marysieńka. Coraz bardziej młody chorąży rysuje się królowej jako człowiek przyszłości. Oboje królestwo bawią u niego dłuższy czas w Jaworowie, co było z pewnością nie lada wyróżnieniem. Kiedy Sobieski bije się później dzielnie — w r. 1663 — na czołowym posterunku przeciw Moskwie i Kozakom, naraz — zapewne wezwany rozkazem dworu — opuszcza plac boju, aby wracać na teren rozgrywki politycznej do Warszawy. Wszystko to dzieje się w czasie paryskiego pobytu pani Zamoyskiej, która bardzo nie lubi, aby się coś działo bez niej i poza nią.

Wraca tedy, jak już widzieliśmy, a moment jej powrotu — jesień r. 1663 — schodzi się ze wznowieniem sprawy następstwa. Dwór francuski decyduje się na stanowcze posunięcia. Książę d'Enghien żeni się z siostrzenicą królowej, księżniczką Anną, która otrzymuje tytuł „jedynej córki I. K. M. Królestwa polskich”. Senat polski jednogłośnie zawotował tę uchwałę; sypiąc francuskim złotem, zdołała Maria Ludwika jeszcze raz skłecić nowe stronnictwo francuskie, przy czym grupa panów polskich i litewskich występuje z wnioskiem, aby nie syn Kondeusza, ale sam Kondeusz był kandydatem do tronu. Korespondencja między Warszawą a Chantilly ożywia się: biegną tam i z powrotem listy, kreślone umownym językiem, w którym książę ma tytuł *Zazdrośnika*, ścigającego kochankę (koronę), podczas gdy myszy (szlachta) chcą tylko gryźć francuskie talary, wobec czego trzeba się będzie uciec do *srogiego*, tzn. do konfederacji zbrojnej, itd. Jak widzimy, styl *konfitur* Marysieńki rozciągał się na politykę, a może raczej z niej wziął początek.

Przez chwilę zdawało się, że kandydatura wielkiego wodza francuskiego zyska szanse powodzenia. Sława wojenna Kondeusza głaszcze dumę Polaków. Nawet sam Lubomirski zdaje się skłonny do porozumienia. Ale gdy jeszcze raz, korzystając z wojny moskiewskiej i oddalenia króla, podjął swoje wicherzenia w porozumieniu z Austrią i z elektorem brandenburskim, Maria Ludwika postanowiła ostatecznie skończyć z Lubomirskim. Przeciągnął strunę.

W listopadzie r. 1664 pozwano Lubomirskiego przed sejm zmieniony w trybunał, pod zarzutem zdrady stanu. Zaocznie skazany — pod presją dworu — na śmierć i infamię, magnat nie czekał wyroku, schronił się na Śląsk, aby wrócić zbrojnie w granice Polski. Była to wojna domowa, w której jako przeciwnik dworu miał stanąć najjęźszy wódz i najpopularniejszy człowiek w Polsce, w nowej glorii męczennika, cierpiącego za prawo i wolność.

Sprawa Lubomirskiego<sup>95</sup> była przez historyków rozmaicie oświetlana; Szajnocha, Odyniec, Szujski, pisali o nim dramaty, heroizując jego smutną rolę. Po której stronie była legalność; czy był rokoszaninem, czy przeciwnie, obrońcą prawa, które dwór łamał? Pytanie w takich wypadkach dość *czcze*; ten ma w takich wypadkach w rezulta-

<sup>95</sup>*sprawa Lubomirskiego* — Do rokoszu Lubomirskiego przydaje prof. Battaglia ten komentarz, że Lubomirski układał z dworem wiedeńskim i berlińskim własną kandydaturę do tronu polskiego, na zasadzie swego pochodzenia od Piastów mazowieckich, przez Ostrogskich, Kostków i Odrowążów; [Battaglia, Otto Forst de (1889-1965), pol. historyk i krytyk literacki pochodzenia austriacko-włoskiego; w marcu 1938 r. opublikował w „Przeglądzie Powszechnym” artykuł *Brązowanie Marysieńki*, będący odpowiedzią na publikację biografii żony Sobieskiego autorstwa Boy’a Żeleńskiego; Red. WL.]. [przypis autorski]

cie prawo, kto zwycięży. Lubomirski nie był człowiekiem idei; raczej zbyt ambitnym — i nie dość ambitnym zarazem, bo niezdolnym sięgnąć po władzę — graczem politycznym. Ale były wówczas w Polsce pewne kontrasty zbyt jaskrawe. Radziejowski, łotr i zdrajca, w splendorze i w lasce; Bogusław Radziwiłł w honorach, a Lubomirski, niedawny „ojciec ojczyzny” — banita! Współczesny kronikarz szlachecki notuje, iż kiedy w Warszawie sądzono Lubomirskiego, „obraz w Studzianach zaczął cuda okazywać”, w Busku „krew spływała z obrazu Chrystusa”, w Dzierzkowie „lzy jak perły hojne wylewał obraz Matki Boskiej”... Jak walczyć z takim, którego popularność sięga aż do nieba? Oto na jakie imponowalności<sup>96</sup> natknęła się w swoich rachubach Maria Ludwika, co jeszcze raz świadczy o jej niedostatecznym zrozumieniu kraju, którym przypadło jej rządzić.

Na razie, zaważowały po Lubomirskim wielkie urzędy: marszałkostwo koronne i buława polna. Fakt złożenia dygnitarza z urzędów, które w Polsce były dożywotnie, był czymś wyjątkowym; niełatwo było znaleźć kogoś znacznego, kto by je podjął po popularnym marszałku i hetmanie. Komu je oddać! Był Stefan Czarniecki, wielki żołnierz i oddany stronnik królowej, ale człowiek już stary, sterany, małego rodu, niezamożny, bez blasku. Na innego obróciła oczy królowa; na tego, którego tak długo trzymała w pogotowiu pod ręką: Sobieskiego. Dla trzydziestoparoletniego chorążego koronnego kariera zawrotna, nieoczekiwana!

Ale Sobieski odmawia. Może by go kusily owe godności — kogóż by nie kusily! — ale nie w tych okolicznościach. Jerzy Lubomirski, pod którego rozkazami się bił, który był mu przykładem patriotyzmu i wierności! Przy tym Sobieski, jako nieodrodny szlachcic, nie mógł podzielać oburzenia dworu na Lubomirskiego; kto wie, w duchu raczej może był po jego stronie. Wszak Lubomirski przemawiał językiem szlacheckiej masy, a zarazem wcielał ideał polskiego wielmoży; bronił rzekomo prawa przeciw bezprawiu, bronił złotej wolności przeciw osławionemu *absolutum dominium*. Największy głowacz Rzeczypospolitej, a zarazem druh Sobieskiego, Andrzej Maksymilian Fredro, dorabiał bardzo poważne teorie do chronicznego bezrządu polskiego. Widzimy z pamiętników Paska, jak nawet ci, którzy bili się później przy królu przeciw Lubomirskiemu, więcej niż pobłażliwie patrzyli na jego rokosz, przekonani, że krzywda się dzieje cnotliwemu, podczas gdy tyłu niecnotliwych opływa w honory. Skomplikowana była sprawa dla naszego „Kmicica”. Nie chce marszałkostwa i buławy po Lubomirskim. Nie śmiałyby szlachcice spojrzeć w oczy! Raczej rzuciłby chętnie wszystko i wyniósł się daleko od tego bigosu. Wciąż mu chodzi po głowie Paryż z Marysieńką.

Bo równocześnie z ówczesnych listów Sobieskiego widzimy, że istotnym arbitrem jego losów — a pośrednio i losów Polski — była ona. Pisze do niej z końcem grudnia r. 1664 Sobieski, że *le renard*<sup>97</sup> (Lubomirski) jest całkiem zgubiony; że nie ma sposobu go ocalić; że jemu samemu hamaleon (*kameleon*, królowa) robi najświetniejsze propozycje, ale Orondat (Sobieski) nie chce się na nic zdecydować, nie rozmówiwszy się pierwiej z bouquetem (panią Zamoyską). Królowej powiedział, że się „od wszystkiego chce uwolnić, o co płakał kilka razy Hamaleon”. Robiono mu propozycje, których on, „mając inne, stosujące się z bouquetowymi intencjami pierwszymi”, całe przyjąć nie chciał, „przez co przyszedł do wielkiej nielaski”; nie może pojąć, czemu by się tak często bouquetowe intencje odmieniać miały?

My pojmujemy łatwo: jasne jest, że królowa wywarła stanowczy nacisk na panią Zamoyską, która znowuż odpowiednio orientuje — a raczej dezorientuje Sobieskiego, nieumiejącego sobie wytłumaczyć, czemu w przeszłych konfiturach parla go Marysieńka ku *palais enchanté* (Wersal), a tu nagle teraz kieruje go ku *jeu de paume*<sup>98</sup> (Warszawa, dwór).

Tak, królowa Maria Ludwika liczy niezawodnie na swoją pupilkę, że skłoni Sobieskiego do objęcia niebezpiecznego spadku po strąconym hetmanie. Jeszcze w lutym r. 1665, Sobieski w liście do p. Zamoyskiej broni się przed tym brzemieniem. Ale czego by nie przyjął wielki chorąży, to przyjąłby — Celadon za cenę Astrei. „Jedna tylko *intelligence* (rozwód) — pisze — mogłaby mnie do tego przywieźć<sup>99</sup>, do czego żadnego nie

<sup>96</sup>*imponderabilia* — rzeczy nieuchwytnie, dosł. nie dające się zważyć (tj. dokładnie określić), ale mające wpływ na rzeczywistość a. bieg jakiejś sprawy. [przypis edytorski]

<sup>97</sup>*le renard* (fr.) — lis. [przypis edytorski]

<sup>98</sup>*jeu de paume* (fr.) — gra w piłkę (ręczną). [przypis edytorski]

<sup>99</sup>*przywieźć* — dziś popr.: przywieść. [przypis edytorski]

widzę podobieństwa, a dla czego jednego nicby<sup>100</sup> mi nie było ciężko. Ale jakoby do tego nie przyszło, toby to było gorzej, niżeli swoją zabić się ręką”. Niech tedy ma pewność *touchant*<sup>101</sup> *l'intelligence*, to dopiero na ten czas na wszystko odważyć się może.

W tej sytuacji Maria Ludwika uznała za właściwsze ściągnąć panią Zamoyską do Warszawy. Takie perswazje skuteczniejsze są z bliska. Mignięto Sobieskiemu nadzieją ręki Marysienki. Zamoyski — gdy królowa zażąda — zgodzi się na rozwód! Pod tym naciskiem Sobieski już nie odmawia stanowczo, żąda jedynie czasu do namysłu. W końcu godzi się przyjąć (ale jeszcze nie przyjmuje) jedynie marszałkostwo koronne, co już wywołało naganę opinii. Buławy polnej nie chce, może nie mając czola brać naraz — w spadku po żywym — tylu godności, może czując wstręt do piastowania tej buławy w nieuchronnej wojnie domowej. Buława przypadła Czarnieckiemu, ale jak wiadomo, zastała go na łożu śmierci. Znowu nacisk na Sobieskiego, aby ją brał po Czarnieckim. Tymczasem Zamoyski, oswojony przez chwilę z myślą o rozwodzie, chce się nagle godzić z żoną; zawiedziony w nadziejach Sobieski znowu jest gotów wszystko rzucić. Wtem — zachodzi w sytuacji ważna zmiana: *fujara* oddaje ducha dn. 7 kwietnia r. 1665.

\*

W pruskim tajnym archiwum państwowym znaleziono (Czermak) bez mała przed półwiekiem list podkomorzego kijowskiego, Stefana Niemiryca, do Elektora. List ów, pod datą 3 czerwca 1665 r., podaje w post scriptum następującą wiadomość:

Przyszła tu nowina o małżeństwie p. chorążego w. kor. Sobieskiego z p. wojewodziną sandomirską Zamoyską d'Arquien, gdzie piszą te formalia<sup>102</sup>:

Pani Zamoyska, zjechawszy do Warszawy na rozkaz królowej, miała w pałacu królewskim na przedmieściu schadzkę arcymiłosną z rzezonym p. Sobieskim w nocy o 11 godzinie. Królowa, zaskoczywszy ich na uczynku, oświadczyła p. Sobieskiemu, że jeśli nie zechce niezwłocznie poślubić Zamoyskiej, musi zginąć; trzeba więc zdecydować się na ślub albo na śmierć. Przyszedł potem ksiądz i dał im o północy ślub w pałacu.

Ślub, Polityka, Polska,  
Obyczaje

Relacja ta, gdyby nie istniały inne potwierdzające ją świadectwa, brzmiałaby wręcz fantastycznie. Wiadomo, że ślub Sobieskiego odbył się z wielką pompą publicznie dn. 6 lipca t. r., a dawał mu go sam nuncjusz papieski; jakże więc mógł się odbyć wcześniej drugi ślub kościelny? Alternatywa ślubu albo śmierci zanadto wydaje się niedorzeczna; jeszcze w Polsce za takie rzeczy — ani za inne — śmiercią takich ludzi jak Sobieski nie karano. Przy tym po co aż śmiercią zmuszać do tego, do czego on się ciągle rwie?

A jednak, jeżeli nie wszystkie okoliczności, to sam fakt jest niewątpliwą prawdą. Potwierdza go relacja posła francuskiego w archiwum spraw zagranicznych we Francji: „Wezwano mnie — pisze poseł — abym był świadkiem tajnego małżeństwa”. Trzęsła się zresztą od tego nocnego ślubu cała Polska, i — jak ujrzymy — zgotuje on wiele przykrości nowożeńcom. I znowuż pan Andrzej Morsztyn uczcił ten fakt niedyskretnym poemacikiem pt. *Serenada północna, na ślub niezwyyczajny wielkiego stadła, intonowana w Warszawie, przy skończonej sprawie*, z której to serenady wyjmujemy kilka wierszy:

Moda nastała poprzedzać wesele,  
Umie to Wenus i jest tego wiele.  
Kto umie, wszystkiego dokazywać może,  
A komuż wadzi skryte nasze łoże?

My się z sobą cieszymy,  
Nie bawiąc<sup>103</sup> pospieszmy,  
A ksiądz trafi prawie  
Po małżeńskiej sprawie.

<sup>100</sup>*nicby* — dziś: nic by. [przypis edytorski]

<sup>101</sup>*touchant* (fr.) — co się tyczy; co do. [przypis edytorski]

<sup>102</sup>*formalia* (daw.) — dane. [przypis edytorski]

<sup>103</sup>*nie bawiąc* (daw.) — nie zwlekając. [przypis edytorski]

I tak małżeństwo dawno już zawzięte,  
Ślub poprzedziło i obrzędy święte...

W kontrowersji, jaka wynikła między historykami co do faktu owego tajnego ślubu z maja r. 1665, naturalne było zajrzeć, co mówią w tej mierze listy Sobieskiego. I w istocie: „Żoneczko moja najśliczniejsza, największa duszy i serca mego pociecho! — pisze Sobieski do Marysienki dn. 9 czerwca, a więc na miesiąc blisko przed urzędowym ślubem. I cały list — Celadon bywał tak ostrożny w „konfityturach”! — wybucha tutaj miłością pełną, jawną, do której jako małżonek wyraźnie czuje się już w prawie. I kiedy później wielokrotnie w listach tkliwie wspomina datę swego szczęścia, zawsze rachuba ta odnosi się do owego tajnego ślubu, a nie do oficjalnego, który nastąpił w dwa miesiące po tamtym. Tak 31 dn. października t. r. pisze do żony: „Pisałaś W-ć duszo moja do mnie, że *pół roku* już jakośmy się poženili, a pięć tylko niedziel mieszkaliśmy z sobą”... Zapewne, później, na większą odległość czasu zdarzają się w tych wspominkach mniej ściśle chronologie, ale tu obliczenie wydaje się nazbyt bliskie, aby można było przypuszczać omyłkę. Pół roku to nie kwartał.

Mimo to, jak wspomniałem, prawdziwość tajnego ślubu Sobieskiego, poprzedzającego jego ślub oficjalny, była bardzo energicznie atakowana przez historyków. Wziął zwłaszcza w obronę Sobieskiego przed takim posądzeniem Korzon: a co osobliwsze, Czermak, który pierwszy (1893) ogłosił list Niemiryca i pierwszy ten dubeltowy ślub obwieścił i objaśnił, wycofał się (1899) ze swego stanowiska i przyłączył się — przeciw Waliszewskiemu (który oparł się m. in. i na jego pracy) — do Korzona.

Nie będę tu odtwarzał całej tej zawilej dyskusji, w której bogobojni historycy dokażywali cudów, aby wziąć w obronę Sobieskiego przeciw niemu samemu. Pisze do Marysienki „żoneczko”? — et, to takie sobie wyrażenie, oznaczające może, że ślub był już postanowiony. Pisze w październiku, że pół roku temu się pobrali? — ech, „kalendarz zakochanych! Istnieje autentyczny list ojca pani Zamoyskiej, z dn. 12 czerwca 1665 r., w którym p. d'Arquien oburza się na fakt dokonanego bez jego wiedzy ślubu? — głupstwo, nieporozumienie! Zdaje się, że tu wzięła górę pasja moralności nad pasją historyczną i że zbyt gorliwa chęć oczyszczenia Sobieskiego z błędu, który zdawał się w oczach pp. historyków uwłaczać jego pamięci, kierowała ich piórem. Ta pasja bywała im właściwa z dawna. Już Kubala w swoich *Szkicach historycznych*, przystępując do opowiadania procesu Radziejowskiego, pisze: „Szajnocha starał się obmyć z wszystkich zarzutów piękną podkanclerzynę i czynił to z taką dobrą wiarą i przekonaniem, że czytelnik jest w kłopotcie, kto więcej wiedział o niej, czy Szajnocha, czy jej mąż?”. Podobne pytanie — z większą jeszcze słusznością — budzą pewne interpretacje listów Sobieskiego. Kto lepiej wiedział, kiedy się pobrali, Korzon czy Sobieski?

Z Czerniakiem, to znowuż inna sprawa. Ogłaszając, jako młody uczony, w r. 1893 swoje *Potrójne śluby Jana Sobieskiego*, sumiennie spożytkował materiały, które mu wpadły w ręce; w kilka lat później w obszernej, do rozmiarów książki rozrosłej polemice z Waliszewskim pt. *Maria Kazimiera Sobieska*, wyraża skruchę, że się wprzód lekkomyślnie dał uwieść nieopatrzny wnioskowi... Sama forma tej skruchy historyka jest tu dość osobliwa, a jeżeli zważymy, że ta praca była drukowana w *Przeglądzie Polskim*, organie Stanisława Tarnowskiego, trzęsącego wówczas krakowskim uniwersytetem i Akademią, w każdym, kto zna dawny Kraków ta Czermakowa „canossa<sup>104</sup>” może obudzić szczególne refleksje.

O ile skruszony Czermak w drugiej swojej publikacji wycofuje się z faktu podwójnego małżeństwa, pisząc się całkowicie na kulawe argumenty Korzona, o tyle nie rozgrzesza on Sobieskiego w zupełności. „Grzech był popełniony — pisze — osądzić winę i wyznaczyć karę, w rękę to Boga”. Myślałby kto, że chodzi o przystanie do Szwedów, czy o udział w wojnie domowej, czy wreszcie o późniejsze knowania przeciw królowi Michałowi? Nie; to mowa o tym, że najprawdopodobniej — zdaniem naszego historyka — Sobieski

<sup>104</sup>canossa — tu: uznanie popełnionego błędu; *Canossa*: miasto w pn. Włoszech z zamkiem, w którym w 1077 cesarz Henryk IV ukorzył się przed papieżem Grzegorzem VII, kończąc tym samym spór o inwestyturę (tj. prawo nadawania wyższych godności duchownym na terenie swego państwa); stąd „udać się do Canossy”: ukorzyć się, wyznać swój błąd. [przypis edytorski]

uszczył nieco cnoty młodej wdowy przed ślubem! Osobliwa doprawdy jest ta „pirożyńskość<sup>105</sup>” naszych dawniejszych historyków; wszystko ci wujaszkwicie łatwiej darują swemu pupilowi, ale wszelki cień erotyzmu budzi ich niespokojną czujność, posuwającą się czasami aż do tuszowania i retuszowania tekstów.

Dzisiaj patrzy się z uśmiechem na te niepoważne igraszki poważnych ludzi, bo od czasu ogłoszenia korespondencji Kondeusza i jego syna z Marią Ludwiką, sprawa tajnego ślubu Sobieskiego jest ponad wszelką wątpliwość rozstrzygnięta. Ogłosił tę korespondencję, jak już wspominałem, p. Emile Magne w r. 1920, z archiwów w Chantilly. Praca jego nie jest wolna od zabawnych omyłek, świadczących o słabej orientacji wydawcy w stosunkach polskich, gdy np. p. Magne w przypisach swoich czyni panią Zamoyską żoną „Jakuba Radziwiłła, księcia Zamoyskiego”, ale to nie zmienia autentyczności samych listów i ich wymowy. Otóż, dn. 12 czerwca 1665 r. — na miesiąc blisko przed ślubem oficjalnym — książę d’Enghien pisze dosłownie do królowej Marii Ludwiki: „Byłem bardzo zdziwiony ślubem p. Sobieskiego z p. Zamoyską... cieszę się, że to jest już sprawa załatwiona, co na zawsze już przywiąże p. Sobieskiego do Waszej Królewskiej Mości...”

Nie tylko wtedy wie książę — z pierwszej ręki — o fakcie tajnego ślubu, ale rozumie jego ważność dla planów królowej i jego z tymi planami związek. Traktuje ów ślub jako wiadomość na wskroś polityczną. Książę d’Enghien — jak równocześnie donosi — podejmuje się ułagodzić starego pana d’Arquien, „oburzonego głównie sposobem, w jaki małżeństwo się odbyło”. P. d’Arquien uważa poza tym, że małżeństwa w Polsce są niekorzystne dla kobiet, że Zamoyski zrobił wszystko co mógł na rzecz swojej żony, a i tak nic z tego nie wyniosła; że on sam miał zamiar postanowić o losie córki we Francji; ale książę d’Enghien spodziewa się, że stary da sobie to wyperswadować i zrozumie, iż córka nie mogła zrobić lepszego interesu (*une meilleure affaire que celle-la*).

Zdaje się, że wobec wszystkich tych świadectw trudno wątpić; trzeba się pogodzić z faktem, że był w Polsce człowiek, który wziął dwa razy ślub kościelny z tą samą osobą, i że człowiekiem tym był Jan Sobieski; co więcej, że ten niepraktykowany w istocie duplikat ślubu dawał sam nuncjusz papieski Pignatelli, później papież Inocenty XII. Tym samym Korzon — typowy w tym Polak — chciał być bardziej katolicki od papieża. Potrzeba owego drugiego ślubu jest zrozumiała: nowożeńcy byli zbyt znacznymi osobami i sytuacja ich była zbyt drażliwa, aby można było na owym nagłym ślubie poprzestać. No i dać popić też trzeba było; inaczej rozgoryczenie w kraju byłoby zbyt wielkie.

A jeżeli dodamy do tych dwóch ślubów trzeci, prywatny — ów u karmelitów z r. 1661 — musimy przyznać, że mało kto był tak gruntownie zaślubiony i ożeniony jak Sobieski.

\*

A teraz, jeżeli przyjąć tezę tajnego ślubu — a niepodobna, jak widzieliśmy, postąpić inaczej — jak i czym go wytłumaczyć? Po co ten gwałt i pośpiech? Znamy już sytuację. Sobieski, jedyny możliwy kandydat do urzędów po Lubomirskim, uzależniał swoją zgodę od widoków na rękę Marysienki. Wśród tego umiera Zamoyski. Zdawałoby się, że ta śmierć rozwiązuje wszystkie trudności. Tymczasem, wbrew spodziewaniu, Sobieski nie daje w pierwszej chwili znaku życia, siedzi u siebie w Żółkwi. Może poruszyła go śmierć dawnego przyjaciela, wobec którego nie czuł się bez winy? Może powodują nim względy przystojności, nakazujące mu się trzymać na jakiś czas z dala od wdowy, z którą od kilku lat łączono jego nazwisko? Względy dość naturalne; niemniej królowa zaniepokojona jest jego abstynencją; sytuacja nie zostawia jej czasu na takie ceremonie. Trwa to zresztą niezbyt długo, skoro Sobieski zjawia się w stolicy po trzech tygodniach; zważywszy oddalenie, to jest i tak dosyć prędko. Przybywa, ulega na nowo czarowi Marysienki, prosi, aby napisała do rodziców z prośbą o błogosławieństwo, pozwala się ogłosić wielkim marszałkiem, daje do zrozumienia, że z czasem i buławy nie odrzuci.

Wśród tego sprawy się mąca. Zaognienie w Polsce skłoniło Francję do wysłania nowego przedstawiciela. Był nim Pierre de Bonzy, biskup Béziers, który w styczniu czy

<sup>105</sup>pirożyńskość — pruderia, obskurantyzm; od nazwiska ks. Mariana Pirożyńskiego, autora broszurki *Poradnik dla czytających książki* — *Co czytać*. [przypis edytorski]

w lutym przybył do Warszawy. Bonzy, młody, przystojny, żywy, bardziej świecki człowiek niż książę kościoła, miał odegrać dużą rolę zarówno na dworze, jak w życiu przyszłych państwa Sobieskich. Zrazu nie trafił mu Sobieski do gustu, a Caillet, agent Kondeusza, potwierdził ujemne wrażenia nowego posła. Sobieski wydał mu się człowiekiem „niedbającym, więcej troszczącym się o swoje przyjemności niż ambitnym i chciwym wywyższenia” — w czym ocenił psychikę ówczesnego Sobieskiego dość trafnie. Des Noyers, sekretarz królowej, dodawał do tej charakterystyki: „Niezdecydowany, z odcieniem republikanizmu, dbający o sympatie szlachty i przypodobanie się jej”. Też nieglupio. Nie był to, zdaniem francuskich dyplomatów, człowiek nadający się do przeciwstawienia Lubomirskiemu. Co do zdolności wojskowych, opinia p. des Noyers w liście do Kondeusza brzmi: „Odważny, ale bez żadnej nauki wojskowej. Wiedza żadna, służywał tylko w Polsce”. Toteż nowy ambasador sprzeciwił się użyciu Sobieskiego do tak wysokich zadań. Nie wierzył też w bezwzględność jego oddania. Miał inny plan: oznajmiać, że sam Kondeusz na czele czterech tysięcy Szwedów pociągnie przez Gdańsk do Polski. Królowa, zachwiana, pyta się swoim zwyczajem astrologów; nie radzą tego roku wszczynać kroków przeciw Lubomirskiemu... Maria Ludwika zamierza wdać się w układy z Lubomirskim, którego skazanie niedawno wymusiła na trybunale sejmowym; gotowa jest zwrócić mu godności, które dopiero co narzuciła Sobieskiemu. Można zrozumieć, że im bardziej Sobieski ociągał się z przyjęciem szarż, tym bardziej krew w nim zagrała na tak lekkie traktowanie jego osoby. Czy chcą go wydać na pośmiewisko kraju! Przyszło do gwałtownej sceny między nim a biskupem-ambasadorem; Sobieski tupał nogami na biskupa w obecności królowej. Widzę tę scenę!

W rezultacie postarano się, aby wyroki gwiazd wypadły korzystniej, i rzeczy się ułożyły. Stupany ambasador nabrał widać lepszego pojęcia o energii i ambicji Sobieskiego. Ale obrażony Celadon trzymał się w rezerwie: w Chantilly przebąkiwano, że ma jakieś widoki na księżniczkę kurlandzką... Kto wie, może w tej chwili znów zawahał się co do pani Zamoyskiej, przeciw której wrzała cała Polska, którą pomawiano o otrucie męża, nazywając ją Klitemnestrą<sup>106</sup>, Kleopatram... Może uląkł się opinii: uchodził przeciw za jej jawnego kochanka, którego posądzano, że chce rzucić kraj i lecieć za nią do Francji. Przyzwoitość nie pozwalała zenić się wreszcie przed upływem roku. Toż ciało Zamoyskiego było jeszcze niepochowane!

W końcu królowa miała tego dość; znów zamierzyła przeciąć węzeł gordyjski. Dawny plan zasadzki na Lubomirskiego posłużył jej tutaj, z tą odmianą, że tam chodziło o głowę. Rzecz jasna, że pani Zamoyska musiała być w zмовie; był zapewne wtajemniczony i biskup de Bonzy. Astrea unikała przez tydzień Celadona, potem dała mu schadzkę w letnim pałacu królewskim, gdzie mieszkała — było to w połowie maja — i tam pozwoliła się zaskoczyć na gorącym uczynku. Maria Ludwika weszła znienacka i ujrzała — cóż za operetka, tym komiczniejsza, jeżeli zachować należne tytuły — biskup — królowa — hetman... Skandal — zgorszenie — grzech — niewinność zawstydzona — uwodziciel bardziej jeszcze! Sobieski, niezdolny podejrzewać ukochanej o takie rachuby, po sarmacku naiwny („a, zrobiłem wstyd niewieście!” fredrowskiego Cześnika) — dał z sobą zrobić wszystko. Sprowadzono księdza („pleban czeka już w kaplicy” — znów przychodzi na myśl Fredro) i nad ranem bohater nasz był już po ślubie. I człowiek tego typu, gdy raz było „po harapie”, już oddał się całą duszą. Tym bardziej, że skoro zdecydowano za niego, czuł się już szczęśliwy; z poślubnych jego listów bucha po prostu szczęście.

Ten wybuch szczęścia jest tak silny, że budzi we mnie chętkę wzięcia w obronę Sobieskiego, a raczej cnoty pani Zamoyskiej. Może w istocie do tej pory Celadon dostąpił tylko „pół-zbawienia”, mówiąc słowami poety; może Marysieńka do samego ślubu odegrała w tym stosunku rolę niedostępnej Astrei? Tak by można wnosić z poślubnych listów Sobieskiego; nowy akcent zmysłowego szczęścia daje w nich wrażenie istotnego przełomu. Ale nie chcę tego rozstrzygać — i nie czuję potrzeby.

W kilka dni potem Sobieski ruszył do wojska, aby szykować smutną kampanię przeciw Lubomirskiemu, podczas gdy pani Sobieska — jeżeli wolno ją tak nazwać — wybrała się do Zamościa, aby pochować męża...

<sup>106</sup>*Klitemnestra* — żona i zabójczyni Agamemnona, króla Myken. [przypis edytorski]



## X. MIODOWA ŻAŁOBA

Podczas gdy w Warszawie rozgrywały się opisane poprzednio sensacyjne wydarzenia, w Zamościu leżały zwłoki nieboszczyka wojewody — niepochowane. Była to zwykła rzecz, że z powodu trudności komunikacji, obowiązku powiadomienia krewnych i pozostawienia im dostatecznego czasu na przybycie, pogrzeb odbywał się aż w parę miesięcy po jego śmierci. Niemniej najszybsza obecność wdowy była tu pożądana; zarówno dla poskromienia coraz gwałtowniej narastających nieprzyjaznych dla niej pogłosek, jak dla olbrzymich spraw majątkowych, które się wiązały ze śmiercią pana na Zamościu. Była wreszcie i tu również podszełka polityczna: Zamość był jedną z najpotężniejszych twierdz w Rzeczypospolitej i już chodziły wieści, że Lubomirski chce nim pod jakimkolwiek pretekstem zawładnąć.

W Zamościu panowała uroczysta żałoba. Dokoła katafalku, obitego najdroższym szkarlatem, paliło się 77 funtów jarzących świec. Co dzień po obiedzie muzyka przygrywała przy ciele i na litaniach. Przyjeżdżali tłumnie najdostojniejsi goście; przybył nawet poseł od chana krymskiego; tylko wdowy wciąż nie było. Okazywała za to zainteresowanie sprawami majątkowymi; na zabezpieczenie swoich zapisów chciała zająć wszystkie dobra ordynacji. Ale siostra zmarłego, księżna Gryzelda Wiśniowiecka, czuwała: dnia 5 maja rozesłała do dzierżawców ostrzeżenie, aby nie dopuszczali do intruzji. Nawet sędziego warszawskiego, przybyłego z plenipotencją pani Zamoyskiej i z listem królewskim, odprawiono cierpkim słowem.

Sprawa była dla wdowy niełatwa, bo do spadku zgłaszały się najmożniejsze rody; Zamoyscy z bocznej linii, Wiśniowieccy, Koniecpolscy zjeżdżali do Zamościa, nie bez wojskowej asysty. Pomału Zamość robił się obronny.

Wreszcie, z końcem maja, wybrała się młoda pani, aby odwiedzić ciało męża i uczestniczyć w ceremoniach żałobnych. Jeżeli wierzyć poprzednim relacjom — a czyż można im nie wierzyć! — ta wdowa była od paru tygodni panią Sobieską. Wiadomość o tajnym ślubie obiegła już kawał Polski. Jakoż, gdy poprzedzający wdowę dworzanin królewski zjawił się w Zamościu z zapowiedzią przybycia pani, usłyszał od księżnej Gryzeldy (owej *basetli* z „konfitur”) taką odpowiedź: „Szkoda po śmierci to *ficte*<sup>107</sup> pokazywać, czego za żywota nie czyniła; która że nas na wesele swoje (z Sobieskim) nie prosiła, my też ją na pogrzeb prosić nie będziemy”. Podobnie odpowiedziała księżna samej królowej. I w istocie, kiedy wdowa przybyła dn. 5 czerwca do Zamościa, zastała mosty rozebrane i bramę zamkniętą. Dworzanin królewski, p. Gutowski, zażądał w imieniu pani Zamoyskiej wpuszczenia na zamek, wydania miasta i przekazania zarządu dóbr; odmówiono, pozorując to obawą rozlewu krwi. Eskortująca wdowę piechota chciała uderzyć na bramy, ale powstrzymał ją towarzyszący jej starosta opoczyński. Wznosiły się z tłumu wrogie okrzyki. Na pytanie: „Czy wiesz, z kim gadasz?”, odrzucił ktoś z tłumu: „Wiem, z panią Sobieską”. Rada nie rada, Marysieńka wsiadła do powozu i ruszyła z powrotem; tłum jeszcze za nią wołał: „A nazad, Sobkowa!” Chciała stanąć w pobliskim folwarku; i tam jej nie wpuszczono: z gniewu „rozdarła na sobie kabat”. Wszystko to zanotował współczesny świadek, lekarz zamkowy p. Rudomicz. Dodaje też, że w kilka dni potem pani Zamoyska zaklinała się z płaczem przed panią Jarocką, że ślub jej z Sobieskim jeszcze się nie odbył.

Łatwo zrozumieć, że Polska trzęsła się od plotek na temat tego incydentu, zwłaszcza na tle zaognienia sprawą Lubomirskiego oraz rosnącej niepopularności Sobieskiego, domniemanego wydziercy godności i tytułów hetmana i marszałka. Cytowana poprzednio *serenada* Morsztyna na sekretny ślub była jeszcze najniewinniejsza. Obiegały utwory łacińskie i polskie, pisma satyryczne, paszkwile, w których wdowę po Zamoyskim porównywano z Kleopatrami, ba z Klitemnestrą, nie bez wyraźnych aluzji do niej jako do morderczyni męża. I na Sobieskim ciążyły te pogłoski. On, przed paru laty ulubieniec szlachty, jej poseł, rozjemca, rycerz, stał się nagle przedmiotem powszechnego wstrętu. Aby go zozydzić, też sięgnięto do starożytności; ale gdy partner Kleopatry powinien być bodaj Antoniuszem albo Cezarem, przyczepiono do niego imię Kaliguli. W paszkwilach tych czyniono go — stwierdza Szajnocha — pierwszym rozpustnikiem swego czasu; niebezpiecznym dla wszystkich mężów zwodzicielem. Jedna z niedrukowanych satyr na

<sup>107</sup>*ficte* (łac. forma B.) — zmyślenie, udawanie. [przypis edytorski]

senat ówczesny, kreśląc wizerunek Sobieskiego, zaczyna od tych słów: „Ot, i ten Kaligula rękę w pludrach<sup>108</sup> trzyma”.

Jeżeli wierzono w pierwszy ślub, udzielony naprędce przez księdza, wiadomość o drugim, oficjalnym, powinna by wywołać tym większe wzburzenie. Dwa śluby kościelne z tą samą osobą, to trąciło świętokradzką igraszką z sakramentem! Ale zdaje się, że przeciwnie, ten uroczysty ślub ułagodził opinię. Powaga nuncjusza papieskiego, który go celebrował, pokryła wszystko. Skrócono ile tylko było możliwe termin ślubu. Dn. 2 lipca 1665 r. nowożeńiec oznajmia go siostrze w tych słowach: „Przyjeżdżajże tedy Wasza X. Mość jako najprędzej widzieć teraz to, czegoś tak życzyła, bo przyznam się bezpiecznie, że nad się szczęśliwszego nie widzę i nie imaginuję człowieka”. Obrządek odbył się dn. 5 lipca 1665 r. — w trzy miesiące niespełna po śmierci Zamoyskiego — z zachowaniem wszystkich ceremonii. Pan Matczyński przybył do pałacu jako dziewosłab i w kwiecistej oracji prosił o rękę pani Zamoyskiej. Odpowiedziała królowa, sławiąc przymioty swojej wychowawcy i kładąc na jej skronie bogaty wieniec z drogich kamieni, dar pana młodego. Wygłoszono bezlik oracji i toastów, panegiryków wierszem i prozą; gody weselne trwały trzy dni. Trzeciego dnia pan młody podejmował króla i królową wraz z całym dworem. Zbytek był niesłychany; naczynia złote i srebrne, długie ręczniki, przybite do stołów (aby ich nie skradziono) i służące za wspólne serwety, strojne były na końcach kosztownymi koronkami. Pijatyka była taka, że służba rzuciła się do łupienia stołów; brano się już ostro do szabel, kiedy król i królowa odprowadzali państwa młodych do łożnicy.

Trudno o większe pomieszanie stanów duszy niż to, które w tych przełomowych chwilach zachodziło w Sobieskim. Odbija się to w jego listach, gdzie widzimy go na przemian jako *Jean qui pleure et Jean qui rit*<sup>109</sup>. Wchodził w nowy okres życia; skończone wahania, niepewności, rozterki, komplikacje psychologiczne, do których ten polonus tak mało był sposobny. Przemocą czy dobrowolnie, ale nareszcie ożeniono go; wie, co ma, jest szczęśliwy. W małżeństwie czuje się tak jakby z przyciasnego obcego stroju przebrał się w wygodny kubrak na swoją miarę; ale godne uwagi jest, że nie dzieje się to bynajmniej kosztem jego zapalów miłosnych; jako mąż zawsze będzie kochankiem, płonącym spotęgowanymi jeszcze ogniami dawnego Celadona. Ma tedy swoją najukochańszą Marysienkę; ale z drugiej strony cierpi nad jej przykrą sytuacją, bołą go awanie, które ją spotykają, a od których do dnia oficjalnego ślubu nawet nie mógł jej bronić, i plotki, jakie o nich obiegały, o których wie, że niezupełnie są plotkami i wobec których sumienie ma niezupełnie czyste.

Wszystko to załatwił — o tyle o ile — uroczysty ślub, ale zostały inne powody zgryzot. Najpierw skomplikowane sprawy spadkowe Marysienki, mającej na Zamojszczyźnie 600 000 zł. wiana, z którego zabiegliwy Sobieski nie myślał rezygnować. Czekają go uciążliwe procesy. A wreszcie ów ogromny awans życiowy pana chorążego, ale awans dwuznaczny, ciernisty i zjawiający się nie w porę. Nie w porę, bo teraz pan młody miałby ochotę być po prostu ze swoją żoną i nasycić się do woli jej miłością. Te spadłe jak z nieba urzędy, godności, były mu dość wstrętne, widzieliśmy, jak długo bronił się od ich przyjęcia. Przyjął je dla swej Astrei i łącznie z jej ręką; i to mu je też zatrują: nie na polu bitwy zdobył tę buławę, ale przy fartuszkowi Marysienki, a przynajmniej tak to ludzie komentują. Dotychczasowy wielki marszałek i hetman polny żyje i dla ogromnej większości wciąż jest marszałkiem i hetmanem; nie wie Sobieski — jak już raz mu groziło — czy mu z dnia na dzień nie odbiorą tych szarż, aby je wrócić Lubomirskiemu, co byłoby znowu straszliwym despektem! Przy tym co za początek kariery hetmana: wojna domowa, i to przeciw komu, przeciw swemu dawnemu wodzowi, przeciw człowiekowi, u którego boku wołałby wojować niż stawać przeciw niemu w sprawie niepopularnej, niesławnej, bez względu na jej wynik.

Wszystkie te sprzeczne stany malują się w listach do żony, gdzie obecnie może bez skrępowania wyrażać swoje uczucia. To już nie dawne mdłe nieco *konfitury*! Listy jego z tego okresu, szczerze, naiwne chwilami, stanowią — mimo bolesnego tła sprawy publicznej — uroczą lekturę.

<sup>108</sup>*pludry* — krótkie spodnie z bufiastymi nogawkami, element dworskiej mody męskiej od XVI w.; w daw. Polsce: każde krótkie spodnie. [przypis edytorski]

<sup>109</sup>*Jean qui pleure et Jean qui rit* (fr.) — Jan, który płacze i Jan, który się śmieje. [przypis edytorski]

Miłość bucha z listów tym gwałtowniej, że tuż po owym pierwszym, tajnym ślubie przyszło do rozłąki. Sobieski, pozyskany ostatecznie przez królową, odjechał do wojska; ledwie gdzieś co jakiś czas Marysiénka dojeżdża, ledwie dopadną się na jakimś popasie. I tak zjechali się i spędzili parę chwil w jego majątku w Pielaskowicach: i tak mu się jej „śliczność” wbiła w głowę, że oczu nie mógł zawrzeć całą noc. Musiał prosić p. Koniecpolskiego, żeby z nim całą noc przegadał. Oczarowała go tak, iż tuszy, że ich miłość nigdy nie zmieni się w przyjaźń; — że *notre amour ne changera jamais en amitié, ni en la plus tendre qui fut jamais*<sup>110</sup>. Już od dawna zdawało mu się, że „barziej y wiecey kochać nie mógł”, ale choć nie można kochać bardziej „*je vous admire*”<sup>111</sup> coraz więcej, widząc perfekcję a tak dobrą i w tak pięknym ciele duszę”. Owa piękna dusza, która mu się objawiła w łóżku, to sublimacja klasyczna dla zmysłowych natur; ale i „wdzięczne ciałeczko” Marysiénki trapi go w obozie do tego stopnia, że od czasu do czasu wydawca listów, stary Helcel, zmuszony jest czynić odsyłacz: „opuszczamy mniej przyzwoity ustęp wynurzeń miłosnych”. Zrobiłem sobie tę zabawę, aby odszukać opuszczone ustępy, może je omówię osobno; na razie poprzestańmy na tych, które nam zostawiono, na owych zapowiedziach srogich, że „trzeba będzie na korysieńku (*korynek* = rodzynek) pomścić wszystkich impacyencyj<sup>112</sup>”, i na tym, że nasz bohater „obląpia i całuje śliczne rączki i nóżki mojej duszy. O gębusi już nie wspominam ani myślę, boby i minuty w obozie wytrwać niepodobna”. Jak w tym stanie hetmanowi wojować!

A teraz zgryzoty. Oczywiście, wie Sobieski o tym, co jego Marysiénkę spotkało w Zamościu; i plotki, które kursują: „o Sylwandrze i Astrei że takie już i po klasztorach mowy, żal się Boże... Widzę, że na tym świecie nie masz nic tak słodkiego, do czego by się siła nie miało przymięszać gorzkości. A wszystkiego narobiła niewczesna gorliwość Hameleona” (królowej).

Widzimy z tych listów, jak bardzo dopiekają świeżemu hetmanowi względy prestiżowe: z okazji różnych dyzgustów prosi już króla o *congé*<sup>113</sup>, widząc, iż miasto<sup>114</sup> nabycia przyjdzie mu tu ostatek stracić reputacji. Jest jak błędny, przy żadnym niepodobna mu być poselstwie, bo inaczej nigdy nie nazwą pana Lubomirskiego, tylko marszałkiem i hetmanem, od czego, łatwo zgadnąć, jak jego, Sobieskiego, powaga cierpi.

Ale niebawem wszystkie te przykrości, mimo że dotkliwie, utonęły w samej sprawie, w tragicznej rozgrywce, która z jakimś fatalizmem ciągnęła wszystkich w odmet wojny domowej. Uszedłszy na Śląsk, Lubomirski rozwija zdecydowaną akcję, gotów związać się z każdym wrogiem Polski, aby poprzeć — swoją sprawę. Rokuje z elektorem brandenburskim, Fryderykiem Wilhelmem II, którego już w r. 1661 częstował koroną polską, ale nadaremno: elektor udziela mu rady, aby się pojednał z królem. Stara się przez intrygi dyplomatyczne ściągnąć na Polskę cara Rosji. To znów śle do cesarza Leopolda prośby o opiekę; wydostaje od cesarza i od książąt Rzeszy trochę grosza i trochę żołnierza, ale głównie podejmuje tę bratobójczą wojnę z własnych magnackich funduszków. Wkracza do Polski, wiodąc ze sobą trochę żołnierzy cesarskich, trochę zwerbowanych Kozaków, resztę ściąga z kraju przez swoich emisariuszy agitacją w imię „złotej wolności”, a także pokusami pieniężnymi, dość skutecznymi wobec nieregularnie przez Rzeczpospolitą płaconego żołdu. Wydaje manifesty, orędzia, pisma. Jak widzieliśmy ze wspomnianej poprzednio interwencji cudownych obrazów, rokoszanin umie swoją sprawę utożsamić ze sprawą ojczyzny i wiary. Wyzyskuje antyfrancuskie nastroje szaraczkowej szlachty. Najwierniej odbija się to wszystko w pamiętnikach Paska. Opowiada ten dzielny żołnierz-czarnieńczyk, jako król wyprowadził wojsko w pole dosyć dobre i porządne; i on też musiał być — choć mu się nie chciało — regalistą, bo jego chorągiew w tym tu była wojsku:

Ale po staremu chociaż tu byli, tośmy tamtej stronie bardziej wygranej życzyli widząc *iniuriam*<sup>115</sup> Lubomirskiego a w jego osobie *totius nobilita-*

<sup>110</sup>*notre amour ne changera jamais en amitié, ni en la plus tendre qui fut jamais* (fr.) — nasza miłość nigdy nie zmieni się w przyjaźń, ani nigdy nie będzie czulsza. [przypis edytorski]

<sup>111</sup>*je vous admire* (fr.) — podziwiam cię. [przypis edytorski]

<sup>112</sup>*impacjencja* (z łac.) — niecierpliwość. [przypis edytorski]

<sup>113</sup>*congé* (fr.) — zwolnienie. [przypis edytorski]

<sup>114</sup>*miasto* (daw.) — zamiast. [przypis edytorski]

<sup>115</sup>*iniuriam* (łac.) — krzywdę. [przypis edytorski]

*tis*<sup>116</sup> (...) To nie wojna była, ale właśnie goniony taniec, abośmy ustawicznie z miejsca na miejsce gonili nie goniąc, a oni też przed nami uciekali nie uciekając.

Tak pisze prostoduszny p. Pasek, ale bez mała można by powiedzieć, że takie było nastawienie nie tylko większości królewskiego wojska ale i hetmana, który stanął na jego czele — Sobieskiego.

Jak w tym gonionym tańcu pustoszyły oba wojska kraj, łatwo zgadnąć. Najskwapliwiej splądrowali lubomirczycy dobra Sobieskiemu, ale i innych nie szczędzono. Znana jest z pamiętników Paska — a potwierdzają to zdarzenie i inne relacje — owa pani Sułkowska, która w żywe oczy skłęła króla od ostatnich za swoje gospodarskie krzywdy. A król tylko się śmiał i mówił: „Ale, dla Boga, niech kto oznajmi Lubomirskiemu żeby się z nami przeprosił, boć już nas o tę wojnę i baby konfundują”.

W tych warunkach trudno się dziwić, że nowy hetman niczym się nie odznaczył, że nie umiał Lubomirskiego dogonić i pobić i że — o ile jej nie spowodował — to bodaj nie umiał zapobiec straszliwej klęsce pod Mątwanami.

Bo gdyby, na obronę planów Marii Ludwiki, chciał ktoś powiedzieć, że inaczej wyglądałaby sprawa, gdyby bitwa pod Mątwanami była wygrana, to właśnie tragizm sytuacji był w tym, że ona nie mogła być wygrana. Po stronie króla brakło siły moralnej, wiary w słuszność sprawy, podczas gdy rokoszanie umieli, choćby na fałszywych przesłankach, tę siłę w sobie wytworzyć. Ta sama szlachta, która przed dziesięć laty pod Lubomirskim wypędzała Szwedów, zmieniała obecnie tylko jedno słowo w śpiewanej wówczas wojennej pobudce; zamiast Szweda wstawiono Francuza i śpiewano niemniej zajadle:

Siecz Francuza siecz,  
wyostrzywszy miecz —

Męcz Francuzów męcz,  
i jak możesz dręcz...

Bo kiedy tak „goniono nie goniąc” przez rok z górą — co nie przeszkodziło Lubomirskiemu natłuc porządnie królewskich pod Częstochową, naraz, dn. 13 lipca 1666 r., przyszło do najdziwniejszej, najtragiczniejszej rozprawy pod Mątwanami, najboleśniejszego błazństwa. Tak dalece niepodobna było rozróżnić, kto po której stronie się bije pośród pokumanej i spokrewnionej szlachty, że rokoszanie wzięli sobie — podaje Pasek — chustkę na lewej ręce jako znak rozpoznawczy: otóż, szczwany p. Pasek też sobie taką chustkę bezwstydnie zawiązał, a oni, poznawszy sztukę, ale śmiejąc się, przepuścili go. Spytali: „A nasz, czy nie nasz?. Podniósł rękę z chustką i mówi: „Wasz”. A tamci: „O, francie, nie nasz; jedź sobie, albo sprzedaj się do nas”.

I nagle w tej wesołej wojnie, gdy nierozważne dowództwo królewskie przepравиło kilka pułków przez bród bez oparcia piechoty i artylerii, rokoszanie rzucili się na nie i, nie dając nikomu pardonu, wycięli je w pień z takim okrucieństwem, że trupy, wedle zgodnego świadectwa, miały po trzydzieści i więcej ran, poszatkowane po prostu. Cały kwiat czarnieczyków zginął w tych bagnach. Straty króla dochodziły kilku tysięcy ludzi, więcej niż pod Beresteczkiem!

Oto bolesne i niechlubne okoliczności, w jakich Sobieski zaprawiał swoją świeżą buławę hetmańską. W jakim stopniu odpowiedzialny był za klęskę mątewską, zdania są podzielone; w obecności króla nie on podobno sprawował dowództwo, ale rozumiało jest, że — zwłaszcza przy jego niepopularności ówczesnej — na nim się skrupiło. Przyznają mu, że podobno „przodkował, w wielkim był niebezpieczeństwie”, ale wyrzekają na niego, że to on miał doradzać królowi tę przeprawę za bród. Sobieski sam przyznaje, że nie doradzał, ale też „nie kontradykował<sup>117</sup>”, iżby go o małoduszność nie posądzono. Fałszywa taktyka wynikała z fałszywej pozycji.

Zajrzyjmy do listu Sobieskiego do żony pisanego nazajutrz po bitwie pod Mątwanami; potwierdza najokrutniejsze relacje współczesnych powiadając jak „z tej okazji najwięcej

<sup>116</sup>*totius nobilitatis* (łac.) — całej szlachty. [przypis edytorski]

<sup>117</sup>*kontradykować* (z łac.) — sprzeciwiać się. [przypis edytorski]

zginęło ludzi, że skoro na błota uszli, wywoływali ich, dając im quartier<sup>118</sup> i parol<sup>119</sup>, a potem zawiódłszy za górę, nie ścinali ale rąbali na sztuki. Nie tylko Tatarowie, Kozacy nigdy takiego nie czynili tyraństwa, ale we wszystkich historiach o takim od najgrubszych narodów nikt nie słyszał okrucieństwa. Jednego nie znajdują ciała, żeby czterdziestu nie miało mieć w sobie razów: bo i po śmierci się nad ciałami pastwili”.

Po czym list kończy się tak: „Więcej nie mając pisać czasu, obłapiam i całuję milion razy Wć serce moje. *Le chariot avec le vin est arrivé, et les autres hardes*<sup>120</sup>, za które dziękuję bardzo Wci sercu memu”.

A w kilka dni potem, już zniecierpliwiony, pisze o poległych, „których nie tak wiele zginęło jako udają; i są też niektórzy sami sobie winni”.

I nic dziwnego, że był zniecierpliwiony poległymi, kiedy mu ona, Marysienka, ważniejszych przyczyniała kłopotów. Pisze mu właśnie, że sobie śmierci życzy i że swego zdrowia konserwować nie chce... „*Vous me mandez*<sup>121</sup> — odpowiada zrozpaczony Sobieski — *que Celadon sera bientôt veuf. Je vous en assure, qu'on Vous verra plutôt porter le même habit que vous portiez il y a un an*<sup>122</sup>. Proszę uniżenie, aby takich więcej nie pisywać rzeczy, bo całe i pisać do Wci serca mego nie będę, i tak się strapię i zgryzę, że mię i śliczna nie pozna Jutrzenka”.

W trzy dni później sytuacja robi się jeszcze poważniejsza: zdaje się, że Marysienka znalazła, swoim zwyczajem, moment, aby mu robić sceny zazdrości. Oto co odpisuje pan hetman polny: „Wć takie rzeczy piszesz, które abym był kiedy miał słyszeć od Wci ani mi to w imaginacyą przyjąć mogło. Bo kiedy wyglądam ja tu co godzina i co moment *d'être malheureusement assomé, quand je me consomme d'ennui et de mille chagrins*<sup>123</sup>, Wć mi perswadować chcesz i wmawiać we mnie, że ja tu myślę o takich rzeczach, które by Wć obrażać miały. I nie znalazłszy żadnej na świecie okazji ani podobieństwa na czym by się to fundować miało, to mi zaraz wyrzucasz i tym mi odpowiadasz. Co się już snadź Wci naprzykrzyło, albo że mię kto tak obmierzył Wci *puisque Vous voulez plus avoir aucun commerce avec moi secret*<sup>124</sup> (te słowa dobry Helcel opuścił) *et que vous ne me voulez voir que je jour*<sup>125</sup>. Zaprawdę nie stąd to było zacząć, jeśli już cała ustała ta miłość, która snadź nigdy nie była doskonałą. Lepiej mię było przestrzec aniżeli na mnie niewinnego i ni o czym nie wiedzącego taką wwałać okazją”...

Trudno zaiste jest hetmanić z takimi kłopotami na głowie. Bo oto w dodatku p. Cominges powiedział mu, że jego Marysienka jest zdrowa z łaski bożej, wesoła niesłuchanie i tak jako nigdy nie była weselsza. „Wć zaś dla jakiej przyczyny koniecznie się przede mną chorą czynić każesz, koniecznie chudą, szpetną, ja tego zgadnąć nie mogę. Bo chorą się kazać czynić, jest to mnie na moim zdrowiu zabijać, które od Wci nigdy nie było rozłączone; czynić się zaś szpetną i ustawicznie o tym pisać, i to nie wiem na co się przyda; chyba żeby tym sobie *préparer le chemin, pour ne se voir que le jour*<sup>126</sup>. Co o gładkość, wiesz to Wć bardzo dobrze, i nie miałaś zapomnieć, żem to sobie w Wci na ostatnim kładł miejscu. *Les qualités de Votre âme m'ont engagé le plus*<sup>127</sup>, które żadnej nigdy nie miały podlegać odmianie... Więcej nie turbuję Wci serca mego, obłapiam przecie i całuję ze wszystkiej duszy na szczęśliwą noc, choć mię to od niej odsądzają, czy *par caprice*<sup>128</sup> czy

<sup>118</sup> *dać komuś quartier* (z fr.) — darować życie. [przypis edytorski]

<sup>119</sup> *parol* (z fr.) — słowo (honoru). [przypis edytorski]

<sup>120</sup> *le chariot avec le vin est arrivé, et les autres hardes* (fr.) — wóz z winem przybył i inne maneje. [przypis edytorski]

<sup>121</sup> *Vous me mandez* (fr.) — donosisz mi; piszesz mi. [przypis edytorski]

<sup>122</sup> *que Celadon sera bientôt veuf. Je vous en assure, qu'on Vous verra plutôt porter le même habit que vous portiez il y a un an* (fr.) — że Celadon będzie wkrótce wdowcem. Zapewniam cię, że raczej ciebie zobaczą w tych samych szatach, które nosiłaś rok temu [tj. w żalobie]. [przypis edytorski]

<sup>123</sup> *d'être malheureusement assomé, quand je me consomme d'ennui et de mille chagrins* (fr.) — że będę nieszczęśliwie zabity, gdy zjada mnie nuda i tysiąc zmartwień. [przypis edytorski]

<sup>124</sup> *puisque Vous voulez plus avoir aucun commerce avec moi secret* — skoro nie chcesz już mieć ze mną żadnych stosunków intymnych. [przypis edytorski]

<sup>125</sup> *et que vous ne me voulez voir que je jour* — i chcesz mnie widywać tylko w dzień. [przypis edytorski]

<sup>126</sup> *préparer le chemin, pour ne se voir que le jour* (fr.) — przygotować się do tego, by nie widywać się inaczej niż za dnia. [przypis edytorski]

<sup>127</sup> *les qualités de Votre âme m'ont engagé le plus* (fr.) — ujęły mnie najbardziej zalety twojej duszy. [przypis edytorski]

<sup>128</sup> *par caprice* (fr.) — dla kaprysu. [przypis edytorski]

*par inconstance*<sup>129</sup>, czy *par conseil*<sup>130</sup>, czy *par manque d'amour*<sup>131</sup>, czyli *par mes défauts*<sup>132</sup>, w których się znać było zrazu nie przejrano, bom był *le plus heureux et le plus content de tous les hommes*<sup>133</sup>".

Taka była Marysieńka w czasie bitwy pod Mątłami, taką samą została w czasie wyprawy wiedeńskiej. Ta jednolitość, to była jej siła.

Pod Mątłami skończyła się owa wojna, na którą — jak pisze Pasek — „król się wbrał z królową jejmością, z fraucymerem i z całym dworem z Warszawy”. Skończyła się po tym okropnym epizodzie niemniej dziwnie: osobliwym chyba w dziejach wypadkiem, zwycięzca, jakby przerażony odniesionym zwycięstwem, kapitulował. Ale przegrana była obustronna: jeżeli Lubomirski złożył broń i udał się na wygnanie, król zobowiązał się ponieść wszelkich planów elekcji *vivente rege*. Wszystkie zamieszki, które zmąciły Polskę przez ostatnie lata i które tak ciężko miały się odbić na jej przyszłości, były daremne.

W namiocie swoim przyjął Jan Kazimierz kającego się Lubomirskiego. Obok króla stał Sobieski, trzymając rękę marszałkowską. Król dał rokoszaniecowi rękę do ucałowania i spytał go, gdzie mieszkać zamierza. Po czym Lubomirski obszedł swoich dawnych kolegów senatorów i uściskał ich, w końcu stanąwszy przed Sobieskim, wziął milcząc jego rękę i położył ją sobie na głowie.

Tak zakończyła się wieloletnia walka o elekcję *vivente rege*. Być może, gdyby ją wygrało, byłoby to dla Polski z korzyścią. Trudno zrozumieć zaciekłość niektórych historyków — np. Korzona — przeciw Kondeuszowi na tronie polskim i przeciw ówczesnej możliwości związania się z Francją. Obróciła się później sprawa polska tak źle, że nie ma powodu odrzucać myśli, że mogła się obrócić lepiej. Silny król z dynastią, sojusz z Francją, z którą Polska nie miała sprzeczności, a miała wiele interesów wspólnych, związanie się z rosnącą potęgą młodego Ludwika XIV, to wszystko mogło otworzyć Polsce nowe olbrzymie horyzonty. Ale, jak już wspomnieliśmy, cała rzecz w tym, że plan Marii Ludwiki — zły czy dobry — był w danych okolicznościach niewykonalny. Trzeba było „wolnej” Polsce iść drogą swego przeznaczenia — aż do końca.

Niebawem aktorzy tego dramatu dziejowego zeszli ze sceny. W styczniu 1667 r. umarł w opuszczeniu na Śląsku Jerzy Lubomirski; dn. 10 maja t. r. umiera królowa. Wyrok lekarzy przyjęła ze spokojem: *Ergo moriendum*<sup>134</sup>! — wyrzekła te słowa, które miał rzec kochanek jej młodych lat Cinq-Mars, wstępując na szafot. Nie miała dobrej prasy. „Karolicha narobiła w Polsce licha”; ten lichy dwuwiersz krążył między szlachtą. „Przez którą jako siła złego się stało, wypisać trudno, która jako niedźwiedzia za nos króla wodziła, pieniądze stare dobre wyprowadziła, i życia swego niezbożnego dokonawszy plugawie umarła” — notuje w swoim raptularzu szlachciura. „Królowa umarła, polska wolność ożyła” — pisze współczesny kronikarz, nieświadom mimowiednego efektu ironii, jaką potomność znajdzie w tym sądzie. A mówca pogrzebowy, ksiądz Wydźga, lubujący się w kwiecistym cytacie, wykrzyknął nad jej trumną: *Et dissipatae sunt omnes cogitationes eius*<sup>135</sup>. W istocie *sunt dissipatae*, mimo że kandydatura francuska — z tym samym Kondeuszem — miała jeszcze wypłynąć. Aż kiedy druga Francuzka zasiądzie z kolei na naszym tronie, sprawa Francji w Polsce przepadnie ostatecznie.

## XI. NARESZNIE ON!

Pamiętamy, jak przed kilku laty, w liście pisanym do zbyt troskliwej kuzynki, Sobieski daje odprawę plotkom posądzającym go o zamiar porzucenia Polski. Odpowiedź była męska i godna; niemniej myśl o emigracji nie tylko nie opuszcza naszego bohatera, ale przeciwnie, stanowi — aż do jego wstąpienia na tron — nieustanny współczynnik jego działań. Historycy dość chętnie zamykali na to oczy lub otwierali tylko jedno. Korzon, autor najobszerniejszej monografii, powiada, podsumowując pierwszy okres jego życia,

<sup>129</sup>*par inconstance* (fr.) — z powodu niestałości. [przypis edytorski]

<sup>130</sup>*par conseil* (fr.) — według rady. [przypis edytorski]

<sup>131</sup>*par manque d'amour* (fr.) — z braku miłości. [przypis edytorski]

<sup>132</sup>*par mes défauts* (fr.) — ze względu na moje wady. [przypis edytorski]

<sup>133</sup>*le plus heureux et le plus content de tous les hommes* (fr.) — najszczęśliwszym i najbardziej zadowolonym z ludzi. [przypis edytorski]

<sup>134</sup>*ergo moriendum* (łac.) — a więc trzeba umierać. [przypis edytorski]

<sup>135</sup>*et dissipatae sunt omnes cogitationes eius* (łac.) — i unicestwione są wszystkie jej zamiary. [przypis edytorski]

że „jeśliby Sobieski zmarł jednocześnie z przeciwnikiem swoim Lubomirskim, otrzymałby na sądzie pośmiertnym nie lepszą pewnie, a może gorszą atestację<sup>136</sup> służby publicznej niż Lubomirski”. A jako główny motyw tego sądu podaje historyk, że Sobieski „zezwoił na występki, jakiego Lubomirski nigdy się nie dopuścił — wyniesienia się z kraju rodzinnego na obczyznę”. Za surowo albo za łagodnie. Gdyż, bądź co bądź, nasuwa się refleksja, że jednak byłoby korzystniej dla Polski, gdyby się był urażony Lubomirski po prostu wyniósł... A z drugiej strony, Sobieski i później, w najbardziej heroicznej epoce swego życia, wciąż równolegle pertraktował o warunki popełnienia tego występk.

Podłożem tych projektów Sobieskiego były, jak i poprzednio, sugestie Marysieńki. Ale zmienia się charakter planów. O ile za pierwszym razem ekspatriacja pana chorążego trąciłaby raczej prywatną awanturką, o tyle teraz, przy wysokich szarżach Sobieskiego, zamiary jego mają charakter oficjalny, a nawet chwilami znaczenie niemal patriotycznej ofiary.

Widzieliśmy, z jakim trudem udało się go skłonić, aby przyjął godności — marszałkostwo wielkie i buławę połą — po Lubomirskim. Zaledwie przyjął, już mu je chciano odebrać. Wiemy z jego własnych uwierzeń, jak go drażni ta niejasna sytuacja, te godności objęte po kimś, kto żyje, kto go przerasta czynami i dawną zasługą. I kiedy królowa, nieporzucająca do końca swoich konszachtów i negocjacji, raz po raz — nawet po kapitulacji rokoszana — myśli o tym, aby skłonić Sobieskiego do złożenia szarż na rzecz nieodzownego dla jej widoków Lubomirskiego, Sobieski godzi się; gotów jest nawet pracować nad elekcją, gdyby Lubomirski zechciał ją za tę cenę popierać; ale inna rzecz, że po tym despekcie nie zostałyby w kraju! Złoży urzędy, o ile w zamian otrzyma odpowiednie tytuły i uposażenie we Francji, dokąd się wyniesie. Jakoż w połowie lipca r. 1666, nadchodzi z Paryża depesza ministra de Lionne, z zawiadomieniem, że Ludwik XIV, w uznaniu ofiarności Sobieskiego, nadałby mu — zaraz po elekcji Kondeusza — godność marszałka Francji. To daje miarę drogi, jaką Sobieski zrobił w ciągu tych paru lat od r. 1662, gdy Marysieńka chciała go przeffancować do Paryża w charakterze — właściciela realności. Zarazem widzimy, jak trudno jest formułować sąd moralny o tym zamiarze w sytuacji, gdy żołnierz i hetman godzi się porzucić na zawsze kraj — *pro publico bono*<sup>137</sup>...

Ale Sobieski nie daje się wykwitować lada czym; Marysieńka czuwa. Pani Sobieska popiera zamiar przeniesienia się, ale dopilnowuje, że w sierpniu r. 1666, przed wyjazdem z Warszawy, Sobieski zostawia notę z wyszczególnieniem swoich żądań, którymi są: buława marszałka Francji, order św. Ducha, dobra wartości 400 000 funtów z przynależnym do nich tytułem książęcym. Bodaj to mieć przytomną żonę! Marysieńka czuje, że w tej chwili można się cenić; toteż jako poręczawicze żąda jeszcze bezpłatnej szarży porucznika gwardii królewskiej dla swego brata, kawalera d'Arquien, z uwolnieniem od taksy. Zamieszkaliby prawdopodobnie Sobiescy na południu Francji. Pan Jan wymawiał sobie możliwość przyjazdu do Polski, tak w interesach Francji, jak w swoich sprawach domowych.

Dyplom królewski przyszedł podobno dn. 8 października 1666 r., ale niepełny; jest marszałkostwo i parostwo, nie ma w nim mowy o kawalerze d'Arquien; nie było też w nim mowy o najważniejszym: o „taburecie” dla księżnej Sobieskiej. Wśród tych targów, projekt spalił na panewce, zapewne przez śmierć Lubomirskiego, która usuwała główny kamień obrazy, może i przez despekt dla rodziny, który odczuła Marysieńka. Nieostatni to raz uparta niechęć Ludwika XIV do rodziny d'Arquien zaważy na sprawach Francji i Polski donioślejszych niż ta emigracja Sobieskiego.

Na chwilę, z początkiem r. 1667, utrapiony przejściami wojny domowej hetman odechnął swobodniej, spędzając parę miesięcy we Lwowie, we własnej kamienicy, do dziś dnia istniejącej na placu Ratuszowym. Był to jego najlepszy czas, przy boku ukochanej żony, z którą dotąd żył w ciągłych rozstaniach. Ale niebawem spadła szczęśliwemu mężowi jak dachówka na głowę decyzja wyjazdu Marysieńki do Francji. Lekarze nadworni wydali świadectwo, że potrzebne jej jest powietrze francuskie. Wyjazd ten obciążył mocno konto Marysieńki w osądzie jej biografów, którzy poczytali go jej za kaprys, tym naganniej, że była właśnie w dość zaawansowanej ciąży. Tym bardziej oberwało się

<sup>136</sup> atestacja — poświadczenie, świadectwo, zaświadczenie. [przypis edytorski]

<sup>137</sup> *pro publico bono* (łac.) — dla dobra publicznego. [przypis edytorski]

od historyków owemu usłudnemu — jak piszą — *consilium facultatis*<sup>138</sup>, które wydało taką opinię. Otóż, pewne ustępy listów Sobieskiego, które mnie uderzyły jako dawnego lekarza, nasuwają przypuszczenie, że trzeba może spojrzeć na tę sprawę nieco inaczej. Kaprys! Kobiety na ogół mniej są kapryśne, niż się zdaje, i zazwyczaj rzekome ich chimery mają głębsze pobudki, tylko że się tych pobudek często nie zna. I lekarze może działali nie z samej usłudności. Zajrzyjmy więc do listów Sobieskiego.

Dn. 23 marca 1668 r., już w czasie pobytu żony w Paryżu, Sobieski pisze do niej tak:

Korad (lekarz) przez wszystkie czas oczu pokazać nie śmiał. Davisson był razów kilka, a raz, gdy mi listy z poczty przyniesiono, malusieńkom go nie uderzył; alem łajał tak, że już gorzej być nie może. Naprzód przysięgł klękawszy, że ta suspicja<sup>139</sup>, którą mieli o Aci m. P, nie jest płonna, bo nieboszyk (Zamoyski) na tę właśnie i umarł chorobę. I to przydał, że *votre femme*<sup>140</sup> nie może być zdrowa, jeśli się nie da *entre les mains de quelque habile chirurgien*<sup>141</sup>. Dopierom go o to poczał jeździć i besztać niesłychanie. Pokazałem mu potem ów skrypt *de M. de Puis*. Słuchał go pilnie i powiedział: że i on toż rozumie, co i my, i że te nasze lekarstwa nie zepsowały Jej Mci, boby to znać było na dziecięciu; ale trzeba było mocniejszych jeszcze zażyć... że takie lekarstwa dają dzieciom we trzydziestu miesiącach we Francji.

I tegoż roku, dn. 18 maja:

Co strony Pana Davisson, ten to przyznał, że dawali *du mercure*<sup>142</sup>, ale to wywodził przez swój skrypt, którym ja posłał Wci s. m., że i dzieciom małym doktorowie zwykli bez wszelkiej dawać zdrowia ich obraży...

Te dwa ustępy (a jest ich więcej) wystarczyłyby, jak sądzę, aby poddać jeżeli nie rewizji, to bodaj znakowi zapytania wiele sądów o Marysieńce. Przyjęte jest ze względów obyczajności nie mówić o takich sprawach i udawać, że się ich nie widzi; ale trudno zaprzeczyć, że omijanie tak istotnych motywów może prowadzić do wielu omyłek. Bo oto nastęrcza się wytłumaczenie „kaprysu” Marysieńki i jej wyjazdu do Francji. Bardzo być może, że właśnie w związku z jej ciążą, i przez wzgląd na przyszłe dziecko, miejscowi medycy kazali Marysieńce najpilniej udać się do Paryża, gdzie, mimo wszystko co by można powiedzieć o „molierowskich” lekarzach, medycyna stała nieskończenie wyżej niż w Polsce, gdzie były wody zalecane na jej chorobę i gdzie pacjentka mogła się poddać incognito drażliwej kuracji, mniej narażając się na obmowę. Kto wie, czy i pierwszy jej nagły wyjazd nie miał podobnej racji, gdy młodziutka pani Zamoyska puściła się do Paryża! Przypomnijmy sobie dzieci, jakie miała z Zamoyskim, wszystkie niewydarzone, mrące w niemowlęctwie; a i później, w pożyciu z Sobieskim, na czworo dzieci, które się uchowały, przypadają liczne poronienia, niezżywo urodzone płody i wczesnie ginące niemowlęta. Ze choroba Zamoyskiego była notorycznie znana, to Sobieski sam stwierdza w którymś z listów.

Jedna jeszcze okoliczność może nas uderzyć, mianowicie owe plany Marysieńki zamieszkania w Prowansji. Jak to! ledwie dostawszy się do Paryża, w pobliże Wersalu, gdy kto żył, cisnął się we Francji do świetnego dworu, nieobecność na nim uważając za największe nieszczęście, ta osóbką pełna ambicji, marząca o „taburecie”, projektuje osiedlenie się z Sobieskim na południu Francji, daleko od zaczerowanego pałacu”, jakby na dobrowolnym wygnaniu? Trudno by znaleźć wytłumaczenie tych planów, poza jakimś surowym klimatycznym zaleceniem paryskich lekarzy. I kiedy później, przywołując tym Sobieskiego do rozpacz, pisze mu, że nie wróci nigdy do Polski, bo ją polski klimat zabija, również może powtarza w tym opinię Fakultetu.

Więcej jeszcze: owe nagłe zmiany humorów Marysieńki, kiedy ona, przedtem najczulsza, nagle stara się zakochanego męża jak gdyby od siebie oddalić, kiedy się chce zrobić dla niego odpychająca i brzydka, kto wie czy nie mają w danym momencie konkretnej

<sup>138</sup>*consilium facultatis* (łac.) — rada wydziału. [przypis edytorski]

<sup>139</sup>*suspicja* — podejrzenie. [przypis edytorski]

<sup>140</sup>*votre femme* (fr.) — pana żona. [przypis edytorski]

<sup>141</sup>*entre les mains de quelque habile chirurgien* — w ręce jakiegoś zręcznego chirurga. [przypis edytorski]

<sup>142</sup>*du mercure* (fr.) — rtęć. [przypis edytorski]



przyczyny w jej zdrowiu, czy nie kryją jakiejś tragedii kobiecej. I doprawdy, kiedy zacny Korzon, ze swadą godną siedemnastowiecznego panegirzysty, rozczuła się nad Zamoy-skim, „znakomitym rycerzem, zasłużonym obywatelem, wspaniałomyślnym i nad miarę hojnym panem, który za 600 000 złotych i za dochody starostwa kałuskiego kupił sobie najniewdzięczniejszą żonę”, nasuwa się pytanie, czy „kupowanie sobie” młodziutkiej dziewczyny — prawie dziecka — przez chorego pijaka i rozpustnika jest aktem wspaniałomyślności i czy ona miała mu za co być wdzięczna? Choroba była „francuska”, ale nabyła jej na polskiej ziemi, od ślubnego męża, od wojewody sandomierskiego, od Piasta. To jedno kazałoby nam być oględniejszymi w rzucaniu na nią kamieniem. Spoza „kapryśnej” Marysieńki mogłaby łatwo wyrzecć nieszczęśliwa chora kobieta, wciąż brzemienna, matka szesnaściorga lub więcej żywych i umarłych dzieci, zatruta w samym źródle swego macierzyństwa.

Sobieski w tym wypadku okazuje więcej wielkoduszności od historyków. Dobroć jego, szlachetność, troskliwość wobec Marysieńki są ponad wszystkie próby.

Pani hetmanowa, wyjechawszy z Polski w czerwcu r. 1667, podróżowała wielkim dworem. Miała z sobą 40 osób, jechał z nią brat jej, kawaler d'Arquien. Do Paryża miała przybyć dn. 15 sierpnia. Chodziło o to, jak się ma postawić, na jaką stopę; wyjeżdżając pyta o to męża. Sobieski odpowiedział ze skromną pychą:

Ja rozumiem, że się nie godzi, tylko przynajmniej tak jako przedtem, jeśli nie więcej. Bo lubo nie jesteśmy *des Princes*<sup>143</sup>, ale urzędy które nam dał Pan Bóg, więcej tu u nas w Polsce ważą, niżeli dziesięć ksiąząt *de l'Empire*<sup>144</sup>. Zwać się tak, jako się będzie najlepiej podobało Wci sercu memu; kiedy zechcesz ujść *pour inconnue*<sup>145</sup> — lubo *Marquise*<sup>146</sup> *de Żółkiew, de Złoczów, de Kaluche, de Jaworów*.

Tęsknota trawi opuszczonego małżonka; nie tylko duchowa, ale fizyczna. Ta zajmuje w listach Sobieskiego dużo miejsca i znajduje wyraz wzruszający i często komiczny zarazem. Wierność, której niezłomnie dochowuje — jak się raz po raz zaklina, przypiekany jej udaną może podejrzliwością — wiele, jak twierdzi nasz Celadon, przynosi uszczerbku jego zdrowiu. Ale o tym kiedy indziej.

Z radością za to oczekuje ten najlepszy mąż przyjscia na świat potomka. Ten od kołbelki ręcą traktowany pierworodny, to był przyszły król-wicz Jakub.

Jeżeli pani „*marquise de Kaluche incognito*” łudziła się co do przyjęcia w Paryżu, i tym razem spotkał ją dotkliwy zawód. Śmierć Marii Ludwiki zadała cios planom elekcyjnym, tym samym cena stronników Francji spadła. Zlekceważono Marysieńkę zupełnie; zarówno Wersal jak i Chantilly, siedziba rodu Condé, zignorowały jej obecność. W dodatku nie umiała się ona ustrzec drobiazgowości w swoich pretensjach; nieświadoma wielkich przeznaczeń, jakie ją czekają przy boku małżonka, z chwalebny zresztą przywiązaniem do rodziny d'Arquien, wciąż sili się coś wytargować i wydrzeć dla tej rodziny, przez co nieraz naraża na szwank większe interesy. Tej polityce zostanie wierna nawet jako królowa polska.

Obecnie wdąła się w jakąś sprawę spadku po kuzynce d'Arquien, żonie p. Guitaut, dworzanina i przyjaciela Kondeuszów. Ta hrabina Guitaut, nie mogąc prawnie zapisać majątku mężowi, zapisała go pozornie Kondeuszowi, sposobem praktykowanego w takich wypadkach fideikomisu. Rodzina d'Arquien podniosła gwałt, że ją pozbawiono spadku, i wszczęła nierówną walkę z potężnymi Condé. Marysieńka solidarnie z rodziną miotła się i krzątała, co było tym mniej rozsądne, że równocześnie wszczęła nowe targi z Wersalem w sprawie przeszczepienia męża do Francji. I znów dwór godził się na premie dla Sobieskiego: laska marszałkowska, majątek z tytułem księcia, wysoki order. Ale Marysieńka dołączyła do tego całą listę faworów dla swojej rodziny, dla ojca, dla brata; prócz tego dla wszystkich d'Arquienów ów spadek, i oczywiście upragniony „taburet” dla niej. Nie chciano z nią gadać. Wówczas Marysieńka pisze czym prędzej do męża, aby pu-

<sup>143</sup>*des Princes* (fr.) — księżęta. [przypis edytorski]

<sup>144</sup>*de l'Empire* (fr.) — cesarstwa. [przypis edytorski]

<sup>145</sup>*pour inconnue* (fr.) — za nieznaną. [przypis edytorski]

<sup>146</sup>*marquise* — markiza. [przypis edytorski]

ścił kantem Francję i próbował nawiązać z Austrią. To już przygrywka do — odsiecz Wiednia!

\*

Ale podczas gdy Marysiénka w pobliżu „zaczarowanego pałacu” zaprzęta się małostkami, czuły Celadon, zaledwie wiedząc o tym, gotuje jej niespodziankę. Sobieski, którego zastanie żona wróciwszy do Polski, będzie kimś zupełnie innym niż ten, którego zostawiła. Na wstędze kochanki, którą opasze się wierny rycerz, historia wypisze magiczne słowo: Podhajce.

Nikt, mam nadzieję, nie żąda tu ode mnie oceny wojennych czynów Sobieskiego. Pomijając, że nie jest to w żadnej mierze zadaniem autora studium o *Marysiénce*, rzecz sama trudniejsza jest niż kiedykolwiek, ile że (jak wspomniałem na wstępie) cała nasza historia orężna w. XVII jest jakby w trakcie przebudowy. Zwłaszcza co się tyczy Tatarów. Świeżo ukazała się nowa praca Górki pt. *Liczebność Tatarów krymskich i ich wojsk*, gdzie autor wykazuje, iż liczba wszystkich w ogóle Tatarów, z żonami i dziećmi, wahała się między stoma a najwyżej dwustoma tysiącami głów; cyfra wystawianych przez nich armii rzadko dochodziła dziesięciu lub piętnastu tysięcy, a intencje ich nigdy nie były zaborcze, tylko po prostu rabunkowe. W tych warunkach — zdaniem historyka — humorystycznego zabarwienia nabiera powszechna wiara — podzielana do dziś przez pocziwą Europę — że dwunastomilionowy naród przez kilka wieków piersią swoją zasłaniał Europę od tej dziesięcioletniej „nawały”. Zarazem wypadnie obciąć co najmniej jedno zero z cyfr, w których — jak po nim inni — Sobieski siłę ciągnących na niego Tatarów szacuje na 120 lub 160 tysięcy. Przesada i grandilokwencja siedemnastowiecznych panegiryków, jak w mówkach weselnych czy pogrzebowych, tak samo wyrażała się w biuletynach z placu boju. Nie liczbą groźni byli Tatarzy, ale sprawnością bojową, organizacją i — co wyda się paradoksalne — cywilizacją techniczną, którą górowali nad szlachecką hasą. W połowie XVII w. prawie każdy Tatar miał podobno w kieszeni od kamizelki norymberski zegarek.

Ale mniejsza o cyfry; jedno jest niewątpliwe i w całej sprawie uderzające, mianowicie przemiana duchowa, jaka w tym czasie zachodzi w Sobieskim. Wyzwolona nareszcie z małostek, w których się szamotała, wielkość jego, dotąd nieświadoma samej siebie, wystrzela tryumfalnie.

Różne okoliczności złożyły się na tę przemianę. Reakcja na to, co było poprzednio. Znany okoliczności, w jakich Sobieski otrzymał buławę hetmańską; w dworskich i fartuszkowych przetargach. Jakże go ukłuło w serce powiedzenie posła francuskiego, który powiada o nim publicznie, „że wszystkie te honory, które ma, nie dla niego, ale z jej (Marysiénki) respektu dane mu są”. — „Jeśli się tak godzi, moja duszo, racz sama osądzić” — skarży się żonie Sobieski! Zaczął hetmaństwo od wojny domowej, prowadzonej z niechęcią i lichy, zakończony klęską, może nie bez jego winy. Wśród tego wszystkiego miodowe miesiące, zatrute szyderstwem i zgorszeniem całego społeczeństwa. Można pojąć, że ten człowiek, którego zadatki były w Sobieskim, nie był zadowolony z siebie, że musiał czuć niesmak.

To wszystko ma już za sobą. Lubomirski nie żyje, buława — jakkolwiek otrzymana — jest jego; nie ma nikogo, kto by mu jej mógł zaprzeczyć, ma ją i jest na czele wojska. Znalazłszy się w stepie, oddycha szerszym powietrzem; tu odnajdzie samego siebie, znajdzie rehabilitację we własnych i w cudzych oczach.

Na szczęście, nie ma też nikogo, kto by go mógł wyrwać z tego stanu. Nie ma żony, która wędruje tymczasem ku *palais enchanté*; okoliczność w tym wypadku bardzo szczęśliwa. Gdyby Marysiénka była w pobliżu, gdzieś na przykład we Lwowie, Sobieski — taki jakiegośmy dotychczas poznali — cały czas myślałby w obozie, jakby się wyrwać bodaj na kilka dni i pośpieszyć do swego *korynka*, aby pomścić na nim swoje impacyencye. Ten mężny wódz był jeszcze mężniejszym kochankiem. Można z całą ścisłością powiedzieć, że gdyby Marysiénka była w kraju, nie byłoby Podhajec. Nie zamknąłby się w nich.

Co innego na odległość. Z daleka jest jego Astrea cudowną gwiazdą, która przyświeca w obozie bohaterowi, której szarfa daje mu niezwalczoną moc. Nawet jego „impacyencye”, których nieznaną mu wprzód wyłączość miłosna — bardziej jeszcze niż skrupuł

Przedmurze chrześcijaństwa

Żołnierz, Przywódca,  
Kochanek

małżeńskiej cnoty — nie pozwoli mu nigdzie ulokować, zmienia się we wściekłość, w pasję z jaką będzie kropił wroga, z jaką będzie narażał życie. I podczas gdy ona targuje się w Paryżu o testament i o taburet, nie przeczuwa, że on tutaj wybija kapitał bohaterstwa, cenę korony, którą niebawem włoży na jej skronie.

I on tego zresztą nie może przeczuwać. Na razie, pretensje jego są znacznie skromniejsze: pokazać na polu bitwy, co potrafi, zwiększonym swoim autorytetem dopomóc — po abdykacji Jana Kazimierza — do osadzenia na tronie polskim Kondeusza, pośpieszyć po nagrodę do „zaczarowanego pałacu” i osiąść szczęśliwie we Francji z ukochaną Marysienką.

Jest dawny i szeroko swego czasu spopularyzowany szkic Szajnochy *Mściciel*, gdzie heroiczna droga Sobieskiego wywiedziona jest cała z tradycji jego dzieciństwa i młodości, z grobów rodzinnych, z surowego głosu matki, wskazującego synom ich rycerski obowiązek, walkę z półksiężycem. To są piękne — *Śpiewy historyczne*<sup>147</sup>. Ale nie wydaje się, aby w psychice Sobieskiego te tradycje zbyt przyszyły do głosu. Pomiędzy jego dzieciństwem a tymi rozstrzygającymi latami jego życia, ileż innych działało nań wpływów, jakże inne przechodził szkoły! Do półksiężyca nie miał zresztą żadnej nienawiści; z Turkami i Tatarami — póki nie wypadło ich bić — porozumiewał się wcale dobrze, zyskał u nich znaczną popularność, sam był pod silnym wpływem kultury orientalnej, a jeszcze za królewskich czasów rezydent jego na Krymie utrzymywał go *au courant*<sup>148</sup> najnowszej mody krymskiej, którą Sobieski rad w stroju i orężu obserwował. Nic w jego tak szczerych listach nie znamionuje „mściciela”. Droga, która go wiodła do wielkości, wydaje się inna, bardziej kręta, mniej konwencjonalnie przykładowa, ale tym bardziej interesująca.

Przeobrażenie Sobieskiego ma i tę cechę, że nie wywodzi się z nowych elementów, ale z tych które już poprzednio mogliśmy w nim poznać. Ten świetny i odważny żołnierz jest jako hetman tegim organizatorem. Sobieski, ten sam, który nazajutrz po bitwie pod Mątawami pamięta, żeby potwierdzić nadejście furgonu z winem (mimo że sam pić nie lubił, szkodziło mu), potrzebnym dla kaptowania popularności; który z obozu daje Marysienkę rady, jak sobie ma zapewnić świeże masło i świeże jaja („A łatwo tego dokazać: kupić tylko krów dwie, za które wrócą się pieniądze, i oddać do której białogłowy na folwark, albo na grunt księcia Aleksandra, to będzie co dzień i mleko pannom na kawę i masło dla Wci. Toż uczynić i dla świeżych jajec: kupić kazać kilka kokoszy, które oddać do której gospodyni: to będą jajca zawsze świeże, nie kłopotąc się o nie co dzień i nie biegając dla nich co dzień po świecie”), teraz tę praktyczność, te zalety gospodarskie wkłada w swoje hetmaństwo. A nie były one zbyt cenne: bo w tym osobliwym ustroju, jakim była polska organizacja wojskowa, hetman musiał być nie tylko wodzem, ale i impresariem wojny, kasjerem i aprowizatorem. Hetman często kredytuje ojczyźnie, często musi z własnego dołożyć, co mu nieraz tym trudniej przychodzi, ile że nieprzyjacieli pustoszenie kraju zaczyna zwykle od włości hetmana. Nawet za rokосу Lubomirskiego odpowiedzialność byłego marszałka i hetmana na nominację swego następcy było spustoszenie mu żółkiewszczyzny. To połączenie gospodarności z czynem oręźnym było jednym z sekretów zwycięstw Sobieskiego. Teraz zapożycza się, zastawia swoje srebra aż do miednicy (tak że — pisze żonie — trzeba się mu myć w szklance); własnym kosztem wystawia 800 ludzi, przekazuje do obozu własne trzody, mąkę, krupy, kaszę. Wie, że żołnierz nie może być głodny; inaczej albo się rozlezie, aby łupić po wsiach, albo zawiąże konfederację. Trzeba mu myśleć, żeby konfederacja nie była, żeby wojsko miało co jeść, żeby się wszystkim akkomodować, żeby wszystkim dawać — owo zgola żeby z niczego wszystko uczynić. Bo oto taką od dworu odebrał deklarację: „Niech on tam sobie myśli, żeby było dobrze, bo tu nie masz pieniędzy, ani sukursu żadnego, którego niech się pewnie nie spodziewa”. Raz po raz skarży się żonie Sobieski, że to, o czym we Francji myślą specjaliści komisarzy, tutaj jest na głowie hetmana. I te czysto zawodowe względy nie są obce jego predylekcjom dla nowej niedoszłej ojczyzny.

Nie jest tu moim zadaniem opowiadać kampanię z r. 1667, w której, przeciw przeciwnym (nie spierajmy się o końcowe zera) siłom tatarskim i kozackim, Sobieski zdołał

Przedmurze  
chrześcijaństwa, Rycerz,  
Wróg, Polak, Moda

Gospodarz, Przywódca,  
Polska, Obyczaj, Pieniądz

<sup>147</sup> *Śpiewy historyczne* — zbiór tekstów o historii Polski autorstwa Juliana Ursyna Niemcewicza. [przypis edytorski]

<sup>148</sup> *au courant* (fr.) — na bieżąco. [przypis edytorski]

zgrupować ledwo 5000 jazdy i 3000 piechoty. Zuchwałym manewrem podzielił swoje wojsko na kilka partii, tak aby nieprzyjaciel nie mógł skupić się na oblężeniu jednej twierdzy, sam zaś z garścią wybranego rycerstwa okopał się w obozie, aby stamtąd ciągłymi wypadami szarpać nieprzyjaciela, przecinać mu dowóz żywności i nużyć go bez ustanku. Dn. 4 października 1667 r. wydaje uniwersał, w którym wzywa brać szlachtę, aby chciała „*viribus unitis*<sup>149</sup> zniósłszy się<sup>150</sup> *consulere saluti comuni*<sup>151</sup>”, co do siebie zaś oznajmia, że pozostaje na posterunku, „abym na sobie nie tylko imprezy tak ciężkiej nieprzyjaciela potęgę zatrzymał, ale dla całości dobra pospolitego moim własnym zasłonił trupem, dając się *in victimam*<sup>152</sup> milej Ojczyźnie”...

I tym razem nie były to frazesy rzymskiej cnoty, którymi szafowano na sejmach; to była powaga człowieka stojącego w obliczu śmierci lub zwycięstwa, który czuje, że w nim jednym skupia się w tej groźnej chwili całość i istnienie Rzeczypospolitej. Tam, na jej rubieży, Sobieski odnalazł samego siebie. Nareszcie On!

Co nie przeszkadza, że pertraktacje o przeniesienie się do Francji toczą się swoim trybem, przy czym w liście do żony, przy omawianiu warunków, wymyka się Sobieskiemu to słowo: *l'argent vaut tout*<sup>153</sup>, które tak mu miało zaszkodzić w opinii wielu dziejopisów. Nie przeszkadza też, że po urodzeniu się Jakuba zwycięzca spod Podhajec myśli zawczasu o naturalizacji syna we Francji i że w marcu r. 1668, ten, który za kilka lat włoży na skronie koronę polską i będzie o jej spadku marzył dla syna, pisze z okazji chrztu Jakuba (ojcem chrzestnym był Ludwik XIV):

„Po ceremonii rozumiałbym, żeby go prezentować à *Mr le Dauphin, et quand il sera un peu grand*<sup>154</sup>, że go oddamy za sługę”.

Stanowczo, Sobieski co chwila złązi z pomnika i puszcza się ze swoją wielkością na wagary. I to może daje temu — jak go nazwaliśmy — „bohaterowi mimo woli” tyle wdzięku.

## XII. SERCEM I BUŁAWĄ

Wyraziłem na wstępie pół żartem, a właściwie bardzo serio pogląd, że Sobieski wódz i król wyrządził krzywdę Sobieskiemu pisarzowi; że gdyby był prywatną osobą, listy jego do Marysieńki wystarczyłyby, aby mu zapewnić kartę w historii literatury, gdzie obecnie na próżno szukałoby się jego nazwiska. Historia literatury uważa widać, że bohater spod Chocimia i Wiednia ma chwały dość i że nie ma co smarować tłustego połcia, gdy tyłu jest zgłodniałych.

Ale gdy mowa o tych listach<sup>155</sup>, z których każdy historyograf Sobieskiego czerpał i musi czerpać garściami, jeszcze raz trzeba nam ustalić wartość i charakter obiegowego ich tekstu. Przede wszystkim, gdzie są oryginały listów i kto je widział? Oryginały te są dzisiaj po trosze mitem. Podobno znajdują się w tajnym państwowym archiwum berlińskim i to nie wszystkie, część miała spłonąć w jakimś pożarze. Podstawą dostępnego wszystkim tekstu są odpisy Bandtkiego, dokonane „z oryginału archiwum niegdyś Sobieskich”; odpisy te nie są pełne, gdyż wiele listów podaje Bandtkie tylko w wyciągu. Wówczas podaje w nagłówku: „wyciąg”, ale bez żadnej wskazówki w jakim duchu wyciąg ten robiono i co się Bandtkiemu wydało w listach Sobieskiego nie dość interesujące i niewarte utrwalenia? Odpisów swoich Bandtkie nie wydał; skopiował je do druku i wydał bardzo starannie, opatrując cennymi komentarzami, w r. 1860 Helcel, poddawszy je w przód nowej jeszcze operacji, mianowicie opuszczając ustępy, których — jak pisze — „przyzwoitość żadną miarą ogłaszać nie pozwalała”. Przyzwoitość ta była nader drażliwa, bo nawet tam, gdzie Sobieski mówi o chorobie kilkumiesięcznego synka, znajdujemy odsyłacz: „Ustęp mniej przyzwoity opuszczamy”.

List, Historia, Fałsz,  
Obyczaje

<sup>149</sup>*viribus unitis* (łac.) — wspólnymi siłami. [przypis edytorski]

<sup>150</sup>*zniść się* (starop.) — spotkać się, połączyć się. [przypis edytorski]

<sup>151</sup>*consulere saluti comuni* (łac.) — radzić o wspólnym ratunku. [przypis edytorski]

<sup>152</sup>*in victimam* (łac.) — na ofiarę. [przypis edytorski]

<sup>153</sup>*l'argent vaut tout* (fr.) — pieniądze są warte wszystkiego; pieniądze przede wszystkim. [przypis edytorski]

<sup>154</sup>à *Mr le Dauphin, et quand il sera un peu grand* (fr.) — Delfinowi, a kiedy będzie trochę większy; *Delfin*: następcą tronu Francji. [przypis edytorski]

<sup>155</sup>listy Sobieskiego — istnieje nowsze, dwutomowe wydanie w opracowaniu Leszka Kukulskiego: Jan Sobieski, *Listy do Marysieńki*, „Czytelnik”, Warszawa 1973. [przypis edytorski]

Ponieważ pojęcia o przyzwoitości są bądź co bądź zmienne i od r. 1860 mogły ulec jakimś przeobrażeniom, zrozumiałe jest, iż zadając gwałt wrodzonej wstydlivości, uczulem potrzebę sprawdzenia stosunku helclowskiego wydania, nie do oryginału — bo ten jest na razie niedostępny — ale bodaj do pierwszego odpisu. Sprawdzić rozmiary i charakter cenzury łatwo było na samych kopiach Helcla: w swoich porządnie przepisanych, pensjonarskich niemal kajetach, wszędzie Helcel ujmuje w klamrę inkryminowany ustęp i zaznacza na marginesie: „to trzeba opuścić” lub skrupulatnie wskazuje, w jaki sposób drastyczne słowo (często bardzo niewinne np.: „gorącość”, którą zmienia na „namiętność”) należy w druku zastąpić innym.

Zdaje mi się, że w ciekawości zajązżenia do tych odpisów i skontrolowania nimi drukowanych listów miałem jednego tylko poprzednika: był nim dr Witold Ziembicki, autor rozprawy *Zdrowie i niezdrowie Jana Sobieskiego*. Nie jest może przypadkowe, że tę potrzebę autentyzmu odczuli dwaj lekarze: może to narów wychowania klinicznego, które uczy, że nie da się auskultować pacjenta przez futrzaną delię. A już gdy chodzi o dokument oglądany oczami literata, tam autentyczność słowa tym bardziej ma swoją wagę.

Bo proszę mnie źle nie rozumieć. Ani mi w głowie polować na „pikanterie” w tych małżeńskich listach; ani tym bardziej nie biorę za złe tak zasłużonemu Helclowi, że wydając po raz pierwszy listy Sobieskiego, zawahał się przed daniem pełnego tekstu. Raczej mam uznanie dla jego odwagi, że w ogóle wówczas wydał te listy, ukazując postać bohatera w świetle tak różnym od konwencjonalnego ideału. Ale o ile Helcel jest w porządku, mniej w porządku są pp. historycy, którzy posługując się tymi okrojonymi listami, na ich zasadzie budowali charakterystyki, wyciągali wnioski, w niepojęty sposób zamykając oczy na sposób ich wydania. Np. tak sumienny skądinąd Czermak, w polemicznej pracy *Maria Kazimiera Sobieska* kreśląc duchowy obraz Sobieskiego i sławiąc jego nie tylko prawdziwe, ale i urojone cnoty i delikatności, wyjmuje z helclowskiego wydania jakiś trochę żywszy ustęp i stwierdza z naciskiem, że „są to już najbardziej drastyczne wyrażenia jakieśmy znaleźli w całej korespondencji Sobieskiego; poza nimi nie umielibyśmy wykazać nawet kilku innych takich, które by nie uchodziły w liście pisanym do własnej małżonki”. W całej korespondencji! Doprawdy? Ale w jakiej? Toż Helcel raz po raz lojalnie zaznacza w przypisach, że drastyczny ustęp opuścił, i dlatego właśnie ich nie ma; niemniej często opuszcza bez zaznaczenia tego w druku; często wreszcie zdarza mu się drastyczności wyrażen łagodzić i przeinaczać, i to w tym, co już przed nim spreparował Bandtkie. Jak wobec tego wyglądają wnioski Historii i ile są warte, dokąd taka metoda podziału pracy (jeden tuszuje, drugi ignoruje, przy czym nie wie prawica Czermaka, co czyni lewica Helcla) może zaprowadzić w fałszowaniu obyczajów i charakterów, łatwo zgadnąć.

I doprawdy miałbym ochotę zacytować Czerniakowi (szkoda, że już nie żyje) pierwszy lepszy opuszczony przez Helcla ustęp, aby unaocnić, jaki jest stosunek oczyszczonego tekstu do królewskich oryginałów. Pal diabli pruderie, przytoczę choć jeden. A więc np. w liście z r. 1675 król Jan donosi żonie o jakimś Kałmuku Astrakanie, jako o „*le plus débauché coquin de tous les hommes*”<sup>156</sup>, który na wszystkich *les plus fines*<sup>157</sup> niecotach się zna”. Tyle zostało z Astrakana w druku, ale w rękopisie utaił się dalszy ciąg: „Astrakan jest takie nicdobrego, że tego wypisać niepodobna. Przeszedł hultaj wszystkich w amoro- wych sztukach, i Francuzów, i Włochów, i Hiszpanów, i Turków. Onegdaj oddawali mi oo. jezuitci wiersze łacińskie, którymi opisali bardzo pięknie potrzebę chocimską, w których że słowa są niesłychanie trudne, zadawali tedy sobie jeden drugiemu do zgadywania; między inszymi poczęli się sprzeczać o słowo *odonos*; co usłyszawszy, Astrakan w kącie stojąc, zawołał przy wszystkich i przy jezuitach, że *odonos* znaczy szyldwacht po kałmucku. Potem poczęli mówić o pewnym książce jednej autorze, którego zowią Causinus. On się znowu wyrwał, powiadając, że to po kałmucku języczek u *Comtesse ou la matrice, car il ne peut pas bien expliquer ça*”<sup>158</sup>. Potem powie, że uczynić tęż rzecz umie dwunastu postur różnych, czego się u Kałmuków nauczył. Śnać że ta książka stamtąd miała wyniść, którą

Seks, Król, Żona

<sup>156</sup>*le plus débauché coquin de tous les hommes* (fr.) — najbardziej z wszystkich rozpustny lajdak. [przypis edytorski]

<sup>157</sup>*les plus fines* (fr.) — najsztubtelniejszych, najbardziej finezyjnych. [przypis edytorski]

<sup>158</sup>*Comtesse ou la matrice, car il ne peut pas bien expliquer ça* — hrabiny czy też macicy, ponieważ nie potrafi dobrze wytłumaczyć. [przypis edytorski]

dostał w Amsterdamie Mr le Marquis, a mnie ją przysłać obiecał. Pokazował kilka, i widzę, że są *cale*<sup>159</sup> *pratiques*<sup>160</sup>. Trzeba się będzie skryć Astrei (Marysieńce), jako owo kiedy chłopców Brunettego pytał Silvandre (Sobieski), aby patrzyła *quand il montrera a Celadon* (Sobieskiemu), *car il n'y a rien au monde de si plaisant. Il sait encore 1000 secrets*<sup>161</sup>. Powieda, że kiedy *cousine*<sup>162</sup> zimna, to trzeba przynieść węgla, pokropić to i trawą przykryć, aby na tem usiadła ta, która ma zimną, *et l'homme son borgne*<sup>163</sup> aby rozegrzał tak nad ogniem i nasmarował go szpikiem z nóg baranich. Tedy ma być niesłychanie dobrze. *Enfin il a dit*<sup>164</sup>, że z tej jednej potrawy uczynić może *mille asaisonnement*<sup>165</sup>. Chciał tu był we Lwowie bardzo praktykować, alem go zakazał wypuszczać na miasto...<sup>166</sup> Otóż tobie, moja Panno, na dobranoc abys miała o czym myśleć, czego się uczyć, na co się gotować i ze swojej też wymyślić co nowego strony, kiedy mnie Pan Bóg zdrowo do serca twego przywiedzie...”

A oto dowód, jak tego rodzaju metody przyczyniają się do fałszowania charakterystyki. Ta krwista rubaszność, ta zmysłowość będąca wciąż pod bronią, jaką znajdziemy jeszcze w listach pięćdziesięciokilkuletniego króla, piszącego do żony sprośnymi dwuznacznikami z kampanii wiedeńskiej, przeplata się w jego korespondencji z akcentami prostoty w bohaterstwie, z tonem głębokiej miłości, czci, oddania, tęsknoty, czyniącej go nieraz prawie poetą, to znów z tonem smutku i goryczy — i to właśnie razem jest on, to jest Sobieski. Rzecz jasna, że skoro się wytrzebi pewne akcenty, obraz się zmienia, a nawet może się stać fałszywy.

Nieraz np. zdarzyło mi się spotkać u historiografów Sobieskiego ze zdaniem, że wszystkich jego skarg, wzdychań i chorowań z miłości nie trzeba brać dosłownie; że spory tego procent trzeba złożyć na styl owej literatury, na której przechodził edukację sercową, na owych Sylwandrów i Celadonów, od których przybierał chętnie sobie imię. To nie jest całkiem prawda. Zapewne, że w owej polsko-francuskiej gwarze, którą nieraz się wspomaga w listach, znać często konwencjonalne — ale tylko co do formy — pochodzenie tych zakłęk i lamentów; kiedy na przykład, skarżąc się na jej *absence*<sup>167</sup>, powiada, że „jest to mieć sto *bourreaux*<sup>168</sup> co minuta godziny *devant*<sup>169</sup>, jest to mieć tysiąc *poignards dans le sein*<sup>170</sup> i milion milionów innych mąk, których wyrazić nie podobno”; i te właśnie zyskały mu opinię cikliwego nieco Celadona; ale bo też w oryginalnym brzmieniu listów sentymentalne te ustępy przeplatane są innymi, aż nazbyt realistycznymi w swoich porywach miłosnych, świadczącymi ponad wszelką wątpliwość, jak bardzo jego miłość była namiętna i łakoma, jak wyjątkowa w obsesji jedną kobietą, jak bardzo miał tę Francuzkę nie tylko w duszy, ale w skórze. Bo najistotniejszą cechą tej miłości jest to, że Sobieski, natura pod względem erotycznym niezwykle bujna, ów Sobieski, którego młoda pani Zamoyska prześladowała (jak pamiętamy) jego łaźnią z Czerkieskami w Jaworowie, który sam o sobie pisze do żony, że dawniej mu się „jedną kontentować miłością nie tydzień ale dzień jeden było nie podobno”, który jej pisze, że wszyscy na świecie ludzie, którzy go znali, wierzyć temu nie mogli, aby się jedną żoną obejść mógł, zakochał się (i to zwłaszcza od dnia ślubu) w tej jednej jedynej tak, że poza nią wszelka realizacja miłosna była mu niemożliwa. Że zaś los i okoliczności skazywały go na ciągłą rozłąkę, tęsknoty jego to są nie tylko tęsknoty serca, ale przede wszystkim wołania temperamentu, wołania tęsknoty fizycznej za ukojeniem, którego poza nią nie tylko znaleźć, ale i szukać nie umie. Miłość jego, to zarazem wrzód, bez ustanku wezbrany i rwący nieznośnie. Te stany duszy — a zwłaszcza ciała — znajdują dla siebie raz po raz wyraz grubo i naiwny czasem, ale

Miłość, Seks, Kobieta,  
Męczyzna, Wierność,  
Ciało

<sup>159</sup>*cale* (starop.) — całkiem, zupełnie. [przypis edytorski]

<sup>160</sup>*pratiques* (fr. dziś: *praticables*) — praktyczne, dające się zastosować praktycznie. [przypis edytorski]

<sup>161</sup>*quand il montrera a Celadon (...), car il n'y a rien au monde de si plaisant. Il sait encore 1000 secrets* (fr.) — kiedy pokaże Celadonowi, ponieważ nie ma zabawniejszej rzeczy na świecie. Zna jeszcze tysiąc sekretów. [przypis edytorski]

<sup>162</sup>*cousine* (fr.) — kuchnia. [przypis edytorski]

<sup>163</sup>*et l'homme son borgne* (fr.) — i mężczyzna swego jednookiego. [przypis edytorski]

<sup>164</sup>*enfin il a dit* (fr.) — powiedział w końcu. [przypis edytorski]

<sup>165</sup>*mille asaisonnement* — tysiąc odmian. [przypis edytorski]

<sup>166</sup>Ustęp mniej przyzwoity opuszczam [przypis redakcyjny]

<sup>167</sup>*absence* (fr.) — nieobecność. [przypis edytorski]

<sup>168</sup>*bourreaux* (fr. forma lm) — katów. [przypis edytorski]

<sup>169</sup>*devant* (fr.) — przed sobą [przypis edytorski]

<sup>170</sup>*poignards dans le sein* — sztyletów w łonie. [przypis edytorski]

tym bardziej autentyczny. Pół biedy jeszcze było, kiedy Marysieńka była w Polsce, a on w obozie; wówczas rozłąki, choć dotkliwe, nie były tak okrutne; ale cóż się z nim dzieje, kiedy ona dwukrotnie wyjeżdża do Francji, zostawiając go samego dłużej roku! Nawet w tych ustępach, które przemknęły się przez Helclową cenzurę, skargi Sobieskiego mają akcent dość wymowny, kiedy po długiej rozłące żali się żonie, co to znaczy żyć cnotliwie pół roku człowiekowi nie bardzo jeszcze staremu, na świecie żyjącemu i przy tak wielu okazjach, co sobie i podpić czasem, ba, i nieraz przychodzi; co tedy zdrowie cierpieć w tym musi terminie, snadno uważać...

Zwłaszcza — dodaje — że i o pokusy nietrudno: biedny nawet pustelnik, co w złoczowskich na puszczy osiadł był lasach, był cnotliwy rok czy więcej, a potem kilka żon do siebie od mężów poodmawiał, choć po wodzie i słabych potrawach... A cóż dopiero jemu: być na świecie, między ogniem chodzić a nie palić się, jest rzecz do wiary niepodobna. Jeszcze taką ma naturę, że cokolwiek nieszpetynych białych głów trafi się do niego z suplikami, żadna go za nogi nie obłapi, jeno wpół, a w oczy zachodzi. „Plunąwszy tylko, człowiek Panu Bogu się oddaje”...

I kiedy ona daje mu na odległość recepty na to, jak uśmierzać gorącość krwi, odpowiada podrażniony, że za lekarstwa i wannę wielce dziękuje: „spuszczam to tym świętobliwym zakonnikom”...

Oryginalne jest w całej przygodzie to, że wcale nie skrupuł wierności małżeńskiej — niezbyt w owej epoce przez mężczyznę respektowany — ale dosłownie jakies urzeczenie miłosne, któremu sam się dziwi, każe mu dotrzymać wiary swojej Marysieńce. Czy jej dotrzymywał bezwzględnie? Niektórzy historycy powątpiewali o tym, ja — nie, zwłaszcza po przestudiowaniu pełnych listów. Bo właśnie te proskrybowane ustępy, bardziej niż cokolwiek innego, dają rękojmię jego cnoty. Kiedy Marysieńka przedłuża pobyt we Francji, on, przywiedziony do rozpaczki upałami krwi, pisze jej, że tak żyć nie może, bo mu już natura dalej wytrwać nie pozwala. Dotąd zatrzymywał się nie dla jakiego grzechu, albo w sumieniu skrupułu, bo w tym (powiada) ma dyspensę, ponieważ człowiek dobrowolnie sam siebie zabijać nie może i zdrowia swego wniwecz obracać. „Alem to dotąd uczynił i z tym się zatrzymał dla jednej dotąd miłości”...

Tak, to połączenie krzyków serca z pamięcią o nakazach higieny nadaje cnotcie Sobieskiego znamię bezwzględnej szczerości. Ten krwisty mężczyzna ma przekonanie, i lekarze potwierdzają mu to, że ryzykuje życie, dochowując przez tak długie miesiące wiary nieobecnej żonie. W r. 1671 czterdziestodwuletni hetman wielki (którym tymczasem został) donosi jej, że doktorzy każą mu się strzec apopleksji *a cause de la rétention dedans les reins*<sup>171</sup> tych rzeczy, które wychodzą, kiedy się czyni tę rzecz”... I mimo to — nie! Ryzykuje zdrowie, życie, apopleksję, najgorsze nieszczęścia; skarży się jej na ciągłe bóle głowy, na krosty, które wiąże ze swoim stanem. I nic. Ten bujny, urodziwy, oblegany przez kobiety mężczyzna pozostanie kochankiem jednej.

„Czynić tę rzecz”... Skorośmy weszli na tę śliską drogę, nie mogę się powstrzymać, aby nie zdradzić czegoś z poufnego klucza istniejącego między Celadonem a Astreą, będącego zapewne pamiątką ich szczęśliwych chwil. Okazuje się, że Sobieski jest protoplastą znanej anegdoty: „nie mam głowy na chodź” — przynajmniej językowo, bo w jego listach termin „uczynić tę rzecz” powtarza się jako rzeczownik. Tak, raz prosi Marysieńkę, aby mu oznajmiła o „muszce”, jeśli jej nie tęskno i jeśli nie przypada też kiedy apetyt do *uczynić tę rzecz*... To znów pyta „uniżenie, moja duszo, jeśli się kiedy nie śni o owym *uczynić tę rzecz*, oznajmijże mi”...

Tak więc, nie tyle sentymentalny Celadon, ile krewki kochanek, mąż wiecznie niesyty przerwanego miodowego miesiąca, udręczony rozłąką, jest bohaterem tego romanisu w listach, tych zwłaszcza które przypadają na okresy paryskich podróży Marysieńki. O stanie, w jakim Sobieski wciąż prawie się znajduje, trzeba nam będzie pamiętać, wręcz dla zrozumienia pewnych jego posunięć lub niedociągnięć politycznych. Gdyby tę olbrzymią pozycję phalliczną pominąć lub bodaj pomniejszyć w bilansie jego poczynań, cały rachunek wypadłby fałszywie.

<sup>171</sup>*a cause de la rétention dedans les reins* (fr.) — z powodu zatrzymania w nerkach. [przypis edytorski]

Są zresztą różne okresy w tej tęsknocie fizycznej: „Piszesz mi Wć — komunikuje żonie w czasie krótkiej dawniejszej rozłąki — że *la mouche*<sup>172</sup> tęskni *sans son galant*<sup>173</sup> i że się o nim dwa razy śniło najśliczniejszej Jutrzence. Ja zaś oznajmiam, że *le galant de la mouche*<sup>174</sup> obumarł *cale*<sup>175</sup> jako i jego pan, i cokolwiek się działo między nimi kiedy, zda się że to coś tylko przez sen. Tak go ta w niwecz obróciła *absence*<sup>176</sup>...”

To jest pół żaloszny pół żartobliwy ton kochanka, który liczy na rychłe spotkanie; nawet i w czasie dłuższej rozłąki zdarza mu się uderzać w ton na wpół żartobliwy, gdy donosi, że co się tyczy szyldwachta, lubo go już i postem morzy, co samemu bardzo szkodzi pryncypałowi, nic mu to przecie nie pomaga. Wytrwać dłużej nie podobna. Sieć go może chyba śliczna ręka najwdzięczniejszej Astrei, od której być usieczonym i on sam miałby sobie za największe szczęście, byleby to jednak być mogło jak najprędzej. Najśliczniejsza Jutrzenka znać że mało dba i o Celadona i o szyldwachta, bo się i nie pyta, jak się zaleca, ani mu tego broni i zakazuje. Co jest takim znakiem odmiany i niekochania, jako słońce na niebie: bo to jest *indifférence*<sup>177</sup>, która milion razy gorsza jest niżeli *haine*<sup>178</sup> i gniew największy...

Ale nachodzą Sobieskiego chwile prawdziwej rozpacz. Ten tak hartowny człowiek, który równocześnie w obozie haruje, myśli i działa za wszystkich, często nie może sobie dać rady sam z sobą. Jeszcze w r. 1666, w czasie wojny domowej z obozu pod Rawą, taką posyła ledwie od roku zaślubionej żonie alternatywę: albo „aby muszka nie była nigdy rozłączona od swego galanta, albo żeby go *cale* dyspensowała: bo wie Bukiet (Marysienka) jako jego zdrowiu szkodzi, kiedy się tę nie czyni rzecz. Zaczem, kochając go w zdrowiu, śliczny Bukiet zechce jednego z tych *zażyć* sposobu. Bez jego jednak pozwolenia nic nie uczyni najwierniejszy Celadon”...

Było to w czasie gdy ich dzieliła przestrzeń kilkudziesięciu kilometrów, a rozłąka trwała nie dłużej niż parę tygodni, ale co będzie, gdy przyjdzie rozstać się na rok i dłużej! Nasz bohater nie zataja swojej Astrei żadnego z objawów swojej tęsknoty: *En songeant des Essences*<sup>179</sup> (o Marysienke) *ça arrive souvent, que*<sup>180</sup> szyldwachta *par songe*<sup>181</sup> czyni tę rzecz, *ce qui n'est fort a sa santé, car il abhorre tout a fait de ces choses et c'est encore un grand péché*<sup>182</sup>...

Cóż dopiero z nim się dzieje, kiedy ona mu po wielomiesięcznej nieobecności oznajmia z dalekich krajów, że chce zmienić charakter ich stosunków; kiedy donosi, że „potrzebuje tego po nim, aby przyrzekł słowo i dotrzymał, aby już nie było *uczyni tę rzecz nigdy*”. Więc on wzburzony prosi, aby go w takim razie dyspensować (od wierności małżeńskiej) i dać na to od dzisiejszego dnia za osiem niedziel *respons*: bo na cóż go darmo męczyć i wniwecz jego zdrowie obracać?

Ale kiedy ona, może współczując z nim, może znużona ciągłymi skargami, może świadoma wszystkich sztuk zalotności, daje mu w liście ową *carte blanche*<sup>183</sup>, o którą prosił, on odpowiada z goryczą: „Na cóżes to Wć w tym liście swoim zaraz wypadła *avec*<sup>184</sup> *la carte blanche*? Niech to Pan Bóg Wci odpuści! Znajdę ja poczciwszy sposób Wci, że się Wć uwolniesz ode mnie, bo któż dłużej tak ciężką na tym świecie wytrwać może mękę?”

Ilekróć ona daje do zrozumienia, że zezwala mu szukać pociechy gdzie indziej, on wybucha żalem, widząc w tym dowód jej obojętności, i stale odrzuca tę *carte blanche*, obawiając się — jak jej tłumaczy naiwnie, a jakże subtelnie zarazem — że gdyby ją zdradził, miłość jego i tęsknota zmalowałyby może od tego, a zbyt mu są drogie...

<sup>172</sup>*la mouche* (fr.) — muszka, plamka. [przypis edytorski]

<sup>173</sup>*sans son galant* (fr.) — bez swego amanta. [przypis edytorski]

<sup>174</sup>*le galant de la mouche* (fr.) — amant (gach) muszki. [przypis edytorski]

<sup>175</sup>*cale* (starop.) — całkiem, zupełnie. [przypis edytorski]

<sup>176</sup>*absence* (fr.) — nieobecność. [przypis edytorski]

<sup>177</sup>*indifférence* (fr.) — obojętność. [przypis edytorski]

<sup>178</sup>*haine* (fr.) — nienawiść. [przypis edytorski]

<sup>179</sup>*En songeant des Essences* (fr.) — śniąc o Esencjach. [przypis edytorski]

<sup>180</sup>*ça arrive souvent, que* (fr.) — zdarza się często, że. [przypis edytorski]

<sup>181</sup>*par songe* (fr.) — przez sen. [przypis edytorski]

<sup>182</sup>*ce qui n'est fort a sa santé, car il abhorre tout a fait de ces choses et c'est encore un grand péché* (fr.) — co nie jest dobre dla jego zdrowia, ponieważ obrzydza on sobie całkiem te rzeczy, a co więcej jest to wielki grzech. [przypis edytorski]

<sup>183</sup>*dawać carte blanche* — dawać wolną rękę. [przypis edytorski]

<sup>184</sup>*avec* (fr.) — z. [przypis edytorski]



Może to dlatego, że studiując te listy robiłem równocześnie korekty z proustowskiej *Miłości Swanna*, ale faktem jest, że mi się te dwie miłości wciąż plotły z sobą i że, mimo różnice epok, temperamentów i okoliczności, nie tylko czułem w smutku naszego bohatera ten sam głęboki ton, tę falę liryzmu, ale ustawicznie dostrzegałem w prostodusznych jego formułach coś z bezwiednej głębi proustowskiej introspekcji.

Taki był stan duszy Sobieskiego, wciąż liczącego na palcach, ile w czasie kilkuletniego małżeństwa z Marysieńką byli razem, a ile rozłączeni. Rozłączeni byli prawie ciągle od czasu, gdy na trzeci dzień po ślubie, pojechał się upędzać za Lubomirskim; ale wówczas, wśród kręcenia się i gonitwy wojsk na niewielkiej przestrzeni, młoda ich miłość raz po raz mogła się dopaść na jakimś postoju. Sobieski staje się prawdziwym poetą, gdy w jednym z listów wylicza niemal w rytmie melopei wszystkie stodoły, które kolejno dawały schronienie ich szczęściu. Potem, po kilku niezapomnianych tygodniach spędzonych razem, znów rozłąka...

Życie obozowe... Smutnie ono się przedstawia, oglądane oczami niedokochanego hetmana. Nieprzyjaciel jeszcze nie nadciągnął, ale jest tuż tuż; „życie moje — donosi żonie — tu taki: od świtu aż do południa słuchać różnych kłótni, plotek albo bajek: od południa aż do wieczora siedzieć u stołu a pić, a jeszcze niektórym i tego nie dosyć”...

Gdybyż tylko to! ale czegoż tam nie wycierpi: „o! jakich faksji! o! jakich nieszczerości! o! jakich kłótni! o! jakich wymówek! wymówić, nie tylko wypisać nie podobna”... Sobieski czuje się na tym stracącym posterunku straszliwie samotny; król, już zdecydowany abdykować, po śmierci żony o nic nie dba, wojska nie płaci, bo nie ma z czego, pomocy żadnej ani obiecuje, jeszcze opowiada złośliwie, że oni tam w obozie sypiają do południa, gdy Sobieski czasem i trzech godzin snu nie zazna... Kiedy hetman donosi do Warszawy, jak rzeczy stoją i jak realne jest niebezpieczeństwo, „szkoda doprawdy pisać: jedni nie dbają, drudzy nie wierzą”. Szlachta uważa całą historię z Tatarami za dywersję, umyślnie sprowokowaną po to żeby tymczasem wpuścić do Polski Kondeusza, a z nim *absolutum dominium*; aż Sobieski musi do Warszawy kilku pojmanych jeńców posłać, aby pokazać, że to „prawdziwi, nie francuscy Tatarzy”. A znów poseł francuski opowiada publicznie, że nikt takich rzeczy nie pisze ani nie straszy, tylko Sobieski. „Umierać trzeba na złość ludzką” — wykrzykuje hetman.

Pewnego dnia — było to jeszcze we Lwowie, ale już po wyjeździe Marysieńki — znów inne strapienie: przyjechała pani wojewodzina ruska (Jabłonowska), która mu daleko więcej żalu przydała niż pociechy: bo widząc ich w kupie z JMPanem Wojewodą karesujących się, tym bardziej musiał na niedolę swoją westchnąć. Patrzeć nie podobna na ich tak wielkie i prawdziwe kochanie, a nie umierać. Tylko się cackają i cmoktają i ledwo zmrok idą się kłaść do łóżka. A on, zostawszy sam, myśli o tej, która od trzech tygodni jest w drodze, a on nie miał od niej żadnej wiadomości...

Jedna rzecz nas uderza, kiedy czytamy te listy, mianowicie, jak Sobieski, który wydaje się z daleka bohaterem tej szlacheckiej masy, jej najtypowszym reprezentantem, oddalił się od niej duchowo, i właśnie przez swoją miłość. Pogłębiła go, wysubtelniła, uczyniła go niemal innoziemcem w tym sarmackim kraju, wędrowcem zabłąkanym z *Krainy Czulości*. Zapewne, dzieli z bracią szlachtą życie obozowe, nawet te pijatyki, które są dla niego torturą; ale kiedy np. ma przyjechać do obozu brat Marysieńki, kawaler d'Arquien, „cale mi się go do obozu brać nie chce — pisze do żony — bo cóż by miał czynić *entre ces gens la*<sup>185</sup>”. I sam Sobieski żyje w jakże odmiennym świecie wewnętrznym, jak go nieustanna myśl o Niej izoluje od ludzi! Ten rubaszny na pozór i tak towarzyski niegdyś szlachcic stał się od czasu swej miłości wielkim melancholikiem, samotnikiem; wzruszające jest czytać, jak on ciągle z obozu prosi Marysieńki, aby mu przysłała — farby do malowania. Ślubował nosić się czarno aż do jej szczęśliwego powrotu; ślubował, na jej intencję, dziewięć sobót pościć o chlebie i wodzie w obłożonym obozie. I kiedy ten obóz ułoży się wreszcie do snu, kiedy skołatana pierś hetmana może wreszcie odetchnąć na chwilę, wówczas zasiada w namiocie i pisze do niej te długie, długie listy. A kiedy przyjdzie od niej upragniona, wyczekiwana odpowiedź, rzadko przynosi mu coś dobrego, najczęściej jeszcze pogłębia jego smutek, pogłębia uczucie samotności, niezrozumienia się... Kiedy jemu tu serce rwie się na strzępy z miłości, ona mizdrzy się i pisze, aby ją „kochał tak jako *la palatine de*

<sup>185</sup>*entre ces gens la* (fr.) — tu między tymi ludźmi. [przypis edytorski]

*Sandomyr*<sup>186</sup>... A ona sama jak go kocha, czy go kocha? Chwilami, płacząc nad jej jakimś szczególnie swarliwym listem, biedny Celadon wątpi o tym...

Bo rozłąka nie jest jedynym bólem naszego bohatera. Mniej byłaby ciężka, gdyby wiedział, że ona, Astrea, odczuwa tęsknotę tak samo jak on. To jest cierni w jego sercu, podłoże jego głębokiego smutku. Pełne szczęście podzielanej miłości trwało zaledwie kilka miesięcy. I gdy on z każdym dniem bardziej ją kochał i więcej jej pragnął, ona wyraźnie chłodziła. Jakiś czas chciał się ludzić, ale w końcu nie podobna mu było wątpić o tym. Kontrast między wczoraj a dziś stał się zbyt jaskrawy. Po kilku miesiącach pożycia, zaczyna go unikać, objawiać niechęć, niemal wstręt. I tu właśnie zaczyna się u Sobieskiego proustowska „miłość Swanna”, nieustanny ból w sercu z powodu odmiany tej Odety. Będzie to trwało kilka lat, potem minie; miłość przetrwa, ale skończy się faza bolesnego niepokoju — wraz z okresem ciągłych rozstań. Ten ból objawia się najrozmaiciej, czasem w sentymentalnych skargach, to znów naiwnie, komicznie niemal w prostocie swego wyrazu. Najbardziej boli go fizyczne odsunięcie się, które zresztą, jak wskazaliśmy wyżej, miało może bardzo istotne przyczyny w jej zdrowiu. Ale raz ustaliwszy rekord „skoku wzwyż” tej miłości, Sobieski nie może się pogodzić z jej omdleniami, zwłaszcza że sam kocha coraz bardziej, coraz głębiej. Dawniej Marysienka żyć bez niego nie mogła, płakała przy lada rozłące, napatrzeć się go nie mogła, nawet we śnie, a teraz... „Tam jedna godzina zdała się być wiekiem, tam biedna poduszka w większej niżeli teraz sam Sylwandr była uwadze”... I melancholia tych rozpamiętywań rośnie, i nie ustaje Sylwandr w skargach i lamentach, że dawniej „zasnąć nie można beze mnie i ustawicznie proszono aby się jeszcze bliżej przymknąć, to potem stołek przystawiano do łóżka i tam poduszki kładziono, żeby ode mnie być jak najdalej”... Lada okazują odnawia ból w jego sercu: oto wpadła mu w ręce historia amatorów Ludwika XIV z panną de la Vallière (już wówczas, okazuje się, znano *Vies romancées* i to jeszcze za życia bohaterów); przeczytał skwapliwie, rad, iż odnajduje w tych dziejach tyle analogii z własną miłością; czuje się ośmielony przykładem tak wielkiego króla; stwierdza radośnie, że zazdrość i kłótnie nieodłączne są od bardzo wielkiego kochania. Ale zaraz oblegają go gorzkie refleksje, że „tamta stro- na musiała się lepiej akomodować kochankowi” i że Ludwikowi „nie mówiono pewnie nigdy: ty plugawcze!” Epitet ten musiał się boleśnie związać z jakąś sceną, bo Sobieski wspomina go jeszcze w parę miesięcy później, że poduszka nawet, na której sypiał, dawniej jej pachnęła, a potem sam się wszystek w oczach stał plugawcem! I dodaje, co jak łatwo się domyślić, dobry Helcel zakreślił, żeby „to opuścić”: „Przedtem koszula jedna zdała się być wielką przeszkodą, gatki które zdejmować kazano zawadą, a potem już się kołdrą owijać kazano”...

Włóż gatki, zwycięzco podhajecki! Bo oto już surmy wojenne tryumfalnie głoszą z twojego obozu wiktorie; już płynie na Polskę, na Europę ocaloną, uroczyste *Te Deum*; cały kraj, porwany, olśniony, wpatrzony w ciebie z zachwytem, wygląda ku tobie, ciśnie się do ciebie, oczekuje cię, woła, widzi w tobie swój ratunek i swoją nadzieję. Wdziej gatki, bohaterze! Niechaj nie tkliwy Celadon, ale w stal zakuty Mars odprawuje ów wjazd do Warszawy, po którym przez chwilę zdawać się będzie, że nie wielką buławę, której kraj dla niego jednym głosem żąda, ale bodaj koronę mógłby posiadać Jan Sobieski, gdyby jej zapragnął... I posiadzie ją — ale jeszcze nie teraz. Olbrzymia fala popularności, wezbrana po czynie podhajeckim, odpłynie zbyt szybko — niestety z jego winy. Jak, czemu — wytłumaczenia znów trzeba nam będzie szukać w tej, która z odległego Paryża była w owej chwili osobliwej arbitrem losów wielkiego hetmana i jego kraju — w Marysienice.

### XIII. *Carte blanche*

*Carte blanche* — ale która? Bo są równocześnie dwie. Jedna to ta, którą pani Sobieska na próżno częstuje skarżącego się męża-kochanka, aby sobie w łatwiejszych amorach szukał lekarstwa dla zagrożonego postami miłosnymi zdrowia; druga to ta, którą pan hetman daje żonie, aby z Francją traktowała o cenę jego wpływów. O tej drugiej trzeba nam mówić, jako że miała doniosłe następstwa.

Na wstępie tego opowiadania nazwaliśmy Sobieskiego „bohaterem mimo woli”. W istocie nic ciekawszego, niż zmaganie się między wołaniem Historii, która już położyła mu

<sup>186</sup>*la palatine de Sandomyr* — wojewodzina sandomierska. [przypis edytorski]

rękę na ramieniu i pcha go na stromą drogę wielkości, a praktycznymi zamiarami na znacznie mniejszą skalę, które są przedmiotem równoczesnych konszachtów, odwierciedlających się najwierniej w korespondencji hetmana z żoną. Zwłaszcza w tym przelomowym okresie.

Zwycięstwo podhajeckie odbiło się w kraju szerokim echem. Sobieski, niedawno jeszcze zozydzony „kaligula”, znowuż staje się z dnia na dzień najpopularniejszym w Polsce człowiekiem. Sejmiki domagają się dlań wielkiej buławy po sędziwym Potockim. Król wzywa go co rychlej do Warszawy. Jakoż Sobieski wybiera się w podróż, i jakby w przeczuciu, że ta podróż zmieni się we wjazd tryumfalny, gotuje się, mimo iż szarpnięty spustoszeniem majątków, wystąpić szczególnie wspaniale.

Powody do tej podróży miał rozmaite. Sprawy bliskiej elekcji, bo abdykacja króla Jana Kazimierza była już postanowiona: zabiegi o rekompensatę poniesionych strat; i wreszcie trzecią przyczyną była specjalna prośba króla, aby Sobieski na sejm „przyjeżdżał kupą” i powagą swoją chronił ambasadora francuskiego Bonzy, którego rozjuszona szlachta chce zabić, o ile nie wyjedzie. Nie tylko jego intrygi polityczne rozjuszyły szlachtę; krążyły o tym zbyt młodym biskupie paszkwile, że w Polsce siedzi dla dwóch rzeczy: „dla elekcji i żeby mężom rogi przyprawował”. Wymieniają damy, które wychodząc od niego po północy, dukaty w fartuszkach wynoszą; jako — pisze żonie Sobieski — przez żony mężów oszukiwał, które w łózkach panów swych zwodziły, i owo zgoła sromota słuchać, nie tylko pisać, a wszystko to w głos, *publice*<sup>187</sup>, jeden po drugim w poselskiej izbie. Nie podobna inaczej, tylko albo że się sejm rozerwie, albo że wyjechać będzie musiał nieborak.

Pikanterią tego epizodu jest że nazwisko Bonzy’ego fama łączyła również z osobą Marysieńki, która — w co wierzą niektórzy historycy, powodując tym cnotliwe oburzenie innych — przed wyjazdem do Paryża miała się wdać w miłość z dwornym ambasadorem, głównie co prawda po to, aby go odciągnąć od zniechęconej przez nią a wszechmocnej na dworze i w sercu Jana Kazimierza pani Denhoffowej. Złośliwe gadania o tym doszły do Sobieskiego; podrażniony, zakomunikował je żonie, a gdy Marysieńka zaprzeczyła, przeprosił ją najczulej i przeszedł nad tym do porządku. Uszanujmy ten jego ładny gest i uczynmy to samo.

Gotuje się tedy pan hetman do uroczystego wjazdu do Warszawy. Od podstolego koronnego kupuje wiedeńską karetę; sześć koni będzie przy niej; Kozacy, Tatarzy, Wołosi, janczarzy, wszyscy w nowych barwach, za karetą, którą będą poprzedzali husarze, oficerowie polscy i zagraniczni, *et mille pages, valets et canaille*<sup>188</sup>. Odziać to wszystko, opłacić, wyżywić, głowa puchnie hetmanowi. „Jest o czym myśleć, moja Panno, i gryźć się o co”. On sam wciąż w czarnej szacie, bo taką ślubował nosić aż do szczęśliwego powrotu Marysieńki; ale dał do tej miłosnej żaloby przyszyć wspaniałe diamentowe guzy. W tej postaci, urodziwy trzydziestoosmioletni hetman odbędzie wjazd do Warszawy, akklamowany przez cały lud, witany przez damy wychylające się z okien. „Już teraz wszyscy aż nazbyt się we mnie kochają” — pisze; a poseł francuski donosi swemu panu, że senatorowie gromadą nie wychodzą z pokoju hetmana Sobieskiego, że ma liczniejszy dwór i większą powagę niż sam król. „Jeżeli tak dalej pójdzie, stanie się panem Polski”. Szczęśliwe wystąpienie na sejmie zwiększa jeszcze tę popularność; szlachta, od dawna zrażona do króla, „gwałtem chce pospolitego ruszenia, *et que Orondate (Sobieski) soit leur chef*<sup>189</sup>” — donosi żonie. Zwłaszcza że od wschodniej granicy dochodzą groźne nowiny o nowej rebelii Kozaków, którzy zamysłają się oddać tureckiej protekcji.

Sytuacja jest tym donioślejsza, że Polska jest w tej chwili niemal bezpańska. Król, który za życia królowej od dawna był manekinem, teraz stał się manekinem, z którego wyjęto trzcinowe rusztowanie. Zbrzydzone Polską równie jak Polska nim, decyduje się stanowczo abdykować, targuje się tylko o apanaże<sup>190</sup> i o warunki, przy czym specjalne tajne układy gwarantują w razie abdykacji przede wszystkim poważne korzyści dla pani Denhoffowej i jej męża. Ale wszystkie te kombinacje związane są z kandydaturą francuską, do której większość narodu żywi fanatyczną niechęć. W tym położeniu kraj czuje

<sup>187</sup>*publice* (łac.) — publicznie. [przypis edytorski]

<sup>188</sup>*et mille pages, valets et canaille* (fr.) — i tysiąc paziów, pacholków i hołoty. [przypis edytorski]

<sup>189</sup>*et que Orondate (...) soit leur chef* (fr.) — i by Orondates był ich wodzem. [przypis edytorski]

<sup>190</sup>*apanaze* — uposażenie. [przypis edytorski]

się bez wodza, bez głowy; tym bardziej oczy wszystkich zwracają się ku Sobieskiemu. Jakby za cichą umową, masy patrzy nań jakby na dyktatora, którym niemal uczyniło go już niepraktykowane dotąd w Polsce połączenie dwóch najwyższych urzędów: marszałka wielkiego koronnego i wielkiego hetmana.

W tym momencie zachowanie się Sobieskiego wydaje się dziwne. Robi po prostu co można, aby ten entuzjazm ostudzić. Wyrażnie się wymyka; wyjeżdża to do Częstochowy, to do siostry na chrzciny, to do Solca dla załatwienia rachunków z synami zmarłego Radziejowskiego. Sprawia to wrażenie, jakby się umyślnie usuwał. Wykręca się delegatom wysłanym przez sejmiki; nie chce objąć dowództwa nad pospolitym ruszeniem. Stopniowo jakby sam własnymi rękami niszczy popularność, jaką mu dał czyn podhajecki. Tak że kiedy przychodzi do abdykacji i do elekcji nowego króla, Sobieski jako osoba już prawie nie istnieje dla szlachty, ginie w tłumie nielubianych magnatów.

Wyjaśnienie tego postępowania znajduje się w listach Sobieskiego do żony. Marysienka bawi we Francji blisko od roku: widzieliśmy, do jakiego stanu rozłąka i wierność doprowadziły hetmana. Widzi świat przez pryzmat swojej namiętności; załatwić rachunki z krajem i pośpieszyć za nią, to jego jedyne pragnienie. A Marysienka na odległość zupełnie nie orientuje się w sytuacji, nie domyśla się olbrzymich szans, jakie świeże zwycięstwo dało jej mężowi w ręce. W tych najbardziej decydujących momentach ona molestuje go, aby... przyjechał na zimę do Paryża. „Mnie niepodobna biegać tam na zimę, a tu się na lato wracać” — odpisuje w końcu, zniecierpliwiony tą damską koncepcją sezonowego hetmana. „Na jedno się zresolwować<sup>191</sup> trzeba: albo wszystko już tu porzucić, albo tam być nie myśleć”.

I w istocie zresolwował się już, aby — tu wszystko porzucić. Bohater, który dopiero co nadstawiał piersi za ojczyznę, równocześnie podpisuje formalne „*blanc signé*”<sup>192</sup> i przesyła żonie do Paryża, iżby za niego traktowała o cenę i warunki przesiedlenia, w zamian za poparcie dowolnego kandydata. Zabawne jest, że ona, otrzymawszy ten podpis *in blanco* na handlowanie losami Polski, uspokaja go naiwnie, że ona na nic innego tego *blanc signé* nie użyje. A on posyłając na jej żądanie drugi *blanc signé* z pieczęcią (bo tamten był tylko z cyfrą), oświadcza jej, że to mu z dziwu wyjść nie może, że ona pisze coraz, że nie zażyje na co innego: „jakobym się ja tego obawiać miał, albo nie wierzyć Wć sercu mojemu”. Od dawna zresztą decyzję we wszystkich sprawach kraju złożył w jej ręce i związał się z jej kombinacjami. We wrześniu jeszcze r. 1667, z obozu w Podhajcach, donosząc jej o bliskiej elekcji i rozważając osobę przyszłego króla, pisze, że „cale w tym bukietowego (Marysienki) będzie oczekiwał ordynansu, który ma nad nim *une absolue puissance*”<sup>193</sup> i że „tchnąć nie śmie bez jej woli i rozkazania”. I błędem byłoby — jak dla „oczyszczenia” Sobieskiego czynili niektórzy jego dziejopisowie — przedstawiać go w tej okoliczności jako człowieka spodłonego przez namiętność, „ściąganego w błoto” przez obcą sprawom kraju cudzoziemkę. Znaczyłoby to przypisywać Sobieskiemu skrupuły dość obce jego klasie i epoce. O ile zachodzą między nim a Marysienką żywe dyskusje w innych sprawach, nie bywa ich w zasadniczej decyzji opuszczenia kraju i szukania szczęścia pod innym niebem. Jeżeli co krępuje Sobieskiego w bezwzględnym poddaniu się wskazówkom żony, to nie tyle uczucia patriotyczne, których w dzisiejszym znaczeniu trudno się wówczas doszukać, ile honor zawodowy, reguły żołnierskiej gry, kiedy na przykład pisze, że honor nie pozwala w wilię kampanii opuszczać obozu. Wówczas czuć, że jest bardzo stanowczy i że tutaj nie dopuściłby żadnego kompromisu. A drugi wzgląd, to też wzgląd honoru, ale znów inaczej pojętego; mianowicie że, porzuciwszy wszystko tutaj, a nie zapewniwszy sobie odpowiednich korzyści gdzie indziej, skazałby się wraz z nią na życie „bez honoru”.

Pominąwszy te dwa punkty, decyzja opuszczenia kraju jest rzeczą przesądzoną. Szarżę swoje uważa hetman za utrapienie, w którym zdrowie stracił, majątek zszargał, a co największe „opuścił tak wiele czasu cieszenia się z śliczności serca mego”. „Zmiłuj się, zmiłuj, moja Dobrodziejko; niech lata nasze tak marnie nie idą, ile mnie, który bym się przez milion lat nie mógł nasycić wszystkich śliczności mojej jedynej panny; a żywot nasz

<sup>191</sup>zresolwować się — zdecydować się. [przypis edytorski]

<sup>192</sup>*blanc signé* (fr.) — podpis na *carte blanche*; podpis pod nieograniczonymi żądaniami pełnomocnictwem. [przypis edytorski]

<sup>193</sup>*une absolue puissance* (fr.) — absolutną władzę. [przypis edytorski]

tak krótki jako mój”. „*Vous êtes mon tout*<sup>194</sup>; kiedy ja W-ci mam, ni ócz na świecie nie dbam”. Ten zwrot trzeba brać bardzo dosłownie.

Cała rzecz tedy, jakby to wszystko z honorem porzucić i gdzie się obrócić? W Polsce nie zostanie w żadnym razie. Jasna rzecz — pisze — że w takim nierządzie koniecznie zginąć musimy. Wojna turecka jest niezawodna. W ustawicznym zawsze trzeba być niepokoju, pracy, kłótni i takim się gryzieniu, że żyć długo nie podobna. Ale wynieść się, porzucając wszystkie majątności, wówczas człowiek nie miałby nigdzie respektu. „Wynieść się zaś i prywatnie mieszkać, jako? Kiedy majątności sprzedać nie podobna za te hultajskie wieku tego Boratyniego szelągi... Czekać tedy będę na to zdania i sentymentu od Wć serca mego, bo mnie już myśląc głowy nie stanie”...

Tak pisze Sobieski do żony w styczniu r. 1668, tuż przed owym tryumfalnym wjazdem, gdy Polska wita w nim swojego imperatora. O samym tryumfie donosi jej z miłą skromnością, dość niedbale, że „tak tuszą, iż hetman żaden jeszcze tak nie wjeżdżał; damy wszystkie z różnych patrzyły domów, i ludzi niesłychana moc jak na jakim *spectacle*”. Ale zaraz potem przechodzi do innego motywu: oto w liście do pani wojewodziny ruskiej, jego, Celadona, nazwano wisielcem: „Pamiętajże, Marysienku, że się on przecie kiedykolwiek pomści na muszce; że bez mego nie tęskni szyldwachta, barzo źle czyni; bo on bez niej niesłychanie i niewidzianie, i nie ślubuje żeby dłużej wytrwać”...

Ta groźba, to oczywiście tkliwy żart, kokieteria szyldwachta; ale potem Sobieski dodaje już serio: „Skoro tylko 21 (król) przestanie być tym czym jest, daje cnotliwe słowo *la Poudre* (Sobieski), że pojedzie *avec son bouquet* by i na kraj świata, *et qu'il fera l'établissement ou les Essences* (Marysienka) *voudront*<sup>195</sup>”.

Myślą jest gdzie indziej; duchowo ekspatriacja jest faktem dokonanym.

I oto istotny sekret nieporozumienia: gdy kraj oczekuje od swego wodza zbawczego słowa, można powiedzieć, że przed kwaterą hetmana stoi ogromny szyldwacht i nie dopuszcza do zbliżenia się z narodem. Pod tym względem listy Sobieskiego są niezmiernie instruktywne, ale czytane o ile możliwości bez skrótów. Helclowskie retusze, choć na pozór nieznaczące, zmieniają istotny ton tej korespondencji i dały czasem powód do dość komicznych nieporozumień. Tak niektórzy rozczulają się nad sentymentalizmem hetmana, który z utęsknieniem wyczekuje od Marysienki przyrzeczonej mu bransoletki z włosów; gdyby wyczytali w pełnym tekście, co to ma być za bransoletka, skąd włosy na nią mają być uszczknięte i jakim ją opatruje nasz bohater komentarzem, mniej by może byli zbudowani.

Gdy Sobieski wszystkie swoje decyzje uzależnia od rozkazów Marysienki i powiada, że „wszystko bukietowi wolno jako panu”, decyzje nadchodzące z Paryża są dość mętne i sprzeczne. Przede wszystkim — jak wspominaliśmy — pani Sobieska na odległość nie bardzo sobie zdaje sprawę ze zmian jakie zaszły w karierze męża i w jego sytuacji; listy szły długo; zanim nadeszła odpowiedź, już mijała się najczęściej z chwilą. Bardzo być może, że gdyby Marysienka miała lepsze i szybsze informacje, byłaby przybiegła do Polski, wzięła wszystko w ręce, i wówczas rzeczy może poszłyby odmiennym torem. Ale ona widzi sprawy dawnym okiem, toteż rozgrywki jej zachowały coś kramarskiego, gdy tu trzeba by potężnym pchnięciem wzbic się w wyższą sferę. Ale nawet w ten sposób biorąc, nie może dać mężowi żadnych pewnych instrukcji, bo mówiąc trywialnie, nie wie, na czym siedzi. Akcje państwa Sobieskich we Francji wahają się wciąż, zależnie od tamtejszych kombinacji politycznych. Po śmierci Marii Ludwiki, gdy sprawa elekcji stała się nieaktualna, spadły te akcje prawie do zera. Ale znów Jan Kazimierz myśli o abdykacji, elekcja się zbliża, akcje idą w górę. I znów zmiana sytuacji: zapowiada się wojna, Kondeusz potrzebny jest Ludwikowi na czele armii, sprawa polska usuwa się na dalszy plan, to znów wypływa w postaci kompromisowej kandydatury niejakiego Neuburga... Zanim list dojdzie, już się wszystko zmieniło, stąd ciągle sprzeczności, odwoływania, które Sobieskiego przyprawiają o zamęt w głowie.

Miesza się w to i osobista polityka familijna Marysienki, przede wszystkim ów nieczesny proces rodziny d'Arquien przeciw Kondeuszowi. W pewnym momencie żona przesyła Sobieskiemu tekst listu, który ma przepisać i przesłać ambasadorowi francu-

<sup>194</sup>*vous êtes mon tout* (fr.) — jesteś dla mnie wszystkim. [przypis edytorski]

<sup>195</sup>*et qu'il fera l'établissement ou les Essences (...) voudront* (fr.) — i osiedli się, gdzie Esencje będą chciały. [przypis edytorski]

skiemu w Warszawie: w liście tym po prostu Sobieski oświadcza, że nie będzie popierał Kondeusza, póki proces d'Arquienów nie będzie załatwiony. Niepokojony wciąż sprzecznymi zleceniami, związany swoim *blanc signé*, który z własną pieczęcią posłał żonie, nic dziwnego że Sobieski się wymyka, że się uchyla od wszelkiej decyzji w kraju i czeka jej powrotu. Czeką tego powrotu i z innych przyczyn; ciągły jego stan, który znamy już z jego listów, mąci mu po prostu zimną krew; o ile mógł w nim — przez sublimację energii miłosnej — pobić Tatarów, nie podobna mu zdobyć się na głowę w radzie. Lamenty i rozpacz, że tyle czasu traci bez jej miłości, zapelniają jego listy: „a jaszczem był jak na złość niesłuchanie zdrowym” — dodaje naiwnie.

W tym stanie ducha, woli decyzję przerzucić na żonę. Posyła swój podpis *in blanco*, zrobi wszystko czego Francja zażąda, ale niech król francuski zdeklaruje się, co chce uczynić dla Sobieskiego. „*L'argent sur tout, car ce sont des choses portatives*”<sup>196</sup>. Gdzie kto chce, tam z nim osieść może, i zażyć jako chce”. Jeszcze raz powtarza w liście z końca kwietnia r. 1668, że pieniądze grunt, a majątność, *baton, duc, pair, cordon bleu*<sup>197</sup>, wszystko to piękne, ale to jest nic dla niego, który jest całe zrujnowany na wszystkim, i na humorze, i na zdrowiu, i *en biens*<sup>198</sup>: rad by gdzie w kącie ostatek dni przesiedział, żeby o nim ludzie nie wiedzieli...

Kiedy się zważy drogę, jaka się przed Sobieskim dopiero otwierała, zwierzenia te mają swój rozkoszny smak. Jest coś z artysty w tym wielkim żołnierzu, z jego depresjami, z jego okresową nieświadomością samego siebie i swoich przeznaczeń.

\*

Nie piszę tutaj historii, dlatego w niewielu słowach przypomnę wiele razy opowiadaną elekcję, zakończoną żalonym wyborem Michała Wiśniowieckiego. Był ten wybór protestem szarej masy szlacheckiej przeciw magnatom, którzy w cynizmie handlowania swymi wpływami, obławianiu się, przetargów z obcymi dworami, przebrali wszelką miarę. Ale czy poziom duchowy masy szlacheckiej był wyższy? Hr. de Chavagnac, agent jednego z kandydatów, Karola Lotaryńskiego, opisuje w swoich pamiętnikach, jak się odbywało kaptowanie „tych ludzi, którzy jak co najlepszego mają swój głos w elekcjach. Prawda, że nas to niewiele kosztowało, bo byle mieli jakiegokolwiek wino, piwo, sól, chleb i koper, już byli uraczeni, bawili po dwa lub trzy dni, po czym dawano każdemu po talarze, i odjeżdżali szczęśliwi”... Byli tańsi.

Pytałem się jednego z najtęższych naszych historyków, jak sądzi, czemu właściwie przy tej elekcji nie wypłynęło nazwisko Sobieskiego, czemu nikt o nim nie wspomniał. „Nie miał impresaria” — odparł historyk. W istocie. Marysienka, która miała się okazać tak czynnym impresariem przy następnej szczęśliwszej elekcji, tutaj przegapiła okazję — o ile okazja była. Nie zorientowała się. Przede wszystkim wróciła do Polski za późno, wówczas gdy już entuzjazm obudzony Podhajcami zdążył, w znacznej mierze za sprawą naszego bohatera, ostygnąć. Po wtóre, choroba poplątała jej szyki; już w Polsce, tuż przed sejmem elekcyjnym dostała ciężkiej ospy. Ledwie podniósłszy się z choroby, pognęła do Warszawy, ale znowuż była w ciąży; w najtrudniejszych politycznie chwilach, kiedy mężowi Marysienki trzeba było całej woli i przytomności umysłu, ona jest między życiem a śmiercią; łzy spływają po twarzy wielkiemu marszałkowi przykutemu urzędem do miejsca w sejmie. W końcu Marysienka rodzi nieżywe bliźnięta, ale jest ocalona.

Nie znaczy to, aby wśród wszystkich tych przeciwności, Marysienka nie miała bardzo czynnie krzątać się koło elekcji. Ale bierze ją wyłącznie pod kątem prehandlowania wpływów męża i wyniesienia się wraz z nim z kraju. Zbrojna w swoją *carte blanche*, lawiruje między Kondeuszem, Neuburgiem, Orleanem. Śrubuje cenę; nie zapomina o porękawicznym dla swojej rodziny. Do poprzednich żądań dodano dom w Paryżu dla Sobieskich oraz opactwo dla kawalera d'Arquien, w zamian za porucznikostwo, którym Ludwik XIV nie kwapił się go obdarzyć. Sobieski trwał wiernie przy zasadzie że

<sup>196</sup>*L'argent sur tout, car ce sont des choses portatives* (fr.) — pieniądze przede wszystkim, ponieważ są to rzeczy, które można wziąć ze sobą. [przypis edytorski]

<sup>197</sup>*baton, duc, pair, cordon bleu* (fr.) — buława, książę, par, niebieska wstęga [orderu]. [przypis edytorski]

<sup>198</sup>*en biens* — na majątku. [przypis edytorski]

„l'argent<sup>199</sup> przede wszystkim”. Agent księcia Neuburskiego dawał mu 680 000 na odkupienie starostwa puckiego i na kupienie majątku we Francji; inny kandydat musiałby mu zapewnić ekwiwalent. Ale Marysieńka naparła się dla brata opactwa Fécamp. Nie jest wolne? Wszystko jej jedno. W takim razie (grozi) będzie traktowała z Lotaryńczykiem, z cesarzem austriackim, albo z carem rosyjskim!

Wśród tego spada na magnatów jak grom uchwała sejmu, wprost wymierzona przeciw nim, aby nie wolno było przyjmować od kandydatów do korony pieniędzy i aby wykluczyć tych kandydatów, którym udowodniono przekupstwo. Na przeprowadzenie tej uchwały o nieprzedajności wziął w wilię szarak Piotrowski sto dukatów od agenta austriackiego... W istocie, uchwała godziła we Francję, na której żołdzie była prawie cała partia magnacka, i w Kondeusza, z którym niezamożny Lotaryńczyk nie mógł walczyć na pieniądze. Rozjuszenie szlachty na magnatów było takie, że ci się ulękli; żaden, począwszy od prymasa Prażmowskiego, żarliwego stronnika Francji, nie odważył się głosować przeciw tej uchwale. Nawet Sobieski, którego wszystkie rachuby i nadzieje druzgotała ta ekskluzja, kiedy na niego przyszła kolej, mruknął przez zęby, wściekły: „*Ergo excludatur*<sup>200</sup>!”.

Jedno trzeba mu przyznać, że złożywszy przysięgę, wziął ją na serio. Daremnie prymas rozstrzygał, jako teolog, że przysięga pod przymusem jest nieważna i że można brać pieniądze; daremnie ambasador Bonzy wywodził dyplomatycznie, że przysięgali mężowie, ale że żony mogą brać za nich; daremnie Marysieńka wywierała presję. Sobieski oświadczył, że będzie się starał, aby ich z przysięgi zwolniono, ale dopóki to nie nastąpi, raczej da sobie rękę uciąć niż ją<sup>201</sup> złamie. A Marysieńka zapewne uśmiechała się tylko: alboż nie miała *carte blanche*?

Potem — znana scena strzelania do senatorów na polu elekcyjnym, rejterada magnaterii przed upojoną — w każdym sensie — szlachtą, i wreszcie owo sławne: „Piast, Piast”, po którym podobno szlachcic Polanowski przez całą dobę łudził się nadzieją, że jego wybrano, zanim podkanclerzy ksiądz Olszowski podstawił cyfrę „Wiśniowiecki” pod ów algebraiczny znak Piasta. A tego Piasta, jeżeli wierzyć pamiętnikom Chavagnaca, wywołała bardzo mimo woli — Marysieńka. Mając odciętą drogę do Francuza, weszła, rada nie rada, w porozumienie z kandydatem Austrii; ale, spisawszy — nie wiadomo czy całkiem szczerze — punkty ugody z agentem Lotaryńczyka, tymże hr. de Chavagnac, zapomniała umieścić w traktacie brata swego, kawalera d'Arquien. Że elekcja przypadła w Boże Ciało, chciała ją odsunąć o dzień jeden, by mieć czas wytargować się o brata. „Wojewoda podolski — pisze Chavagnac — którego sobie pozyskała, nie znalazł innego sposobu odłożenia tej elekcji jak mianując Piasta, czyli króla rodaka. Wnosił on, że nigdy Polacy nie pozwolą na króla z Litwy, a Litwini na króla z Korony, że to sprawi zamieszanie, przynagli do odłożenia elekcji i da czas pani Sobieskiej do wymuszenia żądanych kondycji. W tym zaufaniu powiedział szlachcie, iż po drodze napadły go roje pszczoł i prowadziły aż do nich, co nic innego nie znaczyło, tylko to że trzeba brać Piasta na króla, pszczoły te bowiem są z pasieki Piasta. Natychmiast cała szlachta jęła krzyżeć: „Piast, Piast”...

Zaiste, kto lubi badać związki drobnych przyczyn z doniosłymi wydarzeniami, ma w dziejach Marysieńki szerokie pole.

Elekcja niezdary Wiśniowieckiego przekreślała szanse trzech tęgich kandydatów. Jeden to Karol Lotaryński, którego Sobieski miał poznać później w obozie pod Wiedniem i którego tak dobrze ocenił i polubił; ten, którego Ludwik XIV po jego śmierci miał nazwać „i największym, i najszlachetniejszym ze swoich wrogów”. Drugi, to był Kondeusz. Szkoda, doprawdy, że go nie wybrano, bodaj dla ciekawości, co by stąd wynikło. Żołnierz od siedemnastego roku życia, młody zwycięzca spod Rocroy, więzień stanu w czasie Frondy, zdrajca sprzymierzający się z wrogiem przeciw swej ojczyźnie, potem znowu jej najdzielniejszy puklerz, pyszny, chciwy, drapieżny, okrutny, ryzykant szafujący krwią swoich i cudzych żołnierzy, wieszający bez pardonu spokojnych mieszczan, kiedy się uskarżali na ciężką rękę jego „Kmicicowej kompanii”, to był we Francji typ najbardziej zbliżony do polskich junaków. Starcie tego niepohamowanego temperamentu na tronie polskim

<sup>199</sup> l'argent (fr.) — pieniądze. [przypis edytorski]

<sup>200</sup> ergo excludatur (łac.) — więc niech będzie wykluczony. [przypis edytorski]

<sup>201</sup> ją — tu: przysięgę. [przypis edytorski]

— w razie gdyby go dostał — z wolnościami szlacheckimi, to byłaby ładna rozgrywka! Trzecim wreszcie możliwym kandydatem — mimo że nie zgłaszał tej kandydatury i nie myślał o niej wówczas — był sam Sobieski. Historycy mają mu za złe, że ten przyszły król o cztery lata wcześniej nie sięgnął po władzę lub koronę, oszczędzając Polsce kilku najeboleńszych, najbrzydszych lat, utraty Kamieńca, własnego swego udziału w intrygach rokoszan. Ale czy mógł? To wielkie pytanie. Popularny przez chwilę był, zapewne, ale czy nie straciłby tej popularności od razu, gdyby uczynił zamach na złotą wolność? Sobieski dyktatorem? Zjednoczyłby może wszystkich przeciw sobie. A królem? Za wielki był jeszcze przedział między szlachcicem a tronem, za głęboko zakorzeniony przesąd uświęconej krwi królewskiej. Faktem jest, że nikt Sobieskiego nie wysunął, że nawet gdy szukano „Piasta”, wołano Wiśniowieckiego. Dlatego, że ten golec bez talentu lepiej się nadawał na symbol woli szlacheckiego ludu. Być może. Ale zarazem grało z pewnością rolę i to, że jednak to było książątko, że był skoliigacony z domami panującymi, że wreszcie mógł się ożenić z arcyksiężniczką, gdy Sobieski obciążony był swoim dalekim od królewskości małżeństwem. Dopiero nędzne panowanie Wiśniowieckiego, oswoiwszy naród z możliwością Polaka na tronie, oddało tę usługę, że utorowało drogę Sobieskiemu, zwłaszcza gdy ten magik w porę wydobył z cylindra wspaniałe zwycięstwo chocimskie. No i wtedy Marysienka, czujniejsza, doświadczeńsza, lepiej umiała spożytkować swoją — *carte blanche*.

#### XIV. DEKONFITURY

Wybór Wiśniowieckiego był dla obojga Sobieskich ciosem z wielu względów. Wystarczy sobie przypomnieć stosunki rodzinne. Nowy król był siostrzeńcem Zamoyskiego, pierwszego męża Marysienki, synem księżnej Gryzeldy, owej „basetli” z konfitur, co dała się we znaki i kochankom, i młodej wdowie. Pieniactwo o zamojszczyznę jeszcze nie było ukończone. O Michale Wiśniowieckim, młodym człowieku tępym, łakomym i gnuśnym, Sobieski z dawna nie wyrażał się w listach do żony inaczej jak *le singe* — małpa; teraz trzeba mu będzie małpę całować w rękę i stać przy małpim tronie! Wybór króla bez talentu i bez znaczenia uważa przy tym hetman za nieszczęście dla kraju. Toteż w pierwszych dniach nie hamuje swej wściekłości. Przed Bonzym wylewa żółć, mieniąc świeżego elekta głupcem, idiotą, dziadem. Chavagnac w pamiętnikach swoich twierdzi, że Sobieski tuż po elekcji żądał od niego pomocy, aby zdetronizować Michała; odgrażał się, że się sprzymierzy w tym celu z cesarzem austriackim, z carem itp. Nie trzeba tego brać zbyt serio. Wyfukał się nasz Raptusiewicz i uspokoił się.

Bo równocześnie Marysienka, większa od niego realistka, już akomoduje się do sytuacji i stara się zająć wobec niej racjonalne stanowisko. Przypomniała sobie, że ten obżartuch i ospalec Michał jeszcze w Zamościu czule wodził za nią oczami; umiejętnie poruszył te wspomnienia, aby się zbliżyć do tronu. Mamy o tym relacje przez panią Morsztynową, której czujność zaostzona jest niechęcią do Marysienki. Według niej, ta „megera”, z której po chorobie została skóra i kości i która pokrywa swoją bladeść warstwami różu, wściekle kokietuje króla: już mu ofiarowała bransoletkę... Miejmy nadzieję, że nie taką samą jak mężowi.

Zaloty te nie zostały bez nagrody. Marysienka uzyskuje to, że nadzwyczajnym posłem na dwór francuski z zawiadomieniem o wyborze króla Michała zostaje jej brat, kawaler d'Arquien. Fawor nie lada. Drugą, dyskretniejszą funkcją kawalera będzie — szukać poparcia dla spisku, już zawiązującego się w Polsce celem detronizacji nowego króla. Zarazem pani Sobieska przez biskupa Bonzy sugeruje Ludwikowi XIV, że wobec klęski Francji przy elekcji, tym bardziej trzeba zabiegać o stronników w Polsce.

Fawor brata Marysienki ułagodził trochę Sobieskiego, który jako wielki marszałek sabotował pierwszy sejm i usunął się z Warszawy — w momencie przysięgi, aby nie nosić laski przed królem. Już podobno myślał o tym, jakby nie dopuścić do koronacji. Ale w rezultacie na koronacji w Krakowie był, jechał przed królem z gołą szablą, w kościele na Skalce pełnił służbę marszałkowską, na rynku na *theatrum* (czyli estradzie z tronem) niósł berło królewskie. W jakim humorze — łatwo sobie wyobrazić. Może już mu świtało w głowie, że zamiast małpy, sam mógłby siedzieć na tym tronie.



Sejm koronacyjny pierwszy raz w Polsce zerwano. Nieszczególnie się zapowiadało nowe panowanie.

Pomału, przy pomocy ex-ambasadora Bonzy, który zachował sentyment dla Marysieńki, partia francuska odbudowuje się w Polsce. Duszą jej — Sobiescy; obok nich prymas Prażmowski i ruchliwy Andrzej Morsztyn, ów lekki poeta, znany nam ze dworu Marii Ludwiki, który tymczasem zrobił kawał drogi, bogacąc się na podskarbiostwie koronnym, posługując po dworach jako zręczny polityk i dyplomata. W partii tej już rozważa się myśl, aby strącić z tronu Michała, a wprowadzić bodaj siłą Francuza. Nie Kondeusza, bo sam dźwięk tego nazwiska budzi wśród szlachty żywiłowy sprzeciw, ale nowego, nieużytego jeszcze kandydata. Miał nim być młody Longueville, siostrzeniec Kondeusza, bezrobotny książę, który gotów jest puścić się na awanturę. Ale Ludwik XIV, zły, że w Polsce tyle pieniędzy i starań utopił na próżno, mający w tej chwili na głowie inne kłopoty w Holandii i gdzie indziej, wściekły na panią Sobieską i jej rodzinę, nie chce o niczym słyszeć. Nie może darować Marysieńce, że ona — jego poddanka — ośmieliła się jemu, Ludwikowi, przykładać — jak mówi — nóż do gardła. „Nie mogę wymazać z pamięci — pisze do swego posła — pięknych słów tej damy: »Nie ma opactwa, nic z interesu! nie ma Epoisses (ów proces d'Arquienow), nic z interesu! nie ma tego lub owego, nic z interesu!«” I wielki król konkluduje: „Toteż moim ostatecznym i stałym postanowieniem jest zostawić ich (Sobieskich) w upokorzeniu, w jakim znajdują się obecnie”.

Bądź co bądź, nasza Marysieńka mogła być dumna, że nikt w Europie nie ośmielił się traktować z potężnym i najdumniejszym Ludwikiem w tym tonie, w jakim ona to czyniła. Nie ostatnie to starcie tych dwóch potencji.

Tak więc, król francuski nie miesza się do sprawy i zachowuje poprawne stosunki z królem polskim. Co nie przeszkadza, że w Polsce partia francuska działa bardzo czynnie i że bez oficjalnego współdziałania króla Francji, chroniczny spisek na rzecz francuskiego kandydata jest faktem. I sam Ludwik XIV, mimo przestrzeganej nieingerencji, nie mógł pozostać całkowicie obcy tym kombinacjom, zmuszony nawet przewyciężyć niechęć do państwa Sobieskich. Dotychczasowa pensja francuska, pobierana przez wielkiego hetmana, wzrasta z 12 000 funtów do 20 000, Sobieski otrzymuje wstęgę wysokiego orderu i list od Ludwika XIV z nagłówkiem: „Mój kuzynie”. Marysieńka górą! „Jak baba diabła wyonacyła”.

Niepodobna opowiadać tu szczegółów przebiegu intrygi, której nic snuje się przez całe panowanie niefortunnego króla. Kraj dzieli się coraz jawniej na dwa obozy. Atmosfera robi się nieznośna, zatruta plotkami; co w nich prawdą, co zmyśleniem, trudno nawet dziś wiedzieć. Agent francuski Baluze donosi swemu ministrowi, że „arcybiskup Prażmowski bardziej niż kiedykolwiek popiera myśl zabicia króla polskiego”. Sobieskiego posądzają, że zamierza sprowadzić Kozaków i Tatarów na Polskę, aby przy ich pomocy narzucić siłą francuskiego kandydata; zdaje się, że istotnie Marysieńka zalecała tę praktyczną gospodarską receptę. Sobieski znowuż donosi żonie o diamentowym proszku, którym zamierzano go otruć. Krążą coraz jadowitsze paszkwile, w których zwłaszcza stronnicy króla z błotem mieszają partyzantów Francji. „Nie będzie w Polsce zgoda — aż Bąkowi spadnie broda — ba i dobrego Pana — aż obwieszą hetmana”. (Bąk to Bąkowski, wojewoda pomorski; hetman to oczywiście Sobieski).

Paradoksem sytuacji było to, że przy królu opowiedział się — jako przy swoim wybrańcu — najgorszy element szlacheckiego, ciemnych gębaczy i opojów, pchających bezmyślnie kraj do zguby, podczas gdy obóz spiskowców — biorąc formalnie, zdrajców stanu — skupiał bądź co bądź rozum polityczny Prażmowskiego, kulturę Morsztyna, heroizm i poświęcenie Sobieskiego i oddanej mu garści rycerstwa. Król jest tu defetystą, koronowanym przedstawicielem bezrządu; Sobieski — wcieloną wolą zwycięstwa i czynu. Król sprzeciwia się wzmocnieniu regularnej armii, bojąc się (może słusznie), aby jej hetman nie użył przeciw niemu; woli opierać się na pospolitym ruszeniu, które znowuż woli pić, pyskować, rabować, siekać bezbronnych starców niż iść na wojnę. I Sobieski, wciąż zmagający się z obcymi potencjami przeciw swemu panu, równocześnie dokazuje cudów, aby własnym przemyśleniem i zapalem organizować obronę granic Polski, znacząc swoją drogę świetnymi zwycięstwami — Braclawiem, Kalnikiem i tyloma innymi. A po upadku Kamieńca, który upadł z braku środków obrony, król oświadcza głośno, że Ka-

mieniec wcale nie jest wzięty, że to są wszystko wymysły i strachy Sobieskiego... Zaiste, trudno jest hetmanić pod małpą.

Takie było tło: a równocześnie na tym tle rozgrywał się dramat prywatny, który bliżej nas obchodzi w tej książce, mającej za przedmiot nie Sobieskiego, ale Marysienkę. Pamiętamy sytuację: wybór Francuza miał być dla naszego bohatera wyzwoleniem, po którym miał on pośpieszyć do Francji, aby tam żyć bez trosk i przeszkód ze swoją ukochaną. A nie do Francji, to gdziekolwiek indziej, byle daleko. Koronacja Wiśniowieckiego obaliła całkowicie i te plany. Wybór młodego króla, brak widoków na nową elekcję, zobojętnienie Ludwika XIV na sprawę polską, wszystko to odbierało wysokim szarżom Sobieskiego wartość zamienną; był w położeniu człowieka, który się zgrał na giełdzie. Sprawa wyniesienia się za granicę stała się nieaktualna. Trzeba było zostać na miejscu i cierpieć.

To byłoby jeszcze pół biedy, gdyby ona zgodziła się na ten los. Ale właśnie że się nie godziła. W połowie r. 1670 pani Sobieska znowuż opuszcza kraj, aby się udać do Francji. Znow jest w ciąży; jedzie z powodu zdrowia, może i dla czynniejszego poparcia sprawy spisku, jako cicha delegatka partii francuskiej. Znow tej rozłące zawdzięczamy listy Sobieskiego, w których i serce jego, i sprawy krajowe mamy jak na dłoni; — o tyle przynajmniej, o ile obawa przejmowania listów na to pozwala.

Sytuacja osobista państwa Sobieskich jest na pozór ta sama co w owych latach 1667–68, kiedy to pani hetmanowa jechała pierwszy raz do Paryża, aby tam urodzić małego Jakubka; ale odcień duchowy jest bardzo odmienny. Wówczas była w tym rozstaniu jakaś świeżość, jakaś nadzieja: młody hetman czuł, że trzeba mu zdobyć wieniec zwycięstwa, dać swoją pełną miarę, aby potem dostąpić szczęścia i nagrody w „zaczarowanym pałacu”. Było w tym coś z powieści panny de Scudéry, było coś romantycznego w tych bojach rycerza przepasanego szarfą ukochanej, w tej czerni, w jaką się ubierał, w nadziejach szczęścia, w tej wdzięczności narodu dla *Sylwandra*. I listy, mimo że nieraz gorzkie od tęsknoty, zapiekłe od dławionej namiętności, miały swój polot miłosny.

Teraz jest trochę inaczej. Piękne nadzieje się rozchwiały. Popularność znowu pierzchła. I — co najgorsze — on przykuty jest do miejsca swoim hetmaństwem w najcięższych warunkach, bez widoków i możliwości porzucenia go, gdy ona wręcz mu oświadczyła, że polskie powietrze ją zabija i że w kraju nie chce mieszkać. Położenie bez wyjścia. W dodatku, miesza się w to może w obojgu uczucie katzenjammeru, że przegapili okazję, że można było tą partią inaczej pokierować; dość że jak zwykle po przegranej, zaczynają się rekryminacje między partnerami. I na tle wielkich wydarzeń dziejowych, rozgrywa się ten na wpół dramat, na wpół komedia małżeńska, w której Marysienka, zapewne nie znając nieśmiertelnej komedii Moliera, sama odgrywa rolę Celimeny wodzącej na nitce swojego burkliwego, heroicznego i bezbronnego wobec niej Alcesta.

Wielki hetman opuścił Warszawę, częścią przez poczucie obowiązków, które go wolały ku granicom kraju, częścią może z niechęci do dworzaninowania małpie. Ale życie obozowe też jest dla niego utrapieniem. U stołu się siada po godzin sześciu, siedmiu na każdy dzień — pisze. *La dépense furieuse est insupportable*<sup>202</sup>. Tuteczna expensa równa się owej na elekcji; bo czasem na dzień 4 i 5 beczek wina wypiją. W dzień jego patrona na święty Jan wypito osiem. Tęskność go morzy, w listach żony nawet czułości go drażnią; bo te czułości i pieszczoty dostają mu się w listach tylko; a kiedy jest obecny, „to Wci i na myśl nie przychodzi całować ciało moje”. Znamy już z poprzedniej rozłąki te utyskiwania; i znow zaczynają się skargi na ujmę dla zdrowia, jaką mu grozi przymusowy celibat, przy czym „ta wszystka gorącość tak mu już głowę nadwerędziła, że do śmierci pewnie do swej nie przyjdzie perfekcji”. Drażni go, kiedy mu ta emisariuszka spiskowców za wiele pisze o polityce, „a nie o miłości, która jest główną sprawą jego życia” — dodaje po francusku. A przecież chwila jest przełomowa: chodzi o zawiązanie konfederacji przeciw królowi; albo konfederacja przyjdzie do skutku teraz — pisze Sobieski — albo nie trzeba już o niej myśleć. I donosząc szyfrowanym kluczem o konfederacji, dodaje: „Przysięga wojska ma się odbyć dziś, ale nie wiem, kto będzie myślał o sprawach, które bardzo ucierpią, skoro Celadon nie zdolen jest myśleć o niczym, jeno o odmianie i niewdzięczności i o niewielkim kochaniu jego Astrei”. Żywot jaki prowadzi, tak mu już przemierzył, że godzinę

<sup>202</sup>*La dépense furieuse est insupportable* (fr.) — szalone wydatki są nie do wytrzymania. [przypis edytorski]

tę przeklina, w której na świat wyszedł. I — jeszcze raz trzeba zaznaczyć — to nie jest romansowa frazeologia; ta tęsknota, ten żal, ta gorycz, która mu zalewa serce, to jest najistotniejsza treść jego duszy. Przy całym poświęceniu, bohaterstwie, czynności tego obrońcy kraju czuć, że to wszystko jest dla niego niczym, że oddałby wszystko razem za jedną noc ze swoją Marysienką.

Najgorsze jest to, że nie mając na czym zatrzymać oczu w przyszłości, stęskniony kochanek coraz czarniej widzi przeszłość. Zaczynają się wypominania, zarzuty; ona, aby odwrócić jego żale, droczy się z nim, udaje jakieś zazdrości, drażni go zalotnością. Mimo że nie zachowały się jej listy, prawie że je znamy, bo Sobieski je wciąż bardzo wiernie cytuje: „Piszesz mi Wć, że przecie bardziej się we mnie kochasz, niżeli kiedyś Heleny, Anusie i nie wiem kto. Racz mi w tym moja duszo odpuścić. Kochały mnie te imiona mocno swego czasu, i pewnie na moment jeden na łokieć jeden nigdyby się ode mnie nie oddaliły”... A ona! Rozpamiętując ich pożycie, mąż Marysienki zaczyna wiele rzeczy rozumieć inaczej wstecz; widzi na przykład, że jeżeli ona przed wyjazdem do Francji pokazywała mu dobrą twarz, albo go karesowała, albo się z nim... (opuszczam, skoro to ma kogo zgorszyć) bawić chciała, nie chcąc go od siebie puścić, to tylko dlatego, aby z nim o drodze gadać i o jak najprędzej od niego wyprawie...

To znów ona widocznie jeszcze raz daje mu za przykład „cnotliwych mnichów”, którzy się obchodzą bez kobiety; ten argument osobliwie drażni Sobieskiego; za każdym razem nasz bohater obszernie wykazuje niestosowność takiego porównania. „Co jeszcze ze strony mnichów, że zdrowi żyją lubo *chastement*<sup>203</sup>: a cóż to do mnie mnicha za komparacja<sup>204</sup>? Oni są daleko od ognia, nie dziw że ich płomień nie dosięgają; ale mnie w ogniu być zawsze a nie gorzeć, byłoby to coś doskonalszego. A dlaczegóż święci ludzie uciekali na pustynię, tylko aby się świata uchronić mogli? Do tego mnisi jedzą o jednej godzinie, o jednej godzinie także spać idą, trunków wedle porcji używają, toteż i rozgrzewania krwi nie masz okazji”... Zresztą człowiek w tym człowiekowi nierówny: „bo lubo wielki wszystkim mądrze dla konserwowania rodzaju smak zostawiła natura, jednym jednak większy niżeli drugim zostawiła *appetyt*<sup>205</sup>”...

Biedny bohater! W istocie, jego nieustający a tak cnotliwy „appetyt” wart był lepszej nagrody. Jakże godny zazdrości wydaje mu się los niezdary Michała, w którym królowa jakoby tak jest zakochana, że chce mu towarzyszyć wszędzie i iść za nim na kraj świata, mimo iż — powiada — widzi to bardzo dobrze, że „to Twoje państwo zginąć musi, bo żadnego w nim nie masz porządku ani zgody”. A on, Sobieski, ma co? Niech mu kto pokaże człowieka, który takie rzeczy znosił: niechęć króla, nienawiść *du peuple*<sup>206</sup>, i niemiłość tak jawną tej, którą kochał milion razy więcej niż siebie samego... Z jakąż niechęcią jedzie do Warszawy, gdy chodzą wieści, że w Warszawie dwór ma urządzić nową noc św. Bartłomieja... To znów donosi żonie, że król się dał słyszeć, że jedynie ona sama mogłaby go pojednać z Sobieskim; i „łaski i fawory, które uznawał od Wci podczas swej w Zamościu jeszcze rezydencji, bardzo depredykuje, i o swojej dawnej często przed damami powiada inklinacji”...

Na takie sposoby puszcza się biedny Celadon, aby ją skłonić do powrotu do kraju.

Ale ona nie chce wracać. Bierze sobie „iako pretext” — może i nie pretext, bo wiemy, że istotnie jest poważnie chora — niepowrotu, że lekarstwa zażywać chce nie tylko tej wiosny, ale przez lato i jesień... Gorzej jeszcze: w chwili złego humoru Marysienka zarzuca mężowi, że od niego nabyła swojej choroby: „Piszesz też Wć ustawicznie przymawiając mi (co mię aż do serca przeraża) *que Vous avez contracté une grande maladie*<sup>207</sup>, za tak krótki czas ze mną mieszkając... O już też to i przed P. Bogiem nieodpuszczona krzywda”... I dopieroż on sumituje się, i tłumaczy, i odpiera urojone zarzuty... Doprawdy, wzruszająca jest niewyczerpana miłość, cierpliwość, dobroć tego człowieka.

To znów ona mu pisze, że była znienawidzona przez wszystkich w Polsce i że gdyby nie królowa, toby musiała żebrać chleba od bramy do bramy... I on obszernie jej tłumaczy, że tak źle nie było... I w istocie, dla kolejnej żony i spadkobierczyni dwóch najbogatszych

<sup>203</sup>*chastement* (fr.) — w czystości. [przypis edytorski]

<sup>204</sup>*komparacja* (z łac.) — porównanie. [przypis edytorski]

<sup>205</sup>*appetyt* — dziś: apetyt; tu: podwojenie spółgłosek charakterystyczne dla stylu XVII w. [przypis edytorski]

<sup>206</sup>*du peuple* (fr.) — ludu. [przypis edytorski]

<sup>207</sup>*que Vous avez contracté une grande maladie* (fr.) — że nabawiłaś się ciężkiej choroby. [przypis edytorski]

magnatów w Polsce, owo żebranie od bramy do bramy to lekka przesada. To znów, gdy on tam nadstawia głowy i trapi się, i orze za wszystkich, ona pisze mu dotkliwie, że on ma tylko *le nom de Hetman*<sup>208</sup>, a kto inny *l'autorité, l'honneur et la gloire*<sup>209</sup>. I znów on jej cierpliwie tłumaczy, że tak nie jest, i dziwi się, kto ją tak źle informował, aby zakończyć z uroczą godnością, że nie trzeba się o jego honor frasować: „w kupie ja honor mój z zdrowiem moim kładę”.

Dodajmy, że ta konwersacja toczyła się między Podolem a Paryżem, że od napisania listu do otrzymania odpowiedzi upływało po kilka miesięcy. Często zapewne zdarzyło się Marysieńce dawno zapomnieć przedmiotu swoich rekryminacji i przyczepki, ale on pamiętał wszystko, każde jej słowo: każde dobre — na ten dystans — przejmowało go żalem, a złe rozpaczą.

A ona bezwiednie, z egoizmem lichy kochającej kobiety, pisze mu czasem rzeczy szczególnie okrutne. On jej doniósł, że jest chory, dzieli się z nią obawami (urojonymi) o swoje życie, a ona odpisuje mu, że gdyby się to stać miało, tedy się reyeruje *à son pays*<sup>210</sup> i żyć tam *paisiblement*<sup>211</sup> chce... Gorzko mu jest czytać takie słowa. Toż on by tak nie napisał ani do przyjaciela, ani do znajomego!... Ale czegoż on nie wycierpiał przez tak wiele lat! Niech sobie ona przypomni, jak on był traktowany jeszcze za nieboszczyka Zamoyskiego! Pies by się o to odraził, będąc tak traktowany, jak on często, a on to wszystko znosił, spodziewając się, że mu się to wszystko sownie nagrodzi.

Już mu życie obrzydło. Spieszno mu — pisze — zdrowie i życie poświęcić za wiarę świętą, za którą umrzeć każdy pocziwy ma mieć sobie za największe szczęście... I w kilka wierszy potem, donosząc o stracie kucharza, mówi: „O kucharza abym nie miał być żalonym, to niepodobna... Boć to nasze tylko na tym świecie, co zjemy dobrze i smaczno”... Oto nieodrodny szlachcic swojego wieku!

Zdrowie! Czyż może w tych warunkach być zdrowym? Świeżo mu krew puszczała: była czarniejsza od smoły i tak zapiekła, że się doktorowie wydziwić nie mogli. Okazją — tęskność, melankolia sroga i to, że więcej sobie waży dotrzymywanie wiary niż własne zdrowie... Bóg to widzi, czemu on choruje. Niech ci, co poprzednim razem jechali z nim naprzeciw niej do Gdańska, zaświadczą, jeżeli nie także bóle głowy miewał, niesypianie, katar ustawiczny; a skoro się zjechał z nią, zaraz to wszystko jako ręką odjął. Na co szukać innej przyczyny?

A ona wciąż nie wraca. On już nie może, rok czeka jej powrotu. Nie może przeciw wszystkiego rzucić i jechać do niej; bo któryż hetman w zaczynającą się retyrował się wiosenną kampanię? Do Francji zresztą boi się jechać: sama pisała mu wiele razy, że nie ma niewdzięczniejszego i niesłowniejszego narodu czy dworu. Choćby nawet się zdecydował żyć tam bez honorów, to się nie może na to odważyć, widząc, co się z drugimi dzieje, że tam bez prawa, bez sądu, nawet przyczyny nie powiedziawszy, za najmniejszym udaniem fałszywym, za najmniejszą nieostrożnością, zgnoić największego w Bastylii wolno człowieka...

(Jeżeli tak myślał o Francji jej czołowy stronnik, czyż można się zbyt dziwić niechęci szlachty do francuskiego kandydata, pomawianego o chęć przeniesienia tych obyczajów do Polski?)

Wśród utrapień, prawdziwe to odetchnienie dla niego znaleźć się w polu. Ale, w przeciwieństwie do nieskończonych dyskusji miłosnych, o pochodach i bitwach donosi żonie pan hetman lakonicznie, niedbale, jakby w istocie to były *des bagatelles*<sup>212</sup> wobec spraw serca i łoża. Ot, potrzeba braclawska: ależ pogonili za Tatarami! Pochód był trudny, wojewoda ruski o mało w błocie nie utonął, ale potem jakaż gonitwa, pędzili za Tatarami co koń wyskoczy siedem mil ukraińskich, co czyni mil takich, jakie koło Paryża, pewnie trzydzieści. Rzucali złodzieje najpierw ludzi, których byli pobrali, potem żywności różne, potem konie, *ses hardes*<sup>213</sup>, w ostatek siodła spod siebie wyrzucali, a na ostatek *les chemi-*

Religia, Jedzenie, Szlachcic,  
Polak

<sup>208</sup>*le nom de Hetman* (fr.) — tytuł hetmana. [przypis edytorski]

<sup>209</sup>*l'autorité, l'honneur et la gloire* (fr.) — znaczenie, honor i sławę. [przypis edytorski]

<sup>210</sup>*à son pays* (fr.) — do swego kraju. [przypis edytorski]

<sup>211</sup>*paisiblement* (fr.) — spokojnie. [przypis edytorski]

<sup>212</sup>*des bagatelles* (fr.) — błahostki, drobnostki. [przypis edytorski]

<sup>213</sup>*ses hardes* (fr.) — swoje tobołki. [przypis edytorski]

*ses et les caleçons*<sup>214</sup>, a to dla lekkości... I na tę pogoń jakoś mu zdrowie wróciło, ale teraz wszystkie zaczynają *se recommencer*<sup>215</sup> bóle: u nogi prawy palec mały srodze mu cierpnął przez całą noc...

I tak te najkrwawsze wiadomości wojenne zjawiają się między dwoma westchnieniami miłosnymi, nawiasem, mimochodem. Poprzedniego dnia Winnica wzięta przez szturm i w pień wyścinana... Ale cóż: on tutaj nie szczędzi sił, a tam po staremu w Polsce mówią, że on poszedł dlatego w Ukrainę, aby Tatarów i Kozaków do Polski przyprowadził...

Same zgryzoty... Widzi on jasno teraz, że ona nigdy nie troszczyła się o niego, aby go pocieszyć w strapieniu. Na przykład w Tarnowie, kiedy był tak strapiiony i podziałem tych nieszczęsnych chlebów sturbowany, siadając nad tym po całej nocy, że już prawie ledwo żył, tedy ona była na niego tak dyskretna, że mu żadną żywą miarą dziecięcia wrzeszczącego mu nad głową do drugiej naprzeciwko nie chciała wynieść izby, choć tam było arcywczesnie dla niego i ciepło, i choć o zdrowie mężowe każda żona bardziej dbać aniżeli o dziecinne powinna...

Takie rekryminacje przesyła jej do Paryża z obozu w Barze, gdy cały kraj stoi w ogniu wojny zewnętrznej i wewnętrznej. A ona wzajem pisze mu, że całe z nim pożycie było *insupportable*<sup>216</sup> i męką niepojętą nie tylko dla słabego zdrowia (przeciwko czemu on nigdy nic nie mówi), ale że się nie nauczyła mieszkać *à la campagne*<sup>217</sup>. Czy on jej kiedy bronił jechać na dwór albo do Warszawy? Nudzi się na wsi, że jej trzeba było z szlachciankami konwersować? Wielkie rzeczy! Nawet Maria Ludwika, nieboszczka królowa, wielka i mądra pani, a nieraz o kądzieli z takimi, które czego inszego nie rozumiały gadała, i sama ją akomodując się stanowi białogłowskiemu przedła. I on się między krowami nie urodził, a przecie i o tym podczas mówić musi akomodując się ludziom na gospodarstwie już osiadłym, a pozyskując sobie ich przyjaźń przez swoją konwersację... A któż zresztą winien, że tu muszą siedzieć? Któż by sobie nie życzył i wynijść przez złotą bramę z tego wszystkiego? Ale przez Boga żywego, czyż bić się o to z Panem Bogiem, kiedy w tym jego snąc nie ma woli? O co ona na niego fuka? O brata? Czyż nie zrobił, co w jego mocy było dla jego *avancement*<sup>218</sup>? Ale czy on dysponuje chęcią króla Francji? A jeżeli on sam wyjechać nie mógł, to czynił dla honoru swego, bez którego cóż po człowieku na świecie i po nim cóż by jej było, gdyby był bez honoru? Pisze mu, żeby urzędy złożyć w ręce króla, a dobra wyprzedać. Ależ to tak prędko nie idzie, bo i sejm nie będzie aż za dwa lata, i jeden sprzeciw może wszystko udaremnić, i majątności w obecnych czasach ani za pół darmo nikt nie kupi. A czy podobna, aby miał tak długo żyć bez niej? „Że mi zaś Wć grozisz, *que vous me renoncerez* — *eh, Vous me renoncez assez, Madame*<sup>219</sup>, kiedy sześć lat pobrawszy się z sobą, nie mieszkaś Wć ze mną i dwóch... Ładny dowód miłości, kochać się przez pocztę!”

*Carte blanche!* Znów wypływa ta kwestia, że ona mu pozwala, aby sobie tę samotność, jak chce, umiłał. O, tak, widzi, że ona na wszystko by pozwoliła, byleby tylko zawsze mogła daleko od niego mieszkać; tylko się wstydzi do tego przyznać, bo to byłby znak niemiłości niechybny i nieafektu ku niemu...

Od słowa do słowa, od tych rozpamiętywań każdego jej „nieafektu” i nieczułości po półtorarocznej rozłące, zaczyna wreszcie i w nim coś krzepnąć, coś się zacinać. Im dłużej, tym listy stają się bardziej cierpkie. „Piszesz mi Wć, że mój list był zimny; alem i ja się waszecinym nie sparzył. Znać, że i we Francji mrozy wcześniej się zaczęły” — pisze Sobieski z początkiem listopada. Na inne jej docinki i uszczypliwości nie odpisuje, „ponieważ się Wć wybierasz z taką ochotą do widzenia mnie, z jaką bym się ja ledwo wybierał na śmierć katowską albo na galerę wieczną”. Jeszcze trochę, a wszystko może między nimi trzaśnieć. Czas, stanowczo już czas, aby Marysieńka wróciła.

Wraca wreszcie, zawsze ta sama: jeszcze nie stanęła w Polsce, a już go nęka przycinkami, już objawia to wiekuiste niezadowolenie, które może było głównym sekretem

<sup>214</sup>*les chemises et les caleçons* (fr.) — koszule i kalesony. [przypis edytorski]

<sup>215</sup>*se recommencer* (fr.) — zaczynać się na nowo, odnawiać się. [przypis edytorski]

<sup>216</sup>*insupportable* — nie do zniesienia. [przypis edytorski]

<sup>217</sup>*à la campagne* (fr.) — na wsi. [przypis edytorski]

<sup>218</sup>*avancement* (fr.) — awans. [przypis edytorski]

<sup>219</sup>*que vous me renoncerez* (...) *Vous me renoncez assez, Madame* (fr.) — że się mnie wyrzekniesz (...) wyrzekasz się mnie dostatecznie [dotąd, obecnie], Pani. [przypis edytorski]

jej panowania nad nim. W grudniu r. 1671 dostaje jej list z Gdańska, gdy on leży chory; i miasto kongratulacji i ucieszenia się z jego z wojny szczęśliwego powrotu, jeszcze docinki i posądzenia właśnie z powodu jego stanu zdrowia! „Cóż za niedorzeczność i niesprawiedliwość — wykrzykuje. — Ja, jeśli tym Pana Boga obraziłem, a nie dotrzymałem wiary Wci, niech tej nocy nagle skonom i niech twarzy Boga mego na wieki nie oglądam”...

Wierzmy mu. I myślimy, że zasłużył na lepsze powitanie niż to, które mu zapewne zgotowała nadąsana Astrea. Ale i on sam może nie potrafi już tak jej powitać, już tak się nią ucieszyć jak niegdyś. Za długo na nią czekał, za dużo miał czasu na rozmyślanie, na sądzenie jej, za wiele sobie napisali rzeczy gorzkich. Już biedny hetman nie odnajdzie swojego tak niewczesnie zakłóconego miodowego miesiąca, przerwane gońtą za Lubomirskim i wciąż przed nim uciekającego. Aby odnaleźć dawną poezję tego romansu, trzeba by chyba czegoś nadzwyczajnego... trzeba by na przykład, żeby on — został królem, a ją uczynił królową? No więc zostanie i uczyni. Może ją tym wreszcie przykuje do kraju, może królowej polskiej powietrze polskie będzie mniej szkodliwe? To pewna, że nie takie rzeczy zrobiłby z miłości. Półtora roku dochować na odległość wiary, to, przy jego apetycie, było grubo trudniejsze. Najcięższa próba przeżyta — teraz otwiera się szeroka droga chwały.

## XV. CZY WRESZCIE KONTENTA?

Biograf Marysieńki, Waliszewski, opowiada, że kiedy pani Sobieska jechała w — r. 1670 do Paryża, zatrzymała się w Gdańsku. Bawiło w mieście grono żon stronników opozycji, wyprawionych tam przez mężów na przeczekanie, wobec niepewnej sytuacji w kraju. Pani marszałkowska Sobieska wiodła prym w swoim salonie. Do niej przede wszystkim zwraca się, z nią konferuje agent francuskiego kandydata, ksiądz Paulmier; ale przerażony jej żądaniami, pisze do swego mocodawcy: „Ta kobieta narobi nam wiele kłopotu przez swoje nierozsądne pretensje”. Pewnego dnia pani Sobieska odczytała zebranym u niej osobom list pisany do niej przez zaufanego człowieka z obozu. Powiernik donosił jej, że kiedy między wojskiem rozeszła się wieść, iż ksiądz de Longueville nie przybędzie, żołnierze mieli wykrzyknąć: „Mała szkoda, krótki żal: sami sobie znajdziemy króla, wybierzemy pana marszałka”. Ksiądz Paulmier, zdając sprawę w swojej depeszy z tego incydentu, dodaje o pani Sobieskiej: „To szczególna osoba; skoro raz sobie nabije tę chimerą głowę, może nam bardzo pomieszać szyki”.

Czemuż sobie nie nabiła głowy tę chimerą wcześniej! Oszczędziłaby Polsce wiele nieszczęść i zamętu. Bo teraz ta korona, którą tak wszyscy dysponują, nie jest przecież wolna; panuje najmiłościwiej legalnie obrany król Michał, zwany przez swego wielkiego hetmana „małpą”, o ile nie gorzej. I od samego wstąpienia na tron zaczyna się spisek trwający przez cały ciąg jego panowania, rozdzierający kraj na dwie faksje w obliczu coraz groźniejszych niebezpieczeństw zewnętrznych.

I to pewna, że gdyby nie wytrwała wola Marysieńki, gdyby nie jej nieograniczony wpływ na męża, wówczas to stronnictwo francuskie — działające wbrew królowi Francji, zawieszona w próżni — nie byłoby się zorganizowało. Gdyby ona się pogodziła z sytuacją, Sobieski, nie mający w charakterze nic z wielkiego buntownika, zostałby może, mrużąc trochę, podporą tronu, wiernym i potężnym mieczem niedołącznego króla. Ale ona, Marysieńka, nie rozstawała się z myślą opuszczenia Polski; do tego potrzebny jej był kandydat francuski, którego przeparcie na tron zyskałoby państwu Sobieskim honorowe i lukratywne warunki ekspatriacji. To jest bodaj najistotniejszy sens kilkuletniego przeciw królowi Michałowi spisku, który bez udziału wielkiego hetmana nie utrzymałby się ani miesiąca.

Zrekapitulujmy najwięcej wypadki. O politycznej orientacji tronu zdecydowało małżeństwo Michała, a narzuciła mu je znowuż orientacja tych, co go wybrali. Kiedy ktoś radził królowi, aby się żenił z Francuzką, odpowiedział: „Niech mnie Bóg broni, ukamienowano by mnie!” Ożenił się z Eleonorą, arcyksiężniczką austriacką. Ten handel żywym towarem arcyksiężniczek, których zawsze było sporo w zapasie, stanowił siłę Austrii. Na dworze nie ostał się nikt z Francuzów ani z frankofilów; sami Austriacy, Hiszpanie. I tak królowa płacze, że ją Francuzi otrują.

Mażeństwo to, ściśle wiążące tron z potęgą Habsburgów, wprawiło w kłopot oponentów, którzy od początku planowali zdetronizowanie króla Michała. Pełen fortelów arcybiskup Prażmowski, prymas, projektował, aby zrobić z Eleonory dziewicę konsystorską<sup>220</sup>, ogłosić króla impotentem, zrzucić go z tronu, a ją wydać za nowego kandydata, co powinna przyjąć z zadowoleniem, zwłaszcza że będzie młody i przystojny. Pomawiano króla, że zmuszał królowę do udawania nieistniejącej ciąży. Równocześnie rozpuszczano plotki o miłostkach Michała z niejaką panią Konarzewską<sup>221</sup>; kiedy zaś poseł wiedeński zwracał uwagę, że te zarzuty — impotencja i rozpusta — sprzeczne są z sobą, prymas wyjaśnił, że to są miłostki nie czynne, ale bierne. Jak to rozumiał ksiądz prymas, nie nam laikom sądzić.

Ale wszystko to są knowania, odgrazania się, bez dostatecznej siły i decyzji. Ludwik XIV porozumiał się świeżo z Austrią co do sukcesji hiszpańskiej i nie mieszał się chwilowo do spraw Polski; przez cały czas panowania Michała nie posłał nawet do Polski ambasadora. Bez jego poparcia, młody Longueville nie przedstawiał widoków czynnego sukursu, w razie gdyby przyszło narzucić go orężnie. W kraju, żadne z dwóch stronnictw nie ma dostatecznej siły przeciw drugiemu; paraliżują się jedynie wzajem. Zwłaszcza że mający za sobą wojsko i najpotężniejszy ze spiskowców Sobieski nie oddaje się, mimo wszystko, całą duszą spiskowi; szczęśliwy instynkt urodzonego żołnierza każe mu zapomnieć o wszystkim, gdy niebezpieczeństwo od Wschodu staje się zbyt naglące. Wówczas — aby uzbroić i nakarmić wojsko — gotów, byłby nawet pogodzić się z małpą, gdyby małpa była mniej złośliwa i tępa. W rezultacie, Sobieski prawą ręką bije wroga, a lewą wicherzy w kraju.

Stopniowo wrzód nabrzmiewa. Rok 1672, z którego początkiem czausz turecki przyniósł Polsce formalne wypowiedzenie wojny, staje się rokiem największego wewnętrznego zamętu. Gdy sejmy się rwą lub zaprzatają drobnymi szykanami, opozycja decyduje się na stanowcze posunięcia. Czuć że chwila jest przełomowa, bo Sobieski na gwałt wzywa żonę: „Pośpiech Wci mojej duszy — pisze — jest nader potrzebny, ponieważ tuteczne rzeczy idą *de pire en pire*”<sup>222</sup>. Jakoż przybywa Marysienka do Warszawy dn. 25 czerwca. Dn. 1 lipca 1672 r. trzydziestu dygnitarzy, z prymasem i wielkim marszałkiem na czele, podpisuje akt konfederacji. Wysyłają do Ludwika XIV pismo z prośbą, aby dał Polsce króla. Wzywają go w patetycznych słowach, aby bronił Polski! aby się stał... przedmurzem chrześcijaństwa. Ale kiedy koncyptowano to dość pocieszne orędzie, improwizowany kandydat, młody książę Longueville — o którym Sobieski mówił „król jegomość” — już nie żył; zginął (o czym wieść jeszcze nie mogła dojść do Warszawy) przy przeprawie przez Ren, dn. 12 czerwca 1672. Był to dla spiskowców cios, ale nie zmienił ich intencji; znów piszą do ministra, pana de Pomponne, z prośbą o wyznaczenie innego kandydata; znów roi się im odwieczny Kondeusz. Ale i Kondeusz, i Ludwik XIV mają w tej chwili co innego na głowie niż myśleć o sprawach Polski, w momencie gdy bohaterki opór Holandii sprawia królowi Francji tyle kłopotu. I zabawne jest, że im więcej Francja okazuje obojętności dla korony Polski, tym bardziej zaciętrzewiają się polscy frankofile. Niejaki Piotr Kochanowski w publicznym piśmie decyduje się imieniem swojej grupy na połączenie Polski z Francją i ofiarowuje bezpośrednio — niczym Zagłoba Niderlandy — koronę Polską Ludwikowi XIV. „Przeklinamy — pisze — niepotrzebne prawa nasze, znosimy szkodliwe zwyczaje, chcemy żyć w ojczyźnie naszej podług wolności francuskiej”...

Można by myśleć, że wszyscy ulegli jakiemuś zamroczeniu. Bo jak w czasie najazdu Szwedów, tak i teraz, pod grozą inwazji tureckiej, na prawo i lewo częstują koroną polską w zamian za ratunek. Trudno uwierzyć, że to ta sama Polska, która za dziesięć lat wystawi

Przedmurze  
chrześcijaństwa, Król,  
Polska, Polityka

<sup>220</sup>*dziewica konsystorska* — w religii katolickiej; kobieta po rozwodzie kościelnym, uznana za dziewicę przez prawo kanoniczne po rozwiązaniu związku małżeńskiego, w którym pozostawała. [przypis edytorski]

<sup>221</sup>*plotki o miłostkach Michała z (...) panią Konarzewską* — W sprawie małżeństwa króla Michała Wiśniowieckiego, oficjalna historia poprzestaje, zdaniem prof. Battaglii, na komentarzu czysto konwencjonalnym, prawda zaś, przeważnie skandaliczna, znajduje się w archiwach wiedeńskich w tajnych aktach, które prof. Battaglia miał sposobność studiować. Zagadkowe wyjaśnienie Prymasa, dotyczące pani Konarzewskiej tłumaczyłoby się tym, że w istocie chodziło o pana Konarzewskiego; [Battaglia, Otto Forst de (1889–1965), pol. historyk i krytyk literacki pochodzenia austriacko-włoskiego; w marcu 1938 r. opublikował w „Przeglądzie Powszechnym” artykuł *Brązowanie Marysienki*, będący odpowiedzią na publikację biografii żony Sobieskiego autorstwa Boy’a Żeleńskiego; Red. WL.]. [przypis autorski]

<sup>222</sup>*de pire en pire* (fr.) — coraz gorzej. [przypis edytorski]

potężną armię, aby ratować Wiedeń! Podczas gdy mieszkańcy już uciekają z zagrożonego Lwowa, pospolite ruszenie załatwia partyjne porachunki, a myśli dygnitarzy kraju obracają się koło tego, skąd i za jaką cenę wyblagać postronną pomoc. Skoro król francuski nie chce być przedmurzem, trzeba się zwrócić do cesarza Niemiec, aby przysłał sukurs pod wodzą Karola Lotaryńskiego. I dla zawarcia umowy z tym albo tamtym, znów Sobieski posyła podpis *in blanco* — Marysieńce. Ona śpieszy do Warszawy i cztery godziny konferuje z agentem Lotaryńczyka, już ożywiona nadziejami, że otrzyma od cesarza tytuł księżnej Rzeszy Niemieckiej. A równocześnie wysyła swojego człowieka do Paryża...

Tymczasem poddaje się Kamieniec: Heyking i Wołodyjowski wysadzają się w powietrze wraz z 700 ludźmi. A tego samego dnia król ogłasza, że w Polsce nie ma Turków i że Kamieniec nie był oblężony.

Stopniowo sytuacja klaruje się, to znaczy dochodzi do szczytu zamętu. Zawiązuje się konfederacja gołąbska przy królu przeciw faksji francuskiej; konfederacja opojów i pyskaczy. Załatwia śmieszne formalne drobiazgi, uchwała złożenie z urzędu prymasa, zajeżdża wioski wielkiego hetmana, któremu król stara się buntować wojsko. Pijany szlachcic Laskowski oskarża Sobieskiego, że wziął od Francji pół miliona za to, żeby Kamieniec zostawił bez załogi. Wszystko to dzieje się w pełni wojny tureckiej, kiedy już Selim Giraj wkroczył na Ukrainę i wydał proklamację do Kozaków. Niebawem traktat buczacki oddaje Polskę niemal w lenno sultana.

Rokoszanie odpowiadają na konfederację gołąbską drugą konfederacją, szczebrzeszyńską. Sobieski donosi ministrowi Francji, że „przeszedł Rubikon”. Wojsko opowiada się hucznie przy nim; on się spłakał i wojsko się spłakało z serdeczności. Stało się; dość już tyranii niedołężnego pana! A oto w czym ta tyrania jest hetmanowi najnieznośniejsza. Dowiedział się, że król przejmuje listy jego do żony. „Oto Bóg widzi — wykrzykuje Sobieski w liście do Marysieńki — że równej już temu niepodobna niewoli; bo tego i za największych nie bywało tyranów”. I po co je przejmuje, czegoż chce się z nich dowiedzieć? „Sekretów małżeńskich z tych się król Michał nie nauczy listów! bo z pisma i wojować i co inszego robić trudno” — pisze z filuterną ironią ten niedościgniony żołnierz i kochanek, a zarazem uroczy spiskowiec, który kończy tak: „O insze wszystkie listy mniej dbam, niechby je czytał jako chciał”.

Te „insze listy”, to mogły być najważniejsze dokumenty spisku!

Znów trzeba nam wrócić do tych rozkosznych listów małżeńskich, choć od powrotu Marysieńki do Polski jest ich niewiele, ile że mniej z sobą bywali rozłączeni. Bądź co bądź, mamy dwie olbrzymie epistoły pana hetmana, datowane ze Szczebrzeszyna, miejsca konfederacji, w momencie gdy, jak sam twierdzi, przeszedł Rubikon i gdy ważyły się losy tego najdobrodusznieszego z Cezarów.

Jak zawsze, zaczyna się od wymówek. Marysieńka poniosła bolesne straty, poległ jej brat, umarła matka. Otóż ona, zawsze nie dość uczuciowa w stosunku do męża, była bardzo gorąca w swoich przywiązaniach rodzinnych. Szalała z rozpacz. Sobieski dowiaduje się, że po śmierci matki sześć dni nie jadła, nie spała, nikogo do siebie nie puszczala, a nawet i światła widzieć nie chciała! Czyż to nie znaczy — wykrzykuje — że chciała się zabić własną ręką? A co z nim? Sobieski, ten subtelny kochanek, bardziej jeszcze zazdrosny o uczucia niż o fakty, widzi w tym ujmę dla swojej miłości. I on — pisze — kochał swoją matkę, a wystarczyło mu jedno widzenie, jedno słowo Marysieńki — mimo że jeszcze marzyć nie mógł wówczas, aby była kiedyś jego — aby mu to ujęło żalu a przydało konsolacji. Po czym, w tym samym liście, o kilkanaście wierszy dalej, dziękuje jej za jakiś poduszki, które mu przesłała w podarku; od tych poduszek — pisze — to się z łóżka wstać nie chce: tę tylko mają wadę, że jej nie ma na nich i przy nim; ale czemu — dodaje żartobliwie — przysyłając mu te praktyczne upominki, zapomniała o ochronie tego, co się najbardziej i najczęściej na koniu jeżdżąc psuje i w czym to bywa, co by nie miało być w poślednim u najukochańszej najwdzięczniejszej muszeczki respekcie. „Jeśli się tego wstydać, to by lepiej tego nie mieć, czego by się wstydać albo zapierać kto miał. Proszę na to o respons, bo bym to u kogo innego gdzie zafantował”.

Otośmy daleko odbiegli od żaloby po matce...

Ten list, datowany ze Szczebrzeszyna dn. 26 listopada 1672 r., żalobny i jowialny na przemian, ale zawsze miłosny, wypełnia kilkanaście ćwiartek pisma; ale w kilka dni później, dn. 1 grudnia, idzie nowa epistoła, jeszcze sążnistsza, wyłącznie już pełna sercowych



zażaleń. Najbardziej drażnią Sobieskiego pisemne czułości ukochanej, gdy im nie odpowiada dotykalna realność przy spotkaniu; widzi — pisze jej — że szczęśliwszy jest milion razy kiedy jest *absent*<sup>223</sup>; wówczas go pragną w listach i w imaginacji obłapiają, całują od stóp aż do głowy; a jak przyjedzie, pierwszy dzień jakożkolwiek, drugi mniej, a trzeciego jak owa, co się rada przejada potrawa. Nieraz już prosił jej, aby go nie tylko w sercu kochała ale i powierzchowną miłością, bo on bardzo lubi być karesowany; przyuczył się do tego, że gdzie go kochano, tam go bardzo karesowano; a przecie tego się u niej uprosić nie mógł! Teraz — oznajmia bardzo poważnie Marysienke — przyszła stanowcza chwila. Za cztery dni wyjedzie i pośpieszy do niej spróbować jeszcze raz, czy też ona dotrzyma tego, co w listach swych obiecuje. Zwyczajnie grzeczne damy i kochające żony zwykły ekstraordinaryjnie dobrze przyjmować mężów wracających ze szczęśliwych wojen, bo *les femmes aiment les braves, car par bravoure les hommes cherchent la gloire*<sup>224</sup>; nic zaś na świecie nie jest tak *glorieux*<sup>225</sup> jak białogłowy, ile nadobne i rozumne. Otóż, jeżeli godzien jest *des caresses*<sup>226</sup>, teraz mu ich pokazać potrzeba; a jeśli jeszcze raz się na tym zawiedzie, całe wszystką myśl, miłość i resztę lubo chorego zdrowia *à la gloire*<sup>227</sup> obróci, w której się (ponieważ w stworzeniu żadnym po najśliczniejszej Jutrzence niepodobna) inamorować zechce, ostatek swego konserwując życia. Wówczas trzeba by mu prędko znowu w te tu powrócić kraje. Ale, jeżeli tak się stanie, jak sobie życzy, że nawet myśli jego miłością, zupełną konfidencją, karesami, niczego nieodmawianiem poprzedzane będą, o! natenczas tak się utopi w miłości najśliczniejszej swojej Celadon Astrei, że się jej tak podda pod moc i wolą, aby nim dysponowała tak jako sama będzie chciała i rozumiała...

Musiała i tym razem Marysienka zawieść oczekiwania Celadona, musiały karesy i konfidencje wypaść nie dość po jego myśli, skoro, rad nie rad, wybrał — *la Gloire*. Niedosytom miłości i karesów zawdzięczamy może — Chocim. Błogosławmy oziębłość Marysienki, zamiast jej — jak czynią niektórzy historycy — złorzeczyć.

Tymczasem Polska opamiętała się trochę. Był wielki czas. Bo już kraj był w stanie wojny domowej. W Rawie dwie chorągwie królewskie biją się z hetmańskimi. „I po całej Polsce chorągwie nasze trzepią nowe zaciągi” — pisał nie bez satysfakcji Sobieski. Idą nowe Mątwy? Ale poza tym trzepaniem już jawi się widmo rozbioru Polski. Posel moskiewski traktuje z Pacem o poddanie carowi Litwy, a posel austriacki namawia do poddania Małopolski cesarzowi. Wszyscy gotowi są przehandlować część Polski w zamian za pomoc przeciw Turkom. Lęgną się rozpaczliwe pomysły, aby wezwać z powrotem Jana Kazimierza i pod jego berłem ogłosić następcą Kondeusza! Wreszcie, wobec coraz bliższej tureckiej grozy, zajadłość wrogich stronniactw ochłodziła, ręce wyciągnęły się do zgody. Pod wpływem zdecydowanej postawy wojska, konfederacja gołąbskich opojów otrzeźwiała i cofnęła swoje bezsilne dekrety; w zamian znowu Sobieski, wraz z głównymi stronnikami Francji, udał się w Warszawie na zamek, aby się pojednać z królem. W kwietniu r. 1673 umarł prymas Prażmowski, głowacz spisku i jego najbardziej nieprzejednany uczestnik. Poselstwo tureckie, zuchwale przypominające haniebny traktat buczacki, dopełniło miary; zaczęto się gotować do wojny. Wszystkie oczy zwracają się na Sobieskiego, na sejmie zapada uchwała oddająca cześć jego zasłudze. Pod Chocimem, w miejscu wslawionym przed pół wiekiem zwycięstwem Chodkiewicza, święci oręż polski nowy tryumf; Sobieski dokazuje cudów, rozkazuje jak wódz, a bije się i naraża jak żołnierz. A gdy dn. 11 listopada r. 1673 przez zwycięstwo chocimskie znów staje się opatrnościowym mężem Polski, w wilię tego dnia, jakby przez jakąś mistyczną reżyserię wydarzeń, umiera król Michał Wiśniowiecki. *La Gloire*<sup>228</sup> okazała się w swoich karesach wyplacalniejsza od Marysienki.

\*

<sup>223</sup>*absent* (fr.) — nieobecny. [przypis edytorski]

<sup>224</sup>*les femmes aiment les braves, car par bravoure les hommes cherchent la gloire* (fr.) — kobiety lubią odważnych, ponieważ przez odwagę mężczyźni zyskują sławę. [przypis edytorski]

<sup>225</sup>*glorieux* — chlubny, dumny; tu: żądny sławy. [przypis edytorski]

<sup>226</sup>*des caresses* (fr.) — pieszczot. [przypis edytorski]

<sup>227</sup>*à la gloire* (fr.) — dla sławy. [przypis edytorski]

<sup>228</sup>*la gloire* (fr.) — sława, chwała. [przypis edytorski]

Cóż ona zrobi teraz, ta kochana Marysieńka? Ledwie do Jaworowa, gdzie wówczas bawiła, przysłała wiadomość o śmierci króla, śle bez zwłoki sztafetę do Francji; prosi króla Ludwika o rozkazy i zaręcza mu — niepoprawna — ślepe posłuszeństwo męża. Nie wiedziała jeszcze o Chocimie, skąd wiadomość miała przyjść aż później.

Ludwik odpowiedział z chłodną i ogólnikową rezerwą, owym nic nie mówiącym językiem, jaki, jak dziś tak wówczas, był urzędową gwarą dyplomacji. Rozważył — odpowiada — ten wypadek z całą bacznością, na jaką w danych okolicznościach zasługuje, i pragnąłby, aby jego następstwa były szczęśliwe dla Polski. Pani Sobieska może być przeświadczona, że królowi Francji będzie bardzo miło, jeżeli następstwa okażą się korzystne dla jego kuzyna, wielkiego marszałka, i dla niej...

Niechże kto zgadnie, czy ta nota miała być zachętą do ubiegania się o tron, czy raczej chłodnym *désintéressement*<sup>229</sup>: złośliwym daniem do zrozumienia, że państwo Sobiescy mogą wyjść przy elekcji na dudków jak poprzednio. Raczej to, ile że w chwili tej odpowiedzi, Ludwik nie mógł mieć jeszcze relacji o zwycięstwie chocimskim, które zasadniczo zmieniło sytuację tryumfatora. W miesiąc później, pani de Sévigné, donosząc córce o politycznych aktualnościach, nie wątpi, że Sobieski zostanie królem.

Czterokrotnie jeszcze śle Marysieńka listy do Wersalu, do króla, do ministra — na próżno. Dumny monarcha nie miał ochoty ani rokować ze swoją poddanką, ani jeszcze raz angażować swego autorytetu w te dalekie i niepewne sprawy.

Jakie były prawdziwe myśli i zamiary Marysieńki pod tą grą dyplomatyczną, trudno zgadnąć. Sekretarz Marii Ludwika, a potem Marii Kazimiery, des Noyers, twierdzi, że pani Sobieska już od elekcji Michała myślała o koronie dla siebie, to znaczy dla męża. I tym razem wzięła to w swoje ręce. Znów „baba diabła wyonacyła”, mimo że Ludwik posłał wreszcie do Polski swojego ambasadora, a był nim p. de Forbin Janson, biskup marsylijski.

Ten ambasador był po trosze jak z komedii Flersa. W kole sejmowym, w którym samo wymienienie kandydata Francji groziłoby zgrzytaniem zębów i trzaskaniem szabel, gładki biskup, kontent z siebie, wygłosił śliczną łaciną kwiecistą mowę, w której sławił najgorętszą przyjaźń i spójnię między Francją a Polską. Kto wie, czy nie on pierwszy puścił w kurs określenie Polaków jako Francuzów Północy, zaokrąglając je w nadmiarze uprzejmości definicją Francuzów jako Polaków Zachodu („*in Polonia Gallos, in Gallia habitare Polonos dicas*<sup>230</sup>”). Po czym rozsypał w Polsce masę pieniędzy swego monarchy na to, aby wyjąć kasztany z ognia dla — Marysieńki.

Co do niej, rozegrała tę partię znakomicie, a kombinacja była taka. Francja, pamiętna wydarzeń poprzedniej elekcji, nie mogła bez ubliżenia swej godności (i nie mając zresztą szans) ryzykować własnej kandydatury; ograniczyła się do zwalczania austriackiej kandydatury księcia lotaryńskiego i wznowienia neutralnej kandydatury księcia neuburskiego (tym razem juniora), którego ręką miano skusić wdowę po Michale, oszczędzając tradycyjnym sposobem Rzeczypospolitej kosztu utrzymywania wdowy. Ale Eleonora, jeszcze z panińskich czasów zakochana w Karolu Lotaryńskim, za którego też potem wyszła, odrzuciła tę ofertę, proponowaną jej raczej dla formy, bo równocześnie Sobieski sabotował kandydaturę młodego Neuburga, nie chcąc słyszeć o tym „łap-serdaku”. Poza tym, państwo Sobiescy z cudownym instynktem podzielili role. On usuwał się skromnie w cień, gorąco wysuwając kandydaturę niemożliwą, tj. Kondeusza, a uniemożliwiając swą postawą kandydatury mające jakieś szanse; ona natomiast grzała dyskretnie, ale skutecznie sprawę własnego męża. Trudno tu wchodzić w skomplikowane intrygi, w których Marysieńka pływała jak ryba w wodzie; dość że w końcu ambasador Francji nie miał innego wyboru tylko albo się zgodzić na nienawistną Francji kandydaturę austriacką, albo przelać całe swoje poparcie na Sobieskiego. Z tych pracowicie ułożonych i omaszczonych drewek dyplomacji buchnął we właściwym momencie płomień entuzjazmu. Kiedy przyjaciel Sobieskiego, a bardziej jeszcze Marysieńki, wojewoda Jabłonowski, którego w listach swoich, jeszcze do pana chorążego, nazywała niegdyś żartobliwie „Diablonowskim”, wysunął kandydaturę Sobieskiego jako nowego Piasta, znakomita większość przyjęła ją

<sup>229</sup>*désintéressement* (fr.) — brak zainteresowania. [przypis edytorski]

<sup>230</sup>*in Polonia Gallos, in Gallia habitare Polonos dicas* (łac.) — rzekłbyś, że w Polsce mieszkają Francuzi, a we Francji Polacy. [przypis edytorski]

z zapalem; szlachetna zaś i taktowna postawa naszego bohatera sprawiła, przy pomocy francuskiego złota, że usunięto pomyślnie wszystkie tarcia i przeszkody.

Moment elekcji stworzył między nowym królem a narodem atmosferę wyjątkowej ufności i serdeczności. W pierwszym entuzjazmie, proszono króla, aby zachował buławę hetmańską, co by mu dawało władzę zupełnie wyjątkową. Sobieski — nad czym ubolewają jego dziejopisowie — odrzucając buławę, nie skorzystał z tej możliwości wzmocnienia królewskiej władzy, tym godziwszego, że i tak musiał ponosić trudy hetmana i wodza. Za to kiedy któryś z sejmujących szlachciców chciał wykluczyć Marię Kazimierę od koronacji, a synów od tytułu królewiczów, zakrzyczano go z oburzeniem. Sobieski nie pozostał dłużny w wielkoduszności; nie tylko poczynił znaczne ofiary materialne na rzecz obrony kraju, ale odłożył koronację do wyparcia nieprzyjaciela z granic. Kiedy się wie, ile go kosztowało każde rozstanie się z Marysienką, tym bardziej podziwiać trzeba, że teraz, kiedy mógł zdać trudy wojny na hetmanów, a poprzestać na królowaniu obok swej królowej, on sam na siebie dekretował paroletnią wojenną tułaczkę.

Kampania była długa i zacięta. W listopadzie r. 1674 Sobieski odzyskuje Bar, potem Kalnik, Braclaw, Raszków; miasteczko po miasteczku, fortecę po fortecy, odbiera w krwawych walkach. Ledwie z końcem kwietnia 1675 r. wrócił do swego Złoczowa, już gotuje się do nowej kampanii. W lecie tegoż roku trzeba mu bronić Lwowa, dokąd i Marysienka, wychowana w dobrej szkole Marii Ludwiki, przybywa odważnie z dziećmi, sama będąc chora i jak zawsze w ciąży. I jej udziela się heroizm i ofiarność Sobieskiego; w tych ciężkich chwilach jest mu oddaną żoną i królową.

Długo toczyły się ze zmiennym szczęściem boje, zanim wreszcie Turcy odpłynęli czasowo z granic Rzeczypospolitej. Naznaczono koronację na początek lutego r. 1676. Ceremonia ta, poprzedzona pogrzebem dwóch ostatnich królów pochowanych na Wawelu, odbyła się bardzo uroczyście. Marysienkę koronowano równocześnie z mężem, rozrzucano pieniądze między lud, po czym król odjechał do armii, aby niebawem, powtarzając słynny manewr podhajecki, zamknąć się w Żórawnie.

Tak więc, ziściła się ta fantastyczna bajka. Owa czteroletnia dziewczynka, której pokątny wjazd w granice Polski wzniecił trzydzieści lat temu tyle plotek; owa osławiona później Klitenmestra i Kleopatra, żona niemniej okrzykanego Kaliguli, włożyła na skronie koronę królowej polskiej. Panna d'Arquien, daremnie siłąc się bodaj tylnymi schodami dostać do „zaczarowanego pałacu”, będzie pisała do swego monarchy Ludwika: „Mój bracie”. Ona, której wieczne niezadowolenie przyczyniało tyle udręki naszemu bohaterowi, czy jest nareszcie kontenta?

Zdaje się, że tak. Przynajmniej przez jakiś czas, bodaj przez te dwa lata między obieraniem a koronacją. Znow sięgnijmy do listów Sobieskiego, będących najwierniejszym odbiciem jego stanów duszy. Mimo ciągłych rozstań, mimo okropności wojny, listy z tych lat, kreślone przeważnie z obozu, oddychają pogodą, spokojem. Nie ma już skarg na jej niekochanie, nie ma owych upokarzających lamentów, którymi aż nazbyt były przepelnione dawniejsze listy; nie ma ciągłego bronienia się przed dokuczliwością jej zarzutów i niepokojem jej żądań. Spokój ten płynie może stąd, że pierwszy raz Sobieski znajduje się w jasnej sytuacji, w porządku sam ze sobą, czego jego zdrowa natura tak potrzebowała. Dotąd wciąż był w rozterce. Przez kilka lat występna miłość, potem gorszące małżeństwo i dwuznaczna buława, utrata popularności; potem rozłąka i denerwująca gra o opuszczenie kraju, kolizja tęsknot serca z obowiązkami żołnierza i obywatela; potem spiski, rokosze, rozdarcia sumienia wciąż w związku z rozdarciem miłości. Teraz nareszcie wszystko może pogodzić; już mu jego Marysienki nie odbierze ani Francja, ani nic w świecie; równocześnie nikt od niego nie żąda, aby się wynosił na obczyznę, miłość i *Gloire* spłynęły się w jedno, może bić i kochać, ile zapagnie, a gdy mu przyjdzie rozstać się ze swoim kochaniem, wie, że ona musi czekać na niego, unieruchomiona etykietą, zatrudniona zabawą królewską. I w niej ta nowa godność stwarza poczucie solidarności i z mężem, i z krajem. Gdy dawniej wojaczka męża była dla niej jego prywatną imprezą, a jego możliwa śmierć cyfrą w jej kalkulacji, teraz drży o jego życie, bierze najżywszy udział w jego poczynaniach.

I to poczucie spójni daje tym listom pisany w tak ciężkich momentach ich słodycz. Nowa sytuacja stworzyła nowe miodowe miesiące. Znow, pisząc do niej, dawny Celadon znajduje najczulsze wyrazy, znow odnajduje w sobie poetę — czasem nieco ba-

List, Słowo, Miłość, Seks,  
Kochanek

rokowego — gdy w chwilach rozłąki cierpi *en véritable Tantale*<sup>231</sup>, który, mając przed sobą wszystkie swoje gusty, wszystkie pociechy, będąc nich tak blisko, gdy po one chce osiągnąć, one się od niego oddalają. „Gdy jednak — pisze — ciałem złączeni być nie możemy w tym momencie kiedy tego z duszy pragnę, bądźmy przynajmniej, do tego szczęśliwego czasu, duszą, myślą, imaginacją, wolą, sercem, które ja wszystkie utapiam w najskrytszej serca mego jedyne retyradzie, tam się ze wszystkim oddając; bo nie pragnę, jeno tam żyć i królować”... To znów, pisząc do niej z zagrożonego Lwowa, zwierza się, jak będąc na Wysokim Zamku, uważał długo zachodzące nad Jarosławiem (gdzie ona bawiła) słońce i w tamtą obłoki bieżące stronę. O, jako że sobie życzył obrócić się w jaką kropelkę dżdżu albo rosy, a spaść na najśliczniejszą jej busienkę albo w którąkolwiek partię najwdzięczniejszego ciała!... Bo zawsze sentymentalizm, poezja, barwią się u tego doskonałego kochanka myślą cielesną. Szczęśliwe momenty Sobieskiego poznajemy po jowialnych aluzjach, sprawiających kłopot wydawcy jego listów. W tych pierwszych latach królewskości jest niecenzuralnych ustępów może najwięcej. To posyła mu Marysieńka jakieś poduszki, a on się niesłychanie frasuje, czy aby „te poduszczyki spały między ślicznymi nóżeczkami Wci serca mego”; to znów jego temperament pisarski wyładowuje się w Rabelesowskim potoku synonimów, gdy w najintymniejszej litanii miłosnej całuje na pożegnanie „muszeczkę moją śliczną, *la cousine, la brunette, la moutonne, les pieces tremblantes, la duchesse Dupont*<sup>232</sup>, pajęczka, swoim i Bonifratella imieniem”... To znów, w jeszcze przejrystszej aluzji, pisze: wróćmy *à notre Grand d'Espagne qui baise et rebaise un milion de fois son aimable mouche, et moi tout autant la belle Mimi, la bécasse, le cher ortolan*<sup>233</sup>, i wszystko od wierzchu aż do najszczęśliwszej stópeczki”. To są rzeczy świadczące, że wróciła harmonia miłosna i to na miarę jego *appetytu*. Przez znamieny paradoks, gdy on postanowił się odwrócić od kochanki, aby się cały poświęcić *a la Gloire*, wdzięczna *Gloire* odzyskała mu dawną kochankę. Tę kobietę mogła zdobyć — w braku taburetu w Wersalu — dopiero korona.

A jeżeli niebawem — już po koronacji — odnajdziemy znów w listach Sobieskiego echa burz miłosnych, zdaje się, że sytuacja trochę się odwróciła. To ona — przykuta do miejsca, wciąż przeważnie w ciąży — zaczyna być niespokojna o jego miłość i ucieknie się do niezawodnych sposobów, aby ożywić jego zbyt może dla niej spokojne obecnie i dufne uczucie. I jak zawsze, obiera sobie dobre momenty. Gdy on w obozie pod Żórawnem z garścią rycerstwa opiera się „kilkudziesięciu tysiącom Tatarów” (potem przyszło ich, na złość prof. Górcę, podobno jeszcze więcej), gdy wsi okoliczne płoną, a on dosiada konia, aby uczynić wypad, naraz przychodzi od niej list: czyta w nim, że już koniec wszystkiego, że jej serce całkiem się dla niego odmieniło. Jak ona może tak pisać, za co, czemu? Wszystko dla jakiegoś fałszywego posądzenia, dla jakichś plotek nadesłanych z *palais enchanté*. Jak to, więc ona nie chce dać wiary jego tak wielkim wywodom i tak strasznym przysięgom? Dla Boga, *ce monde est bien faux*<sup>234</sup>, który takimi plotkami popsował serce jego pociechy! I drugi list od niej, jeszcze gorszy. Ona chyba jest w zмовie — pisze Sobieski — z Ibrahimem paszą, bo milion razy bardziej swego Celadona poturbowała tym listem, niżeli wszystkie tureckie i tatarskie potęgi! Omal z konia nie spadł, albo co gorszego mu się nie stało, kiedy na wsiadany przeczytał jej słowa: „*Adieu, peut-etre pour toujours*<sup>235</sup>”, i kiedy mu pisze, że jej *grande esperance*<sup>236</sup> jest *parvenir a l'indifference*<sup>237</sup> i że on ma gdzie indziej szukać miłości *avec ses ardeurs et ses tendresses*<sup>238</sup>. „A że mnie już Wć — pisze rozżalony bohater — i z łóżka wyganiaasz swego i gwałtem mi dajesz *votre*

<sup>231</sup>*en véritable Tantale* (fr.) — jak prawdziwy Tantal. [przypis edytorski]

<sup>232</sup>*la cousine, la brunette, la moutonne, les pieces tremblantes, la duchesse Dupont* (fr.) — kuzynkę, brunetkę, barankę, drżące koronczki, księżnę Dupont. [przypis edytorski]

<sup>233</sup>*à notre Grand d'Espagne qui baise et rebaise un milion de fois son aimable mouche, et moi tout autant la belle Mimi, la bécasse, le cher ortolan* (fr.) — do naszego Granda Hiszpańskiego, który całuje i całuje na nowo po tysiąc razy swoją miłą muszkę, a ja tyleż samo moją piękną Mimi, bekasa [gąskę], drogiego ortolana [odmiana trznadla]. [przypis edytorski]

<sup>234</sup>*ce monde est bien faux* (fr.) — ten świat jest fałszywy. [przypis edytorski]

<sup>235</sup>*adieu, peut-etre pour toujours* (fr.) — żegnaj, może na zawsze. [przypis edytorski]

<sup>236</sup>*grande esperance* (fr.) — wielką nadzieją. [przypis edytorski]

<sup>237</sup>*parvenir a l'indifference* (fr.) — osiągnąć obojętność. [przypis edytorski]

<sup>238</sup>*avec ses ardeurs et ses tendresses* (fr.) — z jej żarami i czułościami. [przypis edytorski]

*consentement*<sup>239</sup> na to czego ja nie potrzebuję i co jest u mnie *en horreur*<sup>240</sup>, już też to znak *de la dernière indifférence*<sup>241</sup>, od której do miłości nigdy nie zwykł bywać powrót”...

Znamy już te krzyki, te lamenty, pogrożki, te *carte blanche*, ale już nie przejmujemy się nimi. Czujemy, że to już są tylko powtórzone echa tragikomedii *dell'arte*, improwizowanej przez nich niegdyś z burzliwą szczerością. Ani ona już od niego nie odejdzie, ani go nie wypuści. Losy ich związane są, stulą królewskości; dopiero od dnia elekcji romans ten stał się naprawdę małżeństwem. I na ogół dobrym małżeństwem.

Czy więc nareszcie kontenta? Zdaje się, że tak. Przynajmniej na razie. Bo niebawem — choć niezupełnie on będzie tego powodem — znów zacznie wzbierać w niej niezadowolone. Nie bagatelizujemy go. Od niezadowolenia tej kobietki zmieni się może mapa Europy.

## XVI. PAN TEŚĆ

Wciąż nie piszemy tu historii Polski; wielka polityka obchodzi nas o tyle, o ile wiąże się z osobą Marysieńki. Ale wiąże się prawie ciągle; teraz zaś, kiedy została królową, bardziej niż kiedykolwiek. I zwłaszcza interesuje nas jedno: jakimi drogami szła polska racja stanu, aby w niespełna dziesięć lat od wstąpienia Sobieskiego na tron, zwrócić się w kierunku wręcz przeciwnym do pierwotnej linii, czego najdobitniejszym wyrazem będzie odsiecz Wiednia.

Widzieliśmy, że Sobieski był od wielu lat najczynniejszym stronnikiem polityki francuskiej w Polsce. Pod jej znakiem oddał się planom Marii Ludwiki, nie cofając się przed bratobójczą wojną. Zawziętym frankofilem był w czasie pierwszej i drugiej elekcji, forsując do ostatka Kondeusza, zanim wpływ Francji przerzucił się na jego własną kandydaturę. Maria Kazimiera jeszcze jako królowa pobierała pensję od Francji; Francja długo finansowała pierwotną politykę nowego króla. Maria Kazimiera oświadcza Ludwikowi XIV, że jej mąż jest tak dobrym Francuzem jak ona Francuzką, a sam Sobieski, powołując się na pokój żórawiński i upominając się o zaległe subsydia, oznajmia królowi francuskiemu (nie bierzmy tego dosłownie), że podpisał ten traktat dla miłości Francji, „wbrew interesom swoim i interesom kraju”. Cóż tedy wpłynęło na tak zupełną zmianę orientacji?

Były wówczas w Europie dwie wielkie potęgi, dokoła których grupowało się wszystko: Francja i cesarstwo. Sojusz z potężną i bogatą Francją, z którą Polski nie dzieliły żadne drażliwości sąsiedzkie, zdawał się najnaturalniejszy i najpożądany. Ale był jeden szkopuł. Niemniej naturalnym sojusznikiem Francji była Turcja, której potęga była znowu zmorą Polski. Dyplomacja francuska dokładała starań, aby tę sprzeczność załagodzić; mimo to stanowi ona od początku zasadnicze pęknięcie w przymierzu polsko-francuskim.

Przed nowym królem otwierały się dwie możliwości. Mógł obrócić swoją aktywność w stronę Zachodu, Gdańską, dążąc do odzyskania Prus Wschodnich, może Śląska, uczynić Polskę decydującą potęgą Europy środkowej — kosztem Prus i Austrii. To mogłoby mu dać przymierze francuskie. Sobieski nie był bynajmniej ślepy na te korzyści. W początkach panowania wyraźnie orientuje się ku Zachodowi. Ale szereg przyczyn sprawił, że musiał z tej polityki zrezygnować. A skoro zrezygnował z tej, musiał się w końcu zdecydować na przeciwną, nie chcąc pozostać na uboczu w grze potężnych sił kształtujących nową Europę.

Przyczyny paraliżujące politykę francusko-polską były częścią konkretne, częścią mieściły się w równie ważnych imponderabiliach. Gdy ekspansja na Zachód wymagała zrozumienia i przewidywania przyszłości, sprawy wschodnie przypominały się nieustannie jako dokuczliwa terażniejszość, były jątrzącą się raną. Turcja nie chciała wypuścić żadnej zdobyczy; podobno Koran zabraniał jej zwrócić cokolwiek. Granice były płynne; bunty kozackie, zagony tatarskie, knowania moskiewskie — wszystko to podtrzymywało stan wrzenia. Magnackie latyfundia na kresach były wciąż pustoszone, ludność uprowadzana w jasyr. Toteż wojna ze Wschodem, wojna obronna, prowadzona zresztą dorywczo i nie dbale, była jedyną, jaką mało wojenna szlachta siedemnastowieczna rozumiała; nie miała

<sup>239</sup> *voire consentement* (fr.) — swoją zgodę. [przypis edytorski]

<sup>240</sup> *en horreur* (fr.) — czymś okropnym. [przypis edytorski]

<sup>241</sup> *de la dernière indifférence* (fr.) — ostatecznej obojętności. [przypis edytorski]

natomiast zrozumienia dla wielkich zagadnień europejskich ani dla czysto politycznej i zaczepnej akcji, jaką trzeba by podjąć na Zachodzie.

Stopniowo przy tym Francja obojętniała na sprawy polskie. Gdy Ludwik XIV pokojem nimweskim uporządkował swoje stosunki z Europą, Polska stała mu się mniej potrzebna, wystarczała mu jej bierność, w którą wierzył, nie doceniając utajonych heroiczno-rycerskich zrywów narodu i jego króla. Dyplomacja francuska w Polsce nie grzeszyła zbyt wielką lotnością. Natomiast Austria działała bardzo czynnie, organizując wręcz spiski przeciw Sobieskiemu z planem opanowania Krakowa i Częstochowy, gdy równocześnie elektor brandenburski tworzył sobie potężne stronnictwo panów wielkopolskich, duchowieństwo popierało wszelkimi siłami orientację austriacką, a papież głosił krucjatę przeciw Turcji.

Niemniej sojusz z Francją trwał, a nawet pozornie się zacieśniał. Sobieski zbyt był związany od lat z polityką francuską, aby mu łatwo się było z nią rozstać. I niewątpliwie przy takim ciągłym neutralizowaniu się wpływów przechylających szalę na jedną lub na drugą stronę, języczkiem u wagi mogła być wola Marysienki, na którą, jak widzieliśmy, Sobieski zdawał się chętnie w najważniejszych decyzjach. Gdyby miał oparcie o nią, można wierzyć, że znalazłby w sobie siłę zwalczania innych przeszkód.

I w tym momencie, rozstrzygającym niemal czynnikiem polityki europejskiej staje się figura dość pocieszna, bardzo mierna i bardzo bierna, niemająca z pewnością pretensyj do takiej roli. Jest nią margrabia d'Arquien, skromny kapitan gwardii królewskiego brata, ojciec Marii Kazimiery. Dokoła jego osoby kręci się niemal wszystko. Kto by o tym wątpił, niech przewertuje trzy ogromne tomy aktów dyplomatycznych, wydobytych przez Waliszewskiego z archiwum francuskiego ministerstwa spraw zagranicznych a wydanych przez Akademię Umiejętności (1879). W tej korespondencji ambasadorów, ministrów i królów odmienia się na wszystkie sposoby nazwisko pana d'Arquien, sprawa jego wypełnia długie noty dyplomatyczne, wykazując ponad wszelką wątpliwość, ile namiętności wkładała w to królowa Maria Kazimiera, jak gorliwie sekundował jej Sobieski i ile kłopotów ta rzecz przysporzyła Ludwikowi XIV. I znowuż, jak już kilka razy przedtem, Marysienka okazała się górą. Dumny władca już gotów był się ugiąć, ale — za późno.

Widzieliśmy, że Maria Kazimiera była niezmiernie przywiązana do swojej rodziny. Wychowana od czwartego roku życia w Polsce, nigdy się z nią nie zrosła; natomiast od pierwszego poznania swoich rodziców — których opuściwszy w dzieciństwie, spotkała pierwszy raz już jako dojrzała kobieta — przyłączyła do nich całkowicie. Dobro tej rodziny, jej powodzenie, wywyższenie, stanowi ciągłą troskę Marysienki; w każdej sprawie i w każdej negocjacji — jeszcze jako pani hetmanowa — na równi z najważniejszymi sprawami Polski — ba, przed nimi, wysuwa korzyści własnej francuskiej rodziny, jakiś rodzinny proces, szarżę wojskową lub opactwo dla brata.

Otóż, od chwili wstąpienia na tron, opanowało królowę jedno pragnienie: uzyskać dla ojca rangę księcia i para Francji. I to życzenie, na pozór uprawnione i drobne, zignorowane przez Ludwika XIV, zaciążyło na stosunkach polsko-francuskich na szereg lat, stało się przyczyną ciągłych starć i nieporozumień i jednym z ważnych czynników zerwania. Dla Marii Kazimiery królowanie było niepełne, o ile blask jego nie padał na jej nazwisko w jej prawdziwej ojczyźnie, we Francji; podrzędne stanowisko ojca odczuwa wciąż jako najdotkliwsze osobiste upokorzenie, choruje po prostu na nie. To było owo ziarno grochu pod materacem z płatków róż królowej z bajki; i kręci się, i wierci na tym materacu, aż się Europa zatrząśnie.

Nasuwa się pytanie, skąd ten opór Ludwika XIV? Zdawałoby się nic prostszego niż dać tę satysfakcję królowej Francuzce, której pozwolił się koronować „jako swojej córce”, żonie swego najbliższego sprzymierzeńca. A jednak, poza osobistą Ludwika dla tej sprawy niechęcią, czuć, że żądanie Marii Kazimiery jest dlań istotnie trudne i kłopotliwe; ten potężny król zwija się po prostu i cierpi, kiedy mu o tym wspomnieć; i on, jak Maria Kazimiera, ale w odwrotnym sensie, choruje po prostu na tego margrabiego d'Arquien.

Bo też *duc et pair*<sup>242</sup>, to nie był jedynie czczy tytuł. System rządzenia Ludwika opierał się na kunsztownym zorganizowaniu ludzkiej próżności, na precyzyjnym systemie

<sup>242</sup>*duc et pair* (fr.) — książę i par. [przypis edytorski]

dworskiej arystokracji grupującej się dookoła jego tronu. Wystarczy czytać pamiętniki Saint-Simona, aby docenić natężenie uraz i pretensyj łączące się ze wszystkim, co dotyczyło parostwa. Mianować diukiem i parem człowieka, który nie wydawał się tego godny, znaczyło dla Ludwika XIV własnymi rękami podważać instytucję, która była jego arcydziełem. Toteż czuć, że Ludwik łatwiej by się posunął do innych, choćby cięższych ofiar, byle mu nie mówiono o tym uprzykrzonym kapitanie.

Trzeba nam w kilku słowach przedstawić osobę tego kandydata. Znamy go po trosze z czasu, kiedy Marysieńka — jeszcze pani Zamoyska — pierwszy raz puściła się do Paryża. Życie rodzinne państwa d'Arquien było wówczas nieszczęśliwe: „*Les oyseaux de mer vivent fort mal ensemble*<sup>243</sup> — donosi pani Zamoyska Sobieskiemu — sam pan oyciec s panią swoją przyczyna, niepodobna wypowiedzic; ze mną oboje arcy przednie”. Ale czego pani Zamoyska nie dodaje, o tym mówi cały Paryż, a fatalna reputacja pana d'Arquien rosła wraz z powagą jego lat. Pieniacz, golec, rozpustnik tonący w długach i procesach, był figurą zohydzoną i śmieszną. Owdowiawszy, zawarł kompromitujące małżeństwo, o którego unieważnienie się starał; sama Maria Kazimiera pragnęłaby, aby w razie skasowania tego małżeństwa, parlament zabronił obu stronom żenić się ponownie dla uniknięcia jakiego nowego skandalu!

I cała rodzina d'Arquien też niezbyt się przyczynia do podniesienia splendoru. Jedna córka wszczyna z ojcem gorszący proces; druga ucieka z klasztoru, aby szukać schronienia w domu złych obyczajów. Wszystko to tłumaczy, dlaczego Ludwik XIV, ta wcielona etykieta, wolałby dać sobie zaaplikować lewatywę z tłuczonego szkła, niż narzucić swoim „diukom i parom” takiego kolegę.

Zaczyna się ten pojedynek dyplomatyczny tuż po wstąpieniu Sobieskiego na tron, jeszcze przed koronacją. Wobec pierwszych aluzji Marii Kazimiery, Ludwik donosi swemu ambasadorowi, że nie wie, czego sobie królowa życzy dla ojca i lepiej niech się ambasador o to nie dopytuje... Jaśniej wyraża się w liście do tegoż ambasadora minister, p. de Pomponne. Podobno — pisze — królowa chciałaby, aby jej ojca zrobiono diukiem i parem. Niech ambasador sam osądzi, jakie to jest kłopotliwe dla króla, bo w istocie „sposób, w jaki ten człowiek się prowadził i prowadzi dotąd, nie zdaje się zbyt odpowiedzieć tej godności”. „Proces jego, który się toczy obecnie, czyni go pośmiewiskiem całego Paryża”. Niebawem król pisze do ambasadora osobiście: „Ponieważ królowa wspomina mi ogólnie o jakiejś godności dla ojca, łatwo domyślić się, że chodzi o to, aby go zrobić diukiem; otóż byłbym rad, aby się jej pan nie dał wywnętrzać bliżej w tej mierze, ale ogólnie ją zapewnił, że może być przekonana, iż przez szacunek dla niej, zawsze będę miał wiele szacunku dla jej domu”...

Ludwik XIV, kreśląc takie frazesy, wyobrażał sobie, że jest wielkim dyplomata; nie wiedział, że nic do takiej szewskiej pasji nie doprowadzało Marysieńki jak te „ogólne” zapewnienia (zwłaszcza przy powolności ówczesnej poczty), podczas gdy jej chodziło o rzeczy bardzo konkretne. Ale lata płyną, a Ludwik wciąż tkwi uparcie w szańcu swoich ogólników; nawet kiedy w r. 1677 Sobieski, przypiekany do żywego przez żonę, sam bierze pióro, aby napisać w tej sprawie do swego francuskiego brata, znów król francuski prosi go, aby był przekonany, iż „szacunek, jaki żywię dla Waszej Królewskiej Mości i dla Królowej mojej siostry, zawsze dużo posłuży margrabiemu d'Arquien i że, w chęci dania tego dowodów, zawsze bardzo rad będę, aby się nastęrczyły sposobności, które mi pozwolą okazać, co znaczy Ich rekomendacja”...

Ta aluzja do „Ich rekomendacji” miała może swoje ukryte żądło i mogła być snadnie odczuta jako aluzja do pewnej niedawnej sprawy, trochę kompromitującej, jeżeli nie dla króla polskiego i królowej jego małżonki, to w każdym razie dla kancelarii domu królewskiego. Była to „sprawa Brisacier”, głupia sprawa — głupia, ale tajemnicza zarazem — która też zaprzętała przez parę lat kilka dworów europejskich, znacznie przyczyniła się do oziębienia stosunków Polski z Francją i z pewnością nie najlepiej wpłynęła na szanse uksiążęcenia papy d'Arquien.

\*

<sup>243</sup>*les oyseaux de mer vivent fort mal ensemble* — ptaki morskie [rodzice] bardzo źle żyją z sobą. [przypis edytorski]

Kim był pan Brisacier<sup>244</sup>? Wedle długo kursującej plotki i legendy, był on naturalnym synem Sobieskiego z młodzieńczych czasów paryskich. Za takiego uchodzi w dawnych francuskich biografiach Sobieskiego, w naszych starych encyklopediach i w powieściach na tle owej epoki. Plotka ta była najpewniej plotką, sama zaś przygoda wydaje się o wiele bardziej skomplikowana i również znalazła obszerny wyraz we współczesnej korespondencji dyplomatycznej. Istny romans starego Dumasa: pełno tam udanych mnichów pełniących funkcje sekretnych ambasadorów; fałszowanych listów i prawdziwych klejnotów; otwieranych szkatulek i zatraskujących się bram więzienia; policji łapiącej oczka sekretu, aby, trafiwszy na jego węzeł, tym gorliwiej końce utopić w wodzie.

Zatem, w r. 1676, w dobie, gdy stosunki nowego króla polskiego z bratem francuskim były jeszcze bardzo serdeczne, zjawił się u Ludwika XIV sekretny poseł z Polski z prośbą, aby król użyczył *in blanco* (!) zezwolenia na kupno dóbr ziemskich we Francji i połączenie z nimi tytułu książęcego. Król Ludwik oczywiście był pewny, że chodzi o starego d'Arquien; bardzo potrzebując w tej chwili sojuszu z Polską, skłonny był się zgodzić; ale jakież było jego zdumienie, gdy się dowiedział niebawem, że osobą, o którą chodzi, jest — podrzędny urzędnik w kancelarii królowej Francji, imię pan Brisacier. A równocześnie mnich-karmelita, nowy sekretny wysłannik z Polski, przedstawił Ludwikowi własnoręczny list Sobieskiego, w którym ten stwierdza, że pan Brisacier jest potomkiem starożytnego rodu w Polsce, spokrewnionego z jego domem, i że on, król polski, równocześnie nadaje matce jego, pani Brisacier, tytuł „pierwszej damy polskiej ze złotym kluczem”...

Ludwik XIV, znający swój królewski fach na palcach, przystąpił do wywiadu. Okazało się, że rekomendacja króla polskiego była jedynie wynikiem interwencji, której tajemnicze źródło kryło się — we Francji. Pretensje pana Brisacier, przedstawione Sobieskiemu, legitymowały się ni mniej ni więcej tylko imieniem i podpisem — królowej francuskiej! Jej portret, bogato ozdobiony diamentami, znalazła ciekawa Marysieńka w zrewidowanej szkatulce tajnego wysłannika z Francji; własnoręczny podpis królowej Marii Teresy przedstawiono królowi polskiemu, prosząc go o wszelką pomoc, jakiej zażąda pan Brisacier. Ów tajny wysłannik, działający rzekomo z ramienia królowej Francji, wytłumaczył królowi Sobieskiemu że pan Brisacier jest potomkiem starożytnego rodu polskiego, między innymi krewnym Sobieskich; że przodek jego opuścił Polskę w zamierzonych czasach, udając się z... Henrykiem Walezym do Francji, gdzie rodzina jego podupadła, a pierwotne nazwisko „Bryzacerski” zniekształciło się. Chodzi o to, aby dopomóc temu człowiekowi, którym królowa francuska tak bardzo się interesuje, i aby go z kolei zaprotegować do — Ludwika XIV...

Jakim sposobem Sobieski — wraz z żoną — uwierzył w te baśni, w te parantele i w to nieprawdopodobne nazwisko, i dał się nabrać „na kopertę”, na podpis królowej francuskiej, trudno w istocie zrozumieć; jeszcze trudniej zrozumieć, jak mógł popełnić najgrubszy nietakt, wyciskając z króla francuskiego dekret *in blanco* na rzecz faceta sekretnie jakoby rekomendowanego Sobieskiemu przez własną żonę Ludwika.

Gaffa królestwa polskich była niewątpliwa; niemniej sprawa do dziś pozostała ciemna. Bo, mimo iż we Francji stwierdzono, że Sobieskich wystrychnięto na dudka, że królowa francuska ani nie pisała listu, ani o niczym nie wie, że pan Brisacier i jego współnicy są szalbierze, mimo że tych szalbierzy wtrącono do Bastylli, wszyscy aktorzy tej komedii — godni, zdawałoby się, najcięższej kary — w kilka miesięcy potem znaleźli się na wolności. Podpis był fałszywy, ale brylanty przy portrecie były prawdziwe i pół miliona deponowane na ufundowanie księstwa też było prawdziwe. Skąd te pieniądze, skąd ten tupet? I pan Brisacier, znalazłszy się na wolności, wciąż miał dużo pieniędzy, cała szajka stawiała się hardo, mówiąc, że królowa francuska potrafi ich pomścić. Intryga czy miłość? Bajkę o ojcostwie Sobieskiego może puścił sam Brisacier? Niektórzy przypuszczali, że raczej chodziło tu o miłość Marii Teresy, królowej francuskiej, co wydaje się również

<sup>244</sup>Brisacier — Tajemniczy Brisacier był, zdaniem prof. Battaglii, niewątpliwie naturalnym synem Sobieskiego z jego młodzieńczej paryskiej miłości z r. 1647, kiedy Sobieski mieszkał w Paryżu w hôtél de Brisach (stąd nazwisko); [Battaglia, Otto Forst de (1889–1965), pol. historyk i krytyk literacki pochodzenia austriacko-włoskiego; w marcu 1938 r. opublikował w „Przeglądzie Powszechnym” artykuł *Brązowanie Marysieńki*, będący odpowiedzią na publikację biografii żony Sobieskiego autorstwa Boy’a Żeleńskiego; Red. WL.] [przypis autorski]



mało prawdopodobne. Niemniej sama figura i cała sprawa pozostają tajemnicze. Historia w stylu *Masque de fer*<sup>245</sup> i innych podobnych zagadek.

Ale równie pewne jest, że ta sprawa fatalnie się odbiła na papie d'Arquien. W momencie gdy szanse jego stały jeszcze nie najgorzej, Sobiescy sami zrobili mu dywersję „panem Bryzacerskim”, a Ludwik XIV nigdy nie pozbył się niesmaku, o jaki przyprawiła go ta przygoda. Może to stało się przyczyną, że w korespondencji z Sobieskim tak uparcie odmawiał mu tytułu *Majesté*, co naszego bohatera niezmiernie bolało. Ale jak tu być „Majestatem” przy takich gaffach? Sobieski był młodym królem, Marysiénka też się na tronie nie urodziła; brakło im dobrego mistrza ceremonii. Nie mieli swojego Przędzieckiego. Przędziecki by do sprawy „Bryzacerskiego” nie dopuścił. Ani do „damy polskiej ze złotym kluczem”...

Bo w ogóle ceremoniał na dworze króla szwankował. Nie aby nie było do niego pretensyj, ale brakło fachowej ręki. Takich rzeczy nie da się zaimprovizować. Dworzanin Sobieskiego, Daleyrac, powiada w swoich pamiętnikach, że nie było tam ani żadnego „protokołu” ani żadnego porządku regulującego ceremoniał na dworze i w stosunku do innych dworów. I powiada ów Daleyrac, jak wysyłając z Polski specjalnego posła do księcia Sabaudzkiego, zaadresowano pismo do poprzedniego księcia Sabaudii, od dawna nieboszczyka...

Ale wróćmy do pana teścia.

\*

Myśląc, że zrobi tym przyjemność Marii Kazimierze, Ludwik XIV mianował swoim ambasadorem w Polsce margrabiego de Béthune, ożenionego ze starszą siostrą królowej, panną d'Arquien. I w tym okazał się nieszczerobnym psychologiem; z ciągłego kontaktu dwóch sióstr przy takiej nierówności stanowiska (i nieuregulowanym ceremoniale) nie mogło wyniknąć nic prócz kwasów i komerażów, obciążonych tym, że właśnie pani de Béthune była ową córką, która wdała się w proces z ojcem d'Arquien. Wszystkie pretensje Marysiénki do dworu francuskiego skupiły się na biednym ambasadorze, który stał się kozłem ofiarnym tych zatargów, dopóki go jego pan miłościwie nie odwołał z trudnej placówki. Rola jego była w istocie zbyt drażliwa, gdyż on, również zięć papy d'Arquien, przez cały czas był z urzędu powiernikiem wstrętów Ludwika XIV. Ludwik pisze mu bez ogródek, „że chciałby przewyciężyć swój wstręt do mianowania pana d'Arquien księciem i parem”. Jeżeliby się na to zdecydował, to bez oblatowania nominacji w parlamencie i jedynie pod warunkiem wojny, jaką wypowie Sobieski elektorowi bawarskiemu, sam albo ze Szwecją. I powtarza król trzykrotnie, że jedynie w razie wypowiedzenia wojny (która była w danym momencie dla Francji pożądaną dywersją), mógłby się zdecydować. Ambasador ostrzega swego króla, że królowa polska coraz chętniej zaczyna dawać ucha Austrii i że będąc gwałtowna w swoich uczuciach, bardzo może zamącić sprawy króla Francji. Królowa Maria Kazimiera wylała tyle łez z powodu tej odmowy, że teraz utrzymuje, iż jedynie... buława marszałka Francji w przydatku do upragnionych godności mogłaby ojcu jej wynagrodzić tę zwłokę. Wszystkiego — pisze ambasador — można się spodziewać po niepoczytalności królowej; żal mu króla polskiego, którego przywiązanie do Francji wydaje się bardzo szczere.

Rozdźwięk między Sobieskimi (może bardziej pozorny, niż dyplomaci francuscy sądzili) rośnie; niebawem agent francuski Akakia donosi swemu ministrowi z Polski, że królowa ma główny udział w tym, co się knuje przeciw Francji na najbliższym sejmie; można o niej powiedzieć, iż stoi ona na czele stronnictwa austriackiego i skupia wszystkich wrogów swego męża, tak jest zaślepiona chęcią zemśczenia się na Francji i na ambasadorze, któremu przypisuje wszystkie swoje niepowodzenia.

Niebawem, w listopadzie r. 1678, Marysiénka sprowadza ojca do Polski; witając, ścisła go i płacze z radości. Ale przybycie to zaognia jeszcze stosunki z ambasadorem de Béthune. W zamian za to Austria robi postępy. Poseł austriacki gra co dzień w lombra z królową i jej ojcem. Nigdy — donosi francuski ambasador swemu panu — nawet za królowej

Ojciec, Córka, Przedmurze  
chrześcijaństwa

<sup>245</sup>*masque de fer* (fr.) — żelazna maska; tu: tytuł wielokrotnie adaptowanej (jako opera, film itp.) powieści Aleksandra Dumasa *Człowiek w żelaznej masce*. [przypis edytorski]

Eleonory, Austriacy nie byli tak dobrze widziani na dworze jak teraz. Dopóki się nie zaspokoi królowej, będzie ona trzymała z Austrią; trzeba ją ratować — sugeruje nieśmiało ambasador — z przepaści, w jaką się osuwa; gdyby można coś zrobić dla jej ojca, usunęłyby się tysiąc przeszkód...

Bo Austria nie żałuje obietnic; wiedząc, jaki jest najczulszy punkt Marysieńki, już cesarz ofiarowuje się zrobić jej ojca księciem cesarstwa. Daremnie nowy ambasador francuski, biskup belowaceński, mityguje ją, że nie przystoi jej, Francuzce, przyjmować dla ojca — poddanego Ludwika XIV — niemieckiego tytułu, co by już było skandalem i jawnym zerwaniem z Francją; w długiej i dramatycznej rozmowie, którą biskup szczegółowo przytacza swemu panu, Marysieńka obstaje przy swoim, twierdząc iż „cała Europa” śmieje się z Sobieskiego, że jego teść jest prostym szlachcicem.

Zamiast łagodzić tę ranę, czas zaognia ją coraz bardziej, zwłaszcza że charakter królowej staje się coraz bardziej drażliwy i despotyczny. Pycha jej — pisze ambasador — doszła do punktu, którego nie da się opisać; królowa nadużywa swojego wpływu na męża. A król Jan, w rozmowie z jeszcze innym ambasadorem, panem de Vitry — wedle relacji tegoż — oświadcza, że „co do niego, naprawdę czuły jest jedynie na chwałę i na wywyższenie rodziny swojej i rodziny żony”.

Sytuacja zaczyna być groźna: jasne staje się, że ta głupia sprawa może kosztować Francję utratę sprzymierzenia, zmarnowanie kilkudziesięcioletnich ofiar finansowych i zburzenie całej polityki na Wschodzie. Ludwik XIV, mimo że wściekły na tę egzotyczną królową, która w jego oczach jest wciąż jego poddanką i w dodatku pensjonariuszką, ugina się, zaczyna paktować. Proponuje zamianę: uczyni wszystko, ale nie dla ojca, tylko dla syna, dla królewicza Jakuba. Głuche milczenie. Król robi jeszcze krok dalej, ale niestety, równocześnie dwa kroki wstecz: jeżeli wszystkie warunki ścisłego przymierza z królem polskim będą uzgodnione, godzi się zamianować pana d'Arquien księciem i parzem, zwłaszcza skoro mu zaręczą, że nigdy nie wróci do Francji, i pod warunkiem, że królowa nie będzie żądała dziedziczności tytułu i jego natychmiastowej weryfikacji. Ale królowa — donosi ambasador — wcale się nie ucieszyła tą propozycją; skoro tytuł ma być niepełny (odrzekła sucho), niech się król Ludwik nie fatyguje; poczekają oboje z mężem, aż król będzie mógł tytuł weryfikować i dopełnić wszystkiego naraz. Tak odrzekła królowa, „która ma zwyczaj przewodzić i mówić sama”; ale i król Jan potwierdził jej słowa, oświadczając, iż zaczekają, aż król Ludwik będzie mógł tytuł weryfikować przez parlament, „bo nie chcą być pośmiewiskiem Europy”. Czuć w tym lekcję Marysieńki! Daremnie Ludwik sumituje się królowej, że istotnie nie może w tej chwili weryfikować tytułu dla wielu przeszkód; gdyby je mógł wyjaśnić — pisze — z pewnością król Jan byłby zadowolony. Bardzo być może, iż rzecz przekraczała jego możliwość i że ten wszechwładny monarcha był w tym wypadku niewolnikiem stworzonych przez siebie formalności. Nic nie pomaga; jeszcze raz królowa kategorycznie odmawia, oświadczając, że honor nie pozwala przyjąć tytułu bez równoczesnej weryfikacji. To było w listopadzie r. 1682; w kilka miesięcy potem traktat z Austrią był faktem, a w niespełna rok armia polska ciągnęła na odsiecz Wiednia.

\*

Wyodrębniłem tutaj ten jeden czynnik tak charakterystyczny, nie mając oczywiście zamiaru przypisywać mu wyłącznie zmiany kursu w polityce polsko-francuskiej. Stosunek „konieczności dziejów” do ich przypadkowości, gra wielkich i małych przyczyn, to z pewnością najbardziej pasjonująca strona historii. „Gdyby nos Kleopatry był odrobinę krótszy, kula ziemska wyglądałaby inaczej” — to jedna z najbardziej spopularyzowanych myśli Pascala. Toteż do noska Marysieńki powrócimy; na razie przeskoczmy kilka lat, aby odpowiedzieć, jak się — w odmiennej co prawda formie — ziściły ambicje rodzinne tej kochającej córki.

Rzecz prosta, że wyprawa wiedeńska położyła kres jej nadziejom wywyższenia ojca we Francji. Stosunki dyplomatyczne Polski z Francją zerwały się na szereg lat. Cesarz, uzyskawszy od Polski wszystko, co mu mogła dać, też nie kwapił się z nominacją starego hulaki na „księcia cesarstwa”. Nie mogąc się pogodzić z miernością stanu ojca, Marysieńka, niewątpiąca nigdy o niczym, postanowiła zrobić go — kardynałem. Zawinęła

Historia

rękawy i wzięła się do roboty. Męczyła papieży przez wiele lat. Puściła w ruch męża, licząc na to, że trudno będzie odmówić czegoś w Rzymie zbawcy chrześcijaństwa. Miała tam życzliwego człowieka, p. Forbin de Janson, eks-ambasadora francuskiego w Polsce, który Sobieskim zawdzięczał własny kapelusz kardynalski. Ten przygotował teren, urobił kolegów, przycisnął papieża, przedstawiając, że trzeba się śpieszyć, aby zdążyć z obleczeniem w tę godność pana d'Arquien, który liczył pod dziewięćdziesiąt lat. Względy, które paraliżowały Ludwika XIV w nadaniu mu tytułu księcia i para — wątpliwe życie, brak statku i powagi — tutaj szczęśliwie nie okazały się przeszkodą, a święcenia duchowne dla takich kardynałów z rekomendacji monarszej nie były wymagane. Z końcem r. 1695, kardynał Forbin de Janson donosi z radością królowi Janowi, że promocja jego teścia jest faktem dokonany.

Jeżeli kolegium kardynałów ludziło się nadzieją, że ich sędziwy kolega nie będzie miał już czasu pojawić się w Rzymie, zawiedli się. Kiedy, po śmierci króla Jana, królowa-wdowa udała się w r. 1699 z liczną świtą do Rzymu, aby osiąść w świętym mieście, towarzyszył jej ojciec, dziewięćdziesięcioletni kardynał d'Arquien, który miał jej tam przyczynić mało zaszczytu, a sporo kłopotów.

W istocie, ten papa-kardynał stał się zmorem królowej. I tu miał być figurą śmieszną i pogardzaną, poniżającą swój strój i dostojność. Bufon, żarłok, kobieciarz kręcący się wśród dworek swojej córki, trwoniący pieniądze, wiecznie w długach, wydawał dla fraucymeru ciągle bale, maskarady, obiady. Królowa była bezsilna wobec jego wybryków; nie mogła uzyskać nawet tego, aby się nie wałęsał po ulicach w kardynalskim kapeluszu i w purpurze, ku zgorszeniu i rozpaczycy kolegów. Dożył przeszło stu lat, i ten dziurawy worek był przyczyną, że rządna Marysienka wciąż była na stare lata w kłopotach finansowych.

Niechże ten finał wytłumaczy Ludwika XIV, że wolał ryzykować stratę jednego sojusznika, zmiążdżenie drugiego, ruinę swojej polityki, niż mieć taką figurę pośród swoich książąt i parów. Może przesadzał, może przeceniał wartość tych książąt i parów, których miał; ale podziwiamy stałość, jaką okazał w tym złudzeniu. A z drugiej strony podziwiamy wytrwałość Marysienki w przeprowadzaniu swoich zachceń. Ostatecznie, trudniej jej było zrobić tego papę kardynałem, niż Sobieskiemu pobić Turków, do czego był przyzwyczajony. Toteż to jest prawdziwe uwieńczenie owej „arquienady”, której odsiecz Wiednia będzie poniekąd wspaniałym epizodem.

## XVII. KRUCJATA MARYSIENKI

W samych początkach panowania, w r. 1675, w momencie układów z Turkami, Sobieski pisze do żony z obozu tak:

„U tych pogan nic nie jest, tylko żeby całe posiąść chrześcijaństwo. Żal się Boże, że Murowski, jeden gnojek, oszukał nas. Ja się tym w sobie kontentuję, że temu nigdy nie dał wiary; alem musiał na wszystko pozwolić, boś Waszmość moja Panno poczęła być zła na mnie, gdy na mnie składano, że się mnie nie chciało pokoju”.

Te słowa listu niech posłużą za motto do niniejszego rozdziału. Jest w nich jakby streszczenie sytuacji, a raczej stanu ducha. Bohater nasz wierzy, że tu idzie o całe chrześcijaństwo; ręka go świerzbi, aby bić; polityka każe mu się układać z wrogiem, który jest przyjacielem jego sojusznika, mimo iż w rzetelność tego wroga nie wierzy. W tej rozterce rozstrzygająco działa strach, aby jego „Panna” nie była na niego zła. I jeżeli po układzie zórawińskim król Jan pisze Ludwikowi XIV, że zawarł pokój z Turcją z miłości ku niemu, „wbrew interesom swoim i swego kraju”, chwali się; w istocie, zawarł pokój — ze strachu przed żoną.

Bo ten zwrot w liście króla Jana to nie jest galanteria ani frazes. Dostarczyliśmy już dosyć dowodów — a można by je mnożyć — na to, jak w każdej okoliczności najważniejsze decyzje bohater nasz składał — często *in blanco* — w ręce ukochanej. W tym momencie świeża królowa — jeszcze nierozczarowana do swego francuskiego „brata”, Ludwika XIV — była najgorliwszą poplecniczka Francji, tym samym popierając zgodę z Turkiem z taką samą pasją, z jaką za kilka lat będzie parła do sojuszu z Austrią i do wojny tureckiej. I jakiegokolwiek byłyby konfiguracje europejskie i jakiegokolwiek wołania zagrożonego chrześcijaństwa, nie do pomyslenia jest, aby Sobieski zdobył się na decyzję, która by

nie zyskała aprobaty Marysienki. Mimo całej żarliwości, jaką włożył papież Innocenty XI w organizowanie akcji przeciw Turkom, mimo całego zapału, z jakim nasz koronowany kawalerzysta gotów był dosiąść konia, to pewna, że wystarczyłoby zmarszczenia jej brwi, aby go z konia zsadzić. I jeżeli, po szeregu lat niezdecydowanej i dość małodusznej gry politycznej, bucha nagle od tronu płomień entuzjazmu, który udziela się całemu krajowi, to dlatego, że w tym płomieniu zestrzeliły się szczęśliwie nakaz polityki, duch religijny, poryw rycerski i życzenia żony.

Odsiecz wiedeńska miewała — okresami — złą lub dobrą „prasę”. U wielu zyskała naszemu bohaterowi opinię tęgiej szabli, a słabej głowy. Niejeden pozytywny historyk ocenił tę wyprawę jako junacki, ale bezpłodny gest uczyniony w chwili, gdy już się rysowały na horyzoncie istotne przyszłe niebezpieczeństwa dla Polski. Pozwolić urastać Prusom, ratować niewdzięczną Austrię, odstępować Moskwie Smoleński Kijów po to, aby się gdzieś tam uganiać za mitycznym Turkiem — ładna polityka!

Ale inni odpowiadają: hola! łatwo jest wydawać takie sądy po dwustu latach, gdy już znamy wypadki, gdy unicestwiona Turcja siedzi gdzieś sobie w kącie, a rozbiór Polski wyjaśnił, kto miał być dla niej groźny. Ale Sobieski był tylko Sobieskim, a nie Ossowieckim<sup>246</sup>. Widział rzeczy tak, jak je mógł widzieć w danej chwili. Za jego czasu układ sił był inny. Aby to ocenić, wystarczy spojrzeć na ówczesną mapę. Odkąd zwłaszcza Węgry oddały się pod protektorat Turcji, potęgą turecka znalazła się tuż u bram Wiednia, a zarazem o kilkanaście mil od Krakowa, całą długą granicą dążąc do okrążenia Polski. Spojrzenie na mapę tłumaczy paradoksalne na pozór słowa Jana III, cytowane przez nuncjusza, że „mniej by go bolał upadek Krakowa niż Wiednia”.

Na to znów inni odpowiadają: austriackie gadanie! Turcja była w owym czasie tak zdegenerowana, że nie miała już żadnej siły ekspansji. Militarnie też nie musiała być zbyt straszna, skoro jedna szarża kawalerii wystarczyła, aby w ciągu godziny rozbić tę potęgę. Można przypuszczać, że nawet zdobycie Wiednia byłoby przejściowym i niegroźnym dla Polski sukcesem... Itd. itd.

Tak sobie Historia gwarzy. Nie my to będziemy rozstrzygali, prawda? Bo nawet wojskowa strona walnej bitwy pod Wiedniem daleka jest do ustalenia<sup>247</sup>, a zwłaszcza liczba nieprzyjaciół, wahająca się od tradycyjnych nieprzeliczonych kroci pohańców aż do wielokrotnie szczuplejszej cyfry jakichś 50 000, do której chcą zredukować tę armię niektórzy dzisiejsi sceptycy. Sam Sobieski, mający w tym szeroką rękę, oceniał „na oko” nieprzyjaciela na 300 000, co nie przeszkodziło genialnemu cywilowi Szujskiemu zaokrąglić tej cyfry w swoim wojennym zapale do 500 000. Nas tu, w zakreślonych nam przez temat ramach, obchodzi raczej domowa strona tej wielkiej dziejowej sprawy.

Tego bodaj można być pewnym, że nasz bohater, który zawsze tęsknił do sytuacji prostych i jasnych, z uczuciem ulgi musiał się rzucić w tę decyzję. Powołany na tron jako rycerz, od początku prawie sparaliżowany był w tym rycerskim dziele. Sojusz z Francją — z arcychrześcijańskim królem Ludwikiem, najściślej znowuż związanym z Turcją — trzymał Sobieskiego na uwięzi, nie pozwalał mu bić pohańców, od czego był specjalistą, ku czemu parły go tradycje rodu i temperament wojenny. Niechęć szlachty nie dopuszczała aktywnej polityki w stronę Zachodu. Sobieski trawił się w nudzie gabinetowych matactw, w roli nie dość cenionego i leniwie opłacanego najemnika Francji, ciężęjąc, tyjąc i tracąc z każdym dniem popularność w kraju. Bo nie ma co ukrywać: po pierwszych chwilach zapału, niepopularność króla-szlachcica, a bardziej jeszcze królowej, była wielka. I raczej byłoby dziwne, gdyby było inaczej. Wykładnikiem tej niepopularności i nieufności są obiegające plotki: to że król porozumiewa się z Turkami i Kozakami, aby zostać samowładnym panem; to — kiedy królowa wybierała się za granicę do kąpiel —

<sup>246</sup> *Ossowiecki, Stefan* (1877–1944) — jasnowidz; w okresie dwudziestolecia międzywojennego niezwykle popularny, również w sferach rządowych. [przypis edytorski]

<sup>247</sup> *wojskowa strona (...) bitwy pod Wiedniem daleka jest do ustalenia* — Szczegóły bitwy pod Wiedniem uważa prof. Battaglia za dokładnie przez historyków ustalone. Cyfrowo przedstawiałyby się tak: muzułmanie mieli około 115 000 tysięcy wojska, z którego 20 000 pozostało pod samym Wiedniem jako korpus obserwacyjny; wojska chrześcijańskie liczyły 76 000 ludzi, z tych 25 000 Polaków Sobieskiego i 3000 w korpusie pomocniczym Lubomirskiego; [Battaglia, Otto Forst de (1889–1965), pol. historyk i krytyk literacki pochodzenia austriacko-włoskiego; w marcu 1938 r. opublikował w „Przeglądzie Powszechnym” artykuł *Brzązowanie Marysienki*, będący odpowiedzią na publikację biografii żony Sobieskiego autorstwa Boy’a Żeleńskiego; Red. WL.] [przypis autorski]

że chcą wywieźć z Polski złoto i uciec; to znów że król chce zrabować skarb i abdykować... Pełno u francuskich ambasadorów relacji z tych nastrojów, aż do poważniejszych symptomów, jak spiski, a nawet próby otrucia królewskiej pary (arszenik w kawie), o czym donosi swemu dworowi margrabia de Béthune. Sobieski poznał już parę razy w życiu tę falę niepopularności i zawsze zażegnywał ją wspaniałą czyn orężny: jakieś Podhajce czy Chocim...

W pierwotnej swej filofrancuskiej polityce miał też Sobieski zdecydowanego wroga: — duchowieństwo, oddane Austrii, wrogie gallikańskiej Francji. Nie było w Polsce znacniejszego człowieka, który by nie otrzymał papieskiego *breve*, wzywającego do akcji antytureckiej. Ująwszy tę akcję w ręce, król miał widoki stanąć na czele armii, o jakiej marzyć nie mógłby w innych okolicznościach, jakiej nie przyznano by mu nigdy, choćby dla najpilniejszych potrzeb kraju. Wyzwalając utajony heroizm swego narodu, ten poeta, jaki tkwił zawsze w Sobieskim, mógł krwią napisać swój najefektowniejszy poemat. Ale na to trzeba było, aby się nastęrczyła tak romantyczna sposobność. Łatwiej było porwać naród ideą wyprawy wiedeńskiej, niż wydobyć z niego wysiłek bodaj dla odzyskania Kamieńca.

Ukazaliśmy w poprzednim rozdziale rolę, jaką w tych wielkich decyzjach dziejowych odegrała drobna na pozór sprawa królewskiego teścia, pana d'Arquien. Nie była ona oczywiście jedyną. Jeżeli król miał teścia, miał także i synów. Pamiętamy, jak Ludwik XIV, aby osłodzić swoją odmowę, proponował diukostwo nie ojcu Marysienki, ale jej synowi. Też arcygaffa arcychrześcijańskiego króla, przykład ciężkiego braku orientacji. Bo to, co było zaszczytem dla jego poddanego, prostego kapitana gwardii, nie było z pewnością zaszczytem dla polskiego królewicza. Inne marzenia miał dla niego ojciec. Już w roku wstąpienia na tron, donosi Béthune swemu ministrowi: „Król polski mówił mi wielkie rzeczy, i może pan upewnić króla, że on myśli o tym, aby uczynić to królestwo dziedzicznym”... Ale Ludwik XIV nie raczył tego zauważyć, nie interesowały go te osobiste sprawy sojusznika. Za to Austria umiała zawczasu kusić Sobieskich nadzieją chlubnego małżeństwa dla królewicza Jakuba.

I inne imponderabilia odegrały z pewnością niemłą rolę właśnie dlatego, że pozycja króla elekcyjnego — wprzód zwykłego szlachcica — dawała powód do wielu drażliwości. Zabawne jest śledzić w aktach dyplomatycznych wytrwałą a bezskuteczną walkę, jaką toczył Sobieski z Ludwikiem o przyznanie mu w korespondencji tytułu *Majesté*. Daremnie Sobieski powołuje się na to, że wszyscy monarchowie Europy z cesarzem na czele dają mu ten tytuł. Daremnie w obszernej nocie dyplomatycznej posuwa się do naiwnej groźby, że w razie dalszej odmowy tytułu *Majesté*, i on, który Ludwikowi, po tytule „bardzo chrześcijański”, dodaje z własnej pilności: „bardzo potężny (*tres puissant*), byłby zmuszony, na żądanie obrażonej Rzeczypospolitej, ten epitet cofnąć. Nic nie pomogło; tytułu *Majesté* nie uzyskał. I można przypuszczać, że nad tym bolała bardziej ona, Marysienka, niż on sam.

Bo też wiemy, że Ludwik XIV znał tę parę z czasów, gdy niewiele mieli majestatu; kiedy pani Zamoyska, a później Sobieska, tylnymi schodami próbowała się dostać do Wersalu; kiedy daremnie marzyła o „taburecie”; kiedy się targowała ząb za ząb o drobne korzyści, puszczać na handel wpływy swego męża. Zerwanie z Francją dyktowała może królowej polskiej psychologiczna potrzeba odciążenia się od własnej przeszłości.

Znów bardziej u niej niż u niego. Pisze gdzieś Marysienka, że jej mąż jest „lepszym Francuzem od niej”. Ambasador Béthune wystawia mu świadectwo, że „zna Francję lepiej niż my sami”. Cała kariera polityczna Sobieskiego wyrosła z idei franko-polskiego przymierza, jak cała kultura umysłu, a zwłaszcza serca, kształciła się na francuskiej książce. Wiele lat *Astrea* była dla niego biblią, a oddychający miłością Wersal był dla niego istotnie *palais enchanté*. I gdy on był naprawdę urzeczony blaskiem Ludwika XIV, ona — jedna może w Europie — oparła się tej fascynacji. Godne uwagi jest, jak ta „Junona” — jak ją w pół ironicznie nazywają ambasadorowie — traktuje sobie z tym Ludwikiem jak równa z równym, w tej niezłomnej wierze — a taka wiara to siła — że jej się należy wszystko i że wszystko powinno ustąpić przed jej wolą. „Pycha jej przewyższa wszystko co byśmy mogli powiedzieć” — komunikuje ambasador Ludwikowi XIV. I jeżeli chciała najczęściej małych rzeczy, umiała chcieć ich bardzo mocno. I zawsze była zwrotniejsza w swoich orientacjach. To tłumaczy, że tej Francuzce łatwiej przyszło zerwać sojusze ze

swoim rodzinnym krajem niż jemu, dla którego Francja zawsze pozostała bliska jako ojczyzna — jej.

W tym splocie wielkich i małych spraw, uderza nas swoim cierpko filozoficznym posmakiem — kwestia węgierska. W jednym z listów do swego ambasadora w Polsce, Ludwik XIV pisze: „Nie potrzebuję mówić, do jakiego stopnia alians z królem polskim może mi być użyteczny. Może podsycać zamieszki na Węgrzech, podnosić swoje dawne prawa, jakie Polska ma w tym kraju”... Typowa polityka dywersyjna (skierowana tu przeciw Austrii), w której mniejsze narody nie zawsze wiedzą, do jakiego stopnia ich najświętsze uczucia bywają kartą w grze bardzo dalekich interesów cudzych. I nikt z patriotów węgierskich nie domyślał się zapewne tego, co dziś można wyraźnie czytać w ówczesnej polsko-francuskiej korespondencji dyplomatycznej: mianowicie jak większe lub mniejsze szanse papy d'Arquien do tytułu *duc et pair* odbijały się na stosunku Polski do niepodległościowych dążeń Węgier. Kiedy pertraktacje z Wersalem były w lepszej fazie, rząd polski objawiał sympatie węgierskie, organizując lub pozwalając organizować pomoc zbrojną; kiedy chodziło o to, aby Francji puścić pod nos finfę, odbywało się to kosztem Węgier. Bywały chwile, że król Jan miał w tym swoją politykę, a królowa (przez oddanego sobie Jabłonowskiego) swoją. W pewnym momencie, gdy Ludwik XIV, z upoważnienia króla Jana, werbuje w Polsce Kozaków dla Węgier, królowa bije ich i rozpędza, a hetman na żądanie Marysieńki każe uciąć głowę oficerowi francuskiemu, który przybył w celach werbunkowych do sojuszniczej Polski. I ten oficer też nie wiedział, że daje głowę za papę d'Arquien.

Te sprawy personalne wysuwają się na pierwszy plan choćby dlatego, że stronnictwo francuskie w Polsce, niegdyś tak potężne, skurczyło się, zdegenerowało. To już nie te czasy, kiedy Maria Ludwika snuła wielkie koncepcje Polski sprzymierzonej z Francją, z dziedziczną i rycerską dynastią Kondeuszów na tronie. Wobec dwuznacznej postawy króla a zwłaszcza królowej, dawna idea zmieniła się w sojusz „za wypowiedzeniem”, opłacany mniej lub więcej hojnymi pensjami przez króla francuskiego, poczawszy od Marysieńki, figurującej przede wszystkim na liście pensjonariuszek. Ale już ambasador Béthune przestrzega swego monarchę, że „nie radziłby sypać zbyt obficie w tym kraju pieniędzmi; niebezpiecznie nawet jest przyzwyczajając do tego Polaków, od dawna nawykłych brać ze wszystkich stron”. Cała polityka Francji w Polsce opiera się wreszcie tylko na tych pensjach, a słabo orientujący się w obcej psychice Francuzi uczą się tłumaczyć sobie pieniędzmi całą Polskę, poczawszy od jej króla. W początkach panowania, gdy chodzi o doręczenie Sobieskiemu umówionych subsydiów, ambasador uspokaja Ludwika, że „nie ma obawy, aby Sobieski użył ich na wojnę; raczej zawrze szybki pokój, aby móc oszczędzić i część schować do kieszeni. Jest bardzo interesowny, aby nie rzecz chciwy, i zawsze skieruje się tam, gdzie jest mniej wydatku a więcej do zarobienia”. Te relacje o przywiązaniu Sobieskiego do pieniędzy powtarzają się ciągle; toteż największą niespodzianką było, gdy osławiony „kutwa” Sobieski szeroko otworzył własne szkatuły na wyprawę wiedeńską, porywając swoją ofiarnością naród do powszechnej ofiary.

Bo też może owa sławna chciwość Sobieskiego wymagałaby pewnej korektury. Inaczej przedstawia się ona w kraju, gdzie hetman musiał często własnym przemyśleniem i własnym kosztem prowadzić wojnę i karmić żołnierza; gdzie królowi *pacta conventa* nakładały obowiązek zaopatrzenia twierdz z własnych funduszy, gdzie wreszcie elekt, niemający prestiżu pomazańca, musiał go nadrobić prestiżem pieniężnym, zwłaszcza gdy marzył o utrwaleniu dynastii i tym samym o odpowiednich koligacjach dla dzieci. Tak, wydając później córkę za żonę za elektora bawarskiego, Sobieski musiał dać jej posag więcej niż królewski...

„Król otworzył swoje szkatuły — notuje mówiąc o wojnie dworzanin króla, Francuz Daleyrac — rzecz, której nikt by się nie spodziewał po tym monarsze i w którą ci, co go znali, nie wyjmując rodziny i bliskich, zaledwie mogli uwierzyć. To może poniekąd usprawiedliwić ambasadorów rezydujących przy dworze, których potępiano za brak przenikliwości lub ścisłości, bo ich relacje bardzo się okazały różne od istotnego biegu rzeczy. Takie sprzeczności częstsze są na dworze polskim niż na jakimkolwiek innym. Nie ma równie trudnego dworu do poznania, ani trudniejszego do powodowania”...

Musiał być w istocie trudny — jeżeli sądzić z relacyj ambasadorów francuskich, tak słabo orientujących się w tym polskim bigosie małostek i wielkości, gnuśności i cięż-

Polityka, Polska, Pieniądz,  
Interes

zny. Gdyby im wierzyć, widziałoby się w Sobieskim leniwego i ociężałego inwalidę („żyje z dnia na dzień, ze wszystkim odsyła do żony”), o ciasnych horyzontach, a zwłaszcza wciąż bliskiego śmierci. Tymczasem on jak gdyby brał na kawał ich wszystkich, doił z Ludwika pieniędzy, ile mógł, a gdy przyszła pora, dosiadł konia i przejechał mu przez całą jego politykę tak aż się kurzyło. Jeszcze w r. 1682 ambasador Vitry donosi swemu monarsze, że król polski myśli tylko o gromadzeniu pieniędzy i wcale nie chce wojny. A Sobieski podśmiechuje się z tego Vitry’ego, nazywając go tak subtelnym, że z nim rozmawia tylko o pogodzie... I nie ulega kwestii, że ten szlachcic był bardziej szczwanym dyplomatą (o ile dyplomacja polega na wystrychnięciu kogoś na dudka) od wszelkich tych, których mu Ludwik do Polski wysyłał...

Nie tylko w psychice, ale w fizyce króla nie bardzo się orientowali ci spece od informacji. Niezmiernie otyły, ciężki, ze spuchniętymi nogami, astmatyk, który miał już trzy ataki apoplektyczne, ledwo może chodzić, tylko na koniu się jakoś trzyma, ale jedynie stępa — oto wizerunek Sobieskiego z r. 1679. Ale w trzy lata później (znów wedle relacji) ten sam Sobieski poluje niestrudzenie dwa dni z rządu, zabija osiemnaście niedźwiedzi, nie licząc mnogich dzików i rogaczy...

Musiał w istocie ten dwór polski być trudny do powodowania, skoro nie wystarczyła w tym królowi Ludwikowi pomoc równie oddanego jak inteligentnego stronnika, jakiego zachował z dawnej gwardii przyjaciół Francji, stworzonej przez Marię Ludwikę. Był nim Andrzej Morstin lub Morsztyn, ów przymilny poeta dworski, który wniósł w poezję polską tyle zmysłowego wdzięku i kunsztu rymotwórstwa. Ten dawny ulubieniec dam zrobił od tego czasu kawał drogi. Został podskarbisem, a godność ta, która była ulegalizowanym przez obyczaj łupiestwem, dawała jej posiadaczom więcej niż pół miliona rocznej intraty. Najwykleszą operacją podskarbisem było wyłudzać z oficerów część żołdu w zamian za wypłacenie im reszty gotówką. Morstin, zręczny, wykształcony, bywały w całej Europie, używany często do poselstw i negocjacji, był niedawno jednym z filarów „francuskiej” opozycji przeciw dworowi, jaką wspólnie z Sobieskim i z prymasem Prażmowskim uprawiali za króla Michała; obecnie, człowiek ten — wedle określenia ambasadora Béthune — „najzdolniejszy, najbardziej oświecony i najbardziej zdatny służyć”, posunął swoje frankofilstwo tak daleko, że postarał się dla siebie i dla swojej rodziny o patent naturalizacji we Francji, kupił tam olbrzymie dobra, a z nimi tytuł sekretarza króla Francji; wciąż pozostając dygnitarzem koronnym w Polsce, pełnił po prostu funkcje francuskiego agenta.

Można przypuszczać, że król Jan nie miał złudzeń co do swego dawnego przyjaciela politycznego. Ale tolerował go; dygnitarz w Polsce był nietykalny, łatwiej było ruszyć króla z tronu niż dygnitarza z urzędu. Krzyczano na sejmie, ale bogacz Morstin miał czym zatkać gębę tym, co krzyczeli; proponował łapówki samemu królowi i królowej. Bo bardziej się zawzięła na Morsztyna opiewana niegdyś przez niego Marysieńka, urażona podobno o to, że pan podskarbi odmówił córki jej bratu, hr. de Maligny, i podejrzewając go, że źle oddaje usługi jej ojcu na dworze francuskim. Ale mimo tumultów przeciw niemu na sejmie w r. 1680, Morstin wyszedł cało, dopiero na kilka miesięcy przed wyprawą wiedeńską król, przejąwszy szyfrowane listy Morstina, uznał za potrzebne skompromitować go doszczętnie, postawił go w obliczu gardlanego procesu, pozwalając mu zresztą uciec. Morsztyn wyniósł się do Francji, gdzie żył odtąd pod nazwiskiem hrabiego de Château-Vilain, gdy chorągiew jego nazwiska, którą zobowiązał się pod naciskiem wystawić, pociągnęła z królem Janem pod Wiedeń.

Nie samego Morstina skompromitowały owe przejęte listy. Wyszedł na jaw spisak organizowany przez dwór francuski, w którym na następcę Sobieskiego na tronie upatrzony był hetman Jabłonowski. Ten Jabłonowski, któremu długo towarzyszyły same panegiryki dziejopisów, przedstawia się nowszym spojrzeniem w dość dwuznacznym świetle. Dwustu lat trzeba było, aby się ujawniło, że ten tęgi żołnierz, mający opinię nieskazitelnego człowieka, był równocześnie na dwóch żołdach, francuskim i austriackim. Przyjaciół Sobieskiego, dzielny towarzysz broni i oddany mu w wielu okolicznościach, oddany był jeszcze bardziej Marysieńce, którą co najmniej o flirt z nim nieraz pomawiano. Faktem jest, że zawsze kojarzono ich nazwiska, i że na wypadek, gdyby, broń Boże, król Jan zamknął oczy — Jabłonowski zawsze wydawał się gotów zająć jego miejsce w charakterze nowego króla-Piasta i małżonka jego wdowy, która jeszcze w wiele lat później, po śmierci

Dwór, Polityka,  
Dworzanin, Zdrada, Polak

męża, bardzo jest skłonna wydać się za starego hetmana. Rola tego Diablonowskiego, jak go Marysienka w dawnych listach swoich nazywała, warta byłaby intymniejszego oświetlenia. Ci siedemnastowieczni Sarmaci z sercem na dłoni bardziej byli skomplikowani, niżby się wydawało. Przedsmak tych komplikacji daje choćby taka relacja ambasadora Francji do swego dworu: „Zaczynam się spostrzegać, że złe postępowanie królowej polskiej pochodzi nie tylko z gwałtownych namiętności, jakie nią ustawicznie miotają, ale że wojewoda ruski posługuje się nią zręcznie, aby utrzymać jej męża w gnuśności i przyprawić go o stratę przyjaźni i protekcji Francji, podczas gdy on sam sobie pozyskuje tajemnie wszystkich, utrzymując intrygi w Wiedniu i podsycając opozycję przeciwko królowi i pragnie wynieść swoją fortunę przez zgon króla polskiego i jego rodziny”.

Ta sylweta „demonicznego wojewody” — czyż to nie jest gotowy scenariusz do kina?

Nie trzeba dodawać, że Jabłonowskiemu uszło wszystko na sucho. Przemówił w sejmie, trząskając w szablę, sapał, zaklinał się o swojej poczciwości i pozostał nadal wiernym przyjacielem króla. I był nim zapewne na swój sposób.

Nie był zresztą już czas na dochodzenie takich drobnostek jak spiski i zdrady stanu. Trzeba było jedności, zgody, entuzjazmu. I entuzjazm buchnął w istocie. Z długich targów, intryg, szacherek i matactw, w pewnym momencie wyłonił się cud świętego szalu. Król ożył, odmłodził; naród rwał się do czynu. Z ambon głoszone wojnę przeciw Półksiężycowi, przyrzekano odpusty, odprawiano nabożeństwa, procesje. Gotowały się wielkie rzeczy, kości były rzucone. Dnia 1 kwietnia r. 1683 podpisano polsko-austriacki traktat wzajemnej pomocy, antydatując go na 31 marca, aby odjąć okazję łatwych konceptów o „prima aprilis”. To się nazywa pamiętać o wszystkim! Wychodzą ostre zarządzenia przeciwko Francuzom. „Z pokoju, kuchni y od inych posług Francuzów alienować kaza-no”. Ambasador francuski de Vitry ledwo uchodzi z życiem; strzelano do niego. Któryś poseł na sejmie domagał się dla ambasadora „trzysta w sempiternę”. A król nie dość że otworzył szkatuły, ale zdobył się na energię, na jaką od dawna król w Polsce się nie zdobył. Kiedy dotąd sejmy rwano i rwano bezkarnie, teraz skłopotany ambasador donosi swemu dworowi, że za żadną sumę nie byłby w stanie znaleźć ochotnika do zerwania sejmu, bo król zapowiedział, że siądzie na koń, ogłosi pospolite ruszenie i gardłem będzie karał każdą próbę zerwania. Nie wiedział jeszcze świat, do czego zdolny jest Polak, kiedy mu się uda pogodzić w sercu wołania szabli, chwały, papieża i żony. I może dosiadłszy konia, czuje w tej chwili nasz bohater, że znów się podoba swojej Marysienice w tym akcie męskości, on, co niedawno jeszcze z jakiegoś popasu na jej niby to skromne wdzięczenia się odpisywał, że „czuję to do siebie, że tak dziś kocham jako i pierwszego mego kochania momentu. Nie widzę w Waszmości s. m. jesiennego jeszcze czasu, lubo i ten przechodzi pod czas i piękną wiosnę, ale widzę najśliczniejsze i najwdzięczniejsze lato”... I może znów w tej chwili czuje, że ona jest z niego kontenta, ona która go do rozpacz przywodziła wiecznym niezadowoleniem.

Czuje to może, ale nie na długo; bo jeszcze nie odsapnie po zwycięstwie wiedeńskim, a już biedny bohater będzie się skarżył z obozu, że „cokolwiek zrobię, wszystko źle!” I znów będzie tęsknił i pisał do niej, i te listy, przez osobliwą ciasnotę naszej historii literatury niewłączone dotąd do klejnotów naszego piśmiennictwa, pozostaną bodaj że najpozytywniejszą zdobyczą wyprawy wiedeńskiej.

## XVIII. POCZTA WIEDEŃSKA

Z całej historii Sobieskiego wyprawa wiedeńska najbardziej jest znana, najczęściej opowiadana, utrwalona w historii i legendzie. Nas tutaj — zgodnie z przedmiotem tej pracy — interesują głównie „domowe” motywy tej wielkiej sprawy. Pomieszczone bezładnie z publicznymi, znajdują one najżywsze odbicie w korespondencji króla Jana, z której, na przestrzeni pół roku, posiadamy trzydzieści sążnistych listów do żony.

Widzieliśmy, że Marysienka dała swoje pełne placet<sup>248</sup> na tę wyprawę, która pośrednio miała być także porachunkiem różnych jej zapiekłych uraz i pretensyj. W dowód aprobaty odprowadziła swego „Jachniczka” aż do Tarnowa<sup>249</sup>. Nie przyspieszyło to zapewne marszu,

<sup>248</sup>placet (z łac.) — zgoda. [przypis edytorski]

<sup>249</sup>odprowadziła swego „Jachniczka” aż do Tarnowa — wkradła się tu omyłka: nie do Tarnowa oczywiście odprowadziła Maria Kazimiera Sobieskiego, ale do Tarnowskich Gór. [przypis autorski]



którego pierwszy nocleg po wyruszeniu dn. 18 lipca z Wilanowa, przypadł w Falentach; dłuższe postoje w Częstochowie, w Krakowie... Sukurs szedł mniej szybko niżby nagląca sytuacja oblężonego Wiednia zdawała się nakazywać; ale taka droga z całym taborem nie dopuszczała zbytniego pośpiechu, przy tym król oglądał się na wojsko litewskie, które sabotując tę imprezę rozmyślnie się spóźniło, i na lennika swego, elektora brandeburskiego, który też uważał za praktyczniejsze nie zjawić się w porę.

Opuściwszy granice Polski, ciągnął nasz król „kraiem barzo ślicznym”, witany w drodze owacyjnie, aż się skarży swojej Marysieńce na wielką fatygę dla oracji ustawicznych i dziwów, tak że się co dzień jak do ślubu ubierać musi i jak pan młody wjeżdżać z kawalkatą. Spotkał się w obozie z dawnym rywalem do korony, Karolem Lotaryńskim, z którym bardzo sobie przypadli do gustu. Ściągające wojska książąt niemieckich robią na królu Janie doskonałe wrażenie: arcypiękne, gromadne, munderowane i w wielkim porządku. „Może się rzec o Niemcach co o koniu powiedziano, że nie znają siły swojej” — pisze z właściwym sobie poczuciem lapidarności słowa. Później, co prawda, pod wpływem doznanych zawodów, a zwłaszcza nieszczęśliwych Parkanów, sąd ten zmieni się nieco: okaże się, że ci tak paradni na oko żołnierze „exercycy”<sup>250</sup> żadnych nie umieją, a oficerowie głupcy, niedbalcy, niepilni”.

On sam, Sobieski, ciągnie w istocie na tę wyprawę jak pan młody, z pewnością nawet z mniejszą tremą od niejednego pana młodego. Pogodnie i ufnie. Trochę jak prowincjonalny aktor, mający poczucie swego geniuszu, gdy mu nareszcie dane będzie zagrać na wielkiej scenie. Jeszcze z pół drogi do Wiednia, jak gdyby wszystko było rozstrzygnięte, pisze do żony, iż może przymówić księdzu nuncjuszowi, „żeć-em przecie godzien był owego miecza, który królowi Michałowi posłano, i tej róży, a przecie mię to nie spotkało, z podziwieniem całego świata. Zaprawdę takiego erroru<sup>251</sup> Rzym jeszcze nigdy nie popełnił”.

Chodziło o honorowy „miecz”, użyczony swego czasu przez papieża królowi Michałowi, oraz złotą różę daną żonie Michała Eleonorze, a odmówioną Marysieńce. Biedny bohater miał się przekonać, że najświetniejsze zwycięstwo nie uchroni go od tego rodzaju „errorów”...

Dnia 12 września dwudziestokilkotysięczna czy trzydziestotysięczna armia polska stanęła na Kahlenbergu, skąd obiecywano królowi gładziutką, lekko pochyłą drogę do Wiednia. Istotnie Wiedeń było widać jak na dłoni, ale dzieliły wojsko od niego nieprzewidziane góry i przepaście. Można zrozumieć, czemu się król tak interesował geografią i kartografią i nawet mapom współczesnym nie dowierzał, a często sam je poprawiał. Przy tym — donosi król — straszny wiatr dał wojsku w oczy od nieprzyjaciela; to wezyr turecki, który był wielki czarownik, puścił w ruch *des puissances aeriennes*<sup>252</sup>. Ludzie bardzo ochotni, poglądając miłosiernym okiem na obóz turecki z wielką tam bytności swojej impacyjną: — tak pisze Sobieski żonie dn. 12 września o godz. 3 rano, nie wiedząc, że jeszcze tegoż dnia przed nocą będzie już po wszystkim. I nazajutrz, ledwie otarłszy pot z uznojonego czoła, będzie kreślił do niej ów sławny list, pisany tuż po zwycięstwie: „Jedyna, Pan Bóg i Pan nasz na wieki błogosławiony, dał zwycięstwo i sławę narodowi naszemu, o jakiej wieki przeszłe nigdy nie słyszały. Działa wszystkie, obóz wszystkich, dostatki nieoszacowane dostały się w nasze ręce”... I następuje ów kapitalny opis, pełen nieoczekiwanych szczegółów, tak iż żal byłoby że całego nie można przytoczyć, gdyby nie to że ów list najczęściej był cytowany i reprodukowany.

Dalszy bieg wypadków też jest znany: niewdzięczność i pycha uratowanego władcy, prima aprilis austriackiego sojuszu (nie pomogło antydatowanie traktatu dniem 31 marca!), tragiczne położenie armii polskiej, ogłodzonej, szykanowanej, nękaniej przez sojuszników, dziesiątkowanej chorobą... „Jesteśmy teraz tu właśnie jako zapowietrzeni, nikt się tu do nas nie pokaże, a przed potrzebą precyzyjną się było w tak wielkich moich nie można namiotach” — pisze król Jan z goryczą. Do Wiednia ledwie na parę godzin wpuszczono jego bohaterskiego obrońcę, cesarz Leopold zachował się jak cham, nie odklonił się nawet królewiczowi, gdy mu go król Jan przedstawiał; zasługę Sobieskiego rozmyślnie

<sup>250</sup> *exercycje* — ćwiczenia. [przypis edytorski]

<sup>251</sup> *error* (z łac.) — błąd. [przypis edytorski]

<sup>252</sup> *des puissances aeriennes* (fr.) — siły powietrzne. [przypis edytorski]

starano się zataić, wynosząc i nagradzając Stahremberga. Żołnierz polski, kiedy się odbije bodaj trochę od swoich, ginie zamordowany w bójce lub zdradziecką ręką sojusznika. Od upału ludzie i konie padają. „Wszystka prawie starszyzna pochorowała się na dysenterie, z wojska siła bardzo wraca, którym zabronić niepodobna, bo całe a całe tego niewczasu znieść nie mogą” — tak brzmi relacja króla w cztery dni po zwycięstwie wiedeńskim.

A sam król? Pyszny jest. Ten pięćdziesięciokilkuletni, nadmierną tuszą obciążony mężczyzna, najwięcej okazuje hartu, równowagi, spokoju. Wszystko znosi; mimo że tak czuły na chwałę, z godnością ignoruje szykany i upokorzenia, nie pozwoli sobie na to, aby się obrazić i odjechać, mimo że uprawniałoby go do tego niewdzięczność, mimo że sami Niemcy rozjeżdżają się po trochu do domów. Przybył aby spełnić dzieło i chce je spełnić do końca; zawarłszy sojusz, dotrzyma go bez względu na to jak mu się wyplacą. Rzucając niewdzięczny Wiedeń, puszcza się za nieprzyjacielem przez Węgry. I wiecie, jakie ma przy tym troski? „Wć m. s.<sup>253</sup> wiesz jako rad czytam — pisze żonie spod Preszburga dn. 19 września — a poczciwością to moją, Wci m. s. powiadam, żem od samego Raciborza książki w ręku nie miał”. Kochany człowiek!

Niebawem gorsze czekają go opresje. Trochę nieopatrznie odbiwszy się z jazdą od piechoty i artylerii, zaatakowany przez przeważające siły pod Parkanami, opuszczony przez swoje wojsko tknięte paniką, ratując życie i majestat, zmykał aż się kurzyło „samoosiem”, przy czym wierny Matczyński trzymał mu w pędzie głowę, która się telepała. Królowi uciekający tak potłukli boki, to zbrojami, to karwaszami, że w kilku miejscach — pisze — ciało ma jak najczarniejsze sukno. Leżał w namiocie potem bez tchu, siny, aż Niemcom żal go było i wymawiali Polakom, że są niegodni takiego króla, skoro go odstąpili. Bo szlachta, zmykając, powiadała tylko — jak notuje współczesny świadek — że ich życie jest równie drogie, a króla mogą sobie wybrać nowego, gdy ten zginie. Jeden tylko prosty rajtar własną pierśią osłonił króla i życiem to przypłacił. A Sobieski, skoro przyszedł do siebie, już na radzie wojennej zawstydził płochliwych, zapowiadając, że jeżeli wczoraj fortuna była przeciw niemu, jutro „zdepcę ją jako małpę”. I w istocie, w dwa dni później, pod tymi samymi Parkanami odniósł świetne zwycięstwo.

Ale potem znów przychodzą ciężkie próby. Ciągnie to biedne wojsko polskie przez Węgry do kraju. Sobieski nie ma dla Węgrów żadnych wrogich uczuć, raczej sympatię; chciałby unikać z nimi starć, ale postawiony w dwuznacznym położeniu przez nielojalność austriackiej komendy, musi się oganiać partyzantce węgierskiej. Zdobywa po drodze Gran czyli Strigonium, potem Szczin, pcha się wciąż naprzód przez te Węgry, gdzie powiadano mu, że gór nie masz, a tymczasem tam same góry i góry! Zima też coraz cięższa, wojsko skarży się na trudy, chciałoby do kraju, a znów z kraju dochodzą króla wiadomości, że jego wyprawa jest mocno krytykowana. To ci „konsyliarze”, co to „mędrkują, szykując w cieplej izbie kwiczoły na przemiany z kieliszkami, a dyskurując a wojnie i o gościach do Węgień, mapę wspak odwróciwszy”. A najgorsze że i ją, Marysienkę umieli ci konsyliarze przekabacić i podburzają ją przeciw niemu!

No, nareszcie się skończyło. W grudniu spotkali się z ukochaną w Nowym Sączu (stary biograf Marysienki, Dobiecki, twierdzi, że wyjechała tam — zamiast, jak miała bliżej, na Nowy Targ — aby spotkać swego ulubieńca, hetmana Jabłonowskiego), w wilię zaś Bożego Narodzenia r. 1683 odbył się tryumfalny wjazd do Krakowa.

Obyczajowo w tych pysznych relacjach wojennych Sobieskiego uderza jeden rys. Opowiadając widocznie na jakieś obawy ambitnej Marysienki, czy armia polska dość dobrze się prezentuje, pisze król: „Co zaś do tego, aby było koło nas *propre*<sup>254</sup>, assekuruję w tym, że jeżeli nas z tego tylko sądzić będą, tedy nas będą mieli *pour plus riches qu'il ne fut Crésus et pour plus magnifiques de ce siecle*<sup>255</sup>”. I następuje opis przepychów, kontrastujących dobitnie ze skromnością, z jaką — wedle tej samej relacji — noszą się książęta niemieccy, książę saski, Karol Lotaryński. Ci jakby już przeczuli styl „feldgrau<sup>256</sup>”, wybierają się na wojnę najskromniej, najpraktyczniej, podczas gdy Polacy ciągną na wyprawę jak na kar-

Król, Duma, Honor,  
Książka

Żołnierz, Strój, Korzyść,  
Przedmurze chrześcijaństwa

<sup>253</sup>Wć m. s. — skrót od: Waszmość moje serce. [przypis edytorski]

<sup>254</sup>*propre* — czysto, porządnie. [przypis edytorski]

<sup>255</sup>*pour plus riches qu'il ne fut Crésus et pour plus magnifiques de ce siecle* (fr.) — za bogatszych od Krezusa i najznakomitszych w tym stuleciu. [przypis edytorski]

<sup>256</sup>*feldgrau* (z niem.) — jednolity z tłem krajobrazu kolor mundurów polowych: szarawy, zgnilozielony. [przypis edytorski]

nawał, z całym dobytkiem, kosztownościami, z rzędami strojnymi w drogie kamienie. To już moda wschodnia, bo tak samo, jak słych niesie, wezyr turecki wiedzie z sobą nieprzebrane bogactwa. I to tłumaczy po trosze, czemu czysto polityczne wojny z Niemcami lub Szwedami nie nęciły ówczesnej szlachty; obok fanatyzmu krzyża, owo dziecinne niemal pożądanie łupów, zdobyczy, odgrywało w jej psychice niemalą rolę. Aż dziw, ile miejsca zajmują te łupy w listach króla Jana.

Równocześnie uderza kontrast; wspaniała, złotem kapiąca jazda szlachecka — zambiedzona i obdarta piechota. Dzisiejsi historycy zgodnie podkreślają rolę, jaką w tych polskich wojnach odegrał „cham”, bez blasku i bez nagrody. Ale już współczesny świadek Daleyrac pisze, że piechota naga, dająca dowody nieprawdopodobnej wytrwałości i męstwa, jest „zbawieniem armii, której rycerstwo jest tylko ozdobą”. Ten sam notuje nieraz powtarzaną później anegdotę, świadczącą zarówno o losie biednych piechurów jak o fantazji naszego króla. Kiedy mianowicie przed książętami niemieckimi po wspaniałej jeździe przyszło defilować tej obdarłej piechocie niemal w lachmanach, co stwarzało sytuację nieco żenującą, Sobieski, nie tracąc rezonu, powiedział: „Widzicie tu panowie zuchów, którzy ślubowali nosić jedynie suknie zdobyte na nieprzyjacielu. Te lachy, co je mają na sobie, noszą od czasu ostatniego pokoju; zobaczycie ich jak wspaniale wyglądają będą za kilka dni”.

Tak się przedstawia nasz bohater. Nigdy może nie oglądało się go w lepszej formie. Dzielny, przytomny, hartowny a ludzki, dumny bez małostek, naiwny z wdziękiem, pełen humoru — pyszny jest! I wciąż zakochany, i zawsze Celadon. Cóż za kapitalny dokument te jego listy, pisane na gorąco w najcięższych opresjach, tuż po zwycięstwie czy po klęsce. Mimo że Sobieski, w poczuciu ważności tej wyprawy, wziął z sobą — jak mówi pan Pasek — „historyków i aretalogów<sup>257</sup>, żeby jego i narodu polskiego dzieła pisali i głosili”, najlepszym korespondentem wojennym jest tutaj on sam. „List ten najlepsza gazeta, z którego na cały świat zrobić gazetę, napisawszy *que c'est la lettre du roi à la reine*<sup>258</sup>” — poleca, kończąc ów sławny list z opisem zwycięstwa z dn. 12 września. Gdzie indziej dodaje: „to trzeba opisać w gazecie”. Docenia zresztą rolę fachowej prasy: „Postąpić pensję gazetarzowi (w Hadze), aby chciał prawdę pisać” — poleca żonie. Zresztą posługiwanie się jego listami prywatnymi jako „korespondencją wojenną” miało swoje niebezpieczeństwo, bo czasem z listu, z którym się Marysienka obnosiła, dostało się do gazety to co niepotrzebne, np. jakieś poufne szczegóły dotyczące zdobyczy. „Niesłuchanie mnie to poalterowało<sup>259</sup> — pisze żonie Sobieski — że to com chciał mieć w sekrecie, wydrukowano po polsku i jeszcze *excerptem*<sup>260</sup> uczyniono z listu mego do Wci m. s., i jeszcze głupio i ni to ni owo poprzydawano. Dla Boga, wykupić to kazać i popalić, bo mię to niewymownie gryzie”.

Ale istnieje inny jeszcze, jedyny w swoim rodzaju dokument świadczący, jaki w Sobieskim krył się temperament publicysty. Wiemy, że w ostatnim okresie przed wyprawą wiedeńską, orientując się zdecydowanie przeciw partii francuskiej, król kazał przejmować wszystkie listy tak stronników Francji, jak francuskich agentów. Łatwo pojąć, że w tych poufnych relacjach wyczytał niejedną rzecz niemiłą o sobie, którą musiał przelknąć i udać że o niej nie wie. Czasem nie mógł wytrzymać, ręka go świerzbiała do polemiki. Istnieje np. taki przejęty raport agenta francuskiego Baluze, obserwatora szczególnie jadowitego, pokryty na marginesie dopiskami króla, widocznie kreślonymi z wściekłością. Dopiski są takie: „Kłamca i szalbierz! — „Co za bezczelność!” — „Nowe kłamstwo, niech to udowodni!” itp. I teraz, po zwycięstwie, król musiał sobie ulżyć. Dn. 18 września, w kilka dni po bitwie wiedeńskiej, stojąc obozem nad Dunajem, machnął sążnisty anonim skierowany do agenta francuskiego du Vernay, którego raporty również naszemu królowi dosyć krwi napsuły. Ten anonim, pisany nie bezbłędną zapewne, ale żwawą francuszczyzną, przesyła Sobieski żonie z tym poleceniem, aby poprawiła trochę francuski język, podpisała jakimkolwiek nazwiskiem Francuza i przesyłała imć panu du Vernay. Czy on to pokaże swemu królowi czy nie, to jego rzecz; ale „lubo pokaże lubo nie pokaże, przecież się będzie musiał pukać od gniewu i żalu, i przejrzy w swych fałszach i niecnotliwym

<sup>257</sup> *aretalogów* — panegirysta; twórca utworów pochwalnych. [przypis edytorski]

<sup>258</sup> *que c'est la lettre du roi à la reine* (fr.) — że to jest list króla do królowej. [przypis edytorski]

<sup>259</sup> *poalterować* — podenerwować. [przypis edytorski]

<sup>260</sup> *excerptem* (łac. forma B.lp) — wyjętek. [przypis edytorski]

procederze”. I dopiero ten rzekomy Francuz, piórem króla Jana, tak się natrzęsa z niefortunnego dyplomaty:

No i co, drogi panie, powiedz, czy twój król jest dobrze obsłużony i czy pan jesteś zręczny poseł i wierny piastun prawdy? Jak się panu teraz zdają te nędzne zaciągi Sarmatów bez chleba i bez pieniędzy?... Czy król polski stracił coś owego sławnego dnia ze swojej dzielności, ze swojej postawy, ze swojego zwykłego męstwa skroś tego wielkiego pędu od Wilanowa i skroś tych uścisków, pieszczot i włosów królowej, jakieś to fałszywie i złośliwie donosił? Zali oszczędzał swoich skarbów, kiedy szło o chwałę Boga i o dobro chrześcijaństwa, o swoją ojczyznę i o własną sławę?... A Vitry (ambasador), twój kompan równie sprytny, pisał do Francji, że król polski nie myśli o niczym i nie dba o nic poza ciułaniem dukatów... Ja, który ci to piszę, jestem Francuzem z rodu i ze skłonności; jestem tu w wojsku i mam dość swobodny przystęp do króla polskiego, który jest tutaj szanowany, uwielbiany i kochany, tak że każda z nacyj będących przy nim rada by przelać w jego służbach ostatnią kroplę krwi... Pokaż ten list królowi swemu panu, inaczej ja napiszę do niego drugi podobny, aby osądził, czy jest dobrze obsłużony, czy jego ambasadorowie w obcych krajach mówią mu prawdę i czy mu zyskują przyjaciół lub też tracą ich przez swoje głupie postępowanie...

Jeszcze królowi było nie dość; jeszcze dopisał, ale przekreślił, spostrzegłszy się zapewne, że demaskuje swoje incognito: „Nie baw się już w spryciarza, mój chłopczyku, bo wszystko jest odkryte, ani się nie baw w fanfaronady zwyczajne twojej nacji”...

Nie ma co, ulżyło królowi.

Ten element trochę jakby dziecinny, naiwny, zawsze bezpośredni, barwiący korespondencję Sobieskiego, daje jej szczególny wdzięk, rozjaśniając akcentem humoru najważniejsze momenty dziejów. Bohater dowodzący w tej chwili armią ściągniętą z połowy Europy, rozstrzygający może losy świata, uroczy jest w tych listach, gdzie związane i proste relacje wypadków przeplatane są znacznie obszerniejszym sumitowaniem się przed zarzutami żony. Na trzy dni przed bitwą wiedeńską, wielka troska: Marysienka pomawia go cierpko (a Bóg widzi, niesłusznie), że on jej listów nie czyta, że jej już nie kocha. I nic dziwnego, po tylu latach, dzieciach itd. Pomyślcie, jemu podobne zarzuty! „Po tak wielkich dowodach miłości mojej, pomawiać mnie czy się godzi, że listów nie czytam! a ja w największych zabawach swoich najmniej ich trzy razy czytam: raz kiedy przyjdą, drugi raz układasz się, kiedy się uwolnię od spraw publicznych, trzeci kiedy na nie odpisuję. Rachowanie zaś lat pobrania naszego, liczba dzieci, całe nie miała co robić nie tylko w liście ale w myśli. Że czasem nie wiele piszę, och, moja duszo, trzeba było inszym przypisać przyczynom, nie tej którą sobie niewinnie i niesłusznie imaginować raczysz” — odpowiada Sobieski. I tuż potem troszczy się, że ona za rano wstaje, że sobie gotowa w zdrowiu zaszkodzić. „A co do miłości, osądźmy się, moja duszo, kto w niej bardziej ziębnieje? We mnie, jeśli jej lata już nie grzeją, serce jednak i umysł zawsze ciepły, zawsze gorący i jednostajnie kochający. W ostatku, wszak tak się było rzekło, *mon amour*<sup>261</sup>, że też to już miał być *votre tour*<sup>262</sup>, że się od Wci mojej duszy *caresses*<sup>263</sup> zaczynać miały, a w tej *cale*<sup>264</sup> nie dotrzymują słowa. Tak tedy, moja pociecho, swoje winy nie składać na kogo innego”... I już, w noc po bitwie wiedeńskiej, gotując się dalej ruszyć za nieprzyjacielem, już umawia z nią spotkanie w Stryju i — zawsze dobry gospodarz i mający głowę do myślenia o wszystkim — dodaje: „gdzie pan Wyszyński niech każe kończyć kominy i stare poprawiać budynki”...

„Lata już nie grzeją” — pisze Sobieski. Zdaje się, że się spotwarza dobry król. Bo oto wydawcy jego listów co chwila muszą opuszczać zbyt frywolne zwroty, my zaś, obznajmieni już z jego szyfrem miłosnym, wiemy, jak czytać takie tkliwe aluzje, jak — „*la mouche*<sup>265</sup> snadź już zapomniała swego przyjaciela, że i w pomyśleniu przed nią nie po-

<sup>261</sup>*mon amour* (fr.) — moja miłości, moje kochanie. [przypis edytorski]

<sup>262</sup>*votre tour* (fr.) — twoja kolej. [przypis edytorski]

<sup>263</sup>*caresses* (fr.) — pieszczoty. [przypis edytorski]

<sup>264</sup>*cale* (starop.) — całkiem, zupełnie. [przypis edytorski]

<sup>265</sup>*la mouche* (fr.) — muszka. [przypis edytorski]

stoi. Dlatego i on nie śmiał się przypominać, lubo<sup>266</sup> tak tęskni bez jej usługi, że się to śmierci równa”... Albo: „Że mi się zaś zobaczyć tak prędko jakom był u siebie postanowił z Wci m. s. nie przyjdzie, na to umierać będę. Jam sobie był porachował *pour la Conception*<sup>267</sup>, potem na Świętą Łucją<sup>268</sup>, kiedy najdłuższa noc, ale mię to widzę omyli. Zrozumiałem też to z listu Wci s. m. że to jest *contre son temperament*<sup>269</sup> i że sobie w tym gwałt czynisz, kiedy piszesz *de la Duchesse et de la Comtesse*<sup>270</sup>”... (*duchesse* i *comtesse* też należą do specjalnego szyfru Sobieskiego i Marysieńki).

Z niewyczerpaną cierpliwością i czułością odpowiada na rady, jakie mu ona daje na odległość: „Pisz Wć, moja pociecho, żeby wojsko zostawić już, a samemu się wrócić... *Mais vous faites la guerre, mon amour, selon que vous souhaitez*<sup>271</sup>”... Prostuje wszystkie jej rekryminacje, w których mieszają się zabawnie wielkie i małe materie: to w jednym liście donosi mu królowa, że go krytykują w Warszawie za to że wszystkiego po Wiedniu nie poniechał, to znów, że kiedy posłała swój portrecik synowi Jakubowi, król nie napisał, jej czy podobny do oryginału, które to zaniedbanie bardzo się jej wydaje podejrzane: „jam zaś nie tylko odpisał — sumituje się Sobieski — aleśmy to tu wszystkim pokazywali i przyznawali, że nic podobniejszego. Kończysz Wć s. m. na ostatek tem, *que vous etes grandement mal contente de moi*<sup>272</sup>. To takie moje szczęście i moja konsolacja<sup>273</sup>!”.

Ale nie bierzmy tego zbyt tragicznie. Właśnie taka miłość, to danie władzy nad sobą wątpliwej, silnej a wdzięcznej istocie, musiało być potrzebą tej tak męskiej i miękkiej równocześnie natury. Miło mu było to zrządzenie i ta troska o niego. Musiała się np. troszczyć Marysieńka, aby się ten zagrożony apopleksją pasjonat nie irytował, gdyż Sobieski odpisuje jej: „Obiecuję też Wci nie gniewać się, tylko w dzień potrzeby na samych Turków”. Miło mu było w tych twardych „potrzebach”, gdy ludzie naokoło padali z ran i chorób jak muchy, odbierać te listy, w których czytał wymówki i sceny zazdrości, że grał po drodze w karty z jakąś piękną panią. Takie plotki! „W karty, jakom wyjechał z Krakowa, nie grałem nad dziesięć razy, z tym o kim się to rozumie, razów ze trzy, i to kiedy nie było innego gracza”...

Bardziej go drażnią plotki i mędrkowania innych owych „konsyliarzy od kwiczołów”. Za dużo było malkontentom w kraju wspaniałej sławy, jakiej nabył Sobieski; dochodziły też wiadomości o fantastycznych łupach, jakie mu przypadły; za czym krewni tych, co poginęli, „narzekają — pisze Sobieski — że tu swoich potracili nie na usłudze ojczyzny, ale na jakiejś mojej prywacie”. Czego doprawdy od niego chcą? „Chciało się im ligi: jam na to pozwolił. Że ludzie umierają: bo na to się rodzą”. Bo najbardziej Sobieskiego jako starego żołnierza drażnią pretensje o to, że ludzie na wojnie giną. „A cóż też może być cięższego i nieznośniejszego, wyprawić kogoś na wojnę, kazać mu hazardować zdrowie, życie i substancję, a potem kazać mu odpowiadać kiedy kto umrze albo z konia spadnie i jeszcze kłaść kalumnie na poczciwość czyją i mieszać interes, który że żaden nie jest i nie był, świat to widzi i widzieć będzie”.

Musiała w istocie dopieć biednemu bohaterowi ta niewdzięczność swoich i obcych, skoro tuż potem nasuwają mu się pod pióro te słowa, tak nieoczekiwane w jego ustach: „Aleć ja, da P. Bóg, myślę temu wszystkiemu i sobie taki uczynić koniec, jaki jeszcze w imaginacji nie był ludzkiej”...

Podczas gdy poczta wiedeńska króla Jana jest tak obfita, że starczyło jej na całą książkę, listów królowej z tego czasu znamy tylko dwa. „Muy szliczny serdecznie ukochany Jachniczku, jedyny Panie serca mego i duszy pociecho” — taki powtarza się polski nagłówek listów pisanych całkowicie po francusku, bez owych polskich makaronizmów, które tyle wdzięku dodawały dawnym bilecikom pani Zamoyskiej do Celadona. W jednym zaleca mu, aby nie jadł za dużo owoców, zapewnia, że posłała mu pierścioneczek

<sup>266</sup>lubo (daw.) — choć. [przypis edytorski]

<sup>267</sup>*pour la Conception* — na święto Niepokalanego Poczęcia, tj. 8 grudnia. [przypis edytorski]

<sup>268</sup>na Świętą Łucją — tj. 13 grudnia. [przypis edytorski]

<sup>269</sup>*contre son temperament* (fr.) — przeciw jej temperamentowi. [przypis edytorski]

<sup>270</sup>*de la Duchesse et de la Comtesse* — o Księżnej i Hrabinie. [przypis edytorski]

<sup>271</sup>*Mais vous faites la guerre, mon amour, selon que vous souhaitez* (fr.) — Ale ty prowadzisz wojnę, moje kochanie, tak jak sobie życzysz. [przypis edytorski]

<sup>272</sup>*que vous etes grandement mal contente de moi* (fr.) — że jesteś wielce niezadowolona ze mnie. [przypis edytorski]

<sup>273</sup>konsolacja — pocieszenie. [przypis edytorski]

w kształcie serca i że tylko siedzi nad mapą i mierzy odległości. Drugi list, obszerniejszy, nosi datę 3 października: już Marysieńka dostała relacje o zwycięstwie i o wypadkach wiedeńskich. Ogromnie bierze do serca niegodne traktowanie Polaków, afront, jaki cesarz zrobił jej synowi Jakubowi. Sam nuncjusz — pisze królowa — był oburzony; wciąż tylko powtarzał: „Pani synowi coś podobnego! Pani synowi! Takim ludziom jak ja, to jeszcze, ale pani synowi! Co za głupota!”. Łzy miał w oczach dobry nuncjusz, ale mówi, że to nic, że trzeba, aby król nie zważał na to i wytrwał.

Bardzo przejmuje się Marysieńka kwestią łupów; nie może strawić, że „hultaj Gałęcki” przywłaszczył sobie co najpiękniejsze. Za jeden rząd dają mu 24 000 franków! Przecie jeżeli to było w namiocie wezyra, to należy się Sobieskiemu; a jeżeli już nie on miał wszystko dostać, to czyż nie słuszniesze byłoby, aby to dostał — jej brat?... Zawsze ta sama!

Ale bo też łupy nie były dla tych rycerzy rzeczą błahą. Wspomniałem już o tym wschodnim nieco sposobie pojmowania wojny. To była wielka loteria fantowa. Jedne z pierwszych słów w liście Sobieskiego po zwycięstwie, tuż po złożeniu hołdu Opatrzności, to wzmianka o „dostatkach nieoszacowanych”, jakie dostały się w jego ręce. I zaraz przystępuje do wyliczenia, przy czym ma się po trosze wrażenie dziecka, olśnionego choinką. Wezyr uciekł, jemu dostały się po nim wszystkie splendory i tysiąc cacek bardzo ładnych i bardzo bogatych. „Porównania nie ma z Chocimem” — pisze Sobieski, nie licząc się z tym, że te słowa zacytowane przeze mnie zgorszą zapewne niedostatkiem heroizmu jakiego dzisiejszego Podbięte z psich kiszek. „Namioty, wozy wszystkie dostały mi się, *et mille d'autres galanteries fort jolies et fort riches, mais fort riches*<sup>274</sup>, lubo<sup>275</sup> się jeszcze siła<sup>276</sup> nie widziało. *N'y a point comparaison avec ces de Chocim*<sup>277</sup>. Kilka samych sajdaków rubinami i szafirami sadzonych stoją się kilku tysięcy czerwonych złotych. Nie rzekniesz mnie tak, moja duszo — dodaje żartobliwie Sobieski — jako więc tatarskie żony mawiać zwykły mężom bez zdobyczy wracającym, żeś ty nie junak, kiedyś bez zdobyczy powrócił, bo ten co zdobywa w przedzie być musi... Co zaś za delicye miał wezyr przy swoich namiotach, wypisać niepodobna. Miał łąźnie, miał ogródek i fontanny, króliki, koty i nawet papuga była, ale że latała, nie mogliśmy jej pojmać... (Był i struś, ale mu wezyr kazał głowę uciąć, aby się nie dostał w ręce chrześcijańskie).

Czy nie uroczy jest ten Sobieski, uganiający się za papugą, choćby mu niektórzy zgryźliwi historycy mieli przyganiać, że za długo podobno się wojsko zabawiło łupieniem i przez to nie dość wyzyskało zwycięstwo.

Poza tym królowa była posłuszna zleceniom króla, aby stworzyć coś w rodzaju „biura prasowego”. Przeczula nawet dzisiejsze biura prasowe w dość zuchwałym sposobie przinaczania prawdy. Tak np. towarzyszył królowi syn jego, szesnastoletni Jakub — „Fanfanik” — i zachowywał się dzielnie. Młodszy Aleksander miał dopiero sześć lat i został oczywiście w domu, tylko chorągiew jego imienia walczyła. Zadowolony ojciec donosi o dzielności Jakuba, a zarazem o tym że „Minionek (Aleksander) ma się z czego cieszyć, bo jego chorągiew wezyra złamała i sławę największą u wszystkiego uzyskała wojska”. Ale Marysieńka już robiła między synami tę różnicę, która później miała tyle szkody przynieść domowi Sobieskich: Jakuba nie lubiła, a Aleksander był jej ulubieńcem. Zdaje się, że podłożem tej różnicy była okoliczność, dla nas dość dzika, ale dla ówczesnych ludzi całkiem zrozumiała: mianowicie Jakub był synem tylko hetmana polnego Sobieskiego, gdy Aleksander urodził się już na tronie. Dość że Marysieńka dopuściła w biuletynie rozmyślnej omyłki w imieniu, wysyłając na Europę wiadomość, że syn króla, Aleksander, walczył mężnie przy boku ojca...

Są w tej korespondencji dyskusje rozkoszne swoim kontrastem z doniosłością wydarzeń. Tak więc Sobieski, jak się zdaje, nieraz wyrzucał Marysieńce, że kiedy przychodzą jakieś nowiny i jest w nich mowa o wojnie, ona nie słucha uważnie. To prawda, kiedy jesteś przy mnie, mam oczy i uszy tylko dla ciebie — odpowiada przymilnie, wiedząc, czym

Przedmurze  
chrześcijaństwa, Korzyść

Syn, Ojciec, Matka, Pozycja  
społeczna, Wojna, Sława

<sup>274</sup>*et mille d'autres galanteries fort jolies et fort riches, mais fort riches* (fr.) — i tysiąc innych drobiazgów wiele ładnych i wiele drogich, ale to ogromnie drogich. [przypis edytorski]

<sup>275</sup>*lubo* (daw.) — choć. [przypis edytorski]

<sup>276</sup>*siła* (daw.) — dużo, mnóstwo, moc. [przypis edytorski]

<sup>277</sup>*N'y a point comparaison avec ces de Chocim* (fr.) — nie ma porównania z tymi z Chocimia. [przypis edytorski]

go ugłaska. Ale teraz — pisze — niesłusznie twierdzi, że ona jest obojętna na tę wojnę. Przeciwnie, wszystkim się interesuje, czyta wszystkie listy, nie tylko jego, ale i wszystkie inne, mimo że wciąż powtarzają jedno i to samo. Wszyscy są znudzeni tą wyprawą, a ona słucha z ciekawością. Kiedy Dupont przyjechał z obozu i proszono go, aby objaśnił bitwę pod Wiedniem i jak były ustawione wojska, niech sam Dupont powie, że ona najuważniej słuchała, uważniej niż sam hetman, który zaczął w końcu pozierać gdzie indziej, mimo że to należy do jego obowiązków. I z pewnością, gdyby przyszło opowiedzieć, ona by to lepiej zrobiła niż *le Grand Général*<sup>278</sup>, z wyjątkiem *les gros mots*<sup>279</sup>, których może nauczył się *par routine*<sup>280</sup>, aby się zdawało, że jest biegły w swoim rzemiośle...

Tak, w tych rzeczach ta straszliwa Marysieńka była nieodparta. Kochanka raczej chłodna, ale zdolna utrzymać Celadona w ciągłym pogotowiu serca, zrzędna, dokuczliwa, umiała — kiedy chciała — być jego mamusią, jego błazniakiem, jego przyjacielem. Czuć, jak się Sobieski rozchmurza, jak topnieje, mimo żołnierskiej ironii tego zapytania, kiedy mu coś w liście napaplała, jak powiedziała staroście Kowalskiemu, że pójdzie sama na czele żołnierzy swojej kompanii: „którzy to tak szczęśliwi będą *soldats*<sup>281</sup>, i która kompanja co ją *Wć* zowiesz *la Vôtre*<sup>282</sup>?” — pyta jej Sobieski.

Mamy i listy królewicza Jakuba do matki. Bardzo dobrze wychowany chłopiec, pisze jak na imieniny. Tuż po bitwie pod Parkanami (drugiej), śpieszy matce „powinszować wiktoryi po tak wielkim wstydzie”. Po czym w *post scriptum*, podaje drobne wiadomości: „Krótko opowiem, że Karę Machmet Baszę zabito. Ali Baszę i sylistryjskiego paszę żywcem pojaliśmy na miejscu zabitego pana wojewody pomorskiego. Połowa Turków potopionych. Dziś pierwszy meczet turecki na chwałę bożą spalimy”...

Po czym bez żadnego przejścia dodaje: „Jeżeli śmiem, proszę W. K. Mci żebyś mnie ekskuzowała przed dziadziusem, że nie piszę”...

Grzeczne dziecko. Taka była szkoła młodego królewicza. Szkoda, że z niej nic nie wyszło.

Bo w całej tej korespondencji na tle wyprawy wiedeńskiej widzimy Sobieskiego jako najczulszego ojca. Każdy list kończy się dziećmi. Cieszy go Jakub, „*brave au dernier point*<sup>283</sup>, na piędz mię nie odstąpił”; nie bez mile pogłaskanej próżności donosi, że z młodym księciem bawarskim Fanfanik jest „jako brat z bratem, zdobycze mu swoje rozdaje ostatnie”. Przejmuje go afront wyrządzony przez cesarza, kiedy mu sprezentował syna, a cesarz w znanej scenie nie sięgnął nawet do kapelusza, „na co ja patrząc — powiada Sobieski — ledwiem nie zdrętwiał”. I o Minionku nie zapomina i wie gdzie dla niego konia tureckiego, i cieszy się z fantazji Murmurka czy Amorka (Konstantego), który „bije wściekle biednego Aleksandra” i wciąż pyta się o powrót ojca, a kiedy ciotka zapowiada, że pojedzie do króla Jana, on odpowiada nadąsany: „Nie pójdiesz! Nie zmiszlaj!”. Pamięta też Sobieski o córce Kunegundzie, którą w listach — wedle dawnego tekstu Raczyńskiego — zowie „Purpurienką”, co jakoś nie bardzo licowało ze zwykłą prostotą króla Jana. Jak też sumienny Helcel skorygował w swoim wydaniu (1860), że to nie „Purpurienka”, ale po prostu Pupusieńka. Zostańmy przy Pupusieńce: aby przydać Sobieskiemu wątpliwej purpury, nie ujmujmy mu jego poufałego wdzięku. Zwłaszcza że ta wyprawa wiedeńska, ten krwawy kulig, huczne i świetne weselisko z *la Gloire*, to jest ostatnia radosna chwila w życiu króla Jana. Odtąd same chmury zaciemnią jego schyłek.

## XIX. ETYKIETA

A teraz, kiedy nasz bohater dokończył bojów i z obiema rękami pełnymi sławy i zdobyczy zjechał się ze swoją ukochaną „w porze kiedy noc najdłuższa”, skorzystajmy z chwili wytchnienia, aby się przyjrzeć, jak wyglądał dwór tego króla z bajki. To pewna, że był niebanalny; wycisnęła na nim piętno nie tyle tradycja, bo sam wybór Sobieskiego był jej przełamaniem, ile indywidualność króla-szlachcica, królahet-mana, króla-Celadona wreszcie. Ceremoniał tego dworu robi po trosze wrażenie takie, jak gdyby Sobieskiego,

<sup>278</sup>*le Grand Général* (fr.) — tu: hetman wielki. [przypis edytorski]

<sup>279</sup>*les gros mots* (fr.) — grubiaństwa. [przypis edytorski]

<sup>280</sup>*par routine* (fr.) — z nawyku. [przypis edytorski]

<sup>281</sup>*soldats* (fr.) — żołnierze. [przypis edytorski]

<sup>282</sup>*la Vôtre* (fr.) — Waszą. [przypis edytorski]

<sup>283</sup>*brave au dernier point* (fr.) — w najwyższym stopniu odważny. [przypis edytorski]

Przedmurze  
chrześcijaństwa, Religia,  
Wojna

Ojciec, Król, Dziecko

przy jego korpulencji, ubrać w trykoty: nigdy nie wiadomo, gdzie trzasa. Majestat, to jest fach, do którego zazwyczaj pomazańcy się rodzą i do którego zaprawiają ich od dziecka; pięćdziesięcioletniemu szlachcicowi mogło być ciasno w jego formach. Wyuczy się, zdolny jest, ale nigdy nie zdoła spętać prawdziwej swojej natury.

W jednym z listów pisanych z Żółkwi w r. 1682 — w ósmym roku panowania — Sobieski skarży się Marysienke, że mu „wygodziła miłym księciem podkanclerzym”, który ledwie wszedłszy, upominał się o audiencję. „Zaprowadziłem go na winnicę i upoiłem — pisze król — aby zapomniał powtórną, której się jeszcze napierał. My co trzeźwiejsi jechaliśmy w pole; on lubo się ledwo na koniu osiedzieć mógł, też za nami. Miasto tedy tego cobym się miał cieszyć i szczuć, tom tylko uciekał od krzaku do krzaku przed nim. Bo byłem tylko na moment stanął, to zaraz — audiencja! Mówiłem po kilkakroć, że teraz dał psom gończym audiencję; nic to nie pomagało. Na ostatek przecie dawszy pokój już i myśliwemu, skryłem się tak dobrze że mię nikt nie znalazł. Napadł tedy na pana koniuszego, który się niepodobnym gniewał sposobem. Pan koniuszy znowu go nawiódł na mnie, i tak jużemy z pola zjechać musieli, a on w kawalkadę przede mną harcował. Chciał mię koniecznie odprowadzić do zamku, alem mu się kształtnie skrył. Ale on przecie po trzeźwu i po pijanemu mi jutrzejszą grozi audiencją. To taka moja niewola i taki tu wczasik!”

W ten sposób przyjmował król specjalnie doń przybyłego ministra stanu. Co prawda, rada stanu była na tym dworze inna; wszystko rozstrzygało się w pokoju Marysienki, w poufnych między nimi dwojgiem rozmowach; audiencje dygnitarzy były dość uprzykrzonym dodatkiem i reprezentowały raczej prywatne owych dygnitarzy interesy.

Bądź co bądź, z tego tak żywego obrazka można by wnosić o królu-szlachcicu żyjącym za pan brat ze swymi poddanymi bez wszelkiego ceremoniału. Toteż zaskoczy nas taki np. ustęp z listu biskupa Załuskiego do dawnego lekarza przybocznego króla Jana, Anglika O’Connora: „Król umiał powagą swoją trzymać na wodzy szlachtę polską. Najpierwsi panowie z wielkim dla niego byli uszanowaniem, żaden z nich nie siadał z królem do jednego stołu, król sam jadał, oni stali, podając mu kubki i kielichy i odpowiadając gdy zapytał. Żaden nie śmiał mieć przy nim kołpaka na głowie, co mnie nie pomału<sup>284</sup> dziwiło”...

I nas to niemniej zaskakuje. To już etykieta niemal hiszpańska! Jak pogodzić te dwa obrazy? Można by rzec, że inna rzecz łowy, a inna życie dworskie; a także i to, że panowanie króla Jana trwało dwadzieścia lat z górą; w miarę jego trwania obyczaj może się zmieniał, ceremoniał się doskonalił. Mogło to być w związku z dynastycznymi marzeniami króla; może sarmacki jego humor naginał się w tym — jak we wszystkim — do życzeń ambitnej i od dziecka na dworze chowanej Marysienki.

Że ona pracowała nad umajestacieniem ich królewskości, dowodzi choćby genealogia, jaką sobie kazała sporządzić, znalazłszy się na tronie. Życzyła sobie pochodzić od Ludwika Kapeta; ale heraldyk poszedł w gorliwość swojej jeszcze dalej. Nie osiągnęło to w Polsce zamierzonego skutku. Tak, z okazji małżeństwa siostry królowej, panny d’Arquien, która wyszła za Wielopolskiego, wierny *Djablonowski* wygłosił toast, w którym rozwiódł się nad genealogią królowej, świeżo — jak pisze złośliwy korespondent — nadeszłą z Paryża, a wywodzącą ją od... Karola Wielkiego. Na co pan Lubomirski, przemawiając imieniem pana młodego, z głupia frant oświadczył na wstępie, że nie będzie wywodził dawności jego rodu, bo takie zamierzchłe splendory bywają często bajką, ale będzie mówił o jego dziadku i ojcu, których wszyscy tu znali i w ten sposób będą wiedzieli, że to jest prawda, co mówi...

Oto epizod walki między zakusami świeżego majestatu a butą szlacheckiej równości. Bo zważmy, że jak ta genealogia, wszystko było tu improwizacją. Po Jagiellonach, po Wazach, nawet po królu Michale, synu udzielnego niemal księcia, żonatym z arcyksiężniczką austriacką, która mu wniosła w posagu swoje koligacje i wiedeńską etykiety, ten świeży dwór miał szczególnie trudne zadanie. Widzieliśmy, jak braki królewskiej kancelarii zaciążyły przez fatalną „sprawę Brisacier” na stosunkach z Francją. Ambasador francuski, biskup belowaceński, pisze: „Nie ma na tym dworze żadnego regulaminu, żadnego urzędnika, nie ma żadnego sekretu”. Inny francuski agent podrwiwa sobie z tych porządków,

Dwór, Polska, Obyczaje,  
Pozycja społeczna

<sup>284</sup>nie pomału (daw.) — niemało; bardzo. [przypis edytorski]



wedle których wysła się grzecznościowe pisma do monarchów od trzech lat spoczywających w grobie. A mimo to, pewną jest rzeczą, że nigdzie może tyle nie zajmowały miejsca kwestie etykiety, co na dworze króla Jana.

Przyczyna tego jest zrozumiała. Król z rodu i z bożej łaski zastaje wszystko uporządkowane, każdy z członków rodziny czy z dygnitarzy ma swoje właściwe miejsce, każda sytuacja jest mniej więcej przewidziana. W razie jakichś wątpliwości lub sporów są tradycje i są spece do ich interpretowania. Tutaj przeciwnie, wszystko było nieprzewidziane i wymagało doraźnych rozwiązań.

Przypatrzmy się składowi królewskiej rodziny, a już ujrzymy, ile się z niego mogło rodzić trudności. Król miał siostrę, podkanclerzynę litewską, Radziwiłłową. Wedle ustaw krajowych była tylko podkanclerzyną; charakter siostry króla nie zapewniał jej żadnych przywilejów, do których — rzecz dosyć zrozumiała — rościła sobie pretensje. Siostra królowej, margrabina de Béthune, była żoną ambasadora Francji przy dworze polskim, a ten podwójny charakter rodził znowuż inne komplikacje. Do tego zjawia się ojciec królowej, dla którego żadna ranga nie wydawała się córce zbyt wysoka, ale który urzędowo w Polsce był niczym. Niejasna była i sytuacja synów króla, niby to „królewiczów”, ale bez wyraźnych praw. A i ci synowie nie byli równi między sobą: pierworodny, którego forytował ojciec jako najstarszego, był upośledzony wobec młodszych tym, że się nie urodził na tronie. „Faktem jest — pisze współczesny świadek — że Polacy nie uważają go za syna króla, ale za syna wielkiego marszałka”...

Widzimy, że mistrz ceremonii miałby od czego osiwieć z kłopotów. Wybuchaly też raz po raz sprawy, które toczyły się miesiącami, latami niemal, z koniecznością odwoływania się do obcych dworów.

Jednym z takich długo toczących się konfliktów była sprawa między siostrą królowej panią de Béthune a siostrą króla Radziwiłłową, która z nich ma mieć pierwszy krok i miejsce. Pani de Béthune była ambasadorową, chodziło tu o *prestige* Francji, toteż jej mąż nie chciał się zgodzić na żadne ustępstwa. Królowa nie lubiła siostry; nie lubiła co prawda i szwagierki, która odpłacała jej wzajemnością. „Siostra króla nienawidzi śmiertelnie królowej, która ze swojej strony sądzi, że ją ma w ręku, odkrywszy że się puszcza” — donosi agent francuski swemu ministrowi, bo wszystko w owym delikatnym momencie frankopolskich stosunków nabierało politycznej wagi. I jeżeli królowa popiera w tym wypadku pretensje szwagierki, grała w tym z pewnością rolę chęć upokorzenia dumnego Ludwika XIV w osobie jego ambasadora.

Pan de Béthune jest w poważnym kłopotcie; odwołuje się do swego monarchy. Jakże to, pani Radziwiłłowa jako podkanclerzyna ustępuje kroku wszystkim żonom senatorów, a ambasadorostwo Francji mają ustąpić jej kroku? A któż zaręczy, że się skończy na tym, że po matce nie wystąpi z podobnymi pretensjami i jej córka, i cała rodzina? Całą obszerną korespondencję wypełnia ta sprawa, dość leniwo traktowana przez dwór francuski, bo Ludwik XIV, niezmiernie dbały o najdrobniejsze szczegóły etykiety u siebie, niezbyt interesował się miejscem, jakie zajmie przy stole ambasadorowa na tym dość egzotycznym dworze jego pensjonariuszy. Znudzony odpowiada za każdym razem swemu przedstawicielowi, aby nie robił trudności i aby się stosował do miejscowych zwyczajów. Ba, kiedy właśnie nie ma tu tych zwyczajów! Nawet powołanie się na poprzedniego króla nie rozstrzyga, bo król Michał nie miał siostry, tylko matkę.

Królowa wygrywa w danym momencie silną kartę: — nuncjusza papieskiego. Wpływa przez króla na nuncjusza, aby ustąpił pierwszeństwa siostrze króla. Ponieważ ambasador francuski siada po nuncjuszu, tym samym sprawa pani Béthune byłaby pośrednio załatwiona. Ale rzecz jest za poważna, aby ją nuncjusz sam mógł rozstrzygać; musi się odwołać do Rzymu. Póki nie przyjdzie odpowiedź z Rzymu, wszystko zostaje w zawieszaniu — w formie walki podjazdowej między damami.

W końcu, po długich oczekiwaniach, nadchodzi odpowiedź. Rzym się godzi. Ale zjawia się nowa trudność: znany już „pan teść”. Ponieważ siostra królewska ustępuje miejsca panu d'Arquien, królestwo chcą, aby tym samym i nuncjusz mu go ustąpił, godząc się na trzecie miejsce i spychając ambasadorowa Francji na czwarte. A zważmy że papa d'Arquien jest poddanym francuskim. Ale nuncjusz staje dęba (jeżeli wolno się tak wyrazić): Rzym — powiada — zgodził się ustąpić siostrze króla, nie było jednak mowy o ojcu, na tym punkcie nie może być żadnego kompromisu.

W rezultacie, kiedy wśród tego królestwo wyprawili wesele córce wojewody ruskiego, i nuncjusz, i ambasadorostwo francuscy woleli się nie zjawić, chcąc uniknąć drażliwej sytuacji. Pan de Béthune jeszcze raz pisze do swego monarchy, rysując stół, komentując, gdzie kto ma siedzieć i prosząc o decyzję. Zwraca uwagę, że papież zrobił tu ustępstwo, jakiego nigdy król Michał nie mógł uzyskać dla swojej matki. Ambasador przypuszcza, że papież zrobił to, aby sobie ująć króla Jana i skłonić go do wojny z Turkami.

Bo cechą tych spraw etykiety jest, że poza dziecinnymi na pozór błahostkami kryją one doniosłe rozgrywki polityczne. Taką rozgrywką była cicha walka, jaką prowadził król o miejsce dla królewicza Jakuba. Król korzysta z każdej sposobności, aby pokazywać syna, aby go sadzać przy sobie pod baldachimem, chce naród oswoić z tym, że to ma być jego następca. Ale spotyka się z oporem, jak wszelki cień zamachu na wolną elekcję. Tak na procesji w oktawę Świętego Sakramentu, królewicz — oczywiście na rozkaz króla — wysunął się przed króla idącego w asystencji dwóch biskupów. Natychmiast marszałek Lubomirski, który szedł z podniesioną laską przed królem, opuścił laskę i nie chciał jej podnieść. Królestwo wrócili z procesji bardzo zirytowani, królowa zwymyślała marszałka od młodzików, na co on odpowiedział, że jest może młody, ale zna swoje obowiązki i wie, że ma laskę podnosić tylko dla króla. Wzięto arbitrow, sięgnięto w dawne panowania, ale okazało się, że nie ma wytycznej, bo żaden z trzech ostatnich królów nie miał podrosłego syna, a czasów króla Zygmunta nikt nie pamiętał... Znów luka w etykietce! Mimo to, król nadal starał się wysuwać syna i wściekły był, kiedy papież zamianował dwóch biskupów kardynałami, bo nie było sposobu w czasie wielkich uroczystości wysuwać królewicza przed tych książąt kościoła.

Z jednym przynajmniej nie robił sobie król Jan kłopotu; z tym, co znów było największą łamigłówką dworu Ludwika XIV — z nieprawymi dziećmi. Nie aby mu ich brakło, jak się okazuje z zapisków jego przybocznego lekarza O'Connora: „Miał on także dzieci z nieprawego łoża, o które nie więcej dbał jak dbają o nie w Polsce i gdzie indziej” — pisze ów lekarz. Mimo woli zapytujemy, do jakiego okresu odnieść te dzieci, czy do czasów „przedmarysieńkowych”, czy też do owych późniejszych, kiedy Celadon, mając już za sobą heroiczną epokę swojej miłości, korzystał może ze słynnej *carte blanche*, której mu w tym okresie Marysieńka mniej zapewne rada była udzielić?

Nie sądzę, aby istniał zbyt ni kontrast między drobiazgowymi kwestiami etykiety a innymi rysami obyczajowymi tego dworu, które uderzają nas swoją brutalnością. Oto pokłósie z jednego tylko raportu francuskiego agenta i z jednego dnia zabawy. W czasie wesela którejś z dworek królowej, podczas gdy król tańczył, dworzanin wojewody ruskiego ciał drugiego szablą w głowę. Sprawa gardłana, ale pewno skończy się na niczym... Tegoż dnia z ulicy jacyś zuchwalcy wybili szyby kamieniami, tak że kamienie wpadały do sali balowej. Tegoż dnia wojewoda braclawski Jabłonowski i marszałek dworu Sieniawski nawymyślali sobie przy królu i omal się nie pobili; poszło o jakiegoś dworzanina wojewody, który jakoby obraził marszałka. Nazajutrz przy uczcie, podczas gdy król siedział przy stole, marszałek dworu, widząc tegoż dworzanina, wyrznął go w łeb maczugą, tak że ów ledwie schyliwszy się wziął w kark i uszedł śmierci. Marszałek wyszedł, król kazał dworzaninowi przydać wartę, aby go ochronić; za kwadrans marszałek wrócił i siadł do stołu jakby nigdy nic. I w istocie któż mu mógł coś powiedzieć wobec tego, że do przestrzegania porządku był właśnie on, marszałek dworu...

I o tej stronie obyczajowej nie można zapominać, myśląc o owych dawnych czasach. Inaczej obraz byłby bardzo fałszywy. Pełen subtelnych uczuć Celadon, rycerz, który w uciążliwym marszu ubolewa, że od kilku dni nie miał książki w ręce, który z obłąkanego obozu dopomina się o farby do malowania, czuły ojciec, ludzki pan żałujący uciśnionych chłopów („a cóż biedni kmiotkowie winni” — wykrzykuje Sobieski na wieść o ich ciemieniu i rabowaniu przez szczególnie ciężką armię litewską), był równocześnie dzieckiem swego wieku i swego kraju, bliski przy tym tego Wschodu, na którego modę rad stylizował swój strój i sprzęt wojenny. Nie jest się bezkarnie sąsiadem ludu, gdzie za łada przewinienie sypią bambusy w pięty. I gdybyż w pięty! Wiecznie cytuje się z rozczuleniem sławną „wydrę króla Jana” jako dowód jego dobroduszości. Wyznaję, że mnie zawsze dreszczem przejmuje ta historia, wedle której żołnierza, co przez nieświadomość zabił jego ulubioną wydrę, król skazał na śmierć, a ubłagany przez biskupów i przez spo-

Dwór, Dworzanin, Polska

Dwór, Przemoc,  
Okrucieństwo

wiednika „złagodził” mu karę na piętnastokrotne przegonienie przez pułk wojska z kijami, a to wynosiło przeszło 20000 kijów. Padł też biedny żołnierz zatłuczony kijami, wydra zaś przeszła w słodkim sosie do wypisów szkolnych. Ale daje ona niejakię prawdopodobieństwo relacjom agenta francuskiego, pana Baluze, którego złośliwy język wymaga skądinąd dość znacznej korektury. „Królowa kazała zbić pod swoimi oknami kogoś ze służby bardzo mocno — donosi Baluze swemu ministrowi; — mimo że to jest obyczaj kraju, nie robiono tego tak na oczach wszystkich; może to przykład króla, który postępuje w ten sposób, nawet porucznika gwardii urządził tak, że się nigdy nie podniesie”... — „Król w bardzo złym humorze. Nikt mu się nie ośmiela sprzeciwić, bo znieważa wszystkich bez różnicy”... — „Wielcy panowie skarżą się, że kiedy mają do czynienia z królem, traktowani są gorzej niż fornale”... — „Król znienawidzony jest dla swego tyraństwa. Biję i każe bić okrutnie za najmniejszą rzecz, co sprawia że ma w swoim pokoju tylko ośmiu czy dziesięciu małych Kozaczków, Wołochów i Tatarów”...

Połączyć tę bezkarność z tym „tyraństwem”, tkliwe westchnienia ze świstem bata, przepych i sknerstwo, gnuśność i heroizm, a wszystko razem uczyni ten dwór czymś równie oryginalnym jak trudnym do odcyfrowania.

Ale gdy mowa o życiu dworu, błędem byłoby przykładać do niego miarę pojęć choćby dworu Marii Ludwiki. Inne były warunki. Cechą dworu króla Jana jest, że był niezmiernie wędrowny. Królowa nie lubi Warszawy; mawia, że wolałaby mieszkać gdzie indziej w chacie niż tu w swoim zamku. Król woli być bliżej wschodniej granicy, mieć oko na ruchy nieprzyjaciół, a zarazem — zawsze dobry gospodarz — doglądać swoich majątków. Te wędrowki przeszły w nałóg, królewska para zmienia co chwila miejsce, a osoby bliskie dworu ciągną za nią na wozach. Kłopot był w tym, że szlacheckie, nawet pańskie rezydencje Sobieskiego nie były przygotowane na taki użytek. Ulubione Pielaskowice były niemożliwie ciasne; obszerniejszego Jaworowa dziwnie nie lubiono; zjawiali się tam tylko ci, co musieli. Przyczynę tej niesympatii znaleźlibyśmy może znów w raporcie pana Baluze, który ze zwykłą sobie żółciową przesadą donosząc ministrowi o nienawiści, jaką otoczona jest królewska para, pisze że ponieważ koło Jaworowa są kanały, król kazał dla zabawy przerobić mostki na huśtawki i znajduje wielką przyjemność w tym aby patrzeć jak wszyscy wpadają do wody, bez różnicy płci i stanu.

W tę relację najłatwiej jest uwierzyć, tak bardzo jest w stylu dawnych szlacheckich trefności. Ale pojmujemy, że w tych warunkach można było nie lubić Jaworowa.

Przyczyną, dla której dwór króla Jana mógł być niepopularny, było i to że nie odpowiadał on pojęciu dworu jako źródła łask. Działał raczej jako pompa ssąca. Szło się tam po to, aby przynosić pieniądze, nie aby je wynosić. Pod tym względem wszystkie relacje są zgodne. „Sprzedają wszystkie wakanse, biorą od wszystkich, a nie dają nic”. — „Dwór jest opustoszały, bo jedno słowo listu wymieniające sumę więcej robi niż wszystkie nadszkakiwania”. — „Wszystko za pieniądze, nic bez tego”...

Wspominałem już poprzednio, że chciwość i sknerstwo króla trzeba brać z niejaką poprawką; widzieliśmy, jak ku zdumieniu wszystkich sknerstwo to mogło się zmienić w entuzjastyczną ofiarność. Bo pieniądź był w ręku króla przede wszystkim narzędziem politycznym, rękojmią wpływu, władzy, wszystkiego tego, czego mu brakło jako królowi-parwieniuszowi w państwie bez określonego budżetu. Długa kariera pouczyła Sobieskiego, że wszystko się kupuje, sojusze i parantele, największych dygnitarzy korony, głosy na sejmie i ochotników do zerwania sejmu. Obrona kraju była niemal prywatną imprezą królewską. A sekret niejednego odparcia najazdu tatarskiego polegał na tym, że król dawał w łapę Tatarom, aby sobie poszli, i to były najmniej efektowne, ale bodaj że najtrwalsze zwycięstwa. Szczegóły tych manipulacji opowiada świadek ich Daleyrac (wielki zresztą entuzjasta króla Jana), dodając z tej racji filozoficznie, że „mało trzeba przywiązywać wagi do nadzwyczajnych wypadków odległej historii, których ani ukrytych sprężyn, ani okoliczności ani zasad nie znamy”.

A wreszcie grała tu rolę i polityka dynastyczna: król Jan wiedział, jak się robi elekcję i co ona kosztuje; na powtórzenie się cudu z królem Michałem trudno było liczyć; jeżeli chciał przygotować tron dla syna, wiedział, że ten kandydat musi się mieć czym opłacić. Już przebąkiwano o tym, że Jakub zostanie królem za cenę zapłacenia ośmiu lat zaległego żołdu armii. Tak więc, chciwość króla to była nie tylko skłonność osobista, ale i polityczna świadomość doświadczonego człowieka, który wiedział że w szlacheckiej demokracji czy

Dwór, Obyczaje

Pieniądź, Historia, Król,  
Polska, Przedmurze  
chrześcijaństwa

Pieniądź, Król, Żyd, Polska,  
Władza

w oligarchii magnackiej pieniądź jest głównym środkiem działania. Być może, że z czasem gromadzenie to ze środka stało się celem, że stało się namiętnością króla na schyłku życia, kiedy stopniowo odpadły go inne cele. Godny uwagi jest sposób, w jaki lokował swoje kapitały: rozpozyczał je przeważnie Żydom i przez ich pośrednictwo stawał się bankierem całego kraju.

To upodobanie do pieniędzy spotkało się z podobną skłonnością żony, i te skłonności Celadona i Astrei nie tylko się zsumowały, ale pomnożyły przez siebie. Maria Kazimiera wyszła ze szkoły Marii Ludwiki, gdzie handel kwitł na wielką skalę, handel godnościami i sumieniami. Przedajność szarż doprowadziła Marysieńka do szczytu; istotnie nie tam nie było darmo. Sposoby miała wcale pomysłowe, gdy trzeba było robić ceremonie; np. biskupowi chełmińskiemu Małachowskiemu zaproponowała zakład o 50 000 talarów że zostanie biskupem krakowskim; rozumie się samo przez się, że biskup chętnie zakład przegrał, został biskupem i sumę zapłacił. Nie zawsze chodziło o tak wielkie sumy: zachował się list Marii Kazimiery do króla, dość wymowne dający świadectwo tym małżeńsko-gospodarskim rachunkom. „Pamiętaj o kasztelanii połockiej — pisze do męża — dadzą ci 300 talarów, i mnie także. Pomyśl też zawczasu o tem, komu dasz szarżę miecznika, zanim cię o nią poproszą za darmo. Albo zrób sobie przyjaciela, albo niech dobrze zapłacą”...

Ostatecznie można to uważać za formę ustroju finansowego, nie mierząc tego dzisiejszymi pojęciami. Ani budżet państwa nie był wówczas określony, ani rozdział między kasą prywatną i publiczną zbyt ścisły. Tyle jest pewne, że dwór, z którego się nie wyносиło, ale gdzie trzeba było przynosić, że dwór wędrowny na wozach i w zajazdach, nie mógł mieć tego charakteru, jaki się z dworem zwykło łączyć.

I to zapewne było przyczyną, że panowanie tego oświeconego króla znaczy się w ogólnej kulturze kraju głębokim upadkiem. Czasy nie sprzyjały. Jedynie teatr, operowy zwłaszcza, tak wysoko postawiony za Władysława IV, rozbity później prawie całkiem, podniósł się nieco dzięki upodobaniom Marysieńki. Sama bardzo muzykalna, grała na fortepianie; wracającego z wyprawy męża witała podobno marszem tryumfalnym na klawicymbale otrzymanym w darze od cesarza Leopolda. Dbała o kapelę i o balet, sprowadziła trupę włoską; zwłaszcza uroczystości weselne uświetnione były pasterskimi operami. Godnym wreszcie zdarzeniem jest wystawienie *Andromaki* Rasyna<sup>285</sup>, odegranej w r. 1675 — ledwie w kilka lat po premierze paryskiej — i to nie w Warszawie, ale w Jaworowie. Gazeta urzędowa, redagowana przez księdza Brunettiego, donosi że zaraz po tancerzach na linie, którzy dokazywali cudów, domownicy królowej odegrali bardzo znakomicie *Andromakę*, w pięknych dekoracjach i specjalnie zrobionych kostiumach, strojni we wszystkie klejnoty królowej i klejnoty korony, wypożyczone im na tę okazję.

Relacja nie donosi nam, czy grali po polsku czy po francusku; raczej po polsku, skoro w owym czasie powstał polski przekład *Andromaki* Stanisława Morsztyna. Dwie premiery: *Cyd* i *Andromaka*; heroiczna tragedia Kornela<sup>286</sup>, to był styl Marii Ludwiki; miłosny dramat Rasyna — styl Marysieńki.

To pewne, że ta kobieta, w której nie było wielkości, miała w sobie silny motor. Widzieliśmy jak potrząsała największym mocarzem Europy i jak mu pokazała, co znaczy z nią zadrzeć i nie być dość powolnym jej życzeniom. Teraz coraz więcej będzie przejmowała berło polityki z rąk słabnącego i zniechęconego króla. I będzie handlowała urzędami w kraju a zbożem za granicą, będzie spekulowała, ciułała, organizowała balety, maskarady, intrygowała, różniła między sobą i tyranizowała synów, żarła się ze szwagierką i z synową, robiła politykę austriacką, francuską (najrzadziej polską), napełniała Polskę swarami i nienawiściami, sama dość obojętna na to, co o niej mówią i jak ją znoszą. I zawsze piękna „tak białej cery i tak pięknie zakonserwowana, że nie znam damy pierwszej młodości, która by mogła z nią rywalizować” — takie świadectwo wystawia jej nuncjusz Santa Croce w r. 1690. I dodaje, że jest to kobieta bystrego umysłu, umiejąca strzec sekretu, chciwa panowania, zdolna nie tylko grać — jak gra na tym dworze — pierwszą rolę, ale i rządzić sama całym królestwem.

<sup>285</sup> *Rasyn* — Racine, Jean-Baptiste (1639–1699) fr. dramaturg, autor m. in. *Fedry*. [przypis edytorski]

<sup>286</sup> *Kornel* — Corneille, Pierre (1606–1684), fr. dramaturg, autor tragedii klasycystycznych, z których najważniejszą jest *Cyd*. [przypis edytorski]

Tę samą wytrwałość i ten egotyzm wносиła w dbałość o siebie. Może to był jeden z sekretów jej długotrwałego czaru, odbijającego się w intymnych litaniach Celadona do jej „najwdzięczniejszego ciałeczka”? Widzieliśmy jej początki, piętnastoletnią panienkę, która klasztor poznański przewraca do góry nogami, każąc sobie, ku zgorszeniu mniszek, przez cały dzień nosić wodę na kąpiel. Ujrzymy ją jako królowę, kiedy się udała na Śląsk, aby brać kąpiele siarczane. Łazienka była strojna wonnymi kwiatami, muzyka przygrywała harmonijnie, podczas gdy królowa raczyła być w wodzie; a dwie panny dworskie trzymały jej w czasie kąpieli różę pod nosem.

Ta dbałość o siebie, ten „kult ciała”, daje jej dość swoistą fizjognomię, odcinającą się na tle w. XVII, wieku koronowanych brudasów. I kto wie, czy ze wszystkich poufnych dokumentów dotyczących Marysieńki, jakie się przechowały, nie najbardziej godny uwagi byłby przypisek jej pod listem do syna, w chwili gdy królewicz Jakub zabiegał o rękę przebogatej córki Bogusława Radziwiłła. Przypisek ten brzmi: *Ayez soin de votre bouche, car c'est la chose du monde qui nous fait le plus tôt haïr*<sup>287</sup>.

Ta przestroga i ta refleksja są na tle epoki tak egzotyczne, jak egzotyczny byłby Bolesław Chrobry cytujący np. wiersze Baudelaire'a. Nie ma co, Marysieńka to była indywidualność.

## XX. WILANOWSKI RENESANS

Przedmiotem tej pracy jest ona — Marysieńka; niemniej zrozumiałe jest, że raz po raz przesłania ją — On; że co chwila nasze zaciekawienie sprzeniewierza się tej kobiecie i ucieka ku niemu, wyrazicielowi całej epoki naszych dziejów. Epoka niełatwa do rozgryzienia, co najlepiej się wyraża w różnaitości wizerunków duchowych, jakie może sugerować nazwisko Sobieskiego. Dla ogółu, Sobieski to wcielenie zawieszistego sarmatyzmu, to „najdoskonalszy typ szlachcica Polaka ze wszystkimi jego wadami i cnotami”, jak go trafnie charakteryzuje Szujski. Ale czy to wszystek Sobieski? Widzieliśmy, że nie. Widzieliśmy, że przez całe lata — najpiękniejsze lata męskie — Polonus ten zaledwie ćwiertcią duszy żyje na polskiej ziemi, reszta zaś przebywa bez ustanku w „krajnie czułości”, jaką sobie w duchu francuskich romansów jako królestwo dla francuskiej kochanki zagospodarował. Kiedy czytamy jego poufne listy, ten swojak wydaje się nam nagle na tle swego kraju i epoki niezmiernie egzotycznym zjawiskiem. Ale nie na tym koniec sprzeczności. W oczach ogółu, Sobieski to niemal centaur, tak bardzo wyobrażamy go sobie zrosniętego z koniem, żołnierz, rycerz, kawalerzysta, wódz, hetman, konfederat, polityk od biedy; wszystko — tylko nie intelektualista. Tymczasem zajrzyjmy do której z nowszych monografii poświęconych Sobieskiemu: zapoznawszy się z jego znojnym życiem rycerza, czytamy o nim zazwyczaj w końcowej charakterystyce jako o jednym z najwykształceńszych ludzi swojej epoki, człowieku wysokiej i samodzielnej myśli, śledzącym pilnie bieg sztuk i nauk, prowadzącym korespondencję z uczonymi, znajdującym rozkosz w dyskusjach naukowych i filozoficznych o wysokim poziomie... Słowem, jego wczasy wilanowskie, to niby platońskie biesiady, gdzie gromadząc dzieła sztuki, otoczony bogatym księgozbiorem, król Jan zgłębia w otoczeniu wysokich duchów niemniej wysokie zagadnienia myśli.

Przyznaję, że zawsze mnie to zaskakiwało po trosze i że, o ile umiem sobie stopić w jedno Sobieskiego-Polonusa i Sobieskiego-Celadona, o tyle trudniej mi dać sobie radę z tym trzecim Sobieskim, uczonym i myślicielem. To że był człowiekiem bystrym, zdolnym, utalentowanym, rozumnym, że przerastał i w tym względzie swoje otoczenie, że miał temperament urodzonego pisarza, że lubił bawić się książką — to pewne. Ale głęboka wiedza, ale nauka, ale filozofia? — tu już następuje się pytanie, gdzie, jak i kiedy je zdobył, gdzie, jak i kiedy mógł je zdobyć w środowisku, w jakim mu życie przypadło, przy zadaniach, jakie go pochłaniały, przy stylu życia, jaki mu narzucał poziom szlacheckiej masy. To jedno pytanie; a drugie, niemniej następujące się: jeżeli (dajmy na to) Sobieski był tym wszystkim, jeżeli był tym ogniskiem światła i kultury, jak wytłumaczyć, że panowanie tego króla było epoką tak głębokiego upadku myśli, piśmiennictwa, książki — książki która po prostu w tym czasie, jak stwierdza Brückner, jakby pod ziemię się

<sup>287</sup>*Ayez soin de votre bouche, car c'est la chose du monde qui nous fait le plus tôt haïr* (fr.) — dbaj o swoje usta, ponieważ to one ze wszystkich najszybciej mogą uczynić nas wstrętnymi. [przypis edytorski]

schowała! Coś się tutaj nie zgadza, nie klei. I dlatego pozwolę sobie w kilku słowach rozważyć, skąd się wziął ów trzeci, jak gdyby sztucznie doczepiony wizerunek Sobieskiego, jak go pogodzić z dwoma poprzednimi i co można z niego zachować.

Gdy chodzi o królów, trzeba przede wszystkim zawsze potrącić pewien procent panegiryzmu, jaki przechodzi z pokolenia na pokolenie. Cytując panegirzystę króla Jana Kazimierza i jego relację, że „młody król (Jan Kazimierz) uczył się nie tylko nauk wyzwolonych, ale i filozofii, i matematyki, z równą łatwością wszystko obejmując, szczęśliwie się wyuczył”, Kubala robi uwagę, że to znaczy, „mówiąc zwyczajnym językiem, iż uczył się łaciny i rachunków, umiał po niemiecku, rozmawiał trochę po francusku”... Widzieliśmy, że bodaj większy jeszcze procent wypadło nam potrącić w edukacji Sobieskiego, w owocach kilkumiesięcznego pobytu młodego wojewodzica w Paryżu, nie mówiąc o mitycznych sukcesach w salonach księżnej de Longueville i innych. Wszystko to, „mówiąc zwykłym językiem”, wyglądałoby znacznie skromniej.

Wspominałem już, jak obfitym źródłem tych bajeczek stało się dzieło hr. Salvandy'ego o Sobieskim. Złożyły się na to osobliwe warunki. Około r. 1830, w dobie, gdy nasza nauka historyczna ledwie była w zawiązku i nie mogła podolać wszystkim swoim zadaniom, w chwili, gdy naród był tak boleśnie zdławiony i upokorzony, zjawia się to obszerne dzieło — pierwsza niby to naukowa monografia o Sobieskim — dzieło będące entuzjastycznym panegirykiem ku czci naszego bohatera, pisane przez cudzoziemca, przez człowieka, który niebawem zajął pierwsze stanowiska w swoim kraju, był członkiem Akademii, ministrem oświaty itp. Cóż dziwnego, że przyjęto je skwapliwie, że korzystano z niego chętnie i obficie. Łatwo sprawdzić, że korzystano w sposób przekraczający dozwolone granice. Długi czas np. wyrazem rodzimej wiedzy o Sobieskim była obszerna kilkusetstronicowa monografia Leona Rogalskiego, wydana w r. 1847. Rogalski zażywał wówczas znacznej powagi jako historyk i erudyta, wydawca encyklopedii itp. Otóż, w dziele tym Rogalski „odwala” z Salvandy'ego po prostu całe stronicie, nigdzie go zresztą nie cytując; przepisuje np. całą charakterystykę Sobieskiego aż do końcowego ustępu, gdzie np. tak motywuje klęskę panowania Jana III: „Jestże to jeden z kaprysów fortuny, które zdumiewają sumienie? Nie. Jan Sobieski wielki błąd popełnił w swoim życiu, który życiem odpokutował. Kiedy ubiegał się, kiedy otrzymał rękę czarującej Zamoyskiej wdowy, nie upłynęły jeszcze były trzy tygodnie od czasu jak szlachetny Zamoyski” itd. Po czym, przydługi ustęp kończy Rogalski słowami: „Kiedy nierozumna przewaga niewiasty wpływać może na los narodów, czyż dziwić się można, że Bóg ją karze? Historia należycie napisana byłaby obrazem sprawiedliwości niebios” (str. 411).

Wszystkie te bajdy, pytania retoryczne, wykrzykniki, jak i szereg poprzedzających stronic, są dosłownie przepisane z Francuza. Ale na ślady Salvandy'ego natykamy się — i nie tylko u Rogalskiego — zwłaszcza tam, gdziekolwiek jest mowa o kulturze Sobieskiego. Tutaj francuski historyk pływa po prostu w ignorancji i błędzie. Pisze np. iż za Sobieskiego piśmiennictwo w Polsce zakwitło tak, że za jego panowania „wyszło spod prasy więcej dzieł niż przez dwa poprzednie wieki”. Że zakwitła medycyna i historia, że poezja liczyła tłumy adeptów pod wodzą tego bohatera, który umiał i być jej natchnieniem i uprawiać ją. Jeszcze w ostatnich dniach słabnąca jego ręka kreśliła wiersze, równo co do wartości najlepszym utworom poetów polskich swego czasu”...

Tego oczywiście już nawet Rogalski nie powtórzył, niemniej wiele odkryć Salvandy'ego podobnej wartości pokutuje w literaturze tyczącej Sobieskiego dotąd, i dlatego warto temu parę słów poświęcić. Ślad Salvandy'ego można poznać po jego fantazyjnej chronologii. Kiedy np. Salvandy każe Sobieskiemu czytać w obozie w r. 1653 *Prowincjałki* Pascala, które ukazały się w r. 1657, i komedie Moliera, któremu się jeszcze wówczas nie śniło o karierze pisarskiej, to samo powtórzy bez zająknięcia Rogalski, i to samo — te same *Prowincjałki* i komedie Moliera czytane w obozie w r. 1653 — znajdziemy w najnowszej angielskiej książce Mortona o Sobieskim. Wedle Rogalskiego (i zwięźlejszego nieco w tym Mortona) strach pomyśleć, czego nie zgłębiał w obozie młody pan starosta jaworowski:

„Płody wielkich mężów Francji i Włoch przechodziły z niemałym kosztem długą drogę, aby oświecić umysł młodego wojownika, który toczył boje z barbarzyńcami wśród pustych okolic. Z pilną ciekawością zgłębiał on od-

krycia i doświadczenia jakimi służyli w owe czasy: Gassendi<sup>288</sup>, Huygens<sup>289</sup>, Willis<sup>290</sup>, Borelli<sup>291</sup>, Kartezjusz<sup>292</sup>, Harvey<sup>293</sup>, Cassini<sup>294</sup>. Zajmował się także roztrząsaniem sporów religijnych, wyległych wtedy na łonie kościoła: sekty kwakrów, mennonitów, zwolenników piątej monarchii, preadamitów, zapałem wrzały wówczas, równie jak wielka kłótnia jansenistów i wojna Port-Royalu<sup>295</sup>. Uczone pisma Arnauda<sup>296</sup>, Voetiusa<sup>297</sup>, Hersenta<sup>298</sup>, Labadie<sup>299</sup>, sławne listy Pascala przybywały obok tragedyj Kornela lub komedyj Moliera, zając miejsce w podróźnej bibliotece młodego starosty, który dzielił dni swoje między naukę a oręż”.

Cała ta fantazja przepisana jest znowuż dosłownie z Salvandy’ego. W tej atmosferze kształtowała się pierwsza wiedza o Sobieskim, nic dziwnego że do dziś nosi po trochu ślady swego grzechu pierworodnego.

Sądzę, że wszystkie te baśnie można odrzucić w czambuł: Sobieski nie miał czasu, a tym bardziej nie miał przygotowania na takie uczone zabawy. Czytał za młodu, ale romanse francuskie, i uczył się z nich sztuki kochania, którą miał z takim talentem aplikować; bił się kolejno z Kozakami, Tatarami, Moskalami, Polakami, Szwedami i nie troszczył się wówczas o Huygensa, o preadamitów ani o *Prowincjalki*, zwłaszcza że ich jeszcze nie było. Tęgo rodzaju kultury umysłowej, jaką mu wyfantazjował Salvandy — a za nim inni — najprawdopodobniej Sobieski nie miał nigdy, a już z pewnością nie miał jej w tej epoce. Jakie były naprawdę horyzonty umysłowe Sobieskiego? — byłoby ciekawe, gdyby ktoś, wyzwolewszy się od panegirycznych sugestii, umiał na to wyczerpująco odpowiedzieć. Co do mnie, wciąż wertując w toku niniejszej pracy jego listy, notowałem sobie to, co bodaj one mogą nam powiedzieć w tej mierze. Nie mówię o listach pisanych do innych, w sprawach publicznych i prywatnych; w tych Sobieski jest nieodrodnym synem swego czasu i kraju, pisze tak, jak pisał każdy szlachcic w Polsce mający pretensje do dobrego tonu, straszliwym makaronicznym stylem: „*boc unicum*<sup>300</sup> tylko za osobliwe biorę sobie *solacium*<sup>301</sup>, kiedy teraz o dobrem zdrowiu y pomyślnych WXMści successach *felicem* odbieram *nuntium*<sup>302</sup>”. To są epistoły konwencjonalne; ale chodzi mi o listy do niej, o te urocze i tak żywe listy, w których odbija się cała jego dusza, w których opowiada niemal godzina po godzinie swoje życie, o listy do Marysieńki.

Wiemy z nich, że — w pewnym okresie przynajmniej — czytają oboje te same książki, że pożyczają ich sobie wzajem: czytają tak razem *Astregę*, *Cyrusa*, *Kleopatregę*, modne romanse ówczesnej doby. Z tych lektur pochodzą kryptonimy ich obojga: Astrea, Celadon, Sylwander, Orondat itp. Terminologia ta uderza nawet pewnym skostnieniem; po trzydziestu blisko latach, jeszcze spotkamy w liście Celadona lub Sylwandra. Uderzy nas — na co zwracałem już uwagę — jak dalece w listach pani Zamoyskiej z Paryża nie znajdziemy ani śladu wiadomości o jakichkolwiek objawach życia umysłowego, mimo że właśnie w tym czasie Paryż trząsł się od burzy wywołanej pierwszymi sztukami Moliera. Nie zgadłoby się, że to są listy z Paryża, pisane do kogoś mającego tak żywe rzekomo zainteresowania duchowe. Nigdzie na całej przestrzeni listów Sobieskiego nie znajdziemy — poza dwuwierszem Kochanowskiego i aluzją do *Metamorfoz* Owidiusza

<sup>288</sup> Gassendi, Pierre (1592–1655) — fr. matematyk i fizyk. [przypis edytorski]

<sup>289</sup> Huygens, Christiaan (1629–1695) — holenderski fizyk i astronom. [przypis edytorski]

<sup>290</sup> Willis, Thomas (1621–1675) — ang. prof. anatomii w Oxfordzie. [przypis edytorski]

<sup>291</sup> Borelli, Giovanni Alfonso (1608–1679) — wł. fizjolog. [przypis edytorski]

<sup>292</sup> Kartezjusz — właśc. René Descartes (1596–1650), fr. filozof, matematyk i fizyk. [przypis edytorski]

<sup>293</sup> Harvey, William (1578–1657) — ang. lekarz i fizjolog. [przypis edytorski]

<sup>294</sup> Cassini, Giovanni Domenico (1625–1712) — wł. astronom działający we Francji. [przypis edytorski]

<sup>295</sup> Port-Royal — klasztor cysterek; gł. ośrodek ruchu jansenistów. [przypis edytorski]

<sup>296</sup> Arnaud, Antoine (1612–1694) — fr. teolog, stronnik jansenistów. [przypis edytorski]

<sup>297</sup> Voetius — właśc. Gisbert Voet (1589–1676), holenderski teolog kalwiński. [przypis edytorski]

<sup>298</sup> Hersent, Charles (1580–1665) — fr. kaznodzieja, występował w obronie Kornela Ottona Jansena (1585–1638), który wychodząc od nauki św. Augustyna zapoczątkował ruch pobożnościowy zw. *jansenizmem*, kładący nacisk na grzeszność i zło w człowieku oraz głoszący konieczność łaski bożej dla wypełniania przez ludzi przykazań i dojsia do zbawienia. [przypis edytorski]

<sup>299</sup> Labadie, Jean (1610–1674) — fr. teolog kalwiński i mistyk. [przypis edytorski]

<sup>300</sup> *boc unicum* (łac.) — to jedynie. [przypis edytorski]

<sup>301</sup> *solacium* (z łac.) — pociecha. [przypis edytorski]

<sup>302</sup> *felicem (...)* *nuntium* (łac. forma B.łp) — szczęśliwą wiadomość. [przypis edytorski]

— jakiegoś cytatu literackiego. To pewna jednak, że Sobieski chętnie czytywał; wiemy to z jego własnych zwierzeń, czasem z informacji o książkach jakie czyta, czasem z tytułów książek których przysłania żąda. Tak w liście z r. 1668 donosi pan hetman żonie, że mu „pani Denhof pożyczyła kilka książek niesłychanie ciekawych, jako to *les Amours du R<sup>r</sup>*<sup>303</sup> (króla francuskiego), *la vie de la reine Christine*<sup>304</sup>, *la mort de la Marquise de Ganges, autrement madame Castellane*<sup>305</sup>”. Widzimy z tego, że Sobieski miał gusty dość zbliżone do gustów dzisiejszej przeciętnej publiczności, lubił reportaże historyczne, niewolne od ploteczek, jak np. o współczesnych amorach Ludwika XIV. Kiedy indziej prosi o dobry słownik, bo „całe zapomina po francusku”; to znów o gazetę, kilka razy z naciskiem prosi o farby do malowania, aby nimi zabijać czas w obozie. Malarstwem, architekturą, interesował się żywo; — Wilanów sam, założona w Wilanowie szkoła malarska, są tego ślicznym dowodem. To znów prosi żony, aby mu z Paryża przysłała *Dictionnaire théologique, historique, poétique, cosmographique, chronologique, contenant sommairement les vies le plus remarquables des Patriarches, Docteurs de l’Eglise, etc., ensemble toutes les fables avec leur mythologie et explication, etc., etc., comme aussi la description de l’état des Empereurs, etc.*<sup>306</sup> Znowuż lektura przeciętnego konsumenta owego czasu. Podobne zainteresowania znamionuje jeszcze kilka innych tytułów książek, o które nieco później prosi żonę z Paryża. I o ile ten typ lektury — a nawet o parę szczebli wyższy — godzi się dobrze z pojęciem, jakie sobie możemy wytworzyć o hetmanie Sobieskim czy o królu Janie, o tyle dla tych głębokich nauk, jakie mu hojną dłonią przypisują niektórzy historycy, absolutnie przy jego początkowym wykształceniu, przy jego tysiącnych zajęciach, obowiązkowych ucztach, łowach, dramatach sercowych i politycznych, nie dałoby się chyba znaleźć miejsca.

Nie zachwieją tego przekonania istniejące świadectwa. — Że interesował się geografią, kartografią, że mógł poprawiać mapy okolic, które znał z praktyki jak swoją kieszeń, w to łatwo uwierzyć; był przecież świetnym fachowcem wojskowym i sam niejedną raz się przekonał, co to znaczy napotkać góry czy rozpadliny tam, gdzie się człowiek spodziewa równi. Mniej trafią nam do przekonania jego rzekome wyczyny astronomiczne: odwiedzić wieżę astronoma, kuknąć przez lunetę, sypanąć astronomowi setkę dukatów, to należy do *savoir-vivre’u* monarchów. Maria Ludwika ze swoim fraucymerem też odwiedzała tego samego Heweliusza<sup>307</sup>. A że astronom, w zamian za uprzejmość i hojność królewską, mógł pochwalić jego talenty obserwacyjne i nazwał odkryty przez siebie gwiazdozbiór jego imieniem, to też jest w porządku, ale resztę zostawmy panegirystom. O korespondencji króla z włoskimi uczonymi opowiadał nam niedawno w interesującym artykule p. Brahmer; o tym jak król się ucieszył, odebrawszy skrzynię z bardzo uczonymi księgami w tym języku; jak „wybrał (donosi dziękując jego sekretarz Brunetti) natychmiast cztery z nich, aby przed kimkolwiek innym je przeczytać”, znamy nawet tytuły tych książek, ale w dalszym ciągu artykułu dowiadujemy się, że — król prawie nic nie umiał po włosku, więc korzyść z tej lektury musiała być wątpliwa. Ta naukowa korespondencja również trąci *savoir-vivrem* ambitnego monarchy. Królowie mają w tym swoje ułatwienia: list pisze sekretarz, król dodaje sto dukatów, i ma „prasę” zapewnioną, za życia i po śmierci. Toteż od wszystkich wcześniejszych i późniejszych panegiryków nie wiem czy nie najrozsądniej będzie wrócić do trzeźwej formuły starego Korzona: „umysł żywy i bystry, ale nie głęboki, filozoficznie i naukowo nie wyćwiczony”.

A te słynne biesiady platońskie w Wilanowie, które nam do wierzenia podają? Te uczone rozmowy, w których się kochał? Mamy na szczęście zwięzłą relację jednej z nich w pamiętnikach lekarza królewskiego, O’Connora. Opowiada mianowicie O’Connor, jak król, mając przy stole kilku biskupów i tegoż lekarza, wyciąga ich na dysputę, „w której części ciała dusza ma swoje siedlisko”; za czym powstaje na ten temat dyskusja ciągnąca się od trzeciej po południu do siódmej wieczór, przy czym biskupi wykładają naukę

<sup>303</sup>*les amours* (fr.) — miłości, romanse. [przypis edytorski]

<sup>304</sup>*la vie de la reine Christine* (fr.) — życie królowej Krystyny. [przypis edytorski]

<sup>305</sup>*la mort de la Marquise de Ganges, autrement madame Castellane* (fr.) — śmierć markizy de Ganges, inaczej pani Castellane. [przypis edytorski]

<sup>306</sup>*Dictionnaire (...) des Empereurs, etc.* (fr.) — słownik teologiczny, historyczny, poetyczny, kosmograficzny, chronologiczny, zawierający krótkie życiorysy najznacześniejszych patriarchów, doktorów Kościoła itd., wraz z bajkami, ich mitologiami i wyjaśnieniem itd. itd., jak również opisem państwa cesarzy itd. [przypis edytorski]

<sup>307</sup>*Heweliusz, Jan* (1611–1687) — niem. astronom i konstruktor działający w Gdańsku. [przypis edytorski]



wedle Arystotelesa, a król ich „nader dowcipnie opugnuje<sup>308</sup>”. To już, bardziej niż filozofem, trąci szlacheckim gawędziarzem-jowialistą, a jeszcze może bardziej owym królewskim gospodarzem Jaworowa, który mostki na huśtawki przerobił, aby się cieszyć jak goście do wody wpadają. I jeżeli zestawimy ów dykjonarz wszelkich nauk sprowadzony z Paryża i tę dysputę, czujemy się niezbyt już daleko od przyszłych *Nowych Aten* księdza Benedykta Chmielowskiego, „czyli akademii wszelkiej *sciencji* pełnej”. Ku niej szybkim krokiem zmierzała Polska Sobieskiego, poprzedzająca Polskę Sasów. I Sobieski, ten rzekomy czytelnik Kartezjusza i Gassendiego, który może lubił się podroczyć przy winku z biskupami, bez wahania powtarza wiadomości o tym, jak się gdzieś święty obraz pocił i krwawił, wierzy w czary i we wszelkie gusła, w niczym nie odbiegając w tym od psychiki przeciętnego brata-szlachcica.

Ciekawość jego umysłu, potrzebę podniet intelektualnych, stwierdzają liczne relacje. Tylko nie trzeba może przeceniać gatunku tych potrzeb. „Król bardzo ciekaw, lubiący zadawać pytania, bardzo zamilowany w uczonych rozmowach wszelkiego rodzaju, toteż trzeba mu człowieka w rodzaju Ezopa, który by odpowiadał na wszystko” — zapisuje dworzanin królewski, Francuz. „Lubił słodkie rozrywki umysłu, sprawy wiedzy, intrygi republiki literackiej, trzeba mu było *un plastron de conversation*<sup>309</sup>, sawanta do wszystkiego, ale z duszą giętką, uniżoną, poddańczą, znoszącą kaprysy, zniewagi, przykrości, pracę i niewygody”... Takim opatrnościowym człowiekiem okazał się słynny ksiądz Vota, któremu warto poświęcić kilka słów dla samej osobliwości, bo nie jest banalnym zdarzeniem, aby notoryczny agent obcego państwa został sekretarzem króla, jego nieoficjalnym ministrem, i wreszcie w dodatku — spowiednikiem! Trzeba przyznać, że Austria była w osobie księdza Voty dobrze obsłużona. W podróży ksiądz Vota sypiał w potrzebie na ziemi przy królu, aby go nie popuścić ani na moment.

Ten arcyzręczny jezuita, Sabaudczyk z rodu, Austriak z wyboru, zjawił się na dworze polskim, niby to przypadkiem, wracając z Rosji, i potrafił króla tak oczarować, że już go nie opuścił. Łatwy, mowny, obdarzony uniwersalną erudycją i zadziwiającą pamięcią, wytrawny i taktowny w dyspacie, pokrywał wszystkie umysłowe zapotrzebowania króla i stał się tak niezbędny, że król „umierał z nudów kiedy nie miał swego księdza Voty”; w zamian za co ksiądz Vota uzyskał monopol na załatwianie spraw papieżstwa i dworu wiedeńskiego. Próbkę jego stylu mamy w listach pisanych (po francusku) do króla Jana z Rzymu; jest w nich finezja księcia, którą smakowałby Anatole France. Ksiądz Vota pojechał do Wiednia w r. 1693 jako rzecznik różnych nadziei finansowych króla Jana. „Papież — pisze — przyjął mnie jak zwykle z radością. Oznajmiłem mu o straszliwych szkodach wyrządzonych przez Tatarów na Rusi i o żalonym wzięciu w jassy 40 000 dusz. Był bardzo wzruszony, ale sprawa subsydiów nie ruszyła z miejsca, bo odmienił rozmowę”... Ksiądz Vota zagadnął Ojca Świętego w innej znów delikatnej sprawie: „papież podniósł oczy i ręce do nieba”... Audiencja skończyła się „*non sine multis laudibus*<sup>310</sup> W. K. Mości, ale które są, jak te laury rosnące na wzgórzach rzymskich, jedynie liśćmi bez owocu”...

Jezuita wszelkiej *sciencji* pełen, a przy tym obcy agent z jednej strony, paru przybocznych Żydków-faktorów do obracania kapitałami z drugiej, oto patronat tych czasów wilanowskich, czyniący je dość już typowymi wczasami polskiego szlachcica z epoki zmierzchu.

## XXI. KONIEC ROMANSU

Charakter tej pracy pozwala nam nie zatrzymywać się dłużej przy obrazie rządów króla Jana od wyprawy wiedeńskiej aż do ich końca. Smutny to obraz, bardziej może przygnębiający niż doba rozbiorów. Bo wówczas, wbrew ruinie politycznej, jest równocześnie instynkt dźwignania się kraju w innych dziedzinach, są twórcze zadatki na przyszłość, gdy tutaj wszystko cuchnie rozkładem i nawet czyny orężne przygnębiają poczuciem ich beznadziejności.

Kiedy Sobieski wrócił spod Wiednia przez Węgry, potęga turecka była jeżeli nie złamana to straszliwie osłabiona; równocześnie austriacki sojusznik pokazał czego się można

<sup>308</sup> *opugnować* — zwalzczać. [przypis edytorski]

<sup>309</sup> *un plastron de conversation* (fr.) — towarzysz do rozmów. [przypis edytorski]

<sup>310</sup> *non sine multis laudibus* (łac.) — nie bez licznych pochwał. [przypis edytorski]

po nim spodziewać; zdawałoby się, że teraz zwycięski król obejmie okiem nową sytuację i zdecyduje się na linię niezależnej polityki polskiej. Otwierała się możliwość nawiązania dawnych stosunków z Francją, załagodzenia spraw wschodnich. Ale nie: król Jan już się do końca nie wyzwolił z sugestyj krucjaty, z myśli osiągnięcia Turcji w jej własnych granicach, z pominięciem wszystkich innych zadań i możliwości. Raz po raz Polska się krwawiła w chimerycznych wyprawach, których jedyną korzyścią będzie dywersja dla Austrii, pozwalająca Wiedniowi zdławić i ujarzmić Węgry. W r. 1684 powstaje nowa Liga Chrześcijańska, której celem miał być — rozbiór Turcji; niebawem tzw. traktatem grzymułtowskim odstępuje Polska Moskwie Kijów i Smoleńsk wraz z dużym szmatem ziemi, przyznaje jej prawo ingerencji w wewnętrzne stosunki Polski w sprawach wyznaniowych — wszystko w zamian za iluzoryczną pomoc przeciw Turcji; wreszcie oplakana wyprawa mołdawska (1686), przypominająca wyprawę moskiewską Napoleona, staje się grobem sukcesów Sobieskiego i zbrojnych wysiłków Polski. Ogromna armia, wspanialsza od tej, która parę lat wprzód ruszyła pod Wiedeń, dociera aż do Jass, aby oszukana przez sojuszników, szarpana przez Tatarów i tubylców, ciągnąc w odwrocie przez podpalone i w popiół zmienione stępy, ogłodzona, zdziesiątkowana chorobami, dowlec się do Polski, „jak garść szkieletów” — powiadają historycy. „Gdyby nie tysiąc łagodzących okoliczności, musielibyśmy ten czyn jego nazwać zbrodnią, zdradą swego narodu” — powiada tu o Sobieskim tak zwykle umiarkowany Szujski.

Bo jednym ze skutków systemu elekcyjnego było to, że interes króla wcale nie zawsze pokrywał się z interesami państwa. Naczelną ideą i ambicją Sobieskiego było zostawić tron synowi, stworzyć dynastię umocnioną przez skoligacenie się z panującymi domami Europy. Nadzieją małżeństwa z jedną z arcyksiężniczek dla królewicza Jakuba trzymała go na uwieczni Austria. Zdobyć dla syna na Wschodzie jakiś tron, który by mu dał silniejsze stanowisko wobec Rzeczypospolitej, i ten cel również podsycił króla w jego beznadziejnych wyprawach. Tego nielubianego syna wysuwał król przy każdej okazji naprzód, czyniąc go w potrzebie wodzem, ku niezadowoleniu wojska i hetmanów, łudząc się, że mu da w ręce zaszczyt odzyskania Kamieńca. Kiedy król podpisywał (podobno płacząc) fatalny traktat grzymułtowski, miał tę wątpliwą satysfakcję, że w czasie audjencji posłów moskiewskich syn zasiadał przy nim pod baldachimem i na tronie. Ale tylko ten jeden raz. Bo te zakusy dynastyczne króla poruszały przeciw niemu cały naród, który widział w nich zamach na wolną elekcję.

Walka pomiędzy możnowładztwem a tronem wypełnia resztę panowania Sobieskiego, w atmosferze nieufności, spisków, przekupstwa i zrywania sejmów. Trudno o głębszy upadek powagi tronu. Dość powiedzieć, że król porywał się w sejmie do korda na obelgi Paca, tego samego który za młodu porąbał go w pojedynku i który ciskał mu w oczy, że potrafi go jeszcze raz naznaczyć. „Panuj sprawiedliwie albo przestań panować!” — krzyczał królowi w sejmie biskup Wierzbicki, a chodziło o ohydny sprawę Łyszczyńskiego, któremu, za przyczyną niesumiennego dłużnika oraz gorliwości biskupa łakomego kardynałskiego kapelusza, wytoczono proces o ateizm i na podstawie błahych poszlak skazano na wyrwanie języka, ucięcie ręki i spalenie na stosie. Proces ten wywołał zgorznienie w samym Rzymie, papież napisał do króla, że wyrok sfanatyzowanego sejmu był lekkomyślny. Ale król był bezsilny; ledwie zdołał uzyskać tyle, że Łyszczyńskiego ścięto przed spaleniem.

Jeżeli z myślą polityczną króla Jana było w owym okresie słabo, nie znajdzie się już ani cienia tej myśli u królowej. Zresztą u niej zawsze myśl była „personalna” i na krótką metę. Przypadkowo — jak widzieliśmy — ambicje jej ulokowane w osobie ojca i płynąca stąd niechęć do Francji stały się pośrednio narzędziem wielkich wydarzeń. Jak przedtem miłość ojca, tak teraz wypełnia jej życie niechęć do syna. Widzieliśmy różnicę, jaką — zgodnie zresztą z większością opinii narodu — robiła Maria Kazimiera między dziećmi; Jakub był dla niej synem hetmana polnego, Aleksander synem króla; tym samym faworyzowany przez ojca Jakub był dla niej zawadą, prawie przedmiotem nienawiści. Były też indywidualne różnice między tymi synami. Ów od niemowlęcia przez lekarzy merkurium traktowany Jakub był niewydarzony, trochę ułomny, niesympatyczny, podczas gdy urodziwy Aleksander był dumą swojej matki. Pamiętamy, jak przyrządziła biuletyny wyprawy wiedeńskiej, aby czyny wojenne szesnastoletniego *Fanfanika* przypisać wobec

Polska, Szlachcic, Król,  
Religia, Sąd, Okrucieństwo

Europy sześćoletniemu *Minionkowi*. Ta polityka domowa trwa nadal; swary rodzinne zatruwają życie królowi, dochodzi do tego, że pewnego dnia królowa wpada do jego gabinetu i tłucze biust Jakuba stojący na biurku.

Piekielna baba — oto co zostało z dawnej Astrei. A z Celadona? Zdaje się też niewiele. Kiedy wreszcie wiek przygasił jego namiętność, musiała się ujawnić obcość między tym Polakiem a cudzoziemką, która od czwartego roku życia mieszkając w Polsce, do końca cudzoziemką pozostała. Zmęczony król ustępuje jej coraz więcej rządów, liczy się z jej wolą i zdaniem, ale głównie pod kątem świętego spokoju. Ot, przyrzekł kanclerstwo biskupowi Załuskiemu; kanclerstwo wakuje, ale królowa naparła się go dla innego; i król pocziwie prosi Załuskiego: Przyrzekłem ci, prawda, ale ustąp, bo mi baba żyć nie da...

Niechęć królowej do najstarszego syna przenosi się na jego żonę, księżniczkę neuburską, siostrę cesarzowej austriackiej, którą wreszcie dostał Jakub. Posagu miała ledwie sto tysięcy, pięć razy mniej niż musiał dać Sobieski swojej *Pupusieńce*, aby ją wydać za elektora bawarskiego. Honor wystarczał. Ale ten honor, te cesarskie parantele synowej, drażniły znowuż ex-pannę d'Arquien, której bolączką był własny brak pochodzenia królewskiego, ten jej *péché originel*<sup>311</sup>, jak to nazywała w listach do syna. Przy tym, jeżeli małżeństwo zwiększało szanse Jakuba, tym samym odsuwało nadzieje Aleksandra. Zrozumiałe jest, że te rywalizacje przenosiły się na dzieci, którym matka zaszczepiała swoje ambicje i niechęci, ku rozpaczyci ojca. Bo Sobieski był człowiekiem bardzo rodzinnym i rad byłby po ciężarach życia publicznego znaleźć pociechę w zaciszu domowym. Uciekał też od tych swarów na wojnę, na łowy, do ogrodu, albo filozofował z księdzem Vota, ale ta filozofia najdrożej kosztowała Polskę.

Zdrowie jego zresztą podupadało coraz bardziej. Imponujące, co ten człowiek wytrwał, ile jeszcze kampanij odbył wśród ponawiających się ataków choroby. Ostatnia jego wyprawa przypadła na r. 1691; znów jak poprzednie przyniosła parę wygranych bitew, korzystną dywersję dla Austrii i ruinę dla Polski.

Odtąd zaczyna się najsmutniejszy schyłek bohatera. Przeżył swoją sławę, przeżył swoją miłość, nie ziscił nic ze swoich planów i nadziei, wszystko rozsypywało mu się w rękach. Ogarnia go coraz większa obojętność; z urąganiem patrzy na ludzkie zabiegi. Sam, bezwiednie uprzedzając słynne *après moi le déluge*<sup>312</sup>, które włożono w usta Ludwika XV, powtarza ruskie przysłowie: „Niech ogień spali ziemię, niech wół wszystkie wyżre łąki, po śmierci nic o to nie dbam”. „Nie ma na świecie dobrego człowieka, nie ma ani jednego” — mówił Załuskiemu stary kochanek Marysienki. On, który przez pół życia gromadził bogactwa, teraz wybucha gorzkim śmiechem, kiedy mu, za sprawą królowej, ten sam Załuski podsuwał myśl o testamentie. „Za życia nie chcą mnie słuchać, będąż słuchali po śmierci? — powiadał. — Nie ma się komu prawdziwie powierzyć, nikt z nas zepsutych ludzi nie przetrworzy w dobrych. Po co narażać egzekutorów na zgubę duszy, na pokusę niewykonania obowiązku? Raczej pamiętać o zbawieniu własnym i nie troszczyć się o więcej”...

Dnia 17 czerwca r. 1696 powalił go ostatni atak apoplektyczny. W pierwszej chwili nie miał mu kto udzielić pomocy; wszyscy dworzanie byli pijani.

\*

Znane są sceny, jakie nastąpiły po śmierci króla. Królewicz Jakub pośpieszył na zamek, odebrał od gwardii przysięgę wierności, opieczętował skarbiec i przesłał matce wiadomość, że jej na zamek nie wpuści. Musiał ją wpuścić, kiedy nazajutrz przybyła z ciałem męża; pod wpływem zgorznienia ludu upadł nawet matce do nóg i błagał ją o przebaczenie. Nie przebaczyła mu tego nigdy. Kiedy ubierano ciało nieboszczyka, nie chciała wydać korony z obawy, aby jej Jakub nie zdarł trupowi z głowy i nie przywłaszczył sobie. Wierny Matczyński zamiast korony włożył królowi-rycerzowi na głowę hełm. Pochowano go w kościele Kapucynów, zanim w r. 1733 zwłoki spoczęły na Wawelu.

Charakterystyczny dla stylu epoki jest protokół sekcji, podpisany przez trzech lekarzy. Konkretnie szczegóły mieszają się z panegirycznymi dygresjami. Protokół wzmiankuje

<sup>311</sup>*péché originel* (fr.) — grzech pierworodny. [przypis edytorski]

<sup>312</sup>*après moi le déluge* (fr.) — po mnie [choćby] potop. [przypis edytorski]

Filozof, Ksiądz, Polityka,  
Polska

Król, Starość, Zwątpienie,  
Śmierć

Król, Dziedzictwo, Syn,  
Żona, Pogrzeb

brzuch uderzający olbrzymimi rozmiarami, prawie sześciostopowy pokład tłuszczu, „objętość kiszki grubej zaiste zdumiewająca, zgoła ponad zwykłe wymiary”, po czym mówi: „Niektórzy z chirurgów twierdzili, że mózg był nieco suchy, co jeśli tak było przez naturę urządzone, któż dziwić się będzie, że król takim blaskiem umysłu się odznaczał, że cokolwiek mówił, mówił rozumnie, że wreszcie głowa jego mieściła ducha wyższego rzędu”. Stwierdziwszy zmiany chorobowe we wszystkich prawie organach, kończą trzej lekarze tak: „Z tej krótkiej relacji można wywnioskować, ile i jakich przyczyn chorobowych jakby zbiorowo napadających skojarzyło się na zgubę króla godnego nieśmiertelności, skoro śmierć zarówno uderza w królewskie wieże jako i w lepianki nędzarzy”...

Nawet sekcja ówczesna nosiła znamiona baroku.

Nie na zamku skończyła się rywalizacja między synem a matką. Chodziło przecież o skarby, o słynne skarby króla Jana, znajdujące się podobno w Żółkwi. Jakub popędził do Żółkwi, ale zastał już tam hetmana Jabłonowskiego, który opieczętował wszystko imieniem królowej. Zaczęto liczyć skarby i klejnoty, przy czym — jeżeli wierzyć biskupowi Żaluskiemu — mężowie zaufania, wykonawcy testamentu, najwięksi dostojnicy kraju z kardynałem Radziejowskim na czele, ścigali co mogli dla siebie. W ocenie ludzi i zdarzeń trzeba nam pamiętać o epoce, w jakiej się to dzieje.

Wreszcie przyszło do układu między królową a synami. Królowa zgodziła się wziąć ugodowo pięć milionów złotych; ile miała gdzie ulokowanych własnych oszczędności — nie wiadomo. Był już czas zakończyć te gorszące spory, bo zbliżała się pora sejmu konwokacyjnego. Bezkrólewie po śmierci Jana III i elekcję zaliczono do najsmutniejszych kart naszej historii. O ile w poprzednich elekcjach można się było jeszcze dopatrzeć jakichś starć myśli politycznej, o tyle tutaj nie ma już nic, oprócz korupcji i cynicznego przetargu. Wielkie mocarstwa były już znużone tymi polskimi elekcjami, gdzie wszyscy brali pieniądze ze wszystkich stron, a nie dotrzymywali wiary nikomu; toteż, w braku silnej konkurencji, możebne jest, że hojnie synnąwszy złotem, Jakub Sobieski byłby się utrzymał jako następca po ojcu, gdyby działał w zgodnym porozumieniu z matką; ale zadawnione urazy i niechęci wzięły górę i Maria Kazimiera stała się najnamiętniejszą przeciwniczką kandydatury własnego syna. I nawet nie w imię ukochanego Aleksandra. Młodszy synowie Sobieskiego — ci zrodzeni na tronie — nie mieli ambicji politycznych; ustępując pola bratu, wyjechali do Francji, gdzie niebawem matka miała sposobność ślać im listy karzące ich grzeszki młodości. Jeżeli kogo widziała zrazu Marysienka na tronie, to raczej siebie: to ze starym hetmanem Jabłonowskim, to z księciem Vendôme... Ale to były pomysły niemające poza jej fantazją widoków życia.

Realnych kandydatur było kilka. Austria popierała, choć bez zbytniego zapału, Jakuba Sobieskiego, który był szwagrem cesarza. Francja — również dość miękko — dawała do wyboru syna i wnuka Kondeusza, albo księcia Conti. Ale nauczona doświadczeniem, nie szcędząc obietnic, nie kwapiła się z gotowizną; poseł francuski liczył podobno na to, że nienawiść Marii Kazimiery do syna zastąpi w agitacji francuskie pieniądze. W końcu miał zostać królem elektor saski August, poparty przez trzy mocarstwa, te które w niespełna sto lat potem dokonały rozbioru Polski.

Być może, że do tego wyboru przyczyniła się i ona, bodaj negatywnie. Kogo poparła, ten musiał przepaść, tak bardzo w czasie elekcji dała się wszystkim we znaki. Od samego początku. Wbrew przyzwoitości i zwyczajom nie chciała w czasie sejmu opuścić Warszawy, mimo protestacyj posłów, którzy chcieli zatamować obrady, dopóki królowa nie wyjedzie. Nie mogąc pozyskać Francji dla własnej kandydatury, przerzuciła się chwilowo na stronę Jakuba; potem popierała swego zięcia, elektora bawarskiego. Odnalazszy całą swoją zawziętość przeciw Francji, zrujnowała swoimi wpływami kredyt posła francuskiego Polignaca; przyczyniła się (podobno) do zawiązania konfederacji wojskowej, po czym znów wyłożyła znaczne sumy aby pomóc tę konfederację rozwiązać. Straciwszy wszelką równowagę miota się bez celu i sensu, wyświeconą dwa razy z Warszawy, wytykana na ulicy przez dzieci palcami jako „stara intrygantka”. Nawykła tyle lat do wszechwładzy, nie mogła się pogodzić z faktem, że ze śmiercią niedocenianego przez nią *Jachniczka* czar przestał działać. Kiedy, nie wiedząc już, co ze sobą począć, udała się do Gdańska, aby dla odmiany poprzeć kandydaturę Contiego, i tam znalazła drzwi zamknięte. „Królestwo moje nie jest z tego świata” — miała niebawem napisać komicznie zrezygnowana.

Polska, Polityka, Król,  
Władza

Dnia 27 czerwca 1697 r. obrano równocześnie dwóch królów: prymas ogłosił królem Contiego, biskup kujawski Augusta. Oba stronnictwa udały się kolejno do katedry, aby odśpiewać *Te Deum*. Conti, ogłoszony przez prymasa, był może legalniejszy, ale August był szybszy. Zjawił się pierwszy i zajął tron. Conti pokręcił się w okolicach Gdańska i zrezygnował.

Z tą chwilą Marysienka uczuła, że nie ma dla niej miejsca w Polsce. Rzuciła okiem po Europie: najstarszy syn osiadł w dobrach swoich na Śląsku, córka panowała w Bawarii i nie śpieszyła się z ofiarowaniem matce gościny; młodszy lampartował się w Paryżu i nie odpowiadali jej na listy: „Wasza podróż do Francji jest bardzo nieszczęśliwa — pisała do nich. — Zamiast żeby wam wyszła na korzyść, tylko zgubiła waszą reputację. Cóż się z was stało, z młodych ludzi, którzy się zapowiadali tak doskonale? Zapomnieliście prawie o Bogu, rzuciliście się w życie rozpustne i hulaszcze, raczej szukając towarzystwa kome-diantów, śpiewaków i karciarzy niż przyzwoitych ludzi”... Tacy już mieli, ku strapieniu matki, pozostać.

Gdzież się tedy Marysienka obróci? Wzrok jej padł nieomylnie na — Rzym. Zawsze była pobożna, z wiekiem chyliła się ku dewocji. Na tronie apostolskim zasiadał papież, którego samo nazwisko przywodziło na pamięć jej młodość, dwór jej opiekunki, królowej Marii Ludwiki. Bo ten, co nosił imię Inocentego XII, to był dawny nuncjusz Pignatelli, ten sam, który młodej wdowie, pani Zamoyskiej, dawał ślub (ten drugi ślub, oficjalny) z panem chorążym koronnym Janem Sobieskim. Trzydzieści lat temu. Mój Boże, co za wspomnienia, co za spotkanie. Dziś on papieżem, ona królową w żałobie...

Wszystko skłaniało ją do Rzymu. Alboż nie miała ojca kardynałem? Pyszna sposobność, aby go zawieźć z sobą do stolicy apostolskiej, gdzie co prawda do niego nie tęskniono. A wreszcie czyż nie była wdową po zbawcy chrześcijaństwa? Jeżeli pamięć o czynach obrońcy Wiednia nie zawsze wystarczała, aby rozwiązać sakiewkę papieską, można się było spodziewać, że wystarczy, aby zapewnić królowej wdowie zaszczytne przyjęcie. Tym bardziej że wdowa była na razie dobrze zaopatrzona. Wyjechała z Warszawy do Rzymu wielkim dworem. Orszak Marii Kazimiery składał się z kilkudziesięciu ludzi; po zainstalowaniu się, dwór jej liczył wraz z przyboczną gwardią 259 osób. Ustalano z rzymskimi mistrzami ceremonii drobniawo porządek drogi przez Włochy i przyjęć aż do najdrobniejszych spraw etykiety, jak dywanik w kościele, paziowie do niesienia ogona, forma powitania przez nuncjusza... Uprzejmości doznała Maria Kazimiera w drodze raczej za dużo niż za mało; aż zmęczona nimi, zapragnęła wjechać do wiecznego miasta incognito. Jakoż w kwietniu r. 1699 stanęła w pałacu Odescalchi, który był niegdyś mieszkaniem królowej Krystyny szwedzkiej.

Trudno sobie wyobrazić bardziej wymarzoną emeryturę monarszą niż ta, która czekała Marysienkę w Rzymie. Nigdy nie mogła się oswoić z klimatem Polski — tu ma Włochy. Z królowania zawsze najbardziej lubiła blask, polityka interesowała ją mniej — tu ma same honory, bez kłopotów władzy w kraju tak trudnym jak Polska. I nareszcie ona będzie obcinała — bodaj w honorach — kupony od zwycięstwa pod Wiedniem, które tak niewiele przyniosło biednemu *Sylwandrowi*, a jeszcze mniej Polsce.

Rozkoszne miasto ten Rzym dla kobiety nabożnej a lubiącej zabawę. Karnawał, wielki tydzień, jubileusz, wybór nowego papieża... Bale, maskarady, serenady, kolacyjki, gra — a źródło dyspens i odpustów tuż obok, zbawienie jak w kieszeni. Marysienka zresztą jest naprawdę pobożna. Buduje klasztor dla swoich protegowanych benedyktynek. Co rok zakupuje w kościele św. Stanisława dei Polacchi mszę za żołnierzy poległych pod Wiedniem; sama udaje się na tę mszę pieszo, rozdzielając hojnie jałmużny. Ale skądinąd wie, co się jej należy i umie strzec swojej godności. Kiedy się spóźni na kazanie, kaznodzieja musi zaczynać dla niej od początku. Wskrzesza tradycje akademii stworzonej przez jej poprzedniczkę Krystynę szwedzką; urządza dla pp. akademików uroczyste zebranie z muzyką i kolacją, i sama zostaje akademiczką pod mianem *Amirisca Telea*.

To miłe życie nie było bez chmur. Niekiedy sprowadza je ona sama, kiedy się wydaje królowej, że ktoś jej lub jej dzieciom nie okazuje dosyć względów. Wówczas wysuwała pazurki i umiała walczyć do upadłego, aż postawiła na swoim. Czasem — jak zobaczymy — aż Rzym się trząsł od tego. Ale były i poważniejsze kłopoty, — coraz poważniejsze, gdyż wiązały się z kwestią finansową. Tych kłopotów dostarczał jej — jak już wspomni-

naliśmy — zwłaszcza papa-kardynał, dziewięćdziesięcioletni szalawiła. A także synowie, Aleksander i Konstanty, typowi złoci młodzieńcy, utracjusze, którym wszystkie bogactwa zbierane przez ojca nie byłyby na długo starczyły. Ten papa i ci synowie byli przyczyną coraz to cięższych trosk finansowych Marysienki. A te znów troski sprawiły może, że pod pięknym niebem włoskim nie zapomniała ze wszystkim o *la Poulogne*. Bo opuszczając Polskę, wdowa po Janie Sobieskim, niezależnie od wywiezionej gotowizny, pozostała, na zasadzie dawnej intercyzy zatwierdzonej przez sejm, panią ogromnych włości: Olesko, Sambor, Jaworów, Jarosław, Rzeszów, Złoczów, Stryj, Kałusz... i wiele innych — z przyległościami. Ale wszystko na łasce dzierżawców, intendentów, a także kwaterunków i rekwizycyj, których król August II, nie mający powodu lubić Sobieskich, nie oszczędzał ich majątkom. I w miarę jak wyczerpywała się gotowizna, coraz częściej obracał się wzrok Marysienki ku Polsce, i coraz pilniej oblegała ją myśl, w jaki sposób dałoby się podnieść dochodowość tych ziem, lasów, stawów, żup solnych... Podnieść z zera na jakąś cyfrę. Dało to powód do systematycznej korespondencji z pewną młodą przyjaciółką, którą królowa zachowała w Polsce, a te znowuż listy zapoznają nas z duchowym wnętrzem wdowy po królu Janie w owych latach.

## XXII. *Pauvre nieboszontko*

W Bibliotece XX. Czartoryskich w Krakowie znajduje się teczka zawierająca m. in. setkę przeważnie bardzo obszernych listów Marii Kazimiery, pisanych z Rzymu. Listy te są w nader złym stanie, jakby wyciągnięte z ognia, częściowo spalone lub opalone, wskutek tego pełne luk i niejasności; mimo to, po odcyfrowaniu dostarczają sporo interesujących szczegółów z życia królowej-wdowy w tym okresie. Dzięki uprzejmości p. mjra Laskowskiego, który zwrócił moją uwagę na te listy i udostępnił mi korzystanie z nich w Wojskowym Biurze Historycznym, oraz dzięki łaskawemu zezwoleniu p. gen. Kukieła, dyrektora Muzeum XX. Czartoryskich, sporządziłem odpis tych listów, pozwalający się lepiej rozejrzeć w materiale. Pisane po francusku, fantazyjną ortografią, nastrożającą raz po raz istne rebusy do zgadywania (z rzadka makaronizowane polszczyzną), wszystkie zwrócone są do jednej adresatki, którą królowa tytułuje przyjaźnie *ma chere palatine*<sup>313</sup>; jest nią, jak można sądzić, wojewodzina (później hetmanowa) Sieniawska, z domu Lubomirska.

Cel listów jest zwłaszcza praktyczny. Królowa, opuszczając Polskę, zostawiła w niej znaczne włości, przeważnie na Rusi (Olesko, Sambor, Jaworów, Jarosław, Rzeszów, Złoczów, Kałusz, Stryj itd.), odziedziczone po mężu. Zarządzanie tymi dobrami na odległość przedstawiało znaczne trudności; toteż Maria Kazimiera, zawsze umiejąca operować ludźmi, stara się sobie stworzyć w osobie wojewodziny rodzaj honorowej intendentki. Liczy zarazem na jej pomoc i wpływy w egzekucji różnych innych należności, co prawda małe w obecnych warunkach przedstawiających szanse realizacji: jako to wiano wdowie, uchwalone przez sejm w wysokości 6000 dukatów, jakaś ogromna suma 180 000 risdałów, wyłożona w czasie elekcji przez królowę dla rozwiązania konfederacji (*pour défaire la confédération*<sup>314</sup>; to była owa warcholska konfederacja, zawiązana podobno za pieniądze Marii Kazimiery i rozwiązana za jej pieniądze, i teraz wstawiona w rachunek), wreszcie drobiazg 1000 dukatów, pożyczonych królowi Augustowi na koronację. Król podpisał wówczas oblig, ale od tej pory Maria Kazimiera nie widziała ani kapitału ani procentów. W ten sposób król August objawiał swoją niesympatię do rodu Sobieskich, których wciąż uważał za możliwych pretendentów do tronu; z tego samego powodu szykanował Aleksandra i Konstantego, gdy chcieli służyć w wojsku, czym skłonił ich do opuszczenia kraju. Nie tylko król nie myślał o zwrocie należnych sum, ale gnębił majątki królowej rekwizycjami i kwaterunkami. A że dzierżawcy i intendenci też się nie kwapili z płaceniem należności, wszystkie te dobra nie dawały królowej nic prócz kłopotów, którymi stara się podzielić z wojewodzina, licząc na jej „pańskie oko”, na jej młodą energię i na autorytet jej męża. Toteż listy wypełnione są drobiazgową analizą zawikłanych spraw, aż nudne są od tych wciąż powtarzanych szczegółów; przy czym trzeba uznać, że Maria Kazimiera znakomicie się orientuje w interesach i w ludziach, wszystkie sumy i kalkulacje

<sup>313</sup>*ma chere palatine* (fr.) — moja droga wojewodzina. [przypis edytorski]

<sup>314</sup>*pour défaire la confédération* (fr.) — aby rozwiązać konfederację. [przypis edytorski]

ma najdokładniej w głowie, wie na pamięć co i gdzie przynosiły lub powinny przynosić te lub inne stawy, lasy, arena, *le gounno*<sup>315</sup>, osypy, sól (Kałusz), ile można przeznaczyć na reparacje itd. „Pałac w Wysocku drewniany; nie warto naprawiać, nie opłaci się, tylko zabezpieczyć kafle z porcelany żeby się nie stłukły kiedy runie ta szciana i konserwować tylko te pokoje które są całe — nie więcej na to wydać jak 100 fr.”. Oto przykład jej zbiegliwości. Toż samo co do ludzi, jakich należy użyć, umie dać charakterystykę każdego z nich, jego wad, zalet i wartości użytkowej.

Poprzez te gospodarskie szczegóły przebijają troski matki, ponieważ interesy jej nieraz splatają się z interesami synów; od czasu do czasu trafia się jakaś dygresja, jakieś westchnienie charakteryzujące niepokoje i bóle matczyne.

A nawet — i tu pikanteria tych listów — poprzez gumna i osypy, poprzez cyfry i kalkulacje, rysuje się tu coś w rodzaju romansiku, któremu zresztą również matkuje interes królowej. Zdaje się, że młoda wojewodzina ma co najmniej feblika do pięknego królewicza Aleksandra. Marysienka widzi to bardzo mile, proteguje to uczucie, rozumiejąc z pewnością, że ono może być najskuteczniejszą rękojmnią utrzymania uwagi i gorliwości wojewodziny w opiece nad jej sprawami. Toteż, kiedy czuje jakieś tarcia między młodą panią a latawcem Aleksandrem, czym prędzej — oczywiście z całą dyskrecją i godnością — śpieszy na ratunek, aby upewnić *sa chere palatine*, że wszystkie możebne płochości Aleksandra w czasie jego wojażów to są rzeczy bez znaczenia, gdy ona jedna — wojewodzina — kochana jest i ceniona prawdziwie. „Trzeba przejść — pisze — do porządku nad małymi wadami, nad drobnymi nieporozumieniami, w których serce nie gra żadnej roli; powinnaś być pewna, *chère palatine*, że ciebie nie można przestać kochać”... Królowa niepokoi się, kiedy dłużej nie ma listu od swojej intendentki; obawia się, czy znów nie za syna cierpi ona sama i jej interesy. „Nie wiem, moja droga — pisze — czemu przypisać brak listów od ciebie. Słyszałam, że dzieci cierpią do czwartego pokolenia za grzechy ojców; ale nie słyszałam, aby rodzice mieli pokutować za winy dzieci. Jeżeli mój syn ci uchybił, bardzo mi przykro, ale czemu mnie każesz za to cierpieć?... Byłabyś bardzo niesprawiedliwa”... „Mogę cię upewnić — pisze znów w innym liście — że *ktos* jest bardzo dotknięty twoim milczeniem, że na to nie zasługuje, a ja mogę powiedzieć, że ma dla ciebie uczucia tak tkliwe, jak jesteś tego warta. Jeżeli ma poza tym jakie rozrywki, to tylko dla zabicia czasu. Ale to nie trwa długo i nie ma znaczenia. O przywiązaniu jego nie wiem żadnym, poza uroczą wojewodziną”...

Mimo to, jest nawet w Polsce na horyzoncie jakaś starościna Grotusowa, która dzierżawi od królewicza Podhorce i z którą wyraźnie młodego szalawilę coś łączy. Toteż jeszcze nie przybył do kraju, a już Marysienka uważa za potrzebne uspokajać wojewodzinę. „Książę Aleksander ma być w Polsce; mogę cię upewnić, że wyrządziłabyś mu wielką krzywdę, gdybyś go posądzała, że dzieli swoją czułość między ciebie a *la Grotus*; ręczę ci że jest przeciwnie... Kocham mego syna za to, że zna prawdziwą wartość i ceni ją i kocha stale... Miej to przywiązanie, jakie mój syn ma dla ciebie, i którego żadne, nawet większe niż starościny Grotus, nie mogłoby zmniejszyć a tym bardziej zniszczyć”... Mimo to — dodaje — lepiej byłoby postarać się, aby starościny Grotusowej nie było w sąsiedztwie... to natura bardzo płocha...

Tak więc, królowa — stale podpisująca się nawet na lada świstku *Marie Casimire reine* — myśli i pamięta o wszystkim. Daje szczegółowe instrukcje nie tylko, co wykonać, ale jak wykonać; instrukcje czasem dość charakterystyczne. Oto *post scriptum* do jej obszernego listu, ot, dorzucony szczegół, o którym zapomniała napisać: „Każ schwytać Zelmaną, nałożyć mu kajdany na ręce i na nogi, aż zapłaci; trzeba mi zebrać pieniądze, bardzo ich potrzebuję. Książę Konstanty trwoni na jeden sposób, książę Aleksander na drugi”... I w innym liście znów każe komuś nałożyć kajdany: „pokaże mu, że choć jest daleko, ręce ma długie”. Zdaje się, że system kajdan był częstym sposobem incassa, bo znów czytamy „aby pojmać Żydów ze Stryja, włożyć im kajdany na nogi, aż zapłacą; ale nie daruj nic, tak samo jak 6000 funtów, jakie mi jest winien kahał w Stryju. Hultaj Zelman może o wszystkim poinformować”. Może spryt tego Zelmaną sprawia, że w dalszym ciągu królowa jest na niego łaskawsza: „Prawda, że mi jest winien, ale trzeba abyś

<sup>315</sup>*gounno* — gumno, podwórzec; tu: fr. zapis fonetyczny. [przypis edytorski]

go chroniła *malgré ces*<sup>316</sup> figle, jakie mi czasem urząda. Ostatecznie ten Zelman jest najlepszy z Żydów; zapłaci jeżeli wezwiesz go do siebie nie pakując go do więzienia, trzeba z nim łagodnie”...

Tak królowa włada na odległość, oceniając charaktery, wskazując jak każdego zażyć i czego się można po kim spodziewać. I wciąż — w dobrze zrozumianym interesie — zaleca, aby nie dopuszczano do ucisku chłopów, ani do zniszczenia majątków.

Stosunek jej do synów zarysowuje się dość wyraźnie. O najstarszym Jakubie nie ma mowy; sprawy z nim zlikwidowała, czyniąc na jego rzecz znaczne ustępstwa ze swego, byle w zamian zyskać korzyści dla ukochanego Aleksandra. Całą jej myśl pochłaniają dwaj młodszy, zwłaszcza Aleksander. Ale widzimy u tej matki stanowczą decyzję aby się nie dać dzieciom obłupić ze skóry. Nie ma w niej najmniejszego powołania na króla Lira. „Nie byłoby słusznie zagrzebać się nago z miłości dla dzieci” — pisze. Ta trzeźwa kobieta wie, że trzyma ich przy sobie poty, póki coś reprezentuje; pragnie przy tym zachować dla nich kawałek chleba, kiedy, jak przewiduje, wszystko stracą i znajdą się bez grosza i bez dachu nad głową. Może to jest jej podświadome marzenie, mieć ich przy sobie, zrujnowanych, unieruchomionych, zależnych od jej łaski?

Ale przede wszystkim zawsze pamięta o tym, co jest winna swemu stanowisku: nie chce się zdeklasować. Toteż broni się ciągle kombinacjom, w jakie synowie chcieliby ją oplątać; odmawia — mimo iż z żalem — korzystnej dzierżawy swoich dóbr Aleksandrowi, kiedy nie widzi w nim potrzebnej rękojmi; woli dzierżawcę obcego, ale pewnego. Znamienne jest, że jedyny raz, kiedy omal się nie poróżniła z wojewodziną, to wówczas, kiedy wojewodzina zbyt gorliwie ujmowała się za Aleksandrem, wstawiając się za nim do matki o jaką finansową „amnestię”. Marysienka najwidoczniej nie znosi, żeby ktoś mieszał uczucia i finanse. W interesach lubi język ścisły. Z powodu listu jakiegoś dzierżawcy pisze do wojewodziny: „To śmieszna rzecz, te wyrażenia, jakimi on się posługuje: *spodziewacz się*; kiedy rzeczy są realne, pisze się *winny y powinny zaraz płacicz*; to nie jest człowiek, który by się nadawał”. Toteż i tutaj daje jasne i rzeczowe *exposé*:

„Ustałam dzieciom cały majątek po ojcu, zastrzegłam sobie tylko 50 000 funtów renty od każdego; ustałam pięćdziesiąt tysięcy najstarszemu, aby odkupić Pomorzany dla Aleksandra; dość dla niego zrobiłam, a ty chcesz jeszcze, abym mu odpisała dwa lata dochodów z Jaworowa i odstąpiła mu wszystkie dochody na przyszłość za dwieście tysięcy szelągów! Gdybym to zrobiła, trzeba by mi zaraz zamknąć się w klasztorze, bo nie miałabym za co żyć tak jak żyję. Należy się kochać swoje dzieci, ale nie grzebać się żywcem dla nich.

Książę Aleksander mógłby zrobić co by chciał i utrzymywać ład w interesach, brak mu tylko woli, ale brak mu jej w tym stopniu, że jeżeli Bóg się w to nie wda, zrujnuje swoje interesy równie dobrze jak książę Konstanty; jeden na jeden sposób, drugi na inny. Nie licząc się ze swoim dochodem, trzyma sobie gwardię oficerów, muzyków, którzy się bawią w wielkich panów, służbę, lokajów, masztalerzów, sprowadzonych z Francji, którzy mu tylko napytają przykrości i będą go mnóstwo kosztowali, bo nigdy się nie umawia z góry o gażę i potem mają pretensje Bóg wie jakie, tak że kiedy się do tego doliczy ludzi polskich, bez których nie może się obyć na swoim dworze w Polsce, nie zostanie mu nic na wydatki i na stół, nie licząc koni. Co do mnie, nie rozumiem ich, bo nie wyżyłabym ani miesiąca w spokoju, gdybym żyła tak nieopatrznie jak oni. Przykro mi, że inni zarobią w moich dobrach to, co oni mogliby zarobić, ale to ich wina; *chto sze raz pszeniewiesz, to kredytu na wieky utraczy*. Nie trzeba mi było proponować amnestii. Twój ojciec nie chciał ci wydzierżawić swoich dóbr mimo że jesteś uroczą córką: ale amnestia, którą mi zaproponowałaś dla księcia Aleksandra za przeszłość, kazałaby mi wątpić, czy nie żądałabyś takiej samej rzeczy dla siebie samej”...

I jeszcze raz kategorycznie: „Dopóki się nie nauczy zgadzać dochodu z rozchodem, nie wydzierżawię mu swoich dóbr”.

Odmowa tym znamiennejsza, że Marysienka naprawdę kocha swoich dwóch chłopów, zwłaszcza jednego. A nie ma wiele złudzeń co do ich uczuć. I w swoim osamotnieniu zdobywa się na bolesne akcenty. Wieśniak biedny szczęśliwszy jest w swojej chatce, dzieli dolę swoich dzieci! I jej dzieci powinny by jakoś się ułożyć tak, aby zawsze jedno było

Matka, Syn, Interes,  
Pozycja społeczna

<sup>316</sup>*malgré ces* (fr.) — bez względu na te. [przypis edytorski]



przy niej. Zaslugałyby na więcej czułości z ich strony... postanowiła też — pisze — wydrzeć czułość ze swego serca i mieć ją tylko dla tych, którzy ją mają dla niej i którzy ją okażą... „Nikt mnie nie kocha — skarży się królowa — nikt nie odwzajemnia mojej czułości. Jestem tedy *comme une*<sup>317</sup> nieboszontko opuszczone przez wszystkich, bo sądząc że moi przyjaciele widzą, że lepiej jest dla mnie i dla nich w obecnej koniunkturze, abym raczej była daleko niż blisko”.

W takich momentach żalu lada co uraża jej serce. Ot, dowiedziała się, że królewicz Jakub pochwalił brata Aleksandra, że się zmienił na korzyść: „Cusz mnie z tego, sze on grzeczny, kiedy nie dla mnie” — wzdycha po polsku matka.

Ale te momenty są w listach stosunkowo rzadkie. I w chwilę po tym gotowa jest jak lwica bronić swych praw. Nie potępiamy jej: ona wie, że teraz pieniądz to cała jej królewskość. „Jestem dobra matka, to prawda, ale z tej racji i dlatego że jestem królową, zmuszona jestem reprezentować to czym jestem”. Zanim by obniżyła stopę życia i ustąpiła coś z godności, „raczej wyjechałabym do Ameryki” — pisze Marysieńka na pół wieku przed Manon Lescaut. I gotowa się prawować o trochę trawy, którą konie syna wypasają na jej łąkach: „nie ma racji, abym ja nie miała z czego żyć, a syn aby mi zabierał to co moje”. Chce, aby to co dostają od niej, zawdzięczali jej hojności, a nie aby brali sami.

Owe kłopoty pieniężne sprawiają bodaj to, że królowa interesuje się losami Polski, śledzi bieg spraw w nieszczęsnym królestwie, nad którym jako katoliczka boleje, że stało się „pastwą heretyków”. Ale zwłaszcza ciągle kombinuje, jak by zrealizować swoje wierzytelności. Dopytuje wojewodziny, czy król August nie ma jakiej należności u cesarza; w takim razie mógłby na nią przelać swoje prawa, a ona ułożyłaby się z cesarzem, aby jej dał jakie dobra w zastaw. A zamiast sum, które wyłożyła *pour défaire la confédération*, niechby na nią Rzeczpospolita scedowała... sumy neapolitańskie. Ona je wydobędzie — twierdzi Marysieńka, niewątpiąca nigdy o niczym.

Jest jednak jedna rzecz, co do której rezygnuje z pretensyj. Oto umarł Ojciec Święty; zbiera się *conclave* dla wyboru nowego papieża. Przecież jej ojciec jest kardynałem! I królowa czuje się w obowiązku powiadomić przyjaciółkę, że papa d'Arquien nie pretenduje do papiestwa. Oddychamy: bo gdyby sobie to wbiła do głowy? Strach pomyśleć: nasza Marysieńka jako córka papieża! „Mój ojciec — pisze — mniej ma kłopotu od innych, bo nie ma żadnej pretensji do zostania papieżem. Zrobię co będę mogła, aby nim został ktoś z naszych przyjaciół, mimo że wszyscy kardynałowie są naszymi przyjaciółmi”.

Dnia 7 grudnia 1700 r. jest nowy papież; powinna by wojewodzina wybrać się do Rzymu ucałować mu nogi. Albo niech przyjedzie na karnawał do Wenecji. Ale zwłaszcza Rzym! „Gdybyś widziała piękności Rzymu — pisze królowa — potępiłabyś Nerona, że się tak pastwił nad tym pięknym miastem”. Brak tu jej tylko obecności przyjaciółki i dzieci. I znów lament: „Najnieszcześniejsza kobieta w świecie, nieszczęśliwa córka, nieszczęśliwa matka, nigdzie nie znajdującą oddźwięku, kochająca bardzo czule a nie kochana, tak samo najnieszcześniejsza żona jaka była, straciła najmilszego męża, najukochańszego i najbardziej kochającego, i teraz kocha sama jedna, nie otrzymując w zamian serca”...

To jest bodaj jedyna wzmianka, jaką znajdziemy w tych listach o nieboszczyku królu. Bo dwa inne razy, które się powołuje na niego, to tylko dla przykładu. Skarżąc się, że starostwo jaworowskie nic nie przynosi, stwierdza, że Sobieskiemu, kiedy był jeszcze starostą jaworowskim, matka za życia nie dawała ani grosza, a mimo to żył jak wielki pan, nie chybił ani żadnego sejmiku ani kampanii i nie robił długów, cały dochód czerpiąc ze swego starostwa. Potwierdza to nasze poprzednie domysły, że stosunki między Janem Sobieskim a matką musiały być bardzo naprężone.

Raz Maria Kazimiera miała jakby chęć czynnego wmiśzania się w sprawy polskie. I tu była w swoim charakterze — w charakterze bankiera. Było to wówczas, gdy elektor brandenburski zajeżdżał Elbląg na zasadzie zastarzałego długu. Przypuszczając, że Rzeczpospolita nie zdobędzie się na zapłacenie, królowa gotowa jest zaawansować tę sumę: „Miłość — pisze — jaką mam dla zachowania korony polskiej w jej całości kazałaby mi zastawić wszystko co mam, aby wydobyc sumę 250 000 riksdalów, gdybym otrzymała dla siebie i dla dzieci wszystkie gwarancje, jakie miał elektor brandenburski”. Inaczej nie mogłaby ryzykować takiej sumy. W każdym razie życzyłaby sobie, aby się dowiedziano

<sup>317</sup>*comme une* (fr.) — niby, jak. [przypis edytorski]

o jej dobrych intencjach, aby jej zasługa była wiadoma i spadła na jej dzieci; niech wszyscy wiedzą, że, mimo iż oddalona, dba o Polskę i jest do niej przywiązana... (Widać w tym przewidywanie, że mógłby jeszcze przyjść dla synów Sobieskiego pomyślniejszy moment; w istocie, gdyby nie upór Aleksandra, Karol XII byłby jego wprowadził na tron polski zamiast Stanisława Leszczyńskiego). Ale poza tym królowa przestrzega zasady, że lepiej trzymać się na uboczu; i jej, i dzieciom lepiej nie wracać do Polski, aby nie budzić podejrzliwości króla i nie dać się wciągnąć w faksje. Wciąż boi się, że król przejmuje jej listy. Dla pewności, przesyła listy przez nuncjusza, kreśli je „sympatycznym atramentem”. I o synów drży, kiedy są w Polsce; dopiero kiedy opuszczą kraj ze wszystkim, będzie o nich spokojna. Późniejsze więzienie Jakuba i Konstantego dowiedzie, że miała przyczyny do obaw.

Czasem nawiedzają Marysienkę wspomnienia — gastronomiczne: chciałaby tu mieć z sobą panią Belkacką, która umie być *la gospodine*, przyrządzać *la cache, des bouraky, kapousta* — może by się znalazła osoba w tym rodzaju, która byłaby ciekawa świętego miasta i innych dewocji i zechciała przyjechać do Rzymu?

I może ta *cache* i ta kapusta kojarzy się jej bezwiednie z czasem, kiedy była w Polsce, kochana, uwielbiana przez wielkiego króla, bo tuż potem „nieboszontko” roztkliwia się nad sobą...

Ale coraz bardziej oblega Marię Kazimierę myśl, aby wreszcie zlikwidować swoje sprawy w Polsce i wyprzedzić się ze wszystkiego albo generalnie wydzierżawić wszystko. Bo ta nużąca i drobiazgową korespondencja nie daje rezultatów wedle jej myśli. Nie ma sposobu nawet dowiedzenia się, jak naprawdę rzeczy stoją, co ma i na co może z tej Polski liczyć. Listy giną, od wysłania listu do otrzymania odpowiedzi upływają miesiące, a najczęściej ta odpowiedź nie posuwa rzeczy naprzód. Aż raz królowa zniecierpliwiona wybucha, jak zwykle w chwilach podrażnienia pół po polsku: „Powiem ci, że wszystko co ja piszę i co ty mi odpisujesz, *proproment parler n'est que*<sup>318</sup> słomę młóczicz. Cierpię tu śmiertelne kłopoty, nie mogąc się dowiedzieć ani co miałam ani co mogę mieć... Trzeba się liczyć z tym, że jestem tu na widoku, że muszę podtrzymywać swoją godność; nie jestem ani wrózką ani nie mam kamienia filozoficznego, mam do życia jedynie moje dochody”...

I stosunki z królem Augustem, wciąż dalekie są od poprawności. To nagle wpadł do Jaworowa: „dziwię się tej manierze włożenia do cudzego domu” — pisze Maria Kazimiera. To znów upatrzył sobie Połagę, zajechał jej ziemie, trzyma tam swoją artylerię bez żadnego odszkodowania, tak że musiała majątek za bezcen sprzedać... Najoczywieściej robi jej na złość.

Marysienka podejrzewa w tym rękę nieżyczliwych ludzi; posądza zwłaszcza niejakięgo biskupa Bokuma, że usposabia króla przeciw niej. A młody ten biskup miał łaskawe ucho króla, jako brat królewskiej kochanki, Urszuli Lubomirskiej, któremu to stosunkowi zawdzięczał swój szybki awans. Teraz Bokum dokucza królowej w Rzymie, gdzie również ma wpływy. „Myślałam, że wystarczy uciec od dworu, aby się uwolnić od plotek; ale od czasu jak biskup Bokum przybył do Rzymu, podejrzzenia ścigają mnie i tutaj”. I tu znajduje się w liście Marysienki obrazek mający tyle kolorytu ówczesnego Rzymu, że pozwolił go sobie przytoczyć:

„Zdarzyła się w tych dniach rzecz, która świadczy o charakterze biskupa. Kardynał Ottoboni wyprawił dla mnie serenadę najwspanialszą jaką kiedy widziano w Rzymie. Kardynałowie Santa-Croce i Ottoboni byli ze mną w oknie, dokoła mego pałacu zgromadził się cały Rzym, tak szlachta jak lud, wszyscy Polacy byli u mnie, tylko Bokum wsiał do karocy i ustawił się na drodze, tak że zatarasował przejazd wozom bardzo strojnym, które wiozły muzykantów i które miały się obrócić ku moim oknom z latarniami, pochodniami i trzemaset instrumentami. Te wozy stały, nie mogąc przejechać przeszło dwie godziny; posłano ode mnie dwóch dworzan z prośbą aby karetę zjechała na bok; nie zdołano rozpoznać ani barw ani osób będących w karecie, bo zasłaniaли twarz rękami, tak że to psuło całą serenadę i cały asambli... Bardzo się zdumiałam, kiedy przy świetle pochodni moi ludzie poznali wreszcie, że to był biskup Bokum. Wszyscy uznali ten postępek za bardzo niegodny; radzono biskupowi, aby przyszedł przeprosić mnie i kardynała Ottoboni. Najpierw zaprzeczył aby tam był osobiście, powiadając że pożyczył karocy, i odpowiedział

<sup>318</sup>*proproment parler n'est que* — ściśle mówiąc, nie jest niczym innym jak. [przypis edytorski]

że nie przyjdzie przeprosić; i w istocie nie przyszedł, a był przeprosić kardynała Ottoboni i dowiedziałam się, iż nagadał tyle głupstw o mnie, że aż litość bierze. Po tym i po listach, jakie pisał, można bez lekkomyślności sądzić, że wszystkie fałsze jakie dochodzą króla, mogą być tylko z jego fabryki”...

W takich zabawach, honorach i kłopotach splotało w Rzymie życie Marii Kazimierze. Słabe to zatrudnienie energii dla tej, której dąs zmieniał niegdyś równowagę Europy puszczając w ruch monarchów i ambasadorów! I ten kapitał niezużytej energii, jaki się gromadził w królowej, wyładuje się jeszcze raz w słynnej na długie lata w Rzymie awanturze, która będzie ostatnią i nie najmniej osobliwą kampanią Marysienki.

### XXIII. OSTATNIA KAMPANIA MARYSIENKI

Cytowaliśmy z listów królowej zabawny epizod serenady kardynalskiej, zakłóconej przez dokuczliwego biskupa. Epizod dość typowy dla ówczesnego życia rzymskiego: ale nie zawsze tego rodzaju konflikty miały przebieg równie niewinny. Kiedy raz przyszło do zatargu między orszakiem królowej Marii Kazimiery a ludźmi jakiegoś ambasadora, omal nie skończyło się na formalnej bitwie; wynikała stąd długa sprawa dyplomatyczna, w której interweniował król hiszpański. Pełno było takich zajść, przy czym padały i trupy, a wszystko na tle błahych spraw etykiety.

Bo też te kwestie prestiżowe stwarzały swoistą atmosferę ówczesnego Rzymu. Tyle było wielkości miejscowych oraz tych, które bawiły w Rzymie czasowo, tyle tłoczyło się tu szczytów, duchownych i świeckich, że rozgraniczenie hierarchii i jej odcieni, oddanie każdemu, co mu się należy, było nie lada pracą dla wyspecjalizowanych w tym mistrzów ceremonii. Kwestia kobierca na posadzce, miejsca w kościele, fotela i jego kształtu, kapelusza na głowie, forma i porządek audiencji, to były wielkie sprawy stolicy chrześcijaństwa, przedmiot intryg i zatargów, materiał dla całych tomów instrukcyj.

Jadąc do Rzymu, Marysienka dbała o to, aby zająć rangę należną królowej. Miała prawdziwy dwór; oprócz chmary dworzan polskich, miała za szambelanów włoskich markizów, za sekretarza — prawdziwego włoskiego księcia, na przejażdżce karetą jej otaczali spahisowie, na uroczystą audiencję do papieża dwór jej wiozł kilka poszóstnych karet, a ją za nimi we wspaniałej karocy ciągniętej przez osiem koni. Zaproszona do pałacu Odescalchich przez don Liwia Odescalchi, który przez chwilę spodziewał się — naiwny! — przy jej protekcji zostać królem polskim (jak wszyscy, obiecywał zapłacić wojsku 8 milionów zaległego żołdu i odzyskać Kamieniec...), przyjmowana u bram wśród bicia dzwonów, królowa miała wszelako najlepszą wolę (tak się jej zdawało przynajmniej), zachowując swoje prerogatywy, postępować tak, aby nie urazić nikogo. Tak przynajmniej głosi sama w instrukcji dla sekretarza, księcia Scarlattiego, pamiętna rań, o które, się rozbijała poprzedniczka jej w tym mieszkaniu, królowa Krystyna szwedzka.

Nie żałowano jej zresztą honorów, zwłaszcza z początku. Dla upamiętnienia jej wizyty na Kapitolu, senat umieścił tam jej biust oraz marmurową tablicę na cześć tej, „która skłoniła swego królewskiego małżonka do oswobodzenia Wiednia i ocalenia chrześcijaństwa”.

Chcemy wierzyć w najlepszą wolę królowej. Ale, jak przez całe życie, tak i tutaj wmieszała się kwestia rodziny — zawsze dla niej najdrażliwsza. Widzieliśmy, jak na polityce polskiej zaważyły procesy rodziny d'Arquien, a potem kwestia *duc et pair* pana ojca. Tutaj Marysienka miała synów. I o ile z punktu widzenia etykiety jej własna sytuacja była uregulowana i jasna, o tyle pozycja synów nastęrczała pewne drażliwości. Byli niby to królewiczami i rościli sobie prawa książąt krwi, ale równocześnie jako Polacy byli poddanymi króla polskiego; co więcej król August widział zawsze w tych młodych Sobieskich możliwych rywalów do korony; rzecz prosta, że niechętnie by znosił akcentowanie ich wyjątkowych praw. Toteż, kiedy królewicz Jakub bawił w Rzymie, wolał unikać audiencji u papieża, bo ceremonial przyznawał mu jedynie tytuł „Jego Wysokości” i krzesło naprzeciw papieża, podczas gdy on sam uważał, że należy mu się, jak innym książętom krwi, przywilej nakrycia głowy wobec papieża, zwłaszcza iż walczył pod Wiedniem... Toż samo, kiedy papież Klemens XI odwiedził Marię Kazimierę w jej pałacu, synowie, Aleksander i Konstanty nie pokazali się na pokojach matki, urażeni że ceremonial watykański nie traktował ich jak urodzonych królewiczów.

Przedmurze  
chrześcijaństwa, Żona

Poza tym dwaj młodszy Sobiescy wędli w Rzymie życie arystokratycznej młodzieży, próżniacze i puste. Młodzież ta, służąca przeważnie w armii papieskiej, która była wojskiem od parady, wyżywała się w zabawach i miłostkach, a od czasu do czasu w burdach.

Ta atmosfera miasta oraz przeczulenie Marysienki na punkcie synów pozwól nam zroaumić trudną inaczej do pojęcia słynną „Tollejadę”, awanturę o Tolle kurtyzanę. Historię tę, odkopaną z archiwów rzymskich i opisaną przez Waliszewskiego oraz przez Loreta, przedstawię tu w krótkich słowach. Jest ona tak znamienna, że może zdać się i wstecz jako komentarz do charakteru Marii Kazimierzy i niektórych jej uczynków.

Tolla była to kurtyzana rzymska, a kochankiem jej był chwilowo młody książę Gaetano Sforza Cezarini. Odbił mu ją Aleksander Sobieski, z którego rąk przeszła z kolei do Konstantego. Młody Gaetano płonął zemstą. Kiedy raz w męskim przebraniu Tolla śpiewała pod pałacem Odescalchich (rezydencja Sobieskich), Gaetano wpadł na nią i naznaczył ją palaszem po twarzy, wydając zelżywe okrzyki pod adresem rywala. Królowa jadła właśnie na tarasie wieczerzę w towarzystwie Aleksandra i usłyszała wrzawę. Zaalarmowała straż pałacową, wszczęła się bitwa, powodując zbiegowisko gawiedzi i wkroczenie policji. Cezarini uciekł, ujęto tylko jego towarzyszy, a także i Tollę, z którą policja obeszła się dość brutalnie.

Zamiast rzecz zatuszować, królowa nadała jej rozgłos. Pisała listy do kardynałów, skarżąc się na brak bezpieczeństwa w Rzymie i biorąc w obronę Tollę. Tollę osadzono chwilowo w klasztorze, po czym wyprawiono ją do Mantui, gdzie występowała w teatrze. Ale królowa domagała się satysfakcji. Mimo iż ojciec winowajcy przeproszał ją i chciał załagodzić sprawę, Maria Kazimiera nie godziła się na to. Z całym impetem domagała się ni mniej ni więcej, tylko wygnania młodego księcia. Władze były w kłopotach: bądź co bądź chodzą o gwałt publiczny pod oknami królowej, trzeba było coś z tym zrobić. Rzecz oparła się o papieża; papież porucił interwencję kardynałowi Ottoboni. Kardynał zaproponował, aby Gaetano padł królowej do nóg i błagał o przebaczenie, po czym ona odda go w ręce ojca, aby poniósł zasłużoną karę. Królowej było to za mało. Wówczas kardynał zaproponował, że sam ojciec odprowadzi syna do więzienia i odda go do dyspozycji królowej, po czym ona wspaniałomyślnie poprosi dla niego papieża o ulaskawienie. To się nazywa mieć piękną rolę! Marysienka wahała się jeszcze. Wreszcie — zaznaczając, iż czyni to ustępstwo przez przyjaźń dla kardynała, mimo że satysfakcja jest niedostateczna — zgodziła się, aby młody książę udał się do więzienia w zamku św. Anioła. Cezarini sądził, że formalność ta potrwa kilka godzin; Maria Kazimiera przetrzymała go tam tydzień; następnie, kiedy przyszło do przeprosin, zażądała, aby przeprosił także jej synów. Tu już kardynał uznał, że królowa przeciąga strunę. Zaproponował formułę, w której, przepraszając ją samą, książę wspomni, że nie miał zamiaru uchybić dostojnym książętom krwi. Królowa zaostrzyła tę formułę; co więcej, zażądała, aby przy jej czytaniu był obecny książę Konstanty. Wreszcie, po długich rokowaniach, zgodzono się. W oznaczonym dniu, w otoczeniu dam dworu i szambelanów, królowa siadła na tronie, mając po prawej ręce Konstantego, a po lewej wnuczkę; bo i to niewinne dziecko wciągnięto do sprawy Tolli! Gdy marszałek dworu wprowadził Cezariniego, królowa zdjęła rękawiczkę i dała mu rękę do pocałowania. Cezarini wygłosił przygotowaną formułę; wymieniając Konstantego, skłonił ku niemu głowę, na co królewicz odkłonił się lekko. Na pożegnanie, królowa znów podała winowajcy rękę do pocałowania, budząc w obecnych zachwyt swoją szlachetnością i dobrocią.

Ale nie było przeznaczone, aby się na tym skończyła sprawa Tolli. Kiedy się zbliżał karnawał, papież Klemens XI, niechętnie widzący szal świeckich zabaw w Rzymie, zwłaszcza przeciwny niebezpiecznym maskaradom, prosił, aby królewicze polscy, którzy tak niedawno byli bohaterami skandalu, nie występowali w przebraniu. Uważając, że ten zakaz jej nie obowiązuje, Tolla zjawiała się na Corso zamaskowana, w powozie, wraz z innymi kobietami widywanymi zazwyczaj w towarzystwie Aleksandra i Konstantego Sobieskich. W dodatku, jakby urągając zakazowi papieskiemu, Tolla siadła na kozle obok stangreta. Straż papieska ściągnęła ją z kozła, odarla z szat i zaprowadziła do więzienia, a stamtąd do zakładu dla upadłych dziewcząt, podczas gdy na rozkaz papieża suknie Tolli odniesiono Marii Kazimierze do jej pałacu.

Marysienka porwała się jak lwica. Bolała nad trybem życia synów, zwłaszcza że był dla niej kosztowny (przy czym nie wiedziała, że Tolla sprzedaje jej własne klejnoty, wykra-

dane matce przez księcia Konstantego!), ale wszystko, co dotyczyło ich prestiżu, nabierało specjalnej wagi. Z tą chwilą, sprawa Tolli stała się sprawą jej samej, świętą sprawą korony polskiej i rodu. Królowa zażądała natychmiastowego wypuszczenia Tolli i jej towarzyszek, oraz stangreta, dla którego upomniała się o zwrot skonfiskowanego powozu i koni. Wszczęły się nowe rokowania i zawikłania dyplomatyczne, przy czym papież tłumaczył łagodnie królowej, że czyniąc się obrończynią Tolli, popiera rozpustę synów. Nic nie pomogło.

Królowa — jak wspominaliśmy — była akademiczką; poruszyła swoją Akademię, aby się ujęła za Tollą. Jakoż Akademia orzekła, że Tolla nie jest tym, za co ją bierze papież; to nie jest zwykła kurtyzana: jest mężatką, przyjmowaną w najlepszym towarzystwie. Przytoczono jakąś margrabinę, w której domu bawiła raz istotnie Tolla, ale wszedłszy tam bezczelnie bez zaproszenia. Zresztą, ta Tolla — oświadczone — już nie jest Tolla: królowa polska uczyniła ją szlachcianką i hrabiną... hrabiną de la Paille. Wreszcie, wyczerpawszy argumenty, Maria Kazimiera kazała po prostu porwać Tollę i dała jej schronienie w swoim pałacu; przy czym, pełna dbałości o cnotę, zarządziła, że Tolla i książę Konstanty mają mieszkać w dwóch przeciwległych skrzydłach pałacowych.

Papieżowi przebrała się cierpliwość, również zamierzył użyć gwardii. Wówczas Marysienka oświadczyła, że w ciągu godziny opuści miasto, gdzie ją tak znieważają. Kazała zaprzęgać. I papież — jak niegdyś Ludwik XIV — ustąpił. Wyprawił trzech kardynałów, aby uspokoił rozgniewaną wdowę po Sobieskim. Zgodzono się wreszcie na to, że Tolla wyjedzie do Neapolu. Ale i tu *prestige* musiał być ocalony: ustalono, uregulowano ceremoniał wyjazdu kurtyzany, przy czym postanowiono, że Tolla wyjedzie poszóstną karocą o barwach księcia Konstantego. Co więcej, oszczędna Marysienka wyznaczyła jej z własnej szkatuły trzydzieści tysięcy funtów. Czegóż się nie robi dla powagi korony polskiej i dla pamięci obrońcy chrześcijaństwa!

Po tej sprawie pozostał — podaje Waliszewski — zbiór dwustu dwunastu sonetów pod tytułem *Tolleida*, poświęconych pamięci „*della celebra puttana in tempo della regina di Polonia*”<sup>319</sup>.

W całej tej awanturze uderzyć nas może jedno. Nieraz zaznaczyliśmy, kreśląc dzieje Marysienki, jak bardzo ona, chowana od czwartego roku życia w Polsce, pozostała cudzoziemką; i tu bodaj że pierwszy raz mamy wrażenie, iż odezwała się w niej polskość, którą nasiąkała mimo woli. Jest coś bardzo polskiego w całym tym zatargu. I czyż nie można by go zatytułować: „Tolla, czyli ostatni zajazd w Watykanie”?

\*

Epizod z Tollą daje miarę energii i wytrwałości, jaką rozwijała Marysienka, gdy chodziło o przeprowadzenie swej woli. Gdyby tej woli towarzyszyło swego czasu więcej konsekwencji i rozsądku, wystarczyłoby jej zapewne na to, aby zapewnić przyszłość dynastii Sobieskich. Zdawało się przez chwilę, że błąd jest do odrobienia: król szwedzki Karol XII zaproponował Jakubowi poparcie jego kandydatury przeciw Augustowi, którego niebawem zrzuci z tronu. Tym razem Maria Kazimiera, stłumiwszy swoje dawne niechęci, przejmuje się sprawą syna: sama pisze do papieża, donosząc iż elektor brandenburski upoważnił Jakuba do traktowania z królem szwedzkim; co więcej, car rosyjski prosi o rękę jej wnuczki dla syna swego Aleksego. Ona sama wysłała dwóch młodszych synów z pomocą Jakubowi, w nadziei porachowania się z Augustem za tak mało kurtuazyjne traktowanie jej spraw i osoby. Ale August nie dbał o *fair play*: na obcym terytorium, w pobliżu Wrocławia, kazał schwytać Jakuba i Konstantego w chwili, gdy udawali się do Polski, i osadził ich w twierdzy w Pleissenbergu, a potem w Königstein. Maria Kazimiera pisze patetyczne listy: jeżeli — pisze do syna Aleksandra — „aby nasycić nieubłaganą nienawiść tyrana przeciw nam, trzeba aby miał w ręku kogoś z naszej rodziny, gotowa jestem sama udać się do więzienia, byle widzieć moje dzieci wolne i bezpieczne”...

Ale pisząc tak, nie rusza się z Rzymu, śle tylko natarczywe epistoły do cesarza i do papieża, błagając o interwencję. Uzyskuje dużo grzeczności i wyrazów współczucia, trochę

<sup>319</sup>*della celebra puttana in tempo della regina di Polonia* — sławnej prostytutki w czasach królowej polskiej. [przypis edytorski]

obietnic, ale nic więcej; zdaje się, że te potencje dały swoją cichą zgodę na krok Augusta II.

W braku Jakuba, król szwedzki gotów jest popierać Aleksandra. Ale daremnie matka stara się wzbudzić w swoim ulubieńcu ambicję i wolę; Aleksander odmawia stanowczo, nie ma ochoty królować. Może to ostatnie lata panowania ojca, na które patrzył, natchnęły go taką niechęcią do korony?

August trzymał więźniów blisko trzy lata, mimo iż szlachta hałasowała, że wtargnie do Saksonii i uwolni ich siłą; ale to były tylko gesty. Wreszcie, na zasadzie pokoju altranszadzkiego zawartego z Karolem XII, wypuszczono królewiczów, skoro pismem z dn. 17 grudnia 1706 r. zrzekli się wszelkich pretensji. Kazali się sportretować z długimi włosami i brodami, które zapuścili w więzieniu, i portrety te, wraz z ostrzyżonymi włosami, posłali matce do Rzymu. W Polsce panował już — nie na długo — Stanisław Leszczyński.

\*

Wreszcie stało się to, przed czym królowa tak często wyrażała lęk w korespondencji z wojewodziną Sieniawską. Fortuna jej, szarpana przez ojca i przez synów (papa-kardynał umarł aż w r. 1705, licząc lat 96), coraz trudniej mogła nastarczyć na królewski tryb życia; sprawy majątków w rozdartej wojnami domowymi Polsce stały się zupełnie beznadziejne; starzejąca się Marysieńka uczuła, że trzeba zlikwidować tę fikcję królewskości, której tak mężnie broniła w Rzymie. Coraz trudniej przychodziło zresztą zachować swój prestige; dla nowych kardynałów urok nazwiska Sobieskich już był czymś mocno przybladłym, nieaktualnym, zwłaszcza iż ceremoniał watykański coraz bardziej dążył do supremacji kardynałów wobec świeckich książąt. Doszło do tego — o zgrozo! — że kardynał Hannibal Albani, siostrzeniec papieża, składając wizytę królowej, nie zdjął biretu. Coraz więcej było tarć z mistrzami ceremonii o traktowanie królowej na występach publicznych. I królowa uczuła, że klimat włoski jej nie służy.

Pomyślała o swojej ojczyźnie, o Francji. W roku 1714 zwraca się do Ludwika XIV z prośbą o zezwolenie jej na pobyt we Francji i o wyznaczenie jej rezydencji.

Bo we Francji panował wciąż Ludwik XIV, ten o którego ocierało się życie Marysieńki na przestrzeni iluż lat! Ten Ludwik, którego wschodzący blask oślepił ją jako młodą dziewczynę na dworze Marii Ludwiki; o którego „zaczarowanym pałacu” marzyła jak o świecie z bajki; o którego „taburet” bezskutecznie się ubiegała jako *princesse de Zamość*, z którym targowała się potem zawzięcie jako pani hetmanowa Sobieska, z którym darła koty jako królowa Polski aż się karta Europy od tego zmieniła. Miłość, uwielbienie, odrzucone, sfermentowały w nienawiść. I teraz, 76-letni Ludwik dożywał swego królowania, jak go dwadzieścia lat temu dożywał Sobieski, patrząc na ruinę swoich zwycięstw, swojej polityki. Propozycję swej dawnej poddanej i przeciwniczki przyjął Ludwik obojętnie, ale zgodził się. Czyż go nareszcie ujrzy, teraz, po tylu latach? Nie. Postawiono królowej za warunek, aby nawet nie próbowała zbliżyć się do dworu i do Paryża: wyznaczono jej do wyboru parę zamków: wybrała Blois. W czerwcu r. 1714 na galerze papieskiej opuściła Rzym; towarzyszyły jej wnuczka i imienniczka jej, Maria Kazimiera, córka Jakuba. Syn Aleksander miał towarzyszyć również matce, ale zatrzymała go w ostatniej chwili burda między strażą kardynała-gubernatora a gwardią pałacu królowej. Będąc od jakiegoś czasu niezdrów, Aleksander zachorował w Rzymie i umarł w listopadzie r. 1714, każąc się pochować w stroju kapucyna, co zrodziło bajkę, że królewicz ostatnie lata spędził w klasztorze, że „w dalekim Rzymie w kapucyńskim habicie, w zakonnej celi samotne wiódł życie”, jak pisze jeden z historyków, mimo woli stając się rymotwórcą, aby z kochanka Tolli uczynić świętobliwego zakonnika.

Maria Kazimiera podróżowała incognito; nie życzyła sobie odbierać żadnych honorów, bojąc się może, że nie byłyby takie, do jakich sobie rościła prawo. Mimo to, przyjęcie, jakiego doznała w Lyonie ze strony marszałka de Villeroi, było dość wspaniałe.

Apartamenty w Blois zastała nieprzygotowane, mury zaciekały, kominki dymiły, drzwi się nie domykały. Na skargi jej odpowiadano zarzutami, że towarzyszący jej Polacy niszczą zamek. Zdrowie królowej podupadało z dnia na dzień; wreszcie, w styczniu r. 1716 umarła, przeżywszy ledwie o kilka miesięcy Ludwika XIV.

W testamencie Maria Kazimiera prosi swoje dzieci, aby zapłacono jej długi, wskazując że odsetki od jej kapitału wystarczą na to. W istocie, mimo bankructwa swojej królewskości, rządna Marysienka zostawiła kapitał półtora miliona franków i posiadłości we Francji. W Polsce zostały jej Olesko i Tarnopol, które, co prawda, nic nie przynosiły, oraz domy na Marywilu. Pisze dalej w testamencie, że pragnęłaby leżeć obok męża, ale w swojej pokorze nie sądzi, aby była warta trudu chowania jej gdzie indziej niż tam, gdzie dokona życia. Prosi wreszcie synów, aby zbudowali w kościele Kapucynów w Warszawie grobowiec godny pamięci ojca.

Pochowano ją, na zarządzenie Regenta, w Blois; mimo to Marysienka leży obecnie w Polsce. Jak się do niej dostała — nie wiadomo. Dawny biograf Marii Kazimiery, Dobiecki, pisze po prostu, że „zwłoki jej sprowadzono kosztem Rzeczypospolitej do Warszawy”, co wydaje się mało prawdopodobne. Toteż rychło znalazła wiarę inna wersja, wedle której ciało Marysienki dostało się do kraju „tajemniczym sposobem”. Mianowicie, pewnej nocy majowej roku 1716, furtiana klasztoru kapucynów w Warszawie zbudził dzwon u furty. Kiedy poszedł otworzyć, nie ujrzał nikogo — tylko czarną drewnianą skrzynię. Otworzono skrzynię i znaleziono w wysłanej jedwabiem trumnie ciało starej kobiety z diademem na czole i berłem w ręce: w ustach miała medalion, noszący jej imię. Była to królowa Maria Kazimiera. Pochowano ją obok męża, a w r. 1734, za sprawą Jakuba Sobieskiego, zwłoki króla Jana i jego małżonki przewieziono do Krakowa do grobów królewskich, równocześnie z ciałem Augusta II.

Wersja ta uderza wczesnym upoetyzowaniem miłości tej królewskiej pary — miłości, która kazała jej połączyć się tajemniczo po śmierci. To niemal finał Tristana i Izoldy! Uderzyć to może tym bardziej, że zarówno sama Marysienka jak i namiętność króla do niej uważana była powszechnie za źródło nieszczęść Polski, za niegodną słabość bohatera, dopiero zaś wydane w XIX w. jego listy ujawniły całą głębię i poetyczność tego uczucia. Można by więc powiedzieć, że intuicja legendy uprzedziła w tym krytykę historycznoliteracką.

Ród Sobieskich dogasał bezpłodnie. Pierwszy umarł Aleksander, w r. 1714. Niewiele byłoby o nim do powiedzenia; scharakteryzowała go najlepiej w listach swoich kochająca, ale trzeźwa matka. Lubił teatr i wraz z Marią Kazimierą, również wielką teatromanią, organizowali francuskie i włoskie przedstawienia w pałacu królowej w Rzymie. Poza tym wyniosły a słaby, rozpieszczony, wychowany po cudzoziemsku, królewicz Aleksander w niczym nie przypominał ojca, podobnie jak i drugi hulaka Konstanty. Ten maładny rys charakteru, kiedy, uwięziony wraz z bratem Jakubem i zwolniony wcześniej przez króla Augusta, dobrowolnie pozostał w więzieniu, aby nie opuścić brata. Konstanty ożenił się, ku zgorszeniu rodziny, z panną Wessel, damą dworu księżnej neuburskiej, aby w r. 1717 rozwieść się z nią ku niemniejszemu zgorszeniu rodziny. W r. 1727 umarł bezpotomnie.

Najdłużej żył najstarszy Jakub, ten, którego kilka razy minęła korona polska, bo ofiarowywano ją mu podobno jeszcze w r. 1733 po śmierci Augusta II, wówczas kiedy się już nie czuł na siłach, aby po nią sięgnąć. Jakub miał aż siedmioro dzieci: dwaj synowie i dwie córki zmarli w dzieciństwie, uchowały się trzy córki. Najstarsza, Maria Kazimiera umarła w stanie panińskim w r. 1723, narzeczonego zaś jej, księcia de Bouillon, zaślubiła siostra, Maria Karolina. Do powieści i do historii weszła trzecia z nich, Maria Klementyna, zaręczona jako młodzianka dziewczyna z księciem Jakubem Stuartem, synem wygnanego Jakuba II, również wygnańcem i dozgonnym pretendentem do tronu Anglii i Szkocji. W posagu dawano jej 25 milionów, które miały posłużyć księciu do nowych prób odzyskania tronu; ale zaręczyny te zaniepokoiły dwory europejskie, cesarz kazał ująć oblubienicę i uwięził ją w Insbrucku, skąd udało się jej w romantycznych okolicznościach zbiec i dostać się do Rzymu, gdzie zaślubiła w r. 1719 swojego Stuarta. Zmarła w r. 1734; mąż przeżył ją o lat przeszło trzydzieści, nie zdobywszy się już na energię, aby walczyć o swoje prawa do korony.

Upomniał się o nie, jeszcze za życia ojca, syn jego Karol Edward, któremu gorąca pradiadowska krew kazała jeszcze raz zawichrzyć dwa królestwa. W r. 1745, dwudziesto-pięcioletni syn Klementyny Sobieskiej wylądował w Szkocji, zebrał stronników, zdobył Edynburg i ruszył na Anglię. Odnosił parę zwycięstw, ale pobity pod Culoden, opuszczony przez swoich, tułał się głodny i w lachmanach, zanim się dostał na statek francuski.

Była to romantyczna i awanturnicza wyprawa, którą ciężko odpokutowali jego partyzanci. Od tego czasu Karol Edward na próżno błagał dwory o interwencję, a choć po śmierci ojca przybrał tytuł króla Anglii i Szkocji, był to tytuł czysto iluzoryczny. Rozpił się, ożenił się na starość z młodą dziewczyną, którą brutalizował i która po jego śmierci zaślubiła — poetę Alfierego.

Drugi syn Klementyny Sobieskiej, urodzony w Rzymie w r. 1725, po klęsce brata poświęcił się stanowi duchownemu i został w dwudziestym drugim roku życia kardynałem. Po śmierci brata w r. 1766 przybrał tytuł króla Anglii i kazał wybić medal na swoją cześć. Umarł aż w r. 1807 zrujnowany, żyjąc z pensyjki angielskiego rządu; na grobie swoim kazał wyrycić tytuł Henryka IX.

Dokończmy historii Jakuba Sobieskiego. Małżeństwo córki z niewygodnym pretendentem stało się przyczyną, że cesarz kazał mu opuścić Oławę. Zdziwaczał, tulał się po różnych krajach, zajmował się kabalistyką, słuchając równocześnie trzech mszy dziennie; wreszcie w r. 1730 ściągnął do rodzinnego gniazda do Żółkwi, gdzie w r. 1737 dokonał życia. I jak urodzeniu Jana Sobieskiego, tak śmierci jego potomka miały towarzyszyć szczególne znaki niebieskie: w noc jego śmierci burza szalała, niebo paliło się płomieniem, tarcza herbowa znad bramy spadła i roztrzaskała się w kawały, a zegar zepsuty od burzy bił jak szalony, oznajmiając, że umiera ostatni potomek króla Jana, ostatni z Sobieskich.

Niech nas nie dziwią te cudy. Bo to pewna, że na przestrzeni całych dziejów Polski nie spotkamy historii, która by miała w sobie tyle cudowności, tyle elementów romansu czy bajki, co ta cała przygoda Jana i Marysienki, Celadona i Astrei. I tę jeszcze ma owa historia właściwość, że prawda jest w niej dziwniejsza od legendy.

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/marysienka-sobieska>

Tekst opracowany na podstawie: Tadeusz Boy-Żeleński, *Marysienka Sobieska*, wyd. Książnica Atlas, Warszawa; Lwów 1938

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BN.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Marta Niedziałkowska.

ISBN 978-83-288-0094-6

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).